

**PETER  
SWANSON**

WKRÓTCE  
FILM  
AGNIESZKI  
HOLLAND

**CZASEM  
WARTO  
ZABIĆ**

PRZEPRAWIA O DRESZCZE, MROZI KREW  
W ŻYŁACH I TRZYMA W NAPIĘCIU  
- NA PEWNO WEJDZIE DO KLASYKI GATUNKU.

LEE CHILD

MARGINESY



**PETER  
SWANSON**

WKRÓTCE  
FILM  
AGNIESZKI  
HOLLAND

**CZASEM  
WARTO  
ZABIĆ**

PRZEPAWIA O DRESZCZE, MROZI KREW  
W ŻYŁACH I TRZYMA W NAPIĘCIU  
- NA PEWNO WEJDZIE DO KLASYKI GATUNKU.

LEE CHILD

MARGINESY





Ten ebook jest chroniony znakiem wodnym

**PETER  
SWANSON**

**CZASEM  
WARTO  
ZABIĆ**

Przełożyła Ewa Penksyk-Kluczkowska

MARGINESY



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

## **I. ZASADY OBOWIĄZUJĄCE W BARACH LOTNISKOWYCH**

1. Ted
2. Lily
3. Ted
4. Lily
5. Ted
6. Lily
7. Ted
8. Lily
9. Ted
10. Lily
11. Ted
12. Lily
13. Ted
14. Lily
15. Ted

## **II. DOM W BUDOWIE**

16. Lily
17. Miranda
18. Lily
19. Miranda

20. Lily
21. Miranda
22. Lily
23. Miranda
24. Lily
25. Miranda
26. Lily

### **III. DOBRZE UKRYĆ CIAŁA**

27. Kimball
28. Lily
29. Kimball
30. Lily
31. Kimball
32. Lily
33. Kimball
34. Lily

Przypisy



Tytuł oryginału: THE KIND WORTH KILLING

Przekład: EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

Redaktor prowadzący: ADAM PLUSZKA

Redakcja: ROMAN HONET

Korekta: AGNIESZKA RADTKE, JAN JAROSZUK

Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne: ANNA POL

Łamanie | manufaktu-ar.com

Zdjęcie na okładce: © Mark Owen / Trevillion Images

*The kind worth killing*

Copyright © 2015 by Peter Swanson

Copyright © for the translation by Ewa Penksyk-Kluczkowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2016

Warszawa 2016

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65282-65-1

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. (+48) 22 839 91 27

e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Dla mojej matki Elizabeth Ellis Swanson*

**I**

**ZASADY OBOWIĄZUJĄCE  
W BARACH LOTNISKOWYCH**

– Cześć – usłyszałem.

Spojrzałem na bladą, piegowaną dłoń spoczywającą na oparciu sąsiedniego wolnego barowego krzesła w poczekalni klasy biznes na Heathrow, a potem wyżej, na twarz obcej kobiety.

– My się znamy? – spytałem. Z wyglądu nie kojarzyła mi się z nikim konkretnym, ale jej amerykański akcent, śnieżnobiała bluzka koszulowa, obcisłe dżinsy o nogawkach wsuniętych w sięgające kolan buty – to wszystko przypominało mi okropne przyjaciółki mojej żony.

– Nie, przepraszam. Po prostu podziwiałam pańskiego drinka. Pozwoli pan? – Usadowiła swoje długie, smukłe ciało na obitym skórą stolku obrotowym i położyła na kontuarze torebkę. – To dzin? – spytała o stojące przede mną martini.

– Hendrick’s – odparłem.

Ruchem ręki dała znak barmanowi, nastolatkowi o nastroszonych włosach i lśniącym podbródku, i zamówiła hendrick’s martini z dwiema oliwkami. Kiedy dostała swojego drinka, wzniosła kieliszek w toaście. Mnie został jeden łyk.

– Za szczepienia przeciwko podróżom międzynarodowym – powiedziała.

– Za to wypiję.

Dokończyłem drinka i zamówiłem następnego. Przedstawiła się, ale natychmiast zapomniałem jej imienia. Też się przedstawiłem: powiedziałem, że jestem Ted. Nie Ted Severson, w każdym razie wtedy jeszcze na pewno nie podałem nazwiska. Siedzieliśmy w przesadnie oświetlonej i przesadnie wyściełanej poczekalni klasy biznes na Heathrow, popijając drinki, wymieniając luźne uwagi, aż stwierdziliśmy, że oboje czekamy na ten sam lot – na lotnisko Logan w Bostonie. Ona wyjęła z torebki cieką powieść w miękkich okładkach i zaczęła czytać. Wtedy miałem okazję się jej przyjrzeć. Była piękna – długie rude włosy, oczy świetliste, zielonkawoniebieskie jak wody tropików, i skóra tak blada, że niemal niebieskawobiała. Kiedy taka kobieta siada obok ciebie w twoim ulubionym barze i chwali twój wybór drinków, myślisz, że oto czeka cię wielki życiowy przełom. Ale w barach lotniskowych obowiązują inne zasady. Tu osoby towarzyszące ci przy

drinku zaraz się oddała w przeciwnym kierunku niż ty. Ta kobieta co prawda również udawała się do Bostonu, ale mnie wciąż wypełniał paskudny gniew wywołany sytuacją z żoną. Przez cały tydzień spędzony w Anglii nie potrafiłem myśleć o niczym innym. Nie mogłem jeść, nie mogłem spać.

Z głośników popłynął komunikat, w którym dało się rozróżnić dwa słowa: „Boston” oraz „opóźniony”. Ponad podświetlonymi rzędami luksusowych alkoholi zerknąłem na tablicę i ujrzałem, jak czas naszego odlotu przesuwają się o godzinę.

– Pora na następną kolejkę – oznajmiłem. – Ja stawiam.

– Czemu nie – odparła. Zamknęła książkę i położyła ją grzbietem do góry, obok torebki na barze. Patricia Highsmith, *Two Faces of January*.

– Jak książka?

– W jej dorobku ta nie jest najlepsza.

– Nie ma nic gorszego niż kiepska książka i duże opóźnienie lotu.

– A co pan lubi czytać?

– Gazety. Za książkami w sumie nie przepadam.

– Więc co pan robi w samolotach?

– Piję dzin. Planuję morderstwa.

– Interesujące. – Uśmiechnęła się do mnie po raz pierwszy. Uśmiech miała szeroki, taki że powodował załamanie skóry pomiędzy górną wargą a nosem i obnażał doskonałe zęby aż po pasek różowych dziąseł. Zastanawiałem się, ile ta kobieta ma lat. Zaraz na początku, gdy tylko się dosiadła, myślałem, że trzydzieści parę, że bliżej jej wiekowo do mnie, ale przez uśmiech i obfitość białych piegów na nosie wyglądała młodziej. Dałbym jej dwadzieścia osiem lat. Czyli byłaby w wieku mojej żony.

– I oczywiście w czasie lotu pracuję – dodałem.

– Czym się pan zajmuje?

Podąłem jej wersję skróconą – że działam w branży informatycznej, finansuję start-upy i doradzam firmom. Nie powiedziałem, jak zarobiłem większość swoich pieniędzy – dzięki sprzedawaniu tych firm, gdy tylko zaczynają prezentować się obiecująco. I nie powiedziałem, że tak naprawdę mógłbym już nigdy w życiu nie kiwnąć palcem, że jestem jednym z nielicznych właścicieli firm informatycznych z końca lat dziewięćdziesiątych, którzy zdołali korzystnie sprzedać akcje tuż przed pęknięciem bańki. Ukrywam te fakty, bo nie lubię o nich rozmawiać, nie z obawy, że moja nowa towarzyszka mogłaby uznać je za odrażające albo że straciłaby

zainteresowanie rozmową ze mną. Nigdy nie miałem problemu z akceptacją swojego majątku.

– A pani? Czym pani się zajmuje? – spytałem.

– Pracuję w Winslow College. Jestem archiwistką.

Winslow to żeński college na zielonym przedmieściu Bostonu, jakieś trzydzieści kilometrów na zachód. Spytałem ją, czym się zajmuje taka archiwistka, a ona przedstawiła mi najmniej nudną – jak podejrzewam – wersję tego zajęcia: jak to gromadzi i zabezpiecza dokumenty dotyczące uczelni.

– I mieszka pani w Winslow? – spytałem.

– Tak.

– Jest pani mężatką?

– Nie. A pan jest żonaty?

Już kiedy to mówiła, zauważyłem dyskretnie zerknięcie na moją lewą dłoń.

– Tak, niestety – odparłem. Po czym podniosłem rękę, by pokazać jej pusty palec serdeczny. – Ale nie, nie zdejmuję obrączki w barach lotniskowych, na wypadek gdyby usiadła obok taka kobieta jak pani. Nigdy jej nie nosiłem. Obrączki strasznie mi przeszkadzają.

– Dlaczego niestety?

– To długa historia.

– A lot jest opóźniony.

– Naprawdę chce pani słuchać o moim nikczemnym życiu?

– Jak mogłabym teraz zaprzeczyć?

– Jeśli mam o nim rozprawić, potrzebuję wsparcia. – Podniosłem pusty kieliszek. – A pani?

– Nie, dziękuję. Dwa to moje maksimum. – Zsunęła zębami oliwkę z wykałaczki i ją przygryzła. Mignął mi różowy koniuszek jej języka.

– Zawsze powtarzam, że dwa martini to za dużo, a trzy za mało.

– Zabawne. Czy to nie są słowa Jamesa Thurbera?

– W życiu o nim nie słyszałem – odparłem, uśmiechając się lekko, chociaż trochę się zmieszałem, że przypisuję sobie autorstwo czyichś słów. Przede mną pojawił się nagle barman i zamówiłem kolejnego drinka. Skóra wokół ust przyjemnie mi drętwiała, jak zawsze od dzinu. Groziło mi, że zanadto się upiję i za dużo powiem, ale tu obowiązywały przecież zasady lotniskowe i chociaż moja nowa towarzyszka

mieszkała zaledwie trzydzieści kilometrów ode mnie, już zapomniałem, jak się nazywa, szanse zaś na to, że jeszcze kiedykolwiek ją w życiu zobaczę, miałem naprawdę znikome. A dobrze się rozmawiało i piło z obcą osobą. Od samego wypowiedzania na głos słów mój gniew łagodniał.

Opowiedziałem jej. Opowiedziałem, jak to moja żona i ja jesteśmy małżeństwem od trzech lat i że mieszkamy w Bostonie. Opowiedziałem jej o wrześniowym weekendzie spędzonym w Kennewick Inn na południowym wybrzeżu Maine, i jak się zakochaliśmy w okolicy, i kupiliśmy jakąś absurdalnie drogą posiadłość nad brzegiem oceanu. Opowiedziałem, jak moja żona, ponieważ ma dyplom ukończenia jakiegoś kierunku o nazwie działalność społeczno-artystyczna, uznała, że dysponuje kwalifikacjami, by brać udział w budowie domu wraz z ekipą budowlaną, i ostatnio spędzała większość czasu w Kennewick, współpracując z naszym wykonawcą Bradem Daggettem.

– I ona z tym Bradem...? – spytała, wsunąwszy do ust drugą oliwkę.

– Aha.

– Jest pan pewien?

Podąłem więc jej więcej szczegółów: Mirandę coraz bardziej nudziło nasze życie w Bostonie. Przez pierwszy rok małżeństwa oddawała się urządzaniu naszego domu, kamienicy w South Endzie. Potem podjęła pracę na pół etatu w galerii przyjaciółki w SoWa, ale już wtedy wiedziałem, że w naszym związku coś się wypala. Tematy do rozmów kończyły nam się w połowie obiadu. Zaczęliśmy chodzić do łóżka w różnych porach. Co ważniejsze, każde z nas straciło tożsamość, która określała nas w związku na początku jego istnienia. Byłem wówczas bogatym biznesmenem, który wprowadził ją w świat eleganckich i drogich gali dobroczynnych, ona zaś była wolnym duchem, artystką, która kupowała wycieczki na tajlandzkie plaże i lubiła przesiadywać w barach plażowych. Wiedziałem, że te wizerunki to nasze naciągane stereotypy, ale w naszym wypadku to zdawało egzamin. Przypadliśmy sobie do gustu pod każdym względem. Bawił mnie nawet fakt, że chociaż uważałem się za przystojnego, w takim konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, w jej obecności nikt nie zwracał na mnie uwagi. Miranda miała długie nogi i duże piersi, twarz w kształcie serca i pełne usta. Ciemnobrązowe włosy zawsze farbowała na czarno. Stylizowała je tak, żeby wyglądały na potargane, jakby właśnie wstała z łóżka. Cerę miała nieskazitelną i nie musiała się malować, chociaż nie wychodziła z domu bez czarnych kresk na powiekach. Wiedziałem, jak mężczyźni w knajpach świrowali na jej punkcie. Może

to były moje projekcje, ale w kierowanych na nią spojrzeniach dostrzegałem pożądanie i pierwotne instynkty. W takich chwilach cieszyłem się, że nie żyję w czasie i miejscu, gdzie mężczyźni stale noszą przy sobie broń.

Na wycieczkę do Kennewick w stanie Maine wybraliśmy się pod wpływem impulsu, w spontanicznej reakcji na wyrzut Mirandy, że od ponad roku prawie nie spędzamy czasu razem. Pojechaliśmy w trzecim tygodniu września. Przez kilka pierwszych dni było bezchmurnie i ciepło, ale w środę z Kanady nadciągnęła burza i uwięziła nas w pokoju. Mogliśmy tylko pić allagash white i jeść homary w knajpie w podziemiach motelu. Gdy burza przeszła, dni stały się zimne i suche, światło bardziej szare, a zmierzch dłuższy. Kupiliśmy swetry i wyprawiliśmy się na półtorakilometrowy klifowy szlak zaczynający się na północ od motelu i biegnący skrajem urwiska ponad kłębiącym się Atlantykiem. Powietrze, jeszcze niedawno ciężkie od wilgoci i zapachu kremu do opalania, teraz stało się rześkie i słone. Oboje zakochaliśmy się w Kennewick do tego stopnia, że kiedy trafiliśmy na zarośnięty głógiem kawałek ziemi na sprzedaż, położony na wysokim cyplu na końcu szlaku, zadzwoniłem pod numer podany na tabliczce i złożyłem ofertę.

Rok później po głógowych chaszczach nie zostało ani śladu, wykopano fundamenty i dom o ośmiu sypialniach był niemal gotowy. Jako głównego wykonawcę zatrudniliśmy Brada Daggetta, krzepkiego rozwodnika z gęstymi czarnymi włosami, hiszpańską bródką i nosem wyglądającym tak, jakby kiedyś był złamany. Podczas gdy ja w Bostonie doradzałem grupce świeżo upieczonych absolwentów MIT, którzy stworzyli nowy algorytm do wyszukiwarki bazującej na blogach, Miranda coraz więcej czasu spędzała w Kennewick. Wynajmowała pokój w motelu i nadzorowała wszystkie prace na budowie. Miała obsesję na punkcie najmniejszego kafelka czy najbliższej instalacji.

Na początku września postanowiłem zrobić żonie niespodziankę. Zostawiłem wiadomość na jej poczcie głosowej, wjeżdżając na I-95 na północ od Bostonu. Koło południa dotarłem do Kennewick i zajechałem do motelu. Powiedziano mi, że nie ma jej od rana.

Ruszyłem na budowę i zaparkowałem na zwirowym podejździe, za fordem F-150 Brada. Stał tam też jasnoturkusowy mini cooper Mirandy. Nie byłem na budowie od kilku tygodni i z radością stwierdziłem, że poczyniono znaczne postępy. Najwyraźniej wstawiono już wszystkie okna i dostarczono błękitnoszary piaskowiec zamówiony do ogrodu, który miał powstać w zagłębieniu terenu. Przeszedłem na tył domu, gdzie każda sypialnia na piętrze miała swój balkon



i gdzie przeszklona weranda wzdłuż parteru wychodziła na wielki kamienny dziedziniec. Nieco dalej wykopano już prostokątny dół na basen. Wspiąwszy się kamiennymi schodkami na dziedziniec, przez wysokie okna kuchni wychodzące na ocean dojrzałem Brada i Mirandę. Już miałem zastukać w szybę, by oznajmić swoje przybycie, gdy coś mnie powstrzymało. Oboje opierali się o świeżo zainstalowany blat kuchenny z kwarcu, oboje patrzyli za okno, przez które roztaczał się widok na zatoczkę Kennewick. Brad palił papierosa i właśnie strząsał popiół do filiżanki trzymanej w drugiej dłoni.

Ale to na widok Mirandy znieruchomiałem. Coś przykuło moją uwagę – to jak stała, jak opierała się o blat, przechylona ku szerokim ramionom Brada. Z jej pozy biła absolutna swoboda. Patrzyłem, jak od niechcenia podnosi dłoń, a Brad wsuwa swojego papierosa pomiędzy jej palce. Zaciągnęła się głęboko i oddała mu papierosa. Podczas tej wymiany nie spojrzeli na siebie, ja zaś zrozumiałem, że nie tylko śpiąją ze sobą, lecz także zapewne są w sobie zakochani.

Zamiast poczuć gniew czy konsternację, odruchowo zareagowałem paniką, że mnie zauważą na dziedzińcu, jak podglądam ich w intymnej chwili. Wycofałem się na front domu, wszedłem na werandę, po czym energicznym ruchem otworzyłem przeszklone drzwi i krzyknąłem: „Halo!”, co odbiło się echem w pustym budynku.

– Tutaj! – odkrzyknęła Miranda.

Wszedłem do kuchni.

Odsunęli się trochę od siebie, ale naprawdę odrobinę. Brad gasił papierosa w filiżance.

– Teddy, co za niespodzianka! – zawołała moja żona. Tylko ona tak się do mnie zwracała, zdrobnieniem, które zrodziło się jako żart, bo w ogóle do mnie nie pasowało.

– Cześć, Ted – odezwał się Brad. – I jak ci się podoba dotychczasowa robota?

Miranda obeszła blat i uraczyła mnie całusem, który trafił w kącik ust. Pachniała drogim szamponem i papierosami marlboro.

– Wygląda nieźle. Widziałem, że przyjechały moje płytki.

Miranda się roześmiała.

– Pozwoliliśmy mu wybrać jedną rzecz i już cała reszta go nie obchodzi.

Brad też wyszedł zza blatu, uścisnął mi rękę. Dłoń miał wielką, sękatą, skórę ciepłą i suchą.

– Chcesz obejrzeć resztę?

Gdy oprowadzali mnie po domu, Brad opowiadając o materiałach budowlanych, a Miranda wskazując, gdzie trafi który mebel, zacząłem się zastanawiać na spokojnie nad tym, co wcześniej widziałem. Żadne z nich w mojej obecności nie wydawało się ani trochę zdenerwowane. Może po prostu bardzo się zaprzyjaźnili, na tyle, by stać blisko siebie i palić na spółkę papierosa. Miranda należała do osób wylewnych, chodziła pod ramię z przyjaciółkami, a naszych znajomych płci męskiej witała i żegnała pocałunkiem w usta. Niewykluczone, że wpadłem w paranoję.

Po obejściu domu Miranda i ja pojechaliśmy do Kennewick Inn i zjedliśmy lunch w Livery Tavern. Oboje zamówiliśmy kanapki z czernionym łupaczem, a ja wypłem dwie szkockie z wodą sodową.

– Przy Bradzie znowu zaczęłaś palić? – spytałem, chcąc ją przyłapać na kłamstwie i sprawdzić, jak zareaguje.

– Słucham? – Ściągnęła brwi.

– Czuć było trochę od ciebie papierosami. Tam w domu.

– Może się sztachnęłam parę razy. Nie zaczęłam znowu palić, Teddy.

– W sumie to nieważne. Tak się tylko zastanawiałem.

– Mieści ci się to w głowie, że dom jest prawie skończony? – Zmieniła temat, zanurzając frytkę w moim keczupie.

Przez dłuższą chwilę rozmawialiśmy o domu i jeszcze bardziej zwątpiłem w znaczenie sceny, którą zobaczyłem. Miranda nie zachowywała się, jakby miała poczucie winy.

– Zostajesz na weekend? – spytała.

– Nie. Wpadłem tylko na chwilę. Dzisiaj mam kolację z Markiem LaFrance'em.

– Odwołaj ją i zostań. Jutro ma być piękna pogoda.

– Mark przyleciał specjalnie na to spotkanie. A muszę jeszcze przygotować parę zestawień.

Pierwotnie zamierzałem zostać w Maine na całe popołudnie w nadziei, że Miranda zgodzi się na długą drzemkę w pokoju hotelowym. Ale po tym, jak ujrzałem ją z Bradem migdalących się w bardzo drogiej kuchni, za którą ja zapłaciłem, zmieniłem plany. Po lunchu odwoziłem Mirandę na budowę, bo tam zostawiła swój samochód. Potem, zamiast ruszyć po prostu na I-95, drogą numer 1 pojechałem na południe do Kittery i tamtejszego półkilometrowego ciągu outletów. Zajechałem pod Faktorię, skupisko sklepów specjalizujących się w sprzęcie i ciuchach do zajęć w terenie. Mijałem ją już przy wielu okazjach i nigdy tam nie

zajrzałem. W ciągu mniej więcej kwadransa wydałem niemal pięćset dolarów na wodoodporne bojówki w panterkę, szary płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, duże okulary lotnicze i profesjonalną lornetkę. Zabrałem to wszystko do toalety naprzeciwko Crate and Barrel i przebrałem się w swój nowy strój. W kapturze i okularach czułem się nierozpoznawalny. Przynajmniej z daleka. Pojechałem z powrotem na północ, zaparkowałem na publicznym parkingu niedaleko zatoczki Kennewick, wciskając moje quattro pomiędzy dwa pikapy. Wiedziałem, że nie ma powodu, by Miranda czy Brad zajechali na ten akurat parking, ale też nie było powodu, bym zostawiał wóz na widoku.

Chociaż wiatr przycichł, niebo wisiało nisko, jednolicie szare, raz po raz nadciągała ciepła mżawka. Przeszedłem po wilgotnym piasku plaży, po czym wdrapałem się po luźnych kamieniach, po których prowadziła droga do szlaku na urwisku. Poruszałem się ostrożnie, nie odrywając wzroku od wyłożonej kamiennymi płytami ścieżki – śliskiej od deszczu i gdzieś wybrzuszonyj przez korzenie – żeby nie patrzeć na dramatyczny rozmach Atlantyku po prawej. Na niektórych odcinkach szlaku erozja całkowicie zniszczyła płyty, a wyblakły znak przestrzegał spacerujących o zagrożeniu. Z tego powodu ścieżka była umiarkowanie uczęszczana – dzisiaj spotkałem tu tylko jedną osobę, nastolatkę w bluzie klubowej Boston Bruins. Pachniała, jakby przed chwilą zjarała skręta. Minęliśmy się, nie wymieniając ani słowa, nawet na siebie nie patrząc.

Pod koniec szlaku szedłem szczytem kruszącego się cementowego muru wytyczającego granicę posiadłości z kamienną chatą, ostatnim domem przed półkilometrowym odcinkiem niezabudowanego terenu, który sięgał do naszej parceli. Ścieżka schodziła dalej w dół do morza, przecinała krótką, kamienistą plażę zasłaną wodorostami i zniszczonymi bojami, po czym dalej biegła wzdłuż stromego wzniesienia, pośród pokręconych świerków. Deszcz znowu zaczął padać, zdjąłem wilgotne okulary przeciwsłoneczne. Szansa na to, że Miranda czy Brad znajdują się na zewnątrz, była nikła, a ja zamierzałem zatrzymać się na skraju otwartego terenu oczyszczonego z roślinności i ukryć się w zagajniku zimnotrwałych zarośli wzdłuż niżej położonej części cypla. Gdyby któreś z nich wyjrzało i mnie zobaczyło, pewnie zostałbym uznany za obserwatora ptaków. Gdyby ktoś ku mnie ruszył, mogłem się szybko wycofać na ścieżkę.

Wreszcie zobaczyłem dom majaczący nad urwiskiem i uderzyło mnie, nie po raz pierwszy, jak tylna jego strona – ta wychodząca na ocean – stylistycznie odbiega od strony wychodzącej na drogę. Front domu miał fasadę wyłożoną kamieniem,

o nielicznych niewielkich oknach i wyniosłych drewnianych drzwiach z przerysowanymi łukami. Od tyłu dom wykończono pomalowanym na beżowo drewnem, a z powodu identycznych okien oraz identycznych balkonów wyglądał na średniej wielkości motel. „Mam mnóstwo przyjaciół” – wyjaśniła Miranda spytana, po co nam siedem pokoi dla gości. Następnie spojrzała na mnie tak, jakbym spytał, po co nam w domu woda bieżąca.

Znalazłem dobry punkt pod skarłowaciałym świerkiem, pochylonym i pokręconym niczym bonsai. Położyłem się na wilgotnej ziemi i skierowałem lornetkę na dom. Miałem do niego jakieś pięćdziesiąt metrów, więc bez trudu zaglądałem do środka przez okna. Przepatrzyłem parter, nie dostrzegłem żadnego ruchu, po czym zająłem się piętnem. Nic. Westchnąłem głęboko, przyjrzałem się fasadzie gołym okiem, żałując, że nie mam widoku na drogę dojazdową. Najwyraźniej w domu nie było nikogo, chociaż ciężarówka Daggetta ciągle tam stała, gdy podrzucałem Mirandę.

Kilka lat temu pojechałem na ryby z kolegą, innym spekulantem dotcomowym, najlepszym znanym mi wędkarzem morskim. Wystarczyło, że wpatrzył się w powierzchnię oceanu i wiedział dokładnie, gdzie są ryby. Wyjaśnił mi, że cała sztuka polega na tym, by nie skupiać spojrzenia w jednym miejscu, lecz objąć wzrokiem naraz wszystko w jego zasięgu. Dzięki temu zdołał dostrzec najlżejszy ruch, zawirowanie wody. Raz próbowałem to zrobić, ale osiągnąłem tylko tępy ból głowy. Tak więc, gdy po jeszcze jednych uważnych oględzinach przez lornetkę nic nie zobaczyłem, postanowiłem zastosować tę samą sztuczkę w odniesieniu do swojego domu. Wszystko przed moimi oczyma się zamazało, a ja czekałem, aż jakiś ruch sam przyciągnie uwagę, i gdy tak wpatrywałem się w dom niespełna minutę, dostrzegłem coś przez wysokie okno przyszłego salonu na północnym końcu budynku. Podniosłem do oczu lornetkę i wycelowałem w okno; Brad i Miranda właśnie weszli do pomieszczenia. Widziałem ich całkiem wyraźnie; chylące się ku zachodowi słońce padało na okno pod dobrym kątem, oświetlając wnętrze, a nie oślepiając mnie. Patrzyłem, jak Brad podchodzi do prowizorycznego stołu ustawionego przez stolarzy. Wziął do ręki kawałek drewna, który wyglądał jak profil sufitowy, i podsunął go mojej żonie. Przesunął palcem po rowkach, ona zrobiła to samo. Jego usta się poruszały, a Miranda najwyraźniej słuchała go i kiwała głową.

Przez krótką chwilę poczułem się żałośnie – ogarnięty paranoją zamaskowany mąż śledzi żonę i swojego budowlańca – ale oto Brad odłożył listwę i patrzyłem, jak

Miranda pada mu w ramiona, odchyła głowę i całuje go w usta. On wyciągnął swoją wielką rękę i przycisnął jej biodra do swoich, a drugą chwycił w garść jej potargane włosy. Usiłowałem nie patrzeć dalej, wiedziałem, że nie powinienem, ale jakoś nie mogłem przestać. Obserwowałem co najmniej dziesięć minut, patrzyłem, jak Brad kładzie moją żonę na stole, jak zadziera jej ciemnofioletową spódniczkę, ściąga maleńkie białe majtki i bierze ją od tyłu. Patrzyłem, jak Miranda ustawia się dogodnie wzdłuż stołu, jak zapiera się jedną ręką o blat, a drugą sięga między nogi, by wprowadzić Brada do środka. Z pewnością robili to już wcześniej.

Wycofałem się i usiadłem. Gdy po chwili wróciłem na ścieżkę, ściągnąłem kaptur i zwymiotowałem lunch do ciemnej, pomarszczonej na wietrze kałuży.

– Jak dawno to było? – spytała moja towarzyszka, gdy już opowiedziałem jej o tym wszystkim.

– Ponad tydzień temu.

Zamrugła powiekami i przygryzła dolną wargę. Powieki miała blade jak bibułka.

– I co z tym chcesz zrobić? – spytała.

Przez cały tydzień sam sobie stawiałem to pytanie.

– Tak naprawdę to chcę ją zabić. – Uśmiechnąłem się odrętwiałymi od alkoholu wargami i usiłowałem puścić oko, żeby dać jej możliwość niewierzenia w moje słowa, ale jej twarz pozostała poważna. Podniosła rudawe brwi.

– Myślę, że powinieneś to zrobić – powiedziała, a ja czekałem na jakąś wskazówkę, z której bym wywnioskował, czy żartuje. Ale się nie doczekałem. Nawet jej powieka nie drgnęła. Gdy się w nią wpatrywałem, zdałem sobie sprawę, że jest o wiele piękniejsza, niż mi się początkowo wydawało. Eteryicznym pięknem, ponadczasowym, jakby była modelką z renesansowego obrazu. Tak inna od mojej żony, która wyglądała jak żywcem wzięta z okładki szmatławego powieścidla z lat pięćdziesiątych. Już miałem w końcu się odezwać, gdy ona przechyliła głowę, by wysłuchać stłumionego komunikatu z głośników. Właśnie obwieścili, że zaczyna się boarding pasażerów naszego lotu.



Tego lata, gdy skończyłam czternaście lat, moja mama zaprosiła pewnego malarza, by się do nas wprowadził. Miał na imię Chet, a jego nazwiska nie pamiętam. W ogóle w sumie nie wiem, czy je kiedykolwiek poznałam. Przyjechał i zajął niewielkie mieszkanie nad pracownią matki. Nosił mocne okulary w ciemnych oprawkach, gęstą brodę, zawsze upstrzoną farbą, i pachniał jak przejrzały owoc. Pamiętam, że gdy się sobie przedstawialiśmy, zerknął na moją klatkę piersiową. Trwały już upały, więc chodziłam w obciętych dżinsach i bezrękawniku. Moje piersi wielkością nieznacznie odbiegały od bąbli po ugryzieniu komara, ale on i tak patrzył.

– Witaj, Lily – rzekł. – Mów mi wujek Chet.

– Dlaczego? Jesteś moim wujkiem?

Puścił moją rękę i wybuchnął chrapliwym śmiechem, przypominającym niesprawny silnik.

– No wiesz, już się czuję tu jak rodzina, tak mnie traktują twoi rodzice. Całe lato do malowania, Jezu... Niesamowite.

Odeszłam bez słowa.

Nie był naszym jedynym gościem tamtego lata. Prawdę mówiąc, w Monk's House nigdy nie zadowolono by się jednym gościem, zwłaszcza latem, gdy moi rodzice nie wykładali i mogli się skupić na tym, co naprawdę uwielbiali: na picciu i chędożeniu. Nie chcę tu tragizować nad swoim dzieciństwem. Tak to po prostu wyglądało. A tamto lato, lato z Chetem, pamiętam jako nieustannie zmieniającą się paradę pieczeniarzy, magistrantów, byłych kochanków, bieżących kochanków – wszyscy krążyli jak ćmy wokół migoczącej latarni na werandzie. Zastrzegam, że to byli tylko pomieszkujący u nas goście. Moi rodzice, jak zawsze, urządzali nieskończone imprezy – przez ściany sypialni, leżąc w łóżku, słuchałam odgłosów tych imprez, znajomych symfonii, zaczynających się od wybuchów śmiechu, dysharmonijnego jazzu, przez stuk drzwi siatkowych, a kończących się nad ranem krzykiem, niekiedy płaczem i zawsze trzaśnięciem zamykanych drzwi do sypialni.

Chet zaliczał się do odrobinę innego gatunku niż reszta gości. Moja matka

mówiła o nim, że jest artystą autsajderem, co zapewne oznaczało, że nie jest związany z jej college'em ani jako student, ani jako artysta na stypendium. Pamiętam, że ojciec mówił o nim: „Bezdomny degenerat, któremu twoja matka dała schronienie. Trzymaj się od niego z daleka, Lily, myślę, że ma trąd. I diabli wiedzą, co się kryje w tej brodzie”. Nie sądzę, by ta przestroga ojca była szczerą – właściwie mówił to pod adresem mojej matki znajdującej się w zasięgu głosu – ale jego słowa okazały się prorocze.

Całe życie spędziłam w Monk's House, jak mój ojciec nazywał rozległą, niszczącą, stuletnią wiktoriańską posiadłość oddaloną o godzinę drogi od Nowego Jorku, wzniesioną głęboko w lasach Connecticut. David Kintner – mój ojciec – był angielskim pisarzem, większość pieniędzy zarobił dzięki adaptacji filmowej pierwszej książki: udanej, zabawnej, lekkiej opowieści o szkole z internatem, ze scenami seksu. Pod koniec lat sześćdziesiątych wywołała ona chwilową sensację. Przyjechał do Ameryki na cykl wykładów na Uniwersytecie Shepaug i został, bo poznał Sharon Henderson, moją matkę, abstrakcyjną ekspresjonistkę, wykładowcę stałego na wydziale sztuki tej uczelni. Razem kupili Monk's House. W chwili zakupu, tego samego roku, gdy zostałam poczęta, posiadłość nie miała nazwy, ale mój ojciec, który uzasadniał istnienie sześciu sypialni planami wypełnienia ich twórczymi i inteligentnymi gośćmi (młodymi, płci żeńskiej), uznał, że chciałby jej nadać nazwę po domu, w którym mieszkali Virginia i Leonard Woolfowie. Jednocześnie nazwa nawiązywała do Thelonusa Monka, ulubionego muzyka ojca.

Monk's House miał wiele osobliwości, w tym nieużywane panele słoneczne zarośnięte bluszczem, salę kinową ze starym projektorem, piwniczkę na wino, z klepiskiem, a na tyłach domu rzadko czyszczony niewielki basen w kształcie nerki. Z upływem lat przemienił się w mętną sadzawkę o dnie i brzegach porośniętych glonami, a powierzchnią nieustannie pokrytą gnijącymi liśćmi. Nieczynny filtr zapchał się rozdętymi zwłokami myszy i wiewiórek. Właśnie na początku tamtego lata podjęłam próbę własnoręcznego oczyszczenia basenu napełnionego wodą do połowy. Pewnego czerwcowego dnia wyciągnęłam czarną od pleśni folię, znalazłam siatkę na motyle, która posłużyła mi za czerpak do liści, a na koniec napełniłam basen wodą z węża. Poprosiłam każdego z moich rodziców z osobna, żeby przy następnych zakupach nabył środki chemiczne do basenu. Oto odpowiedź mojej matki: „Nie chcę, żeby moja ukochana córka pływała całe lato w jakichś chemikaliach”. Ojciec obiecał, że specjalnie wyprawi się po nie do sklepu,

ale jeszcze zanim skończyliśmy rozmowę, widziałam, jak w jego oczach gaśnie pamięć o tej obietnicy.

Pływałam jednak w basenie przez pierwszą połowę lata, mówiąc sobie, że przynajmniej mam go wyłącznie dla siebie. Woda pozieleniała, a dno i brzegi stały się śliskie od ciemnych glonów. Udawałam, że basen jest tak naprawdę sadzawką położoną w leśnych ostępach, w wyjątkowym miejscu znanym tylko mnie, a moimi przyjaciółmi są żółwie, ryby i ważki. Pływałam o zmierzchu, gdy najgłośniejsze cykały świerszcze, niemal zagłuszając odgłosy imprez rozpoczynających się na frontowej werandzie. To w czasie jednej z pierwszych wieczornych kąpiei zauważyłam Cheta z butelką piwa w ręku, gdy mnie obserwował spod drzew.

– Jak tam woda? – spytał, gdy zrozumiał, że go spostrzegłam.

– W porządku – odparłam.

– Nawet nie wiedziałem, że tu jest basen.

Wyszedł spod drzew, stanął w ostatnich promieniach dziennego światła. Miał na sobie białe ogrodniczki zachlapano farbą. Popijał piwo, piana przyczepiała mu się do wąsów.

– Nikt oprócz mnie z niego nie korzysta. Rodzice nie lubią pływać. – Przepłynęłam na głębszy koniec. Cieszyłam się, że w zielonej i mętnej wodzie Chet nie widzi mnie w stroju kąpielowym.

– Może kiedyś sobie popływam. Nie masz nic przeciwko?

– Wisi mi to. Możesz robić, co chcesz.

Dopił piwo jednym wielkim haustem, a gdy odjął butelkę od ust, rozległ się głuchy odgłos.

– Jezu, tak naprawdę to chciałbym ten basen namalować. I może byś się zgodziła, żebym w nim namalował ciebie. Zgodziłabyś się?

– Nie wiem. Co masz na myśli?

Roześmiał się.

– No tak jak teraz, ty w basenie, w tym świetle. Chciałbym stworzyć obraz. Zasadniczo maluję abstrakcje, ale tym razem... – Urwał, podrapał się po wewnętrznej stronie uda. Po dłuższej chwili spytał: – Masz, kurna, pojęcie, jaka jesteś piękna?

– Nie.

– Jesteś. Jesteś piękną dziewczyną. Nie powinienem tak do ciebie mówić, bo



jesteś młodziutka, ale jestem malarzem, więc spoko. Rozumiem piękno, a w każdym razie udaję, że rozumiem. – Roześmiał się. – Pomyślisz o tym?

– Nie wiem, jak długo jeszcze będę pływać. Woda jest trochę brudna.

– Dobra. – Zerknął na drzewa za mną, powoli kiwając głową. – Muszę iść po piwo. Przynieść ci coś? – Trzymał teraz przy boku pustą butelkę szyjką do dołu, a krople piwa spadały na niestrzyżony trawnik. – Jak chcesz, tobie też przyniosę piwo.

– Nie piję piwa. Mam dopiero czternaście lat.

– Dobra. – Stał, przyglądając mi się jakiś czas. Chciał zobaczyć, czy wyjdę z wody. Usta mu się lekko rozchyliły i znowu się podrapał po wewnętrznej stronie uda. Ja brnęłam przez wodę, nie wynurzając się, obróciłam się tylko tak, żeby nie musiała na niego patrzeć.

– Ofelia... – powiedział prawie do siebie. I jeszcze: – No dobra, piwo.

Gdy zniknął, wyszłam z basenu, wiedząc, że w te wakacje pływanie mam już z głowy. Nienawidziłam Cheta za to, że odebrał mi mój sekretny staw. Zawinęłam się w wielki ręcznik plażowy, który wcześniej sobie przyniosłam, i przebiegłam przez dom do łazienki znajdującej się najbliżej mojego pokoju. Czułam ból w klatce piersiowej, gniew wypełniał mnie niczym balon, który nadymał się powoli, by nigdy nie pęknąć. W łazience włączyłam grzechoczący wiatrak i odkręciłam wodę, a potem krzyczałam raz za razem, używając najbrzydszych znanych mi słów. Krzyczałam, bo byłam wściekła, ale też krzyczałam, by nie płakać. Nie pomogło. Usiadłam na kafelkach i łkałam, aż rozboleło mnie gardło. Myślałam o Checie – o tym, jak strasznie na mnie patrzy – ale też o moich rodzicach. Dlaczego wypełnili nasz dom obcymi ludźmi? Dlaczego znali samych maniaków seksualnych? Po prysznicu weszłam do sypialni i spojrzałam na siebie nagą w wysokim lustrze na drzwiach szafy. Seks znałam prawie od zawsze. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień to rodzice robiący te rzeczy na wielkim ręczniku pośród wydm w czasie wakacji. Dzielił mnie od nich niecały metr, kopałam w piasku plastikową łopatką. Pamiętam, że w butelce ze smoczką miałam ciepły sok jabłkowy.

Obracałam się, by obejrzeć swoje ciało ze wszystkich stron, ze wstrętem patrząc na rude włosy wyrastające mi między nogami. Przynajmniej piersi miałam ledwie zauważalne, nie tak jak moja przyjaciółka Gina, która mieszkała kawalek dalej. Wyprostowałam ramiona, a wówczas piersi zupełnie się rozplaszczyły. Jeśli kładłam dłoń między nogami, wyglądałam tak samo jak w wieku dziesięciu lat. Chuda, ruda, piegowata, z cieniem piegów na ramionach i dekolcie.

Włożyłam dżinsy i bluzę, chociaż wieczór był jeszcze parny i gorący, i zeszłam na dół, by zrobić sobie kanapkę z masłem orzechowym.

Przestałam się kąpać w basenie. Nie wiem, czy Chet jeszcze mnie tam szukał. Widziałam go czasami na górnym stopniu prowadzącym do mieszkania nad pracownią matki, jak palił papierosa i patrzył w stronę domu. Od czasu do czasu bywał też w naszej kuchni, gdzie rozmawiał z moją matką, zwykle o sztuce. Szukał mnie wzrokiem, potem go odwracał, a potem znowu szukał.

Tamtego lata ojciec wyjechał na jakieś trzy tygodnie bezpośrednio po wizycie grupki angielskich znajomych, w tym młodej poetki o imieniu Rose. Przedstawił nas sobie w ten sposób: „Rose, to Lily, Lily, poznaj Rose. Nie musicie konkurować ze sobą. Zarówno róża, jak i lilia są pięknymi kwiatami”. Chuda Rose z wielkimi piersiami pachniała goździkowymi papierosami, a gdy podawała mi rękę, patrzyła na czubek mojej głowy. Martwiłam się, że pod nieobecność ojca Chet będzie się częściej pojawiał w domu. Tymczasem pojawił się inny mężczyzna, o rosyjskim imieniu. Lubiłam go, ale tylko dlatego, że miał pięknego krótkowłosego psiaka o imieniu Gorki. W domu nie mieliśmy żadnych zwierząt, odkąd trzy miesiące wcześniej zdechła Bess, moja kotka. Po przybyciu Rosjanina Chet zniknął z oczu na jakiś czas, a ja zdążyłam się poczuć choć trochę bezpiecznie. Potem w którąś sobotnią noc Chet przyszedł do mojej sypialni.

Wiedziałam, że jest sobota, bo był to wieczór bardzo ważnego przyjęcia, o którym moja matka mówiła od ponad tygodnia. „Lily, kochanie, wykąp się w sobotę, bo wiesz... przyjęcie”. „Lily, pomożesz mamie przygotować pierożki ze szpinakiem na przyjęcie, prawda? Będziesz mogła podać je gościom, tak jak lubisz”. Dziwne, że tak się przejmowała akurat tym wieczorem. Cały czas urządziła imprezy, zwykle jednak z wykładowcami i studentami z college’u. Na to przyjęcie przyjeżdżali ludzie z Nowego Jorku, by poznać Rosjanina. Ojca wciąż nie było, a matka się denerwowała, krótkie włosy sterczały jej z tyłu głowy, bo ciągle je przeczesywała palcami. Przez większość tamtej soboty trzymałam się z daleka od domu – przez las sosnowy chodziłam do swojego ulubionego miejsca, łąki ogrodzonej murkami, które otaczały teren należący do opuszczonego od dawna wiejskiego domu. Rzucalam kamieniami w drzewa, aż rozboleło mnie ramię, a potem położyłam się na jakiś czas na plecach na łagodnym trawiastym wzniesieniu pod wierzbą. Wyobrażałam sobie, że mam inną rodzinę, z nudnymi rodzicami i siedmiorgiem rodzeństwa – czterech chłopców i trzy dziewczynki.

Panował upał. Na górnej wardze czułam słoność potu i kiedy tak leżałam, obserwowałam ciemne, wzdęte chmury spiętrzone na niebie. Po pierwszym niskim grzmocie wstałam, otrzepałam trawę z nóg i wróciłam do domu.

Burza z piorunami nękała Monk's House przez ciemną godzinę. Moja matka piła dżin i wyciągała frykasy z piekarnika, opowiadając Rosjaninowi, jak doskonała jest burza – jak to nie mogłaby sobie wymarzyć lepszej muzyki na przyjęcie – chociaż widziałam, że jest zdenerwowana. Zanim zjawili się pierwsi goście, niebo znowu zrobiło się niebieskie, a jedynym śladem po burzy była czystość powietrza i miarowe kapanie z wezbranych rynien. Podawałam zakąski ludziom, których pierwszy raz widziałam na oczy, po czym wymknęłam się do swojego pokoju, zabierając sobie na kolację dwa pop-tarty.

Zjadłam je i próbowałam czytać. Wzięłam książkę ze stosu, który mama trzymała przy łóżku. Powieść nazywała się *Skaza*, napisała ją Josephine Hart i słyszałam, jak matka opowiada, że się jej nie podobała, że to śmieć udający literaturę. Przez to nabrałam ochoty, żeby ją przeczytać, ale i mnie się ostatecznie nie spodobała. Bohaterem powieści był Anglik, jak mój ojciec; uprawiał seks z narzeczoną swojego syna. Nic mi się w niej nie podobało. Podałam się i wyciągnęłam ze swojej półki *Nancy Drew – dziewczynę detektywa*. Tom dziesiąty: *Hasło do Larkspur Lane*. Wiedziałam, że jestem za duża na Nancy Drew, ale to była zdecydowanie moja ulubiona lektura. Zasnęłam nad książką.

Obudziłam się, słysząc, że otwierają się drzwi do mojego pokoju. Z korytarza wpadło światło, z dołu dobiegała głośna muzyka rockowa. Leżałam skulona na boku, twarzą do wyjścia, z cienkim prześcieradłem podciągniętym do pasa. Leciutko uchyliłam powieki i zobaczyłam, że w progu stoi Chet. Źródło światła miał za plecami, ale łatwo było go rozpoznać dzięki brodzie i okularom w ciemnych oprawkach, w których odbił się żółty blask z korytarza. Chet chwiał się lekko jak drzewo na silnym wietrze. Ani drgnęłam, w nadziei, że sobie pójdzie. W nadziei, że to nie mnie szuka, chociaż wiedziałam, że mnie. Przyszło mi do głowy, żeby krzyczeć albo rzucić się do ucieczki, ale w całym domu miarowo dudniły basy i perkusja, więc pewnie nikt by mnie nie usłyszał. A wtedy Chet na pewno by mnie zabił. Opuściłam więc powieki, łudząc się, że odejdzie, i tak leżąc, słyszałam, jak wchodzi do mojego pokoju i jak cicho zamyka za sobą drzwi.

Postanowiłam nie otwierać oczu i udawać, że śpię. Serce łomotało mi w piersi niczym skacząca fasolka, ale oddychałam równo. Wdech nosem, wydech ustami.

Słyszałam, jak Chet stawia kilka kroków do przodu. Wiedziałam, że stoi teraz

nade mną. Słyszałam jego oddech, nierówny i wilgotny, i czułam jego zapach. Owocowy, stęchły, zmieszany z odorem papierosów i alkoholu.

– Lily – powiedział głośnym szeptem.

Nie poruszyłam się.

Nachylił się nizej. Znowu wypowiedział moje imię, tym razem odrobinę ciszej.

Udawałam, że jestem pogrążona w głębokim śnie i że nic nie słyszę. Mocniej przyciągnęłam kolana do ciała, poruszając się tak, jak porusza się człowiek przez sen. Wiedziałam, co Chet robi w moim pokoju, i wiedziałam, po co przyszedł. Chciał uprawiać seks. Wedle mojej wiedzy jednak nie mógł tego zrobić ze mną, jeśli śpię, więc zamierzałam się nie budzić, cokolwiek zrobi.

Usłyszałam trzask jego kolan i szelest dżinsów, a potem poczułam kwaśny, piwny odór oddechu. Przykucnął przy mnie. Piosenka na dole – ze swoimi dudniącymi basami – skończyła się i zaczęła następna, brzmiąca tak samo. Usłyszałam dźwięk powoli rozpinającego się rozporoka, po jednym ząbku, metaliczne pyknięcia, a potem rytmiczny dźwięk, jakby ręki poruszającej się szybko tam i z powrotem po swetrze. Robił to sobie, a nie mnie. Mój plan skutkował. Dźwięk przyspieszył i stał się głośniejszy, Chet jeszcze kilka razy wypowiedział moje imię cichym, chrapliwym szeptem. Myślałam, że mnie nie dotknie, ale poczułam, jak odrobinę porusza się powietrze przed moją klatką piersiową, a potem palec przesuwają się szorstko po tkaninie piżamy na moich piersiach. W pokoju było ciepło, ale dostałam gęsiej skórki. Ze wszystkich sił starałam się nie podnieść powiek. Chet przycisnął palce do mojej klatki piersiowej, jego ostre paznokcie wbiły się w moje ciało, a potem wydał dziwny dźwięk, trochę jakby stęknął, a trochę jakby wciągnął powietrze, i zabrał rękę z mojego sutka. Usłyszałam jeszcze, jak zapina rozporok i szybko wychodzi z pokoju. Uderzył głucho o framugę, po czym zamknął za sobą drzwi, nie przejmując się już hałasem.

Jeszcze przez minutę leżałam skulona, a potem wstałam z łóżka, wzięłam swoje krzesło od biurka i próbowałam wcisnąć je pod gałkę u drzwi. Tak robiła Nancy Drew. Krzesło nie do końca pasowało – okazało się za niskie – ale było lepsze niż nic. Gdyby Chet wrócił, przynajmniej trudno by mu było otworzyć drzwi, a krzesło by się przewróciło i narobiło hałasu.

Choć sądziłam, że już tej nocy nie zmrużę oka, zasnęłam, a gdy nastał ranek, leżałam w łóżku, zastanawiając się, co powinnam zrobić.

Najbardziej się bałam, że jeśli powiem mamie, co się wydarzyło, ona zdecyduje,

że powinnam uprawiać seks z Chetem. Albo się wścieknie, że wpuściłam go do pokoju, albo że pozwoliłam mu się oglądać w basenie. Wiedziałam, że w tej sprawie sama muszę się o siebie zatroszczyć.

I wiedziałam, jak to zrobić.

Dochodziła północ, stałem na schodkach przed wejściem do kamienicy należącej do Mirandy i do mnie, tylne światła taksówki oddalały się ulicą, a ja próbowałem sobie przypomnieć, gdzie schowałem klucze do domu, gdy tydzień temu wyjeżdżałem do Londynu.

Właśnie rozpinałem zewnętrzną kieszeń torby podręcznej, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie. Miranda akurat ziewała. Miała na sobie krótką koszulkę nocną i wełniane skarpety.

– Jak tam Londyn? – spytała, ucałowawszy mnie w usta. Oddech miała trochę kwaśny, przyszło mi do głowy, że pewnie zasnęła przed telewizorem.

– Mokry.

– Dochodowy?

– Tak. Mokry i dochodowy. – Zamknąłem za sobą drzwi i rzuciłem bagaż na drewnianą podłogę. W domu unosił się zapach tajskiego jedzenia na wynos. – Nie sądziłem, że cię tu zastanę – powiedziałem. – Myślałem, że jesteś w Maine.

– Chciałam cię zobaczyć, Teddy. Minął cały tydzień! Jesteś pijany?

– Lot był opóźniony, wypłem kilka martini. Śmierdę?

– Tak. Umyj zęby i chodź do łóżka. Jestem wykończona.

Patrzyłem, jak wspina się po schodach na piętro w drodze do naszej sypialni, patrzyłem, jak naprężają się i rozluźniają mięśnie jej szczupłych łydek, jak koszula nocna kołysze się do rytmu jej bioder, a potem wyobraziłem sobie, jak Brad Daggett pochyla ją nad stolarskim stołem, jak zadziera jej spódnice...

Zszedłem do sutereny, gdzie urządziliśmy kuchnię i jadalnię. W lodówce znalazłem pojemnik krewetek w czerwonym curry i zjadłem je na zimno, siedząc przy naszej wyspie *à la* stół rzeźnicki.

Głowa mnie rozboleła, chciało mi się pić. Uświadomiłem sobie, że chociaż się nie kładłem, mam już kaca po tym całym dżinie wypitym na lotnisku, a potem w samolocie.

Ruda z baru również leciała klasą biznes, miała miejsce po drugiej stronie



przejścia, rząd za mną. Pomimo tego rozdzielenia na pokładzie kontynuowaliśmy rozmowę, chociaż zawiesiliśmy temat niewierności mojej żony. Starsza pani zajmująca miejsce obok mnie przy oknie zauważyła, że rozmawiamy.

– Może żona by się przesiadła do pana? – zaproponowała.

– Dziękuję, bardzo chętnie – odrzekłem.

Gdy ruda już usiadła i gdy zamówiłem dżin z tonikiem u stewardesy, poprosiłem, by powtórzyła, jak się nazywa.

– Lily.

– A dalej?

– Powiem, ale najpierw zagrajmy.

– Dobra.

– W bardzo łatwą grę. Ponieważ siedzimy w samolocie, czeka nas długi lot i nie zamierzamy już się spotykać, powiedzmy sobie absolutną prawdę. Na każdy temat.

– Ty nie chcesz mi podać nawet nazwiska – wypomniałem jej.

Roześmiała się.

– To prawda. Ale właśnie dzięki temu możemy zagrać zgodnie z tymi zasadami. Gdybyśmy znali się nawzajem, ta gra by nie miała sensu.

– Daj mi przykład.

– Dobra. Nienawidzę dżinu. Zamówiłam martini, bo stało przed tobą i wyglądało wyrafinowanie.

– Naprawdę?

– Bez osądzania – zastrzegła. – Twoja kolej.

– Dobra. – Zastanawiałem się chwilę, po czym powiedziałem: – Uwielbiam dżin tak bardzo, że czasami się boję, że jestem alkoholikiem. Najchętniej piłbym ze sześć martini co wieczór.

– To dopiero początek. Niewykluczone, że masz problem z alkoholem. Zdradza cię żona. A ty? Zdradziłeś ją kiedyś?

– Nie. Zdarzało mi się... Jak to powiedział Jimmy Carter? Zdarzało mi się zdradzać sercem, oczywiście. Na przykład już sobie wyobraziłem, że uprawiam seks z tobą.

– Serio? – Podniosła brwi, najwyraźniej trochę wstrząśnięta.

– Absolutna prawda, pamiętasz? Nie dziw się. Większość mężczyzn już pewnie po pięciu minutach znajomości wyobraża sobie, że robi z tobą różne odrażające

rzeczy.

– Ty to mówisz na poważnie?

– Owszem.

– Jak odrażające?

– Naprawdę nie chcesz wiedzieć.

– Może chcę – odparła i przysunęła się do mnie na fotelu. Upiłem łyk dżinu, lód uderzył mi o zęby. – To interesujące. Ja sobie po prostu nie wyobrażam, że poznaję kogoś i od razu wiem, że chcę z nim uprawiać seks.

– To niezupełnie tak. Chodzi o to, że to pierwotna reakcja w chwili, gdy uruchamia się twoja wyobraźnia. Na przykład kiedy staliśmy w kolejce do boardingu. Spojrzałem na ciebie i wyobraziłem sobie, że jesteś nago. Kobietom to się nie zdarza?

– Że nagle sobie wyobrażamy seks z mężczyzną? Nie, niezupełnie. Z kobietami jest inaczej. Raczej się zastanawiamy, czy taki nowo poznany mężczyzna chce uprawiać seks z nami.

Roześmiałem się.

– No, chce. Takie założenie możesz przyjąć zawsze. Ale wierz mi, nie chcesz drażnić tego tematu.

– Widzisz, jaka ta gra jest fajna? A teraz może mi powiesz coś więcej o tym, jak chcesz zabić swoją żonę.

– Ha! Nie wiem, czy mówiłem o tym rzeczywiście poważnie.

– Naprawdę? Bo ja odniosłam wręcz przeciwne wrażenie...

– Przyznaję, że jak ich zobaczyłem razem w naszym domu, wydawało mi się, że gdybym miał przy sobie broń, bez wahania zastrzeliłbym oboje przez okno.

– A więc chodzi ci po głowie, żeby ją zabić – zauważyła.

Silniki samolotu zaczęły pracować, szykując się do startu. Zapięliśmy pasy, a ja wypilem długi łyk dżinu. Zawsze się denerwowałem w czasie lotów.

– Słuchaj – mówiła dalej Lily – nie chcę doprowadzić do sytuacji, że powiesz coś, czego nie chcesz powiedzieć. Kieruje mną wyłącznie ciekawość. To też element tej gry. Absolutna prawda.

– A więc ty zacznij. Jedyne, co mi zdradziłaś o sobie, to że nie lubisz dżinu.

– No dobra. – Zastanawiała się chwilę. – Szczerze mówiąc, moim zdaniem morderstwo nie jest takim złem, jak ludzie to przedstawiają. Że czasem warto



zabić. Wszyscy umieramy. Co to zmienia, że parę zgniłych jabłek zniknie ze świata trochę wcześniej, niż przewidział to boski plan? I na przykład twoja żona chyba zasługuje na śmierć.

Szum silników przeszedł w jęk, kapitan nakazał personelowi pokładowemu zająć miejsca. Przez chwilę cieszyłem się, że nie muszę od razu udzielać sąsiadce odpowiedzi. Jej słowa były zgodne z natrętnymi myślami nękającymi mnie od tygodnia, odkąd fantazjowałem, że zabiję żonę. Mówiłem sobie, że zabijając Mirandę, wyświadczylbym światu przysługę, i do tego wszystkiego zjawia się ta kobieta i sugeruje, że mam moralne prawo postąpić zgodnie ze swoim pragnieniem. Oczywiście jej słowa mną wstrząsnęły, ale byłem też w takim stanie upojenia – dżin szalał w moim ciele – gdy człowiek się zastanawia, po co w ogóle ludzkości trzeźwość. Czułem, że trzeźwo myślę, a zarazem nie mam zahamowań i gdybyśmy znajdowali się w ustronniejszym miejscu, bez wahania wziąłbym pewnie Lily w ramiona, by ją pocałować. Tymczasem gdy już samolot wzbił się w powietrze, dalej mówiłem:

– Przyznam, że myśl o zabiciu żony jest dla mnie pociągająca. Mamy umowę przedślubną, więc Miranda nie dostanie połowy wszystkiego, ale dostanie dużo, tyle, żeby do końca życia nie martwić się o pieniądze. I nie ma w umowie klauzuli o niewierności. Mógłbym wziąć adwokata, żeby on zatrudnił detektywa, i walczyć, ale to by wiele kosztowało. Koniec końców straciłbym dużo czasu i pieniędzy, a do tego byłbym upokorzony.

Gdyby przyszła do mnie i powiedziała mi o romansie, nawet gdyby powiedziała, że zakochała się w Daggetcie i chce odejść – zgodziłbym się na rozwód. Znienawidziłbym ją, ale poradziłbym sobie z tym. Nie mogę sobie natomiast poradzić... nie mogę odpuścić tego, jak ona i Brad się zachowywali tamtego dnia, gdy widziałem ich, jak się pieprzą w moim domu. Rozmawiałem z nimi wcześniej, byli tacy spokojni i przekonujący. Miranda tak gładko kłamała. Nie wiem, kiedy się tego nauczyła. Nagle jednak zacząłem się zastanawiać nad tym, sumować wszystko, co o niej wiem, różne sposoby zachowania w obecności różnych osób, i zdałem sobie sprawę, że ona taka właśnie jest: płytka, fałszywa kłamczucha. Niewykluczone nawet, że jest socjopatką. Nie wiem, jakim cudem nie zauważyłem tego wcześniej.

– Wyobrażam sobie, że zachowywała się tak, jak jej zdaniem oczekiwałeś. Jak ją poznałeś?

Opowiedziałem Lily, jak poznaliśmy się z Mirandą na parapetowie u wspólnego

znajomego w New Essex w pewien letni wieczór. Od razu rzuciła mi się w oczy. Pozostali goście nosili zapięte koszule lub letnie sukienki, ale ona miała krótkie spodenki z dzinsów obciętych tak wysoko, że spod poszarpanych krawędzi zwisały białe worki kieszeni, oraz bezrękawnik z tarczą strzelniczą Jaspera Johnsa z przodu. W ręku trzymała puszkę piwa pabst blue ribbon i rozmawiała z Chadem Pavonem, moim kolegą z college'u, właścicielem opijanego domu. Miranda właśnie się śmiała, odrzucając głowę do tyłu. Od razu przyszły mi na myśl dwie rzeczy: że jest najseksowniejszą kobietą, jaką widziałem na oczy, i że Chad Pavone nigdy w życiu nie powiedział nic zabawnego, więc z czego ona się śmieje? Szybko odwróciłem wzrok od tej dwójki, szukając w tłumie kogoś znajomego. Prawdę mówiąc, na widok Mirandy człowiek doznawał wstrząsu, że takie kobiety w ogóle istnieją poza nieprzyzwoitymi gazetkami i filmami hollywoodzkimi i zaraz sobie uświadamiał, że ona najpewniej nie przyszła tu sama.

Od żony Chada dowiedziałem się, że nazywa się Miranda Hobart. Przez rok pilnowała domu w New Essex. Była jakąś artystką i znalazła pracę w kasie biletowej miejscowego teatru letniego.

– Jest sama? – spytałem.

– Nie uwierzysz, ale tak. Powinieneś z nią pogadać.

– Nie sądzę, żebym był w jej typie.

– Dopóki nie spytasz, nie dowiesz się, jak jest naprawdę.

Rzeczywiście, ostatecznie pogadaliśmy, ale to Miranda do mnie podeszła. Impreza przeciągnęła się do późna i siedziałem sam na trawie na skarpce za domem Chada i Sherry. Pomiędzy dachami dostrzegłem purpurowy połysk oceanu oświetlany od czasu do czasu snopem światła z latarni morskiej. Miranda usiadła obok mnie.

– Słyszałam, że jesteś bardzo bogaty – zagaiła głębokim głosem, bez akcentu, nieco bełkotliwie. – Wszyscy o tym mówią.

Niedawno zaaranżowałem transakcję pomiędzy niewielką firmą, która opracowała program do ładowania obrazków, a wielkim portalem społecznościowym. Wynegocjowana suma nawet mnie wydawała się z lekka absurdalna.

– Owszem – odparłem.

– Tak do twojej wiadomości: nie pójdę z tobą do łóżka tylko dlatego, że jesteś bogaty. – Uśmiechała się wyzywająco.

– Dobrze wiedzieć. – Sam słyszałem, jak nieporadnie brzmią moje słowa. Linia dachów przechyliła się odrobinę. – Ale założę się, że za mnie wyjdiesz.

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się gardłowo. Taką właśnie ujrzałem ją po raz pierwszy, śmiejącą się z czegoś, co powiedział Chad, ale z bliska ten śmiech nie wydawał się nieszczerzy. Przyglądałem się linii jej szczęki, wyobrażałem sobie, jak by to było dotknąć ustami jej miękkiej szyi.

– Pewnie, że za ciebie wyjdę – powiedziała. – Prosisz mnie o rękę?

– Czemu nie...

– Więc kiedy ślub?

– Może w przyszły weekend? Chyba nie powinniśmy się spieszyć w takiej sprawie.

– Rzeczywiście. To poważne zobowiązanie.

– Tak z ciekawości... – dodałem – wiem, co ja wnoszę do tego małżeństwa, ale co dokładnie wnosisz ty? Umiesz gotować?

– Nie umiem. Nie umiem szyć. Umiem odkurzać. Na pewno chcesz mnie poślubić?

– Będę zaszczycony.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę, a potem się pocałowaliśmy na tamtym trawniku, niezdarnie, stukając zębami o zęby i zderzając się podbródkami. Znowu roześmiała się głośno, a ja jej powiedziałem, że ślub jest odwołany.

Rzeczywiście się jednak pobraliśmy. Nie po tygodniu, ale po roku.

– Myślisz, że od samego początku mnie oszukiwała? – spytałem Lily. Samolot już wystartował i znajdowaliśmy się w tej osobliwej bańce znanej jako podróż powietrzna, pomiędzy państwami, przyspieszając do potwornej prędkości w lodowatych przestworzach, ukołysani sztucznym powietrzem, miękkimi fotelami i miarowym pomrukiem maszynierii.

– Niewykluczone.

– Ale jak mnie wtedy zaczepiła... jak powiedziała, że jestem bogaty, od razu na początku. Wydawało się, że to dla niej żart, że w życiu by tego nie zrobiła, gdyby polowała na męża.

– Odwrócona psychologia. Jeśli walnie o tym prosto z mostu, odsunie od siebie podejrzenia.

Milczałem, zastanawiając się nad jej słowami.

– Ej – podjęła po chwili. – To, że cię wykorzystała, nie znaczy, że nic do ciebie nie czuła, że nie mieliście też dobrych chwil.

– Owszem, mieliśmy dobre chwile. A teraz ona ma je z kimś innym.

– Co Brad jej daje, jak sądzisz?

– Co masz na myśli?

– Gdzie jest haczyk? Ryzykuje małżeństwo. Nawet jeśli dostanie połowę, prawdopodobnie nie dostanie swojego wymarzonego domu na plaży, który właśnie buduje. Romans z Bradem może zniweczyć jej plan.

– Dużo się nad tym zastanawiałem. Z początku sądziłem, że jest w nim zakochana, ale teraz myślę, że w ogóle nikogo nie kocha, że jest znudzona. Najwyraźniej mnie skreśliła, nadając się najwyżej na źródło przychodów. Nie zamierza się zmieniać, a jest jeszcze na tyle młoda i piękna, by zranić mnóstwo ludzi. Może naprawdę powinienem ją zabić, choćby po to, by usunąć ją z tego świata.

Odwróciłem się do swojej sąsiadki, ale nie spojrzałem jej w oczy. Trzymała ręce złożone na kolanach, na odsłoniętej części ramion widziałem gęsią skórę. To samolot przyprawiał ją o dreszcze czy ja?

– Rzeczywiście wyświadczyłbyś światu przysługę – powiedziała głosem na tyle cichym, że musiałem się do niej odrobinę nachylić. – Naprawdę tak uważam. Jak już mówiłam, każdy kiedyś umrze. Gdybyś zabił swoją żonę, przyspieszyłbyś tylko bieg wydarzeń. I tak czeka ją śmierć. A ocaliłbyś przed nią innych ludzi. Ona jest zła. Przez nią świat staje się gorszy. A to, co zrobiła tobie, jest gorsze niż śmierć. Wszyscy umierają, ale nie każdy musi patrzeć, jak jego ukochana uprawia seks z inną osobą. To ona pierwsza zadała cios.

W kręgu żółtości z lampki do czytania widziałem różnobarwne błyski w bladezielonych oczach sąsiadki. Zamrugwała delikatnymi powiekami pokrytymi siecią różowych żyłek. Bliskość naszych twarzy wydawała się bardziej intymna niż seks, a nagły kontakt wzrokowy zaskoczył mnie równie mocno, jak gdyby położyła dłoń na moim kroczu.

– Jak miałbym to zrobić? – spytałem i poczułem, jak na moim ciele tworzy się gęsia skórka.

– W taki sposób, żeby cię nie złapano.

Roześmiałem się i zakłęcie przyszło.

– Tylko tyle?

– Tylko tyle.

– Życzy pan sobie jeszcze jednego drinka? – Stewardesa, wysoka, wąska w biodrach brunetka z delikatnym różem na policzkach wyciągała rękę po moją szklanę.

Chciałem, ale obrócenie się w jej stronę wywołało taką falę zawrotów głowy, że odmówiłem, prosząc natomiast o wodę. Gdy znowu spojrzałem na swoją towarzyszkę, ziewała, przeciągając się tak, że opuszkami palców dotykała fotela przed sobą.

– Jesteś zmęczona – stwierdziłem.

– Trochę. Ale rozmawiajmy. Nigdy w życiu nie odbyłam w samolocie tak ciekawej rozmowy.

Zwątpiłem. Dla niej to była tylko ciekawa rozmowa? Niemal słyszałem, jak mówi nazajutrz do przyjaciółki: „Nie uwierzysz, jakiego faceta poznałam wczoraj na lotnisku... Świr opowiedział mi dokładnie, jak zamierza zamordować żonę”. Zupełnie jakby czytała w moich myślach, dotknęła mojego ramienia.

– Przepraszam – powiedziała. – To zabrzmiało lekceważąco. Traktuję to poważnie, w każdym razie na tyle poważnie, na ile ty byś chciał. Pamiętaj, że gramy w prawdę i nie mam żadnych moralnych oporów na myśl, że zabijasz żonę. Przedstawiła ci swój fałszywy obraz. Wykorzystała cię, poślubiła. Korzysta z pieniędzy, które zarobiłeś, a teraz zdradza cię z mężczyzną, który też korzysta z twoich pieniędzy. Na mój rozum cokolwiek ją spotka, na pewno zasłużenie.

– Jezu. Ty nie żartujesz.

– Nie. Ale kim ja jestem? Nie znasz mnie, po prostu siedzę obok ciebie w samolocie. Musisz sam zdecydować. Pomiędzy pragnieniem zabicia żony a zabiciem żony jest ogromna różnica, a jeszcze większa różnica jest pomiędzy zabiciem kogokolwiek a uniknięciem za to kary.

– Przemawia przez ciebie doświadczenie?

– Tu się powołam na piątą poprawkę. – Ponownie ziewnęła. – Chyba się teraz zdrzemnę. Jeśli nie masz nic przeciwko. A ty dalej myśl o swojej żonie.

Odchyliła oparcie i zamknęła oczy. Zastanawiałem się, czy też nie zasnąć, ale kotłowało mi się w głowie. Naprawdę wcześniej rozważałem realną możliwość zabicia żony, ale teraz wyraziłem to na głos. W dodatku powiedziałem o tym komuś, kto najwyraźniej uważał, że to dobry pomysł. Czy ta kobieta była prawdziwa? Odwróciłem się i spojrzałem na nią. Już oddychała głęboko przez nos.



Przyglądałem się jej profilowi, delikatnemu nosowi z fałdką na czubku, zamkniętym ustom. Górna warga tworzyła leciutki łuk nad dolną. Długie, lekko falujące włosy miała odgarnięte za niewielkie ucho bez dziurki na kolczyk. Najciemniejsze piegi znajdowały się na grzbiecie nosa, ale gdy się przyjrzałem uważniej, dostrzegłem, że niemal na całej twarzy ma brązowe punkciki, galaktykę ledwie zauważalnych znaczków. Nagle zaczerpnęła głęboko powietrza, drgnęła i lekko przysunęła się ku mnie. Odwróciłem się, gdy jej głowa spoczęła na moim ramieniu.

Zostaliśmy w tej pozycji na jakiś czas, co najmniej przez godzinę. Rozboliło mnie ramię, którym nie chciałem poruszyć. Potem zdrętwiało tak, jakby w ogóle go nie było. Zamówiłem jeszcze jeden dżin z tonikiem i zastanawiałem się nad tym, co ona mówiła o morderstwie. To miało sens. Dlaczego odebranie życia uważać za coś tak strasznego? Za chwilę na tej planecie znajdą się zupełnie nowi ludzie, a każdy, kto na niej żyje, umrze, niektórzy po długich męczarniach, inni szybko, jak za pstryknięciem przełącznika. Prawdziwym powodem, dla którego morderstwo postrzegano jako wielki grzech, byli ludzie, którzy zostawali przy życiu. Ukochani. Ale jeśli ktoś nie był tak naprawdę kochany? Miranda miała rodzinę i przyjaciół, lecz w ciągu trzech lat, odkąd się pobraliśmy, zdążyłem się zorientować, że oni wszyscy doskonale wiedzą, jaka ona jest. Była płytką wyzyskiwaczką, ochoczo wykorzystującą swój wygląd, wszystko dostawała na talerzu. Ludzie po niej zapłaczą, ale trudno było sobie wyobrazić, że komuś naprawdę będzie jej brakowało.

Samolot zaczął się odrobinę wznosić i opadać, a pilot głębokim amerykańskim głosem oznajmił przez głośniki:

– Proszę państwa, mamy lekkie turbulencje. Proszę wrócić na miejsca, zapiąć pasy i pozostać tak, dopóki nie pokonamy tego trudnego odcinka.

Dopiłem wodę w chwili, gdy samolot opadł nagle jak samochód jadący za szybko przez szczyt wzniesienia. Kobieta siedząca za mną wydała stłumiony okrzyk, a moja nowa współpracowniczka poderwała się i spojrzała na mnie zielonymi oczyma. Nie wiem, czy bardziej zaskoczył ją gwałtowny ruch samolotu, czy jej pozycja – tuliła się do mojego ramienia.

– To tylko turbulencje – powiedziałem, chociaż mój żołądek, który zachybotał się z pierwszym spadkiem samolotu, zacisnął się ze strachu.

– Och. – Wyprostowała się, dłońmi przecierając oczy. – Miałam sen.

– O czym?

– Już nie wiem.

Samolotem szarpnęło jeszcze kilka razy, po czym wszystko się zaczęło uspokajać.

– Myślałem o tym, o czym rozmawialiśmy – powiedziałem.

– I?

Rok przed przybyciem Cheta, gdy moja piękna ruda kotka jeszcze żyła, znalazłam ją pewnego ranka przypartą do ogrodzenia warzywnika przez wielkiego dzikiego kota o splątanej czarnej sierści. Bess syczała, sierść się jej zjeżyła, ale najwyraźniej była w odwrocie. Patrzyłam, jak dziki kocur wskakuje jej na grzbiet i wbija w nią pazury. Wiem, że koty tak naprawdę nie krzyczą, ale wyłącznie w ten sposób mogę opisać dźwięk, który wydała Bess. Niemal ludzki krzyk przerażenia. Rzuciłam się do przodu, klaszcząc w dłonie i dzikus uciekł. Zabrałam kotkę do domu i przeszukałam jej futerko, czy nie ma krwi. Nie krwawiła, ale wiedziałam, że straszny kocur może wrócić.

– Trzymaj Bess w domu – powiedziała moja matka.

Próbowałam, ale kotka zawodziła przy drzwiach. W tamtym semestrze ojciec gościł w naszym domu studentów ze swojego seminarium. Przyjeżdżali na wtorkowe i czwartkowe wieczory, otwierali i zamykali drzwi, by wyjść na schodki zapalić, i Bess mogła się wymknąć bez trudu.

Była wiosna, robiło się ciepło, spałam przy uchylonym oknie. Pewnego ranka, tuż po pierwszym brzasku, usłyszałam przerażające i dzikie wycie Bess dobiegające z zewnątrz. Włożyłam tenisówki, pomknęłam na dół i dalej, tylnym wyjściem do ogrodu. W szarym porannym świetle zobaczyłam ich od razu: Bess znowu była przyparta do ogrodzenia, a straszny czarny przybłęda, przykucnięty, sposobił się do ataku. Oboje zamarli w straszliwym momencie niczym eksponaty w Muzeum Historii Naturalnej. Klaskałam, krzyczałam, a dzikus tylko odwrócił brzydką zmierzwioną głowę, spojrzął na mnie z całkowitą obojętnością i z powrotem obrócił się do Bess. Zrozumiałam od razu, że zabije Bess przy pierwszej okazji, może nie tego ranka, ale któregoś innego, i że w żaden sposób nie zdołam temu zapobiec.

Na skraju niedokończonego patio był stos kamieni brukowych. Leżały tam tak długo, że niektóre porosły mchem. Wzięłam do ręki najcięższy, jaki zdołałam udźwignąć; miał ostre krawędzie i był śliski od rosy. Bezszelestnie, szybko podeszłam do kocura i stanęłam za nim. Nie musiałam być cicho. On się mnie nie



bał, skupiony na terroryzowaniu Bess. Niewiele myśląc, podniosłam kamień wysoko nad głowę i cisnęłam w niego z całej siły. Odwrócił łeb w ostatniej chwili, wydał piskliwy dźwięk, gdy kamień walnął go w czaszkę, a potem całym swoim ciężarem zaległ na jego ciele. Bess się zerwała i śmignęła przez podwórko. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby biegła tak szybko. Ciało kocura zadygotało i znieruchomiało. Odwróciłam się w stronę domu, spodziewając się ujrzeć, że zapala się światło w sypialni, gdy dom obudzi się na odgłos mordy, ale nie słyszałam w zasadzie żadnego dźwięku.

Łatwo poszło.

Drzwi do piwnicy były otwarte. Pokonałam niskie, śliskie od liści stopnie i za progiem po omacku znalazłam jedną z szufli do odgarniania śniegu opartą o ścianę. Krańcem plastikowego szpadła zsunęłam kamień z kota, po czym wsunęłam łopatę pod bezwładne ciało. Nie widziałam żadnych uszkodzeń na zmierzwionej głowie. Przestraszyłam się, że kocur wcale nie zdechł, tylko stracił przytomność i poderwie się lada chwila, podejdzie do mnie, sycząc, ogarnięty żądzą zemsty. Ale gdy go podniosłam, oklapł jak truchło i nagle dotarł do mnie okropny zapach, ślad odchodów, które wytrysnęły z niego w chwili śmierci. Spodziewałam się krwi, ale nie gówna. Ten odór wywołał we mnie mdłości, mimo to cieszyłam się, że zabiłam odrażającego kocura.

Okazał się zadziwiająco lekki, dzięki sztywnej i nastroszonej sierści sprawiał bowiem wrażenie większego, niż był w rzeczywistości, ale dla mnie i tak stanowił znaczny ciężar. Zdołałam przenieść kota jakieś trzy metry, na skraj lasu, i rzuciłam go na kupę przegniłych liści. Przez jakieś pięć minut wykopywałam ziemię i rzucałam ją na wierzch ciała, aż je zakryła. Wystarczy. Zresztą nikt z mojej rodziny nie chodził do lasu.

Wróciłam do łóżka, dygocząc z zimna. Wbrew obawom zasnęłam na powrót, i to bez trudu.

Przez kilka następnych dni sprawdzałam ciało kocura. Leżało tam spokojnie w otoczeniu roju much, aż któregoś ranka po prostu zniknęło. Domyśliłam się, że musiał je zabrać jakiś kojot czy lis.

Bess wróciła do swoich kocich nawyków, wychodziła z domu, kiedy chciała, a czasami, gdy ocierała się o moje nogi albo mruczała na kolanach, wyobrażałam sobie, że dziękuje mi za to, co zrobiłam. Odzyskała swoje królestwo i światu nic nie dolegało.

Po zdarzeniu z udziałem Cheta w noc wyjątkowego przyjęcia natychmiast sobie

przypomniałam o zajściu z dzikim kotem. Wyobraziłam sobie, że zabijam Cheta i uchodzi mi to na sucho. Decydującą sprawą wydawało się, żeby nigdy nie znaleziono ciała. A żeby tego dopilnować, musiałam się czegoś o nim dowiedzieć.

Po przyjęciu jakby zniknął na jakiś czas, nie wychodził z mieszkania nad pracownią, nie pojawiał się w domu. Pewnej nocy go zobaczyłam. Stał na trawniku z zadartą głową i wpatrywał się w okna mojej sypialni. Dopiero co wyłączyłam światło, żeby się położyć, i wtedy go dostrzegłam, jak kotysze się lekko niczym drzewo na wietrze. Obserwował mnie. Zostawiałam okno odrobinę uchylone i roletę nieco podniesioną, tak żeby do pokoju dostało się trochę powietrza. Czułam się głupia i przestraszona, pod powiekami zbierały mi się łzy, ale postanowiłam, że Chet już nie doprowadzi mnie do płaczu. Teraz wiedziałam już na pewno, że on jedynie czeka na właściwy moment, na dobrą sposobność, żeby mnie zgwałcić i zamordować. Owszem, rozważałam, by powiedzieć mamie o tym, co się stało, ale sądziłam, że stanie po jego stronie, że zastanawiałaby się, o co robię tyle hałasu. A mojego ojca wciąż nie było, bo wyjechał z Rose, poetką, z tego zaś, jak mama czasami o tym mówiła późnym wieczorem, wnioskowałam, że nie wróci. Spytałam ją o to kiedyś, gdy robiła w kuchni wielką porcję humusu.

– Tata dzwonił?

– Twój tata nie dzwonił – odrzekła, oddzielając wyraźnie słowa od siebie, dla podkreślenia efektu. – Twój tata, jak ostatnio słyszałam, zrobił z siebie głupca w Nowym Jorku, więc zapewne już niedługo znowu go tu zobaczymy. Nie martwisz się chyba, kochanie?

– Nie. Tak się tylko zastanawiałam. A Chet? Wyjechał?

– Chet? Nie, jest ciągle. Dlaczego o niego pytasz?

– Po prostu go ostatnio nie widuję. Sądziłam, że może się wyprowadził z tamtego mieszkania i znowu mogę tam sobie chodzić. – Uwielbiałam mieszkanko nad pracownią matki, z bielonymi ścianami i wielkimi oknami. Stał tam stary czerwony fotel sako, który kiedyś znajdował się w naszym domu. Miał niewielkie rozdarcie wzdłuż winylowego siedziska i powoli gubił granulat wypełnienia, ale i tak mi go brakowało. Kiedy mieszkanko stało puste, zaszywałam się tam z książkami i czytałam.

– Cały czas możesz tam chodzić. Chet nie gryzie.

– On ma samochód?

– Czy ma samochód? Mój Boże, nie sądzę. W tej chwili chyba nie ma nawet gdzie

mieszkać, jeśli nie liczyć naszego domu.

– Jak się tu dostał, skoro nie ma samochodu?

Roześmiała się, po czym oblizwała palce z humusu.

– Moja burżuazyjna córeczka. Kochanie, nie wszyscy mają samochody. Chet przyjechał z miasta pociągiem. Dlaczego tak o niego wypytyujesz? Nie lubisz go?

– Nie. Jest obleśny.

– Ha! A teraz to już naprawdę mówisz jak ojciec. No ale cokolwiek myślisz, Chet jest prawdziwym artystą i wszyscy wyświadczamy światu sztuki wielką przysługę, zapewniając mu miejsce do pracy. Pamiętaj, Lily, że nie musisz być cały czas najważniejsza.

Od matki uzyskałam, co chciałam. Chet nie miał samochodu i przyjechał do nas pociągiem, co oznaczało, że bez większego wysiłku mógł spakować swoje rzeczy i zniknąć. To mi niebywale ułatwiało zadanie. Zaczęłam przygotowania, spędzając czas na łące obok starej zagrody. Zbierałam największe kamienie, jakie zdołałam udźwignąć. Wchodziłam też Chetowi w oczy, a mianowicie wyciągałam jeden ze starych leżaków na słoneczne miejsce podwórka pomiędzy domem a pracownią. Nie chciałam, żeby mnie dalej unikał, ważne bowiem było, by mi zaufał do pewnego stopnia, by zrodziła się między nami jakaś relacja. Przez pierwszych kilka dni, gdy leżałam na słońcu, czytając ze słuchawkami na uszach, Chet się nie pojawił. Parę razy wydawało mi się, że widzę jego postać za żaluzjami w przeszklonych drzwiach mieszkania, jak mi się przygląda. Ale pewnego dnia wyszedł sobie na papierosa i stał na podeście schodów w pobrudzonych farbą ogrodniczkach, bez koszuli. Zerknęłam sponad książki Agathy Christie, którą czytałam, a on kiwnął mi głową, podnosząc rękę. Odruchowo chciałam go zignorować, nie dawać mu przyjemności z reakcji, ale zmusiłam się, by podnieść rękę i też mu machnąć.

Następnego dnia rozsiadłam się na swoim leżaku i zabrałam się do czytania. Było gorąco i parno, taki dzień, kiedy człowiek budzi się spocony i bierze zimny prysznic, a gdy tylko spod niego wyjdzie, znowu zaczyna się pocić. Włożyłam zielony strój. Miałam go od dwóch lat, ale moje ciało nie rozwinęło się zbyt. Góra właściwie pasowała, za to dół był trochę ciasny, bo przybrałam w biodrach. Włożyłam szorty – o ich kupno poprosiłam wcześniej mamę. Ponieważ były uszyte z madery, mama mówiła, że wyglądam w nich jak Kennedy, ale i tak mi je kupiła. Wzięłam książkę, butelkę balsamu do opalania i udałam się na leżak stojący przodem do mieszkania Cheta. Nienawidziłam słońca, nienawidziłam upału. Miałam rude włosy i piegowatą skórę, więc jedynym efektem opalania były jeszcze

ciemniejsze piegi. Nasmarowałam się kremem, próbując sobie przypomnieć, czy wysoka liczba na opakowaniu to dobrze czy źle. Nie spuszczałam wzroku z mieszkania i dość szybko zobaczyłam Cheta zerkającego przez okno. Widziałam, jak pomarańczowy koniec jego papierosa rozjaśnia się i przygasa. Minęło piętnaście minut, a ja słuchałam muzyki z *Les Misérables* i czytałam *Uśpione morderstwo*, kiedy Chet wyłonił się z kubkiem kawy, zszedł po schodkach pracowni i swobodnym krokiem ruszył w stronę mojego leżaka.

– Cześć, Lily – rzekł, zatrzymując się w odległości półtora metra. Wysoko już stojące słońce oświetlało włosy na jego nagich ramionach, tak że niemal się mienił. Sądząc po zapachu, nie kąpał się od kilku dni.

Też się przywitałam.

– Co czytasz?

Zacząłam już lekceważącym gestem podnosić książkę ku niemu, gdy przypomniałam sobie, że muszę być trochę miła, tak żeby niczego nie podejrzewał, kiedy przyjdę później do jego mieszkania.

– Agathe Christie – odparłam. – Z panną Marple.

– Super. – Siorbnął z kubka. Jak wszystkie inne rzeczy należące do Cheta, kubek był poplamiony farbą. – Wszystko w porządku u ciebie?

Wiedziałam, że chce spytać, czy wszystko w porządku z nami po wydarzeniach tamtej nocy, gdy wszedł do mojego pokoju. Chciał wiedzieć, czy mam świadomość, że tam był.

– Jasne – odparłam.

Pokiwał głową.

– Ależ tu, kurwa, gorąco.

Wzruszyłam ramionami i wróciłam do lektury. Zrobiłam już dość i nie miałam najmniejszej ochoty na dłuższą rozmowę. Udawałam, że czytam, ale czułam, jak mi się przygląda. Pot zbierał się w kałużę w miejscu, gdzie stykały się dwa trójkąty mojego bikini, a jedna kropelka zsuwała się powoli po klatce piersiowej. Postanowiłam, że nie będę jej ścierać na oczach Cheta, chociaż nieznośna wędrówka kropli powodowała, że czułam się, jakby jego oczy rozcinały mnie na pół. Jeszcze raz głośno siorbnął kawy z kubka i odszedł.

Wrócił mój ojciec. Było dużo krzyków i trochę łez. Rosjanin wyjechał i przez jakiś czas rodzice przebywali nieustannie w swoim towarzystwie, pijąc, jak to oni, na

niedokończonym patio i słuchając albumów jazzowych. Z kilku powodów cieszyłam się z powrotu ojca, między innymi dlatego, że skoro rodzice skupiali się na sobie, ja mogłam się skoncentrować na pozbywaniu się Cheta. Przygotowałam już wszystko na łące: stos kamieni rosnący z każdym dniem i linę opuszczoną w głąb starej studni. Teraz musiałam tylko wybrać idealny dzień, dzień, gdy nikt nie zauważy, jak idę przez podwórko przed domem do mieszkanka Cheta, ani nie zobaczy, jak idziemy razem do lasu. Mój wybór padł na spokojny czwartek trzy dni po powrocie ojca. Spędziłam popołudnie w swoim pokoju, czytając *Dom zbrodni* i słuchając stłumionych głosów moich rodziców oddających się piciu. Zaczęli wcześniej, wypijając na spółkę butelkę wina do lunchu, potem przeszli na patio, gdzie pili dzin i słuchali muzyki. Gdy skończyła się ostatnia płyta, nowa się nie zaczęła, po chwili zaś usłyszałam stuknięcie drzwi ich sypialni, a wreszcie śmiech. Wyrzałam z okna swojego pokoju; w nadciągającym zmierzchu długie cienie z pobliskiego lasu padały na zarośnięte podwórko. Wiedziałam, że to doskonały moment. Wtedy akurat nie było żadnych innych gości w Monk's House, a moi rodzice do rana raczej nie mieli szans wyłonić się z sypialni.

Włożyłam dzinsy, skarpety i tenisówki. Nie chciałam, żeby muchówki pogryzły mnie w kostki. Znalazłam biały bezrękawnik sprzed kilku lat. Na przodzie miał wyszytego motyla i był odrobinę za ciasny. Chciałam mieć pewność, że Chet pójdzie ze mną na łąkę. Do przedniej kieszeni wsadziłam mały scyzoryk, który dostałam od dziadka Hendersona. Nie zamierzałam go użyć, ale lepiej się czułam, gdy naciskał mi na udo. Chet był nieprzewidywalny, a nie chciałam, żeby się do mnie przystawiał, zanim dojdziemy do studni. Wzięłam też z szuflady biurka przy schodach niewielką latarkę. W lesie zawsze jest ciemno, zwłaszcza o zmierzchu.

Wyszłam przez drzwi frontowe, pokonałam drewniane schodki i asfaltowy podjazd. Przecięłam podwórko, zmartwiona nagle, że światło gaśnie za szybko. Na niebie za pracownią płaskie różowe chmury utworzyły smugi, które wyglądały jak blade maźnięcia pędzla. Mijając swój leżak, poczułam lekki zapach dymu papierosowego, podniosłam wzrok i zobaczyłam Cheta wychodzącego z podestu. Doskonale. Nie musiałam pukać do drzwi ani bać się, że wciągnie mnie do środka.

– Witaj, mała Lil – mówił trochę bełkotliwie.

Zatrzymałam się i spojrzałam na niego.

– Chet, mogę cię o coś prosić? – Chyba nigdy wcześniej nie wypowiedziałam na głos jego imienia, więc słowo to zabrzmiało dziwnie w moich ustach, jakbym zakłęła, choć przecież nie powinnam.

- Prosić? O wszystko, o co tylko chcesz, moja Julio, moja róžo pod inną nazwą<sup>[1]</sup>.
- Położył ręce na piersi. Wiem, że odgrywa tę sztukę Szekspira, ale robi to na odwrót. Julia stała na balkonie, a Romeo na dole.
- Dzięki. Możesz tu zejść?
- Niebawem do ciebie dołączę, moja Julio – powiedział i pstryknięciem palców pozbył się niedopałka, który wysokim łukiem poszybował w powietrze. Wylądował na podjeździe, sypiąc iskrami. Chet wrócił do mieszkania, a ja czekałam. Wbrew obawom w ogóle się nie denerwowałam.

Odebrawszy bagaż na Logan, wraz z Lily minąłem czekające w gotowości taksówki przy terminalu E i ruszyłem ku głównemu parkingowi. Zatrzymała mnie zaraz, gdy znaleźliśmy się sami na ciemnym parkingu. Na pokładzie pilot oznajmił, że temperatura w Bostonie wynosi trzynaście stopni Celsjusza, ale przez świszczący, rozrzucający śmieci wiatr wydawało się, że jest o wiele chłodniej.

– Spotkajmy się za tydzień – zaproponowała. – Wybierzemy miejsce. Jeśli się rozmyślę, nie przyjdę. A jeśli ty się rozmyślisz, też nie przyjdź, i wtedy będzie tak, jakby do naszej rozmowy nigdy nie doszło.

– Dobra. Gdzie byśmy się spotkali?

– Podaj nazwę miasta, w którym nikogo nie znasz – powiedziała.

Zastanawiałem się chwilę.

– Może Concord?

– Concord w Massachusetts czy Concord w New Hampshire?

– W Massachusetts.

Uzgodniliśmy, że spotkamy się w barze Concord River Inn w następną sobotę o piętnastej.

– Nie będę w szoku, jeśli się nie zjawisz – zapewniła. – Ani nie będę się denerwować.

– To tak jak ja – odparłem i podaliśmy sobie dłonie. Czuję się dziwnie oficjalnie, wymieniając uścisk ręki z kimś, kto zaproponował, że pomoże mi w zamordowaniu żony. Lily roześmiała się lekko, jakby miała podobne wrażenie. Jej dłoń wydawała się drobna w mojej, delikatna jak droga porcelana. Miałem ochotę przyciągnąć ją do siebie, ale powstrzymałem się.

Powiedziałem tylko:

– Jesteś prawdziwa?

Puściła moją rękę.

– Dowiesz się za tydzień.



W sobotę przyjechałem do Concord River Inn przed czasem. Kiedy Lily poprosiła, bym wybrał miasto, w którym nikt nie wie, kim jestem, podałem Concord, a o ile była to prawda, że nikt mnie tu nie znał, prawdą też było, że miejsce to odegrało wielką rolę w moim dzieciństwie. Dorastałem w Middleham, kilkanaście kilometrów na zachód od Concord i czterdzieści parę od Bostonu. Middleham to stara gmina rolnicza, bezkres otwartych pól i lasów gospodarczych. W latach siedemdziesiątych pojawiły się tu dwie wielkie inwestycje budowlane – ślepe ulice nazwane od drzew, które już tu nie rosły, i półhektarowe działki z domkami jak spod sztancy. Wszystko zaś w celu zakwaterowania pracowników z pobliskich zakładów Lextronics, w których pracował również mój ojciec.

Mój ojciec, Barry, skończył MIT i był programistą w czasach, gdy większość ludzi nie wiedziała co to takiego. Elaine Harris, moją matkę, poznał w Lextronics, gdzie pracowała jako recepcjonistka. Niewątpliwie była najpiękniejszą kobietą, jaką Barry w życiu widział. W ogóle bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że mój ojciec jako trzydziestoparolatek nie miał na koncie choćby randki z kobietą, ale nie wiem tego na pewno. Moja matka z kolei, wówczas dwudziestoparolatka, całe życie schodziła się i rozstawała z innym absolwentem Uniwersytetu Bostońskiego, hokeistą, który grał zawodowo przez dwa lata, zanim na skutek kontuzji kolana zakończył karierę. Powiedziała mi kiedyś, że gdy ich związek się skończył – a ona zdała sobie sprawę, że zmarnowała osiem lat życia na lekkoducha – poprzysięgła sobie, że znajdzie męża, który jest zwyczajny, nudny i solidny. I okazało się, że to Barry Severson. Chodzili ze sobą sześć miesięcy, narzeczonymi byli następne sześć, a potem wzięli ślub w trakcie skromnej ceremonii w West Hartford w Connecticut, czyli w mieście rodzinnym mojej mamy.

Powodem, dla którego Concord stało się dla mnie ważnym miejscem, było marzenie mojej matki, by się tam przeprowadzić. Na początku małżeństwa uznała, że nie cierpi odciętego od świata Middleham, i miała obsesję na punkcie tego konkretnego bogatego przedmieścia ze szczytowymi dachami, eleganckimi paniami domu i sklepikami z biżuterią artystyczną. Mój ojciec miał dość słuchania na ten temat, więc matka stroiła mnie i zabierała, a czasami również moją starszą siostrę, na lunch do Concord – często właśnie do Concord River Inn – potem zaś chodziliśmy po sklepach. Kupowała nowe stroje czy nową biżuterię, albo roquefort i pinot grigio w delikatesach z serami. Ani mojego ojca, ani mnie, wówczas chodzącego do ostatniej klasy liceum Dartford-Middleham, nie zaskoczyło, gdy Elaine odeszła od męża i wprowadziła się do wynajętego mieszkania w centrum

Concord. Mieszkała tam przez rok, zanim przeprowadziła się do Kalifornii z rozwiedzionym księgowym.

Mój ojciec, już na emeryturze, ciągle mieszka w Middleham, gdzie spędza czas na tworzeniu dioram z wojny o niepodległość. Odwiedzam go w czwartkowe wieczory. Jeśli temperatura powietrza przekracza piętnaście stopni Celsjusza, przyrządza mi stek na grillu. Jeśli nie przekracza, gotuje mi chili. Moja siostra co drugi rok przyjeżdża na Święto Dziękczynienia. Widujemy ją tylko przy tej okazji, ponieważ mieszka na Hawajach ze swoim drugim mężem i czwórką jego dzieci. Matkę widuje o wiele częściej, ponieważ ona mieszka w Kalifornii, a poza tym są z siostrą bardzo do siebie podobne. Czasami myślę, że po rozwodzie w mojej rodzinie doszło do podziału płciowo-geograficznego: mężczyźni zostali na wschodzie, kobiety pojechały na zachód.

Stukając butami w stopnie Concord River Inn, mimowolnie wspomniałem, jak w wytapetowanej jadalni siedziałem z matką nad lunchem – newburg z owoców morza – moja matka popijała koktajl pink lady, a ja pepsi z plasterkiem cytryny. Z Lily umówiliśmy się przy barze, nie w sali restauracyjnej. Niestety, zapomniałem, że w suterenie motelu działają dwa bary, jeden przytulny w kształcie litery L, od razu naprzeciwko jadalni, i drugi większy, położony na tyłach budynku. Wybrałem ten mniejszy, ponieważ był pusty i ze stołka widziałem hol, którym się szło do drugiej knajpy. Zamówiłem guinnessa i miałem zamiar sączyć go powoli. Nie chciałem się dzisiaj upijać.

W poprzednim tygodniu, od powrotu z podróży służbowej do Londynu, spędziłem dużo czasu z żoną. Miranda tryskała pomysłami na urządzenie domu w Maine. W bibliotece mieliśmy zabytkowy stolik do kart – zasłała go wycinkami z katalogów i wydrukami z internetu. Gdy pokazywała mi jedną po drugiej rzeczy, które absolutnie musieliśmy mieć, starałem się nie myśleć o niej i Bradzie Daggetcie. Zgodziłem się na wszystko: ogrzewanie podłogowe pod kafelkami we wszystkich łazienkach, wyposażenie kuchni za dwadzieścia tysięcy dolarów i basen wewnętrzny. A kiedy tak się zgadzałem, trzymałem się w garści wyłącznie dzięki świadomości, że ona umrze, i to za moją sprawą. Pamiętałem o tym nieustannie, obracając tę myśl w głowie, jakbym patrzył na brylant z każdej perspektywy, szukając skaz i rys, szukając poczucia winy czy wątpliwości. I nic takiego nie znajdowałem. Miałem tylko powracające przekonanie, że Miranda jest potworem, którego muszę zglądzić.

Wróciła do Maine w czwartek, wymusiwszy na mnie obietnicę, że dołączę do niej

na weekend. Przed wyjazdem zabrała mnie do biblioteki, aby pokazać jeszcze parę rzeczy, które chciała zamówić ze stosu katalogów. Następnie wyświetliła w telefonie zdjęcie obrazu, który jej zdaniem idealnie by pasował do jadalni.

– Metr osiemdziesiąt na dwa – powiedziała. – W sam raz na południową ścianę.

Spojrzałem na niewielkie zdjęcie. Przedstawiało portret mężczyzny o uszach zajętych płomieniami.

– To autoportret Matta Christiego – wyjaśniła. – Pewna inwestycja. Wygoogluj go, jeśli mi nie wierzysz. – Następnie podała absurdalną sumę w zdaniu zawierającym również słowo „zakup”.

– Pomyślę – odparłem.

Wykonała mały podskok, w zasadzie nie odrywając stóp od podłogi, po czym mnie pocałowała.

– Dziękuję, dziękuję! – Położyła dłoń na moim kroczu i przesunęła palcem po zamku błyskawicznym džinsów. Wbrew temu, co do niej czułem, stanął mi. – Kiedy przyjedziesz do Maine, podziękuję ci, jak należy, dobrze? – dodała cichym, niskim głosem.

Nagle ogarnęła mnie chęć, by obrócić ją, położyć na stoliku do kart, tak jak zerznął ją Brad Daggett, ale bałem się. Bałem się, że wduszę jej twarz w katalogi albo że nazwę ją zdradziecką suką. Powiedziałem więc tylko, że do Maine pewnie dotrę najwcześniej w sobotę wieczorem. Nie sprawiła wrażenia rozczarowanej.

Spakowała się na długi weekend, a ja odprowadziłem ją do garażu, gdzie trzymaliśmy samochody. Gdy już zapakowała się do mini coopera, powiedziałem:

– Mam nadzieję, że Brad nie robi ci tam żadnych kłopotów. Tyle czasu razem spędzacie.

– Co masz na myśli?

– Nie przystawia się do ciebie, prawda?

Odwróciła się z czujnym wyrazem twarzy.

– Brad? Nie, zachowuje się całkowicie profesjonalnie. A co? Jesteś zazdrosny?

Wypowiedziała ten tekst perfekcyjnie, trochę z zaskoczeniem, z zamyśleniem, a jednocześnie lekko. Gdybym nie widział ich przez lornetkę, w życiu bym nie pomyślał, że między moją żoną a moim wykonawcą coś jest na rzeczy. Przez pierwszych kilka lat sądziłem, że Miranda jest osobą, która wszystkie emocje ma wypisane na twarzy. Niezdolną do oszustwa. Jak mogłem się tak pomylić?

Usadowiła się wygodnie w fotelu kierowcy, posłała mi całusa przez okno i śmignęła samochodem przez ciasne korytarze garażu. A mnie ogarnęło poczucie pewności. Dzięki tym kilku prostym słowom – zaprzeczającym jej relacji z Bradem – pozbyłem się wszelkich wątpliwości.

Lily się spóźniła. Popijając powoli guinnessa, zdążyłem dojść do wniosku, że się nie pojawi. Poczułem dziwne połączenie ulgi i rozczarowania. Gdybym już nigdy nie zobaczył Lily, moje życie wróciłoby do normalności. Czy mogę z ręką na sercu powiedzieć, że bez jej pomocy i zachęty zabiłbym swoją żonę? Czy w ogóle zdecydowałbym się spróbować? Gdyby rzeczywiście uszło mi to na sucho, dlaczego Lily miałyby nie zgłosić się na policję z informacją, że w czasie lotu nad Atlantykiem po pijaku przyznałem się jej do zamiaru popełnienia zbrodni? Nie, gdyby Lily się nie pojawiła, zdecydowałbym się na konfrontację z Mirandą, powiedziałbym jej, że wiem o romansie, i poprosiłbym o rozwód. Później czekałyby mnie nieskończone przepychanki prawne i standardowe upokorzenia, ale przetrzymałbym to. Miranda zgarnęłaby sporą część majątku – pomimo umowy przedślubnej – ale zawsze mogłem zarobić więcej. A Brad by dostał to, na co zasłużył. Moją żonę.

Ale gdy tak siedziałem sam w Concord River Inn, teraz już pewien, że więcej nie zobaczę Lily, czułem rozczarowanie, bo w głębi duszy miałem nadzieję, że nasze spotkanie ma choć trochę romantyczny charakter. Nie potrafiłem zapomnieć obrazu jej bladej, pięknej twarzy, wciąż czułem uścisk szczupłej dłoni. Może romans z Lily byłby jedyną zemstą, jakiej mogłem się dopuścić na Mirandzie i Bradzie. Oko za oko. I nie umknęło mojej uwadze, że na tego popołudniowego drinka umówiliśmy się w barze hotelowym. Czułem obecność wszystkich pustych łóżek nad belkowanym sufitem.

Podobnie jak przez cały miniony tydzień zacząłem obsesyjnie odtwarzać w głowie nocny lot do Bostonu i nagłe pojawienie się kobiety, która chciała mi pomóc w zamordowaniu żony. Dobrze pamiętałem ten wieczór pomimo wypitego dżinu. Wręcz doskonale, zdanie po zdaniu, ale przypominało to wspomnienie odrobinę nierzeczywistego snu. Nie byłem pewien, czy ufam klarowności wszystkich swoich wspomnień, czy też może zacząłem przykładać do tego wydarzenia własne ambicje i pragnienia. Oczywiście już w domu zacząłem szukać informacji na temat Lily. Wszedłem na stronę Winslow College, znalazłem stronę tamtejszego archiwum z oszczędnymi informacjami podsumowującymi cele

i osiągnięcia absolwentów. Padały tam dwa nazwiska związane z wydziałem. Otto Lemke, archiwista, i Lily Hayward, archiwistka. Pod każdym nazwiskiem widniał numer telefonu, ale adres mejlowy mieli wspólny: archives@winslow.edu. Szukałem na stronie czegokolwiek więcej na temat Lily Hayward, ale nie znalazłem niczego, co mogłoby się z nią wiązać. Nie miała konta na Facebooku. Ani na LinkedIn. Żadnych zdjęć. To mnie nie zdziwiło. Nie sprawiała wrażenia osoby obecnej w internecie w jakikolwiek sposób. A gdyby nawet była obecna, wątpiłem, czy tą drogą zdobyłbym to, co naprawdę chciałem wiedzieć. Dlaczego obca osoba zgadza się pomóc komuś w zamordowaniu żony? Co ona z tego będzie miała?

Właśnie dopiłem piwo, gdy ją ujrzałem. Powoli szła krętym korytarzem, zaglądając w wejścia, a ja odwróciłem się na stołku, by przywołać ją gestem.

– Przyszedełś – powiedziała z wyraźnym zaskoczeniem.

– I ty przyszedłaś – odparłem. – Chodź, usiądziemy przy stoliku. Co mogę dla ciebie zamówić?

Poprosiła o kieliszek białego wina. Zamówiłem sauvignon blanc, dla siebie jeszcze jednego guinnessa i oba drinki przyniosłem do stolika w rogu, wybranego przez Lily. Wyglądała tak, jak ją zapamiętałem, tyle że długie rude włosy miała związane w prosty kok. Gdy stawiałem przed nią wino, właśnie zdejmowała szary blezer. Pod spodem nosiła beżowy kardigan, a pod nim z kolei granatową bluzkę. Policzki miała jeszcze zarumienione od chłodu.

Przez chwilę, skrępowani, tylko popijaliśmy trunki. Żadne z nas się nie odzywało.

– Zupełnie jakbyśmy przyszedli na nieudaną drugą randkę – powiedziałem wreszcie, by przełamać lody.

Roześmiała się.

– Chyba każde z nas sądziło, że to drugie się nie pojawi.

– Nic o tym nie wiem. Sądziłem, że się pojawisz.

– Pewnie ja się spodziewałam, że ty się nie pojawisz. Wymyśliłam, że nazajutrz obudziłeś się z potężnym kacem i mglistym wspomnieniem, że planowałeś zabójstwo żony.

– Rzeczywiście kaca miałem potężnego, ale pamiętam wszystko, o czym rozmawialiśmy.

– I nadal chcesz ją zabić? – rzuciła, jakby pytała, czy nadal chcę zamówić frytki. Ale w jej oczach widziałem ubawienie, a może wyzwanie. Sprawdzała mnie.

- Teraz najbardziej na świecie.
- W takim razie mogę ci pomóc. Jeśli nadal chcesz mojej pomocy.
- Dlatego tu przyszedłem.

Patrzyłem, jak Lily nieznacznie opada na oparcie krzesła, a jej oczy odrywają się ode mnie, by rozejrzeć się po lokalu. Podążyłem za jej spojrzeniem, popatrzyłem na nielakierowaną drewnianą podłogę i sufit znajdujący się na wysokości najwyżej dwóch metrów. Oprócz nas w barze gościł jeszcze jeden klient, mężczyzna w garniturze. Zajął zwolniony przeze mnie stół i pił kawę po irlandzku z bitą śmietaną.

- To miejsce jest bezpieczne? – spytałem.
- Nikt cię tu nie zna, prawda?
- Bywałem już tutaj, ale nie, nie znam nikogo w Concord.

Pomyślałem o swojej matce, która przez rok tu mieszkała. Zastanowiłem się, czy chodziła do tego baru. Czy to tu przychodziła szukać drugiego męża? Czy tutaj poznała Keitha Donaldsona, rozwodnika, który ją namówił na przeprowadzkę do Kalifornii? Nie pobrali się, ale ona nadal mieszkała w Kalifornii, teraz już z kolejnym mężczyzną. Widywałem ją najwyżej raz do roku.

- Mam wrażenie, że się denerwujesz – powiedziała Lily.
- Bo się denerwuję. Nie sądzisz, że dziwne by było, gdybym się nie denerwował?
- Denerwujesz się tym, co zamierzamy zrobić czy denerwujesz się z mojego powodu?
- Jedno i drugie. W tej chwili się zastanawiam, dlaczego tu jesteś. Jakiś głos podszeptuje mi, że pracujesz w służbach i nagrasz, jak opowiadam o planach zamordowania mojej żony.

Lily się roześmiała.

- Nie mam podsłuchu. Gdybyśmy nie znajdowali się w miejscu publicznym, dałabym ci się przeszukać. Ale gdybym nawet miała podsłuch, czy mogłabym cię aresztować za planowanie zabójstwa żony? Czy to nie byłaby prowokacja?
- Pewnie tak. Pewnie mógłbym się wyłgać, twierdząc, że chciałem cię poderwać na opowieść o zamordowaniu żony.
- To byłoby coś nowego. A chcesz?
- Co? Poderwać cię?
- Tak.

– Czy my kontynuujemy grę z samolotu? Prawda absolutna? Wówczas nie skłamię i powiem, że nie myślałem o tobie w ten sposób, ale że wszystko, co mówiłem o mojej żonie, i o tym, co czuję na temat tej sytuacji, jest prawdą. W samolocie byłem z tobą szczerzy.

– Ja też byłem szczerzy. Chcę pomóc.

– Wierzę ci – powiedziałem. – Tylko nie do końca rozumiem, co tobą powoduje. Rozumiem, co ja będę miał z realizacji naszego planu...

– Szybki rozwód – przerwała mi Lily i upiła łyk wina.

– Tak. Bardzo szybki rozwód...

– Ale zastanawiasz się, co ja będę z tego miała?

– Tak. To właśnie chciałbym wiedzieć.

– Tak sądziłam, że będziesz się nad tym zastanawiać. Nawet bym się trochę martwiła, gdybyś się nie zastanawiał. – Wpatrywała się we mnie intensywnie. – Pamiętasz, co ci mówiłam o swoich odczuciach na temat morderstwa? Że moim zdaniem to nie jest tak niemoralne, jak wszyscy myślą. Naprawdę tak uważam. Ludzie robią wielkie halo wokół nienaruszalności i świętości życia, ale przecież na tym świecie jest mnóstwo życia, a kiedy ktoś nadużywa swojej władzy albo tak jak Miranda nadużywa twojej miłości, to taki człowiek zasługuje na śmierć. Wydaje się, że to kara przesadna, ekstremalna, ale ja tego tak nie widzę. Każdy dysponuje pełnią życia, nawet jeśli ono wcześniej się kończy. Każde życie jest doświadczeniem skończonym. Znasz cytaty z T.S. Elliota?

– Nie.

– „Chwila róży i chwila cisu trwają tak samo długo”<sup>[2]</sup>. Wiem, że to nie jest usprawiedliwieniem morderstwa, ale moim zdaniem podkreśla, jak wielu ludzi sądzi, że wszystkie istoty ludzkie zasługują na długie życie, podczas gdy prawda wygląda tak, że jakiegokolwiek życie to i tak zapewne więcej, niż zasługujemy. Sądzę, że większość ludzi fetyszyzuje życie do tego stopnia, że daje się innym wykorzystywać. Przepraszam, trochę odbiegłam od tematu. Kiedy cię spotkałam na lotnisku i potem rozmawialiśmy w samolocie, postanowiłam ci opowiedzieć, jak to fantazjujesz o zabiciu żony, a ja dzięki temu mogłam ci przedstawić swoje poglądy na morderstwo. To wszystko, naprawdę. Lubię z tobą rozmawiać i jeśli rzeczywiście myślisz o zabiciu Mirandy, postaram się pomóc ci na tyle, na ile zdołam.

Patrzyłem, jak w trakcie tej krótkiej przemowy Lily na chwilę rozpała się



plamieniem, jak jej twarz przysuwa się do mnie niczym tanorektyk wystawiający się do słońca, by najskuteczniej wykorzystać jego promienie. Potem patrzyłem, jak znowu się wycofuje, jakby ujawniła za dużo. W palcach obróciła nóżkę kieliszka. Zastanawiałem się chwilę, czy jest szalona, a gdy tylko o tym pomyślałem, uznałem, że i tak w to wejdę. Dobrze znałem to uczucie. W ten właśnie sposób zarabiałem ogromne sumy – podejmując niemądre ryzyko.

– Chcę to zrobić – powiedziałem. – I chcę, żebyś mi pomogła.

– Pomogę.

Upiła kolejny łyk wina, a światło z kinkietu na ścianie nappełniło kieliszek blaskiem i odbiło się od jej bladej twarzy. Pomyślałem, że z zaczesanymi włosami wygląda piękniej, ale też poważniej. Skojarzyła mi się z modelkami z katalogów, które przysyłano mojej żonie. Katalogów pełnych wysokich dziewcząt w tweedach i dżinsach, pochodzących z zamożnych rodzin, pozujących z końmi przed wiejską rezydencją zbudowaną z kamienia. Modelki z tych katalogów nigdy się nie uśmiechały.

– Mam jedno pytanie – powiedziałem. – Ile osób zabiłaś?

Chciałem, żeby to zabrzmiało jak żart, żeby dać jej możliwość wykręcenia się od odpowiedzi, ale chciałem też wiedzieć, czy praktykuje swoją wiarę.

– Nie odpowiem na to pytanie – odparła. – Ale wyłącznie dlatego, że jeszcze się na tyle dobrze nie znamy. Obiecuję ci jednak, że po śmierci twojej żony powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Nie będziemy mieli żadnych tajemnic. I nie mogę się tego doczekać.

Przy tych słowach jej twarz złagodniała, a ja poczułem się, jakby powietrze w tym cichym pomieszczeniu zgęstniało od obietnicy seksu. Mój kufel był pusty.

– Myślałaś o tym? Jak to należy zrobić? – spytałem.

– Myślałam, i to dużo. – Odsunęła od siebie kieliszek tak, że dołączył do mojego pustego kufła. – Mamy ogromną przewagę, a tą przewagą jestem ja. Mogę ci pomóc, a nikt nie wie, że w ogóle się znamy. Jestem niewidzialnym współnikiem. Mogę ci zapewnić alibi, a ponieważ nikt nie wie, że się znamy, policja mi uwierzy. Nie mamy absolutnie żadnych powiązań. I mogę ci też pomóc w inny sposób.

– Nie oczekuję, że wyręczysz mnie w zabójstwie.

– Wiem. Chodzi o to, że skoro ci pomagam, możemy znacznie zredukować ryzyko złapania. To najtrudniejsza część. Popelnienie zbrodni jest łatwe. Ludzie ciągle kogoś zabijają. Ale większości nie uchodzi to na sucho.

– A nam jak ujdzie?

– Żeby popełnić morderstwo i nie dać się złapać, trzeba ukryć ciało tak dobrze, żeby nikt go nigdy nie znalazł. Skoro nie ma morderstwa, nie ma i mordercy. Ale ciało można ukryć na wiele sposobów. Można nie ukrywać samego ciała, ale tak upozorować okoliczności, żeby nie wyglądało to na morderstwo. To właśnie trzeba zrobić z Mirandą, bo jeśli Miranda zaginie, policja będzie jej szukała do skutku. Kiedy policja znajdzie ciało, musi dostać taką historię, żeby tego zabójstwa w żaden sposób z tobą nie powiązać. Trzeba ich poprowadzić drogą, na której nie postąpiła twoja noga. Mam do ciebie pytanie. Co czujesz, jeśli chodzi o Brada Daggetta?

– To znaczy?

– Masz jakieś określone zdanie, czy powinien żyć, czy umrzeć?

– Owszem, mam. Chcę, żeby umarł.

– Świetnie – powiedziała. – To znacznie ułatwia sprawę.

Kiedy Chet ponownie wyszedł z mieszkania, by dołączyć do mnie na podwórku, ucieszyłam się, że włożył koszulę pod ogrodniczki. I tak nadal śmierdział paskudnie jak skwaśniały cydr. Powiedziałam mu, że znalazłam coś na łące po drugiej stronie lasu i że potrzebna mi jego pomoc. I że poprosiłabym ojca, ale on jest zajęty. Chet burknięciem wyraził solidarność ze mną, jakby wiedział, że moi rodzice jedną się w sypialni.

Weszliśmy do wąskiego pasa lasu sosnowego oddzielającego naszą posiadłość od sąsiedniej, opuszczonej.

– Byłeś kiedyś na tamtej łące? – spytałam.

Szedł za mną, nieco się potykając, z podniesioną ręką, jakby gałęzie miały nagle smagnąć go w twarz.

– Zaraz na początku, jak tu przyjechałem, przeszedłem się aż do starych torów kolejowych – odrzekł.

Do torów kolejowych szło się w drugą stronę.

– Fajna ta łąka – powiedziałam. – Zaczyna się za starą zagrodą, w której nikt już nie mieszka. Ciągle tam chodzę.

– To daleko?

– Trzeba przejść przez ten lasek.

Przedostaliśmy się przez rozwalony mur biegnący skrajem lasu. W upiornym świetle zachodzącego słońca rosnące gdzieś na łące kwiaty nabrały jaskrawych kolorów. Niebo nad naszymi głowami z różowego stało się ciemnopurpurowe.

– Pięknie – powiedział Chet, a ja poczułam przelotną, bezsensowną złość, że korzysta z mojej łąki.

– Tędy. – Ruszyłam w stronę studni.

– Ty też jesteś piękna.

Niechętnie odwróciłam się i spojrzałam na niego.

– Przepraszam – dodał. – Mówiłem sobie... Ale, Boże drogi... spójrz na siebie. Ty

nawet nie wiesz, jaka jesteś piękna, prawda, mała Lil? Nie gniewasz się, co? Ja tylko sobie patrzę. – Kołysał się lekko, jedną ręką pocierając potarganą brodę.

– W porządku, ale najpierw musisz mi pomóc. Tam jest stara studnia i coś przy jej dnie, przymocowane do liny. Nie daję rady tego wyciągnąć.

– Spoko. Chodźmy rzucić okiem. Jakim cudem znalazłaś tu studnię?

Nie odpowiedziałam na jego pytanie, tylko poprowadziłam go przez łąkę. O studni wiedziałam od lat. Nie była zbyt głęboka. W świetle latarki dało się zobaczyć dno, a tam wyłącznie kamienie i czasami, gdy popadało, wodę. Nie miałam nawet pewności, czy to rzeczywiście studnia, czy może głęboka dziura, może ktoś zaczął kopać studnię, a potem zrezygnował. Natknęłam się na nią, gdy miałam chyba dziewięć lat i biegałam po łące. W pewnym momencie moja stopa uderzyła w coś, co wydało głuchy, drewniany odgłos. Odgarnęłam suche, pożółkłe trawy i znalazłam kwadratową pokrywę studni, przegniłe deski, które chyba miały uchronić ewentualnych przechodniów przed wypadkiem. Nie całkiem zakrywały prostokątny otwór i łatwo się dało je odciągnąć. Boki studni były obłożone warstwami kamieni. Nie miałam wtedy przy sobie latarki, więc wrzucałam do środka kamyki, żeby ocenić głębokość. Uderzyły w coś twardego już po jakiejś sekundzie, więc wiedziałam, że nie jest głęboko. Wtedy przyszło mi do głowy, że to może być kryjówka na skarb albo trop większej zagadki. Pognałam do domu po latarkę, skończyło się to jednak rozczarowaniem. Studnia okazała się tylko studnią, zapadającą się do środka dziurą w ziemi.

Pokazałam ją Chetowi.

– O, proszę – rzekł. – Kiedy to znalazłaś?

– Jakiś tydzień temu – skłamałam. – Najpierw zauważyłam linę, a potem ściągnęłam pokrywę. Nie jest tu głęboko, chyba, ale nie mogę sama wyciągnąć tej liny. Na końcu musi być coś ciężkiego.

Umieszczenie liny w studni stanowiło element przygotowań. W piwnicy naszego domu znalazłam linę, która sprawiała wrażenie długo leżącej na dworze, znalazłam tam także stary stalowy pal. Kilka dni temu przyniosłam jedno i drugie na łąkę. Jeden koniec liny przywiązałam mocno do dużego kamienia, który wykopałam na łące, i opuściłam go na dno, drugi zaś przymocowałam do palika i wbiłam głęboko w ziemię. Moim zdaniem wyglądało to dosyć podejrzanie, ale nieważne. Musiałam osiągnąć tyle, żeby Chet chciał się dowiedzieć, co znajduje się na drugim końcu liny. Któregoś ranka w łazience rodziców wyszukałam niewielką tubkę brylantyny. Poszłam z nią do studni i natarłam paskudztwem pierwszy metr liny, tak że trudno

się ją trzymało. Martwiłam się, że linę łatwo będzie wyciągnąć i że Chet zdoła to zrobić w pozycji stojącej. A ja chciałam, żeby ukląkł przed otworem. Jak się okazało, moje obawy były płonne. Chet, zachowując się jak podjarany chłopak, padł na kolana i chwycił linę.

– Uch, czym to jest usmarowane?

– Nie wiem – odparłam. – Jakims gównem.

Podniósł palce do nosa i powąchał.

– Nie pachnie niczym naturalnym. Pachnie jak szampon.

– Może ktoś nie chciał, żeby to wyciągnięto. – Przesunęłam się, tak żeby stanąć bezpośrednio za nim. Obrócił głowę, by na mnie spojrzeć. Widziałam, jak jedno z jego wilgotnych, podpuchniętych oczu wpatruje się w moją klatkę piersiową. Skóra mi się napięła, na rękach pojawiła się gęsia skórka.

– Lubisz motyle? – spytał, wpatrując się w wyszywany przód mojej koszulki.

– No jasne – odparłam i mimowolnie się odsunęłam. Poczułam nagłą odrazę, a do tego złość na siebie, że przyprowadziłam tego mężczyznę na swoją tajemną łąkę. Oczywiście nie obchodziło go, co się kryje na dnie studni. Oczywiście obchodził go wyłącznie seks. Chciałby wsadzić mi swojego penisa, zanim wyciągnie linę. Byłam głupia. Gorączkowo się zastanawiałam, co powiedzieć, ale w głowie miałam pustkę, a w ustach suchość.

Ale wtedy Chet spytał:

– Nie powiedziałaś o tym rodzicom?

– Nie. Oni by się na mnie wściekli, a gdyby znaleźli na dole coś fajnego, pewnie nie pozwoliliby mi tego zatrzymać.

– W sumie można zerknąć – rzekł i znowu zajrzał do dziury. – No a co ja dostanę, jeśli na dole jest skrzynia ze skarbem?

Robił wszystko zgodnie z moimi nadziejami, zsuwał dłonie niżej, żeby lepiej chwycić linę. Niemal wsadził głowę do otworu i przesunął się do przodu na kolanach.

– Nie wpadnij tam – powiedziałam. Taki tekst właśnie zaplanowałam, żeby poczuł się bezpieczniej.

– Tam jest głęboko?

– Chyba nie.

Chet zahuczał kilka razy w głąb studni, odpowiedziało mu echo.

– Potrzymam cię. – To też zaplanowałam, chcąc go oswoić z dotykiem moich rąk. Chciałam uniknąć sytuacji, gdy dotknę jego pleców, by go zepchnąć, a on odskoczy i zacznie się bronić.

Chwyciłam w garść tkaninę jego ogrodniczek.

– Mam – oznajmił właśnie. – Idzie.

Zebrałam wszystkie siły i pchnęłam go. Próbował poderwać głowę, ale że trzymał ją w otworze, potylicą uderzył w kamień tworzący cembrowinę studni. Całe jego ciało przechyliło się do przodu, upadając, a ja przez chwilę myślałam, że runę do studni razem z nim, co wcześniej w ogóle nie przyszło mi do głowy. Chet jakoś jednak zdołał zaprzeć się nogami i powstrzymać przechylenie. Przetoczyłam się na bok, słuchając jego pełnego zdumienia krzyku. Jeden z jego wielkich butów utknął pomiędzy kamieniami na krawędzi.

– Jezu! – krzyknął. I jeszcze: – Pomóż mi!

Usłyszałam stukot, gdy jakiś przedmiot spadł na dno otworu. Uznałam, że to jego okulary.

Wstałam. Naderwał mi się paznokieć, którym zaczepiłam o jego ogrodniczki. Zauważyłam to tylko dlatego, że odruchowo otrząsnęłam rękę i kropelki krwi spadły mi na twarz.

– Lily, na Boga, pomóż mi!

Przykucnęłam nad miejscem, w którym jego stopa utknęła pomiędzy kamieniami. Było dość oczywiste, że nie utrzyma się w ten sposób, że i tak spadnie, ale chwyciłam skraj zdartej podeszwy i ją pchnęłam. Chet stęknął, a potem rozległo się szurnięcie, po którym nastąpił łomot, gdy uderzył w dno studni. Spodziewałam się, że usłyszę znowu jego krzyki, ale zapadła cisza. Tylko piasek i kamyki wciąż opadały na dno i dwie wrony krakały na siebie po drugiej stronie łąki.

Z tylnej kieszeni wyjęłam niewielką latarkę, którą przygotowałam, i włączyłam ją obrotem głowicy. Nie dawała może silnego światła, ale zdołałam zajrzeć w ciemności studni. Sądziłam, że będą mi się trząść ręce, a tu nic. Czułam się skoncentrowana, zajęta swoimi myślami, tak jakbym się zaczytała w książce i niepostrzeżenie minęłoby całe popołudnie. Wyjrzałam za krawędź i skierowałam światło latarki w głąb studni. Byłam pewna, że Chet przeżył upadek i będzie mnie błagał o pomoc. Na to się nastawiłam. Tymczasem leżał nieruchomo na dnie, na plecach, z nogami opartymi o ścianę, z szyją wygiętą pod dziwnym kątem. Patrzyłam na niego dłuższą chwilę. Światło mojej latarki było słabe, a w powietrzu

unosily się jakieś drobiny, ale wyglądało na to, że Chet się nie rusza. Nagle zobaczyłam niedostrzegalny ruch i usłyszałam ciche westchnienie. Może wydał je Chet, a może coś, co się przemieściło w studni, której spokój zakłóciliśmy.

Wstałam i podeszłam do swojego niedużego stosu ciężkich kamieni, które wcześniej uzbierałam. Wybrałam największy szary głaz o ostrych krawędziach z żyłą kwarcu. Musiałam go nieść w ramionach, więc latarkę chwyciłam zębami. Chybocząc się na boki jak pingwin, wróciłam do studni, stanęłam okrakiem i zgięłam się w pasie. Celując latarką w ciemności, wymierzyłam głazem, jak umiałam, i rzuciłam nim prosto w głowę Cheta. Usłyszałam dźwięk kojarzący się z pękającym arbuzem. Jeśli nawet Chet przeżył upadek, to teraz na pewno był już martwy.

Ręce bolały mnie od dźwigania głazu, więc na chwilę jeszcze przykucnęłam. Wrona patrzyła na mnie ze swojej gałęzi usychającego klonu na skraju łąki. Zastanawiałam się, czy ptaszysko czuje śmierć w powietrzu, i uznałam, że pewnie tak. Pochyliło głowę, ugłaskało dziobem czarne skrzydła. Czułam się, jakby mnie witała w innym świecie.

Wyłączyłam latarkę, wrzuciłam ją do kieszeni, wyciągnęłam z ziemi palik i cisnęłam go do studni wraz z upačkaną liną. Potem krążyłam między swoim stosem a studnią i zrzuciłam na Cheta jeszcze sześć wielkich kamieni. Zamierzałam później zasypać go dokładniej, uznałam jednak, że nie zaszkodzi zacząć już teraz. Kontynuowałabym, ale zaczynało się ściemniać, chmury posiniały i pociemniały, łąka i okalający ją las traciły barwy, przybierając ziarniste odmiany szarości. Wcześniej planowałam, że wrócę do mieszkania nad pracownią, zacznę pakować rzeczy Cheta, by przenieść je przez las i wrzucić do studni. Potem zasypię wszystko kamieniami i zakryję studnię klapą. Ale gdy wracałam w czerni pomiędzy drzewami, snop światła z mojej latarki oświetlał zaledwie kawałek poszycia przede mną, więc postanowiłam, że teraz spakuję rzeczy Cheta, a zaniosę je do studni wczesnym rankiem. Wiedziałam, że rodzice będą spać do późna.

Mieszkanko nad pracownią było mi dobrze znane. Gdy stało puste, należało do moich ulubionych miejsc, ale odkąd Chet się do niego wprowadził na początku lata, w ogóle tu nie zaglądałam. Martwiłam się, że zostawił mnóstwo rzeczy, które teraz będę musiała spakować, ale moje obawy okazały się bezpodstawne. Cały jego dobytek ograniczał się do zielonej torby wojskowej, która leżała otwarta przy łóżku. Zaczęłam się rozglądać, świecąc latarką, po czym zdałam sobie sprawę, że mogę po prostu włączyć główne światło. Przy mało prawdopodobnym scenariuszu, że któreś



z moich rodziców wyjrzy z okna sypialni w stronę pracowni, światło w mieszkaniu Cheta nie powinno ich zaskoczyć. Wręcz bardziej by się zdziwili jego brakiem.

Lampa rzucała przygaszone żółte światło na bielone ściany i szerokie, nagie deski podłogi. Mebli tu było niewiele: mój ukochany fotel sako, który teraz wyglądał na oklapły, i dwa tapicerowane krzesła – oba z naddartą tapicerką, spod której wychodziła pianka. Na krześle pomalowanym w pastelowe gałazki również uwielbiałam czytać. Z ulgą stwierdziłam, że Chet ułożył na nim stos książek. To znaczyło, że tam nie siadał.

Wokół posłania leżało trochę rozrzuconych rzeczy, parę tiszertów i kilka par białych majtek. Koszulką zgarnęłam bieliznę z podłogi i wsadziłam do torby. Z częściowo opróżnionej torby dobiegał stęchły, drażniący zapach ciała, ale wbrew moim obawom w mieszkaniu zbytnio nie śmierdziało. Głównie czuć było woń terpentyny i papierosów. Na środku podłogi stała puszka po kawie niemal po brzegi wypełniona niedopałkami. Podniosłam ją i próbowałam wymyślić, gdzie ją umieścić, po czym uświadomiłam sobie, że mogę ją wrzucić do torby. Chet już nie będzie nosił swoich ubrań.

Z łazienki zabrałam jego szczoteczkę do zębów, niemal pustą tubkę pasty, biały krystaliczny kamień w jakimś opakowaniu, na którym widniał napis, że to dezodorant, zieloną butelkę szamponu pert. Zostawiłam na umywalce kawałek mydła z włosami. Z kuchni – kącika ze zlewem, kilkoma szafkami i płytą elektryczną – wzięłam dwie paczki makaronu ramen i wielką plastikową butelkę wódki popov. Wylałam wódkę do zlewu i porzuciłam butelkę na jednej z szafek. Nagle się zmartwiłam, że zostawiam odciski palców w całym mieszkaniu, że powinnam mieć rękawiczki. Ale jutro będę miała czas, żeby wszystko powycierać. Zresztą jeśli wszystko potoczy się po mojej myśli, nikt nie powinien podejrzewać, że Chet został zabity. Będzie wyglądało na to, że wyjechał. Ciężko było sobie wyobrazić, że ktoś za nim zatęskni.

Wypełnioną torbę zapięłam i podniosłam, sprawdzając, czy rano dam radę ją udźwignąć. Była ciężka, ale bez przesady. Jedyne, co po Checie zostało w mieszkaniu, to sprzęt do malowania. Spośród czterech płócien trzy stały pod ścianą, przodem do niej, tak że nie widziałam, co przedstawiają. Czwarte stało jeszcze na sztalugach. Chet najwyraźniej dopiero zaczął nad nim pracować, przedstawiało ledwie kilka plam kolorów na znakach ołówkiem, ale dało się rozpoznać, że to basen za domem i że w rogu zbiornika naszkicowano jakąś postać. Pomimo braku szczegółów wiedziałam, że to ja. Było to dość małe płótno, niewiele

większe od przeciętnego ekranu telewizora. Zdjęłam je ze sztalug i przekreśliłam tak, że delikatna drewniana rama pękła, a następnie rzuciłam na podłogę i ułożyłam na nim pozostałe obrazy. Ledwie na nie spojrzałam, ale wszystkie sprawiały wrażenie ukończonych prac. Abstrakcyjne plamy koloru i gdzieś tam jakiś kształt przypominający ludzką postać. Sama mogłabym takie namalować.

Sztalugi musiały należeć do Cheta, bo byłam wręcz pewna, że wcześniej w mieszkaniu ich nie było. Niewielkie, na składanym trójnogu. Po złożeniu zmieściłyby się w niedużej walizce, blok poplamionego drewna z uchwytem do noszenia. Dołączyłam je do stosu obrazów.

Rozejrzałam się po pokoju, zastanawiając się, czy wszystko wzięłam. Nawet jeśli coś zostawię, będzie to wyglądało tak, jakby zostawił to sam Chet.

Palec mi pulsował boleśnie w miejscu, gdzie naderwałam paznokiec. Przyjrzałam mu się uważnie. Krew zakrzepła, stała się brązowa i lepka, więc pewnie nie skapnęła mi nigdzie w mieszkaniu. Nagle poczułam, że chcę się stąd wydostać, wrócić do swojego pokoju. I byłam głodna. W lodówce zostały resztki zapiekanki pasterskiej, o ile moi rodzice się do niej nie dorwali.

Ustawiłam sobie budzik na szóstą rano. Ale zanim mój zegar w kształcie sowy zahuczał, już dawno wstałam, wyszłam z łóżka i częściowo się ubrałam. Zdołałam trochę pospać, ale takim snem, z którego człowiek się budzi na każde skrzypnięcie, stukot czy chrobot, których mnóstwo wydają stare domy, i myśli, że wcale nie spał, po czym nagle zdaje sobie sprawę, że te dziwne myśli w jego głowie były tak naprawdę snami, że zasłonę zalewa blask, że już świta.

Musiałam obrócić trzy razy, żeby wszystkie rzeczy z mieszkania przenieść do studni. Najpierw zaniósłam torbę i to było najtrudniejsze. Musiałam ją przez część drogi przeciągnąć, bo zrobiła się dla mnie za ciężka. Łąka była pokryta zimną rosą, która zmoczyła mi dół dzinsów. Zanim wepchnęłam do studni torbę, zajrzałam do środka. Chet ciągle leżał na dnie, zagrzebany pod kamieniami, które zrzuciłam. Kilka niezdarnych much łąziło po jego ciele. Za drugim razem przyniosłam trzy większe płótna. Nie tyle były ciężkie, co nieporęczne, jedno z nich musiałam złożyć na pół, żeby się zmieściło w studni. Za ostatnim razem przyniosłam spakowane sztalugi i obraz, który Chet zaczął malować – ten przedstawiający mnie w basenie. Wrzuciwszy je do studni, cisnęłam też tam wszystkie kamienie, które wcześniej powykopywałam. Czułam satysfakcję, zwłaszcza patrząc, jak wszystkie dowody istnienia Cheta znikają pod stosem kamieni. Użyłam starej zardzewiałej łopaty,

żeby niektóre podważyć. To była jednak łąka i musiałam wykopać grudy ziemi, wrzucić je do studni, aż wyglądała tak, jakby na dole nie było nic oprócz ziemi i kamieni. Wiedziałam, że nie wygląda to doskonale, ale byłam zadowolona.

Przed opuszczeniem łąki wrzuciłam jeszcze do studni zardzewiałą łopatkę, a na koniec położyłam na miejsce pokrywę. Palcami, już i tak brudnymi, nagarnęłam na pokrywę trochę długich, suchych traw, by ją zamaskować. Obeszłam jeszcze cały teren, nie odrywając oczu od ziemi, żeby się upewnić, że nic tu nie zostawiam, ale nic nie znalazłam, nawet niedopałka. Chet zniknął z tego świata. Poranek był spokojny, słyszałam tylko wzmagający się szum owadów i kraczące wrony, które były prawdziwymi właścicielami tej łąki. Odkrakałam do nich, bo czasami to robiłam, i zastanawiałam się, co sobie pomyślą.

Po powrocie do domu wzięłam długi prysznic, szorując palce, żeby usunąć resztki ziemi. W nawale spływającej po moim ciele gorącej wody czułam się jednocześnie silna i bezpieczna. Gdy mama otworzyła drzwi łazienki i wypowiedziała moje imię, podskoczyłam tak, że niemal upadłam, chlupocząc stopą w wodzie zebranej na dnie brodzika.

– Co się stało? – spytałam.

– Nic, kochanie. Zastanawiamy się z tatą, czy chcesz pojechać na śniadanie do Shady's?

– Dobra. A kiedy?

– Jak tylko wyjdiesz spod prysznic.

Kiedyś jeździliśmy do Shady's Diner częściej. Był to ulubiony lokal mojego ojca i chyba mój też, zwłaszcza jeśli chodzi o śniadania. Zamówiłam tosty francuskie z dodatkowym chrupiącym bekonem. Rodzice usiedli naprzeciwko mnie w boksie, dotykając się ramionami, nawet dzieląc się miską owoców, którą podano do zasmażanej peklowanej wołowiny i omleta mojej mamy. Przez całe śniadanie nękały mnie myśli o Checie, a potem zniknęły, gdy któreś z rodziców powiedziało coś, co mnie rozśmieszyło, albo gdy myślałam o tym, jak dobre jest moje danie. Odnosiłam wrażenie, że w brzuchu mam wielką dziurę, którą mogłabym wypełniać bez końca.

– Jesteś głodna, Lily – zauważyła moja mama.

– To duża dziewczyna, prawie kobieta – rzekł ojciec.

Śniadanie upłynęło miło, nawet gdy rodzice zepsuli je, pytając mnie po raz kolejny, czy chcę przeskoczyć następną klasę. Pod koniec roku szkolnego część

moich nauczycieli to zalecała, ale na początku wakacji już powiedziałam, że nie chcę. Moja mama ciągle to jednak wyciągała, za co ją ukarałam, odmawiając wyjazdu na obóz artystyczny w lipcu. Wiedziałam, że nie może się doczekać dwóch tygodni mojej nieobecności. Zdziwiłam się, gdy temat znowu wypłynął, ale szybko go porzuciliśmy i śniadanie nie popsuło się nieodwracalnie.

Przez tydzień nic nie słyszałam o Checie i zaczęłam się martwić, zastanawiając się, czy to nienaturalne, że ja sama ani słowem o nim nie wspomniałam. Więc pewnego dnia w czasie lunchu, gdy mojego ojca nigdzie nie było widać, a matka wpadła w milczący nastrój, spytałam, co się stało z Chetem.

– Wyjechał. Nie wiedziałaś?

– Dokąd?

– Boże, Lily, nie wiem. Pewnie zabawić u kogoś innego. Nawet się nie pożegnał, niewdzięczny gnojek.

Tamtego popołudnia poszłam do mieszkania nad pracownią. Wyglądało na to, że mama albo tata zajrzeli tu tymczasem i trochę uporządkowali. Z posłania zniknęła pościel i opróżniono śmietnik w kuchni. Usiadłam na chwilę na krześle, chociaż nie miałam ze sobą książki. Okna były otwarte, chłodny wietrzyk, pierwszy od dłuższego czasu, napływał do środka. Od zabicia Cheta czekałam, aż mnie złapią, i czekałam, aż zacznę czuć coś niedobrego. Żadna z tych rzeczy się jednak nie wydarzyła i wiedziałam, że nigdy się nie wydarzy.

Kiedy powiedziałem Mirandzie, że na początku października zamierzam udać się do Kennewick na cały tydzień, na jej twarzy pojawił się wyraz szczerzej radości. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie w kuchni na parterze w naszej kamienicy, jedząc linguini z sosem małosmakiem (jedyną potrawę, którą umiem przygotować) i dopijając butelkę pinot gris.

– Byłoby cudownie – powiedziała. – Przez cały tydzień miałabym cię tylko dla siebie.

Wypatrywałem na jej obliczu jakichkolwiek oznak fałszu, ale na próżno. Jej ciemnobrązowe oczy rozświeciły się prawdziwą ekscytacją, przynajmniej dla mnie tak to wyglądało. Przez chwilę wierzyłem jej i czułem ciepło i otuchę, które cię ogarniają, gdy ktoś chce spędzić z tobą czas. Już po sekundzie to uczucie minęło, a ja znowu nie posiadałem się ze zdziwienia nad umiejętnościami aktorskimi mojej żony, jej dwulicowością. Czy nie miała żadnych wyrzutów sumienia w związku z tym, co robiła z Bradem Daggettem?

– Weźmiemy ten sam pokój? – spytała.

– Który?

– Uuu. Ależ szybko zapomniałeś. Ten, w którym się zatrzymaliśmy za pierwszym razem. Z kąpielą bąbelkową.

– A, ten. Pewnie.

Po sprząnięciu poszliśmy na górę pooglądać telewizję – zdecydowaliśmy się na *remake Detektywa*, puszczone na jednym z naszych pięciuset kanałów filmowych. Miranda przebrała się w krótką koszulkę nocną, którą zwykle nosiła wieczorami, i wyciągnęła się na kanapie, nogi kładąc mi na kolanach. Przyglądałem się jej palcom u stóp o paznokciach pedantycznie pomalowanych na ciemny odcień różu. Wziąłem jedną z tych stóp w dłoń i przytknąłem kciuk do delikatnej jak u dziecka podeszwy. Nic nie powiedziała, ale jej ciało zareagowało, przysuwając się do mnie niemal niedostrzegalnie, stopy się z lekka napięły. Wobec jej ospałego rozleniwienia wyraziście uświadomiłem sobie, że mam spięte ramiona, niewygodną koszulkę, której jeszcze nie zdjąłem, że siedzę sztywno na poręczy,

z łokciem w nienaturalnej pozycji. Zdjąłem dłoń ze stopy żony, ale ona jakby tego nie zauważyła. Wiedziałem, że niedługo zaśnie, nie doczekawszy końca filmu.

Na pomysł tygodniowego wyjazdu do Maine wpadła Lily. Zasugerowała go pod koniec naszego spotkania w Concord River Inn. Mówiła, że to ważne, bym wiedział, co się tam dzieje, jak wygląda harmonogram prac Brada, jak Miranda spędza czas.

– Przy mnie wszystko będzie tam wyglądało inaczej – powiedziałem wówczas. – Oni będą się zachowywać inaczej.

– To nieważne. Bardziej mnie interesuje, jak pracuje ekipa w waszym domu. Ilu ludzi pojawia się tam na stałe? Jak często Brad jest sam? Po prostu obserwuj. Im więcej zbierzesz informacji, tym lepiej.

Przyznałem jej rację. Najtrudniejszym zadaniem było zorganizowanie mi wolnego tygodnia. Ale ponieważ się uparłem, Janine, moja sekretarka, zdołała wszystko odpowiednio poprzekładać. Plan zakładał, że pojedę do Kennewick w piątek wieczorem, a wrócę do Bostonu dziewięć dni później, w niedzielę po południu. O dziwo, zacząłem wyczekiwać tego dłuższego wyjazdu i w duchu upajałem się myślą, że wymuszę przerwę w romansie Brada i Mirandy. Zastanawiałem się, jak Brad zareaguje, gdy Miranda mu o tym powie. Jeszcze siedząc na tej kanapie, gdy przekazałem rewelację żonie, poczułem, jak dla odmiany ja zyskuję przewagę.

Miranda drgnęła, więc odwróciłem się, by spojrzeć na nią w błysku osiemdziesięcioczerocalowego telewizora. Oczy miała zamknięte, usta delikatnie rozchylone. Zasnęła. Przez jakiś czas patrzyłem na nią zamiast na film. Głębokie cienie podkreślały jej kształty, a w świetle padającym z telewizora twarz Mirandy wydawała się czarno-białą wersją rzeczywistości. Jej usta rozchyliły się jeszcze bardziej, jakiś nerw poruszył się na jej skroni. Fascynowało mnie jej surowe piękno, a jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że nie zestarzeje się ładnie. Jej twarz, okrągła jak u lalki, stanie się obrzęknięta, ciało kociaka zwiędnie. Ale ona się nie zestarzeje, prawda? Zabiję ją, prawda? Taki był plan, a myśl, że to robię i że uchodzi mi to na sucho, napełniała mnie poczuciem zadowolenia i siły, ale też strachu i smutku. Nienawidziłem swojej żony, ale nienawidziłem jej dlatego, że kiedyś ją kochałem. Czy popełniałem błąd, którego będę żałował do końca życia? Kiedy w ten sposób myślałem, kiedy zaczynałem czuć przerażenie na myśl o tym, co zamierzam zrobić, chciałem się skontaktować z Lily, posłuchać jej tyrady o morderstwie wygłaszanej lekkim tonem, jakby mówiła o wyrzuceniu starej kanapy. Ale

uzgodniliśmy, że nie będziemy rozmawiać przez jakiś czas, nie spotkamy się, aż spędzę ten swój tydzień w Maine, i to był kolejny powód, dla którego nie mogłem się doczekać wyjazdu do Kennewick. Każdy dzień przybliżał mnie do ponownego spotkania z Lily.

John, konsjerż w motelu często siedzący w recepcji, powiedział mi, że Miranda jest w Livery, a potem zaproponował, że zanieśe mój bagaż do pokoju. Podziękowałem mu i poszedłem szukać Mirandy. Ruszyłem wąskimi schodami z epoki kolonialnej, które stromo zbiegały ku niższym kondygnacjom motelu. Knajpa, zawdzięczająca swoją nazwę miejscu wymiany koni, które tu kiedyś działało, miała kamienną podłogę, kamienny kominek i długi dębowy bar o profilu kojarzącym się z liniami jachtu. Miranda siedziała tam sama, ale rozmawiała z ożywieniem z wytatuowaną barmanką, który miała na imię Sid (a może Cindy). Nie mogłem zapamiętać.

Przerwałem im, pocałowałem żonę, zauważyłem nieobecność smaku papierosów w jej ustach, po czym zamówiłem hendrick's martini. Zrzuciłem z siebie wełniany blezer, przemoczony w trakcie przechadzki z samochodu do motelu. W Bostonie mżyło, ale w Maine deszcz przybrał wymiar zgoła biblijny, moje wycieraczki na najwyższym biegu ledwie nadały z oczyszczaniem szyby.

– Przemokłeś – zauważyła Miranda.

– Leje.

– Nie wiedziałam. Cały dzień nie wychodziłam na dwór.

Sid (a może Cindy) przyniosła mi drinka.

– Ta to ma życie, ta pańska żona – rzuciła i zaśmiała się ochryple.

– Oj, wiem. – Odwróciłem się do Mirandy. – Co robiłaś przez cały dzień?

– Nie można powiedzieć, że się objiłam. Podjęłam decyzję w sprawie mebli do pokoi gościnnych, odebrałam wiadomość i czekałam z zapartym tchem na mojego męża. Ach, byłabym zapomniąca. – Podniosła swoją prawie pustą butelkę po piwie. – Za cały jeden tydzień. – Stuknąłem w butelkę szklanką zimnego dżinu i wypilem długi łyk. Od razu zrobiło mi się cieplej. – Jadłeś coś? – spytała Miranda.

Odparłem, że nie i otworzyłem menu.

Zostaliśmy tam prawie do zamknięcia, a ja się upiłem na tyle, że kiedy razem z Mirandą doczłapaliśmy do swojego pokoju na tyłach motelu, gdzie padliśmy nadzy na wielkie łóżce, właściwie nie myślałem o powodach, dla których znalazłem

się w Maine na cały tydzień, ani o Bradzie Daggetcie, ani o Lily.

Nazajutrz rano już nie padało, wszystkie chmury zmiotło nad ocean. Był to jeden z tych październikowych dni, które zapewniają sprzedaż kalendarzom. Niebo miało ostry, metalicznie niebieski kolor, a drzewa zamieniły się w czerwono-żółte bukiety. Po lunchu poszliśmy z Mirandą do domu. Mierzyłem czas. Zajęło nam to dwadzieścia pięć minut wzdłuż Micmac Road, niewiele dłużej niż zajmuje spacer wzdłuż klifu. Droga 1A była najbardziej ruchliwą szosą w tej części świata, więc minęło mnie wiele samochodów, ale ta część Micmac była niezwykle malownicza, gdzieś roztaczały się z niej widoki z urwistego cypla nad Atlantykiem. Micmac Road odbija z 1A w stronę Kennewick Center, po czym mija Kennewick Harbor i Kennewick Beach, trzy większe dzielnice, które składają się na miasto. Kennewick Beach była najmniej ekskluzywnym odcinkiem wybrzeża Kennewick, długą piaszczystą połącją pełną domków na wynajem i z kempingiem po drugiej stronie ulicy, latem wypełnianym się kamperami. Przypomniałem sobie, jak kiedyś Miranda mówiła, że do Brada należy jedno z układających się w półokrąg skupisk domków i że od czasu swojego rozvodu mieszka w jednym z nich na stałe. Wtedy puściłem jej słowa mimo uszu, bo nie wiedziałem, że Brad sypia z moją żoną. Ale teraz zwracałem uwagę na wszystko.

Na naszym podjeździe parkował tylko jeden wóz – toyota pikap z naklejką na zderzaku, na której widniał napis: „Gdyby Bóg nie chciał, byśmy jedli zwierzęta, nie zrobiłby ich z mięsa”.

– To Jim – wyjaśniła Miranda. – Brad zlecił mu montaż płyt gipsowo-kartonowych w piwnicy.

Okrążyliśmy dom i weszliśmy przez drzwi od strony dziedzińca. Chcąc nie chcąc, musiałem pomyśleć o moim ostatnim tu pobycie, gdy najpierw podejrziałem Brada i Mirandę, jak palą papierosa w kuchni, a potem, ukryty na końcu ścieżki na urwisku, patrzyłem, jak się rzną w naszym przyszłym salonie.

– Zaczekaj, aż zobaczysz bar na dole. – Miranda poprowadziła mnie przez wykończoną drewnem podłogę holu, a jej kroki niosły się ostrym echem po pustej przestrzeni. Jim pracował na dole, słuchał klasycznego rocka z zakurzonego radia i jadł właśnie lunch, przysiadłszy na plastikowej beczce cementu odwróconej do góry dnem. Sprawiał wrażenie zmieszanego i zdenerwowanego naszą obecnością, jakbyśmy go przyłapali na drzemce w godzinach pracy, a nie na jedzeniu bułki.

Ściszył muzykę.

– Brad przyjedzie trochę później. Szukacie go?



– Rozglądamy się tylko. Ted nie widział dołu od... od kiedy?

Odwróciła się do mnie, a ja wzruszyłem ramionami. W tej części domu nie było mnie chyba od postawienia szkieletu. Wiedziałem, że Miranda upiera się przy urządzeniu dla mnie luksusowej męskiej samotni, chociaż o nic takiego nie prosiłem. Widziała tu skórzane meble, stół do bilardu, barek, ciemnoczerwone ściany. Kiedy po raz pierwszy o tym wspomniała, postrzegałem to jako jej szczodrość, rozumiałem, że chce, bym miał w nowo budowanym domu jakieś wyjątkowe miejsce wyłącznie dla siebie. A gdy teraz o tym myślałem, wkurzało mnie po prostu, że wydawała moje ciężko zarobione pieniądze na coś, z czego zapewne miałem nigdy nie skorzystać.

Oprowadziła mnie, pokazała dokończone półki barowe, miejsce, gdzie stanie stół do bilardu, i zaprezentowała próbki ewentualnych kolorów na ściany. Po naszym wyjściu Jim dokończył lunch i wrócił do pracy. Z radia leciała piosenka Steely Dan.

Tamtego dnia Brada zobaczyliśmy dopiero wtedy, gdy już wszystko obejrzeliśmy i wracaliśmy drogą dojazdową do szosy. Wpadł z rykiem silnika na podjazd i zatrzymał się gwałtownie, pryskając zwirem. Miał na sobie granatowe płócienne spodnie i wsuniętą za pasek flanelową koszulę. Poruszał się ze swobodą sportowca. Uścisnął mi dłoń, jak zawsze, i patrzył prosto w oczy, pytając, co sędzę o postępie prac. Gdy rozmawialiśmy, Miranda jakby straciła nami zainteresowanie i spoglądała na dom i na ocean, nieruchomy i płaski w spokojne popołudnie.

– Słyszałem, że przyjechałeś na cały tydzień – powiedział Brad.

– Uznałem, że zrobię sobie mały urlop. Popilnuję Mirandy.

Brad się roześmiał i może przesadzam z analizą, ale słyszałem w tym śmiechu ostentacyjną serdeczność. Widziałem plomby w jego zębach. Kątem oka zauważyłem, że Miranda obraca głowę z powrotem, by na niego spojrzeć.

– To ona jest tu prawdziwym wykonawcą. Minęła się z powołaniem – powiedział Brad.

– Powtarza mi to samo.

– Ja tu stoję, tak? – zauważyła moja żona. – Możecie mnie włączyć do tej rozmowy.

Zanim ruszyliśmy z Mirandą w dalszą drogę do motelu, powiedziałem Bradowi, że mógłby wpaść wieczorem do pubu, żeby się z nami napić. Zapewnił, że się postara.

– Nie spoufaliliś się za bardzo? – zauważyła Miranda, gdy wróciliśmy na

Micmac.

– To twój kolega. Staralem się tylko być przyjacielski, żeby nie pomyślał, że w mojej obecności musi się trzymać na dystans.

– Co masz na myśli?

– Myślałem, że się zaprzyjaźniliście. Nigdy się nie umawialiście na drinka?

– A w życiu! On jest miejscowy. Nie będzie płacił pięć dolców za bud lighta.

– To gdzie na drinka chodzą miejscowi?

– Do lokalu przy Kennewick Beach, U Cooleya. Mnie osobiście jeszcze tam nie zaproszono. Powinniśmy się tam wybrać w tygodniu. Nie możemy co wieczór jeść w motelu.

– Ja jestem gotów – odparłem. Chodnik zrobił się wąski i Miranda wzięła mnie pod ramię, przyciągając bliżej. Choć słońce świeciło jasno, w cieniu panował chłód.

– Myślisz więc, że Brad się dzisiaj pojawi? – spytałem.

– Nie mam pojęcia. Może uzna, że musi, bo podpisujesz jego czeki i go zaprosiłeś. Ale nie zdziwiłabym się, gdyby nie przyszedł.

– Naprawdę nigdy nigdzie nie byliście na drinku? Jakoś tak chyba uznałem, że byliście, skoro nawet paliliście na spólkę papierosa.

– Boże, to ci nie daje spokoju, co? Nie, nie przyjaźnimy się z Bradem, ale łączą nas przyjazne stosunki. On jest pracownikiem i wykonuje dobrą robotę, ale nie muszę zaraz być jego kumplem od kieliszka. Zresztą z tego, co słyszałam, on ma już w miasteczku dużo takich kumpli.

– Co masz na myśli? Co słyszałaś?

– Słyszałam od jednego z gości z ekipy, że dużo pije i dużo posuwa. Dlatego żona go zostawiła. Co prawda to wszystko nie nasza sprawa, dopóki robi swoje. Dlaczego tak się nagle interesujesz?

– Przyjechałem na tydzień, pomyślałem, że poznam trochę miejscowych, kilku ludzi, z którymi spędzasz czas.

– Ja się tu skumplowałam z jedną osobą, i jest nią Sid. To ona powiedziała mi o Cooleyu i o reputacji Brada. Wróćmy do pokoju, zdrzemnijmy się, a potem pójdziemy na drinka. Co ty na to?

Tamtego wieczoru Brad nie pojawił się w knajpie. Siedzieliśmy z Mirandą przy zakręconym końcu baru, piliśmy wino i rozmawialiśmy z Sid, chociaż w sobotni wieczór nie narzekała na brak roboty. Sid miała sterczące blond włosy i wymyślne

tataże pokrywające całe ramię. Kiedy z nami rozmawiała, nie odrywała oczu od Mirandy, co nie było dla mnie nowym widokiem, a w innych momentach mojego życia sprawiało mi wręcz przyjemność. Może Miranda i Sid też uprawiały seks. Może Miranda uprawiała seks z każdym Tomem, Dickiem i Sally w Kennewick.

Przez cały wieczór, ilekroć ktoś uchylał ciężkie drzwi knajpy, oglądałem się, czy to aby nie Brad. Miranda nie obejrzała się ani razu. Albo wiedziała, że on nie przyjdzie, albo jej to nie obchodziło, a ponieważ wątpiłem, by jej to nie obchodziło, przyjąłem, że jednak wiedziała, że nie przyjdzie, że w jakiś sposób się porozumieli albo ona już wcześniej poznała jego inne plany.

Następnym razem zobaczyłem Brada dopiero w poniedziałek po południu, gdy znad oceanu napływał zimny powiew, i postanowiłem zbadać szlak spacerowy nad urwiskiem. Miranda drzemała. Rano wybraliśmy się w górę wybrzeża, by obejrzeć z bliska latarnię morską, która podobno była tego warta. Na tamtym końcu cypla wisiała wyjątkowo gęsta mgła. Zrobiliśmy zdjęcia, na których latarnia była ledwie widoczna, po czym podjechaliśmy jeszcze dalej i zjedliśmy lunch w chacie serwującej świeże małże, którą wkrótce zamykano w związku z zakończeniem sezonu. Po powrocie do motelu Miranda zasugerowała drzemkę, dla niej codzienną, a ja do niej dołączyłam. O dziwo, odkąd dowiedziałem się o niewierności Mirandy, ilekroć uprawialiśmy seks, było lepiej niż wcześniej. Złość na moją żonę sprawiła, że stałem się bardziej samolubny, mniej zainteresowany jej potrzebami, a bardziej własnymi, ona zaś poddawała mi się jak nigdy wcześniej. Tamtego popołudnia przewróciłem ją na brzuch i wziąłem od tyłu, i przytrzymałem w tej pozycji, nawet gdy powiedziała, że chce odwrócić się do mnie przodem. Rozłożyłem się na jej ciele, wtuliłem twarz w splątane włosy na karku, trzymając mocno za nadgarstki. Zdziwiłem się, że doszła zaraz po mnie, wydając dziwny skowyt.

– Ależ dzisiaj z ciebie bestia – stęknęła potem. – Podobało mi się.

Zwinęła się w pozycji embrionalnej, a ja patrzyłem, jak zasypia. Policzyłem stawy kręgosłupa, przyglądałem się symetrycznym dołączkom powyżej pośladków, zastanowiłem nad siniakiem wielkości ćwierćdolarówki widocznym na udzie. Gdy zaczęła cichutko pochrapywać, dopadły mnie paranoiczne myśli. Czy po seksie z Bradem też się tak odprężyła? Czy uważała, że to się jej należy: życie pełne mężczyzn zaspokajających wszystkie jej potrzeby? Poczulem na powrót całe napięcie, które seks na chwilę zagłuszył. Zastanawiałem się, jak by to było, gdybym z całej siły walnął ją pięścią w kark.

Ubrałem się i wyszedłem z pokoju, nie zostawiając jej wiadomości. Gdy dotarłem na szlak nad urwiskiem, poczułem się już lepiej. Spowijała mnie zimna mgła, patrzyłem na matowy ocean. Poruszałem się szybko, skupiając się na śliskim gruncie, starając się nie myśleć o ostatnim razie, gdy wtedy szedłem do budowanego domu. Na końcu szlaku zerknąłem na zegarek i stwierdziłem, że pokonanie trasy z Kennewick Inn zajęło mi trzydzieści parę minut. Stałem na cyplu i patrzyłem na tył mojego domu. Tym razem nie bałem się, że ktoś mnie zauważy. Byłem panem oglądającym swoje włości. Przeszedłem po wilgotnym kawałku ziemi, a przez kępę jodeł balsamicznych przedostałem się na front domu. Gdy zbliżyłem się do podjazdu, zobaczyłem, jak odjeżdża jakiś pikap, i uznałem, że minąłem się z Bradem. Ale gdy obszedłem budynek do końca, zobaczyłem jego dwubarwnego forda, a obok samego Brada z papierosem sterczącym spomiędzy warg. Wybierał właśnie numer na klawiaturze telefonu, ale przestał na mój widok. Uśmiechnął się, a jego papieros poruszył się w górę i w dół. Też się uśmiechnąłem i podszedłem z ręką wyciągniętą na powitanie.

Nadszedł czas, bym poznał bliżej Brada Daggetta.

Nie zamierzałam się zakochiwać, ale przecież nikt nie planuje takich rzeczy. Eric Washburn był studentem przedostatniego roku i przewodniczącym literackiego bractwa w Mather, o nazwie St. Dunstan's. O tym nie wiedziałam w momencie, gdy się poznaliśmy. A poznaliśmy się w bibliotece. Już zamykali, był mroźny lutowy wieczór, my zaś opuszczaliśmy budynek jako ostatni, razem wychodząc przez drzwi wahadłowe na łzawiący wiatr. Eric zaproponował mi papierosa, ja odmówiłam, a on zapalił i spytał, w którym kierunku idę. Odprowadził mnie do Barnard Hall. Wówczas ten gest wydawał się zrodzony wyłącznie z galanterii, a nie z bardziej ponurych motywów. W wejściu zaprosił mnie na czwartkową imprezę w St. Dunstan's. Powiedziałam, że przyjdę. Nie należał do szczególnie przystojnych mężczyzn; miał pociągłą twarz i wysokie czoło, wydatny nos i za duże uszy, ale był wysoki i szczupły, a głos miał niski i melodyjny. Tamtego wieczoru nosił długi, grafitowy płaszcz i bordowy szalik kilkakrotnie owinięty wokół szyi. Słyszałam o St. Dunstan's, wiedziałam, że to najbardziej elitarne stowarzyszenie w college'u, sięgające korzeniami do licealnego snobizmu, i doskonale znałam ich siedzibę, Manor, kamiennie-łupkowy zabytek neogotycki stojący na północnym skraju kampusu, gdzie Mather rozlewała się na opuszczone New Chester. Był to piękny budynek, bogato zdobiony rzeźbieniami i gargulcami, o wysokich i łukowatych drzwiach wejściowych i witrażowych oknach. To właśnie taka architektura przede wszystkim mnie tu przyciągnęła. Oglądałam inne miejsca, ale wyłącznie Mather, dwustuletni prywatny uniwersytet o niespełna tysiącu studentów, był jedynym, gdzie poczułam się dobrze. Ceglane budynki akademików, zwieńczone łukami wejścia, obsadzony wiązami dziedziniec – przez to wszystko kampus sprawiał wrażenie, jakby utknął w jakiejś wcześniejszej epoce, jakby był kampusem z powieści kryminalnej, której akcja toczy się w latach trzydziestych, gdzie chłopcy śpiewają *a capella* w kwartetach męskich, a dziewczynki w spódniczkach przechodzą z werwą od klasy do klasy. Ku wielkiemu rozczarowaniu mojej matki – która naciskała na Oberlin, własną *Alma Mater*, odkąd miałam pięć lat – i ku oczywistej obojętności ojca wybrałam Mather.

– Lily – powiedział Eric, zaprosiwszy mnie do Dunstan's. – A jak masz na

nazwisko?

– Kintner.

– Ach, tak. To ty jesteś Kintner. Słyszałem, że tu studiujesz – powiedział w jakiś wyćwiczony sposób, jakby już wcześniej wiedział, kim jestem.

– Znasz mojego ojca?

– Oczywiście. Napisał *Lewy nad prawym*.

Byłam zaskoczona. Większość fanów mojego ojca wspominała *Najdrobniejszą drobinę szaleństwa*, jego farsę o szkole z internatem, a nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek wymienił komedię o życiu londyńskiego krawca.

– O której? – spytałam. Podpierałam otwarte drzwi Barnard's i naprawdę już chciałam wejść do środka.

– Po dziesiątej. Czekaaj, weź to. – Sięgnął do kieszeni swojego wielkiego płaszcza, wyjął niewielki kwadracik i podał mi go. Na białym tle widniał drukowany wizerunek czaszki. – Pokaż to przy drzwiach, żeby wejść.

Pożegnałam się krótkim „dobranoc” i weszłam do akademika. Jessica, moja współlokatorka, jeszcze nie spała, więc powiedziałam jej o zaproszeniu. Poważnie się angażowała w życie towarzyskie Mather i byłam ciekawa, co wie o Ericu Washburnie i czwartkowej imprezie.

– Masz kartę z czaszką! – zawołała, wrywając mi ją z palców. I jeszcze głośniej dodała: – Dostałaś kartę z czaszką od, kurwa, Erica Washburna!

– Co o nim wiesz?

– Jest jak członek rodziny królewskiej. Zdaje się, że jego prapraprapradziadek zbudował Mather. Ty naprawdę o nim nie słyszałaś?

– Słyszałam o St. Dunstan's.

– Trudno, żebyś nie słyszała. To zaproszenie z osobą towarzyszącą?

– Nie sędzę. Nic takiego nie powiedział.

Poszłam na przyjęcie, i to sama. Eric tam był, gdy się zjawiłam, stał za barem i przyrządził mi wódkę z tonikiem, nie spytawszy, co chcę. Następnie wziął mnie pod ramię i przedstawił kilku członkom grupy St. Dunstan's, a dopiero potem wrócił do barmańskich obowiązków. Powiedział, że to przechodnia czwartkowa powinność i że w losowaniu miał pecha, więc przypadła w udziale właśnie jemu. Wnętrza budynku trochę mnie rozczarowały, spodziewałam się czegoś bardziej zgodnego z neogotyckim zewnętrzem. Nie wiem, czego dokładnie. Perskich

dywanów i krzeseł tapicerowanych skórą? Tymczasem była to nieco milsza wersja innych stowarzyszeń, w których gościłam na pierwszym roku. Niskie pomieszczenia, sfatygowane meble i wszechobecny zapach marlboro light oraz taniego piwa. Przeszłam przez pokoje na parterze, rozmawiając z kilkoma członkami, z których wielu pytało mnie o ojca. Po wypiciu trzeciego drinka wróciłam do baru pożegnać się z Erikiem i podziękować mu za zaproszenie.

– Przyjdź w przyszłym tygodniu – powiedział i wyjął z kieszeni kolejną kartę z czaszką. – Nie będę stał za barem.

Gdy dotarłam do domu, Jessica wycisnęła ze mnie każdy szczegół. Powiedziałam prawdę – że w stowarzyszeniu St. Dunstan's nie dostrzegłam nic szczególnie interesującego i że wszyscy tam wydawali się mili, ale niekoniecznie oszałamiająco fascynujący. Że nie ma tam tajnych przejść ani rytuałów inicjacyjnych. Ani pokoju wypełnionego czaszkami dziewcząt z pierwszego roku.

– Jesteś okropna, Lily. Nie poznałaś Matthew Forda, prawda?

– Poznałam. Niski z długą grzywką.

– Boże, ale on jest sexy.

Tak czy owak, St. Dunstan's stało się ośrodkiem mojego życia towarzyskiego tamtej zimy i wiosny. Chodziłam na wszystkie czwartkowe imprezy, a od czasu do czasu na obiady jako para jednego z członków. Nie do końca wiedziałam, dlaczego jestem zapraszana tak często. Odnosiłam wrażenie, że Eric ma dziewczynę, inną studentkę z pierwszego roku, niejaką Faith, która kręciła się przy nim zawsze pod koniec imprezy. Pewnej nocy weszłam do sali bilardowej i zobaczyłam, jak się całują, przyciśnięci do półek na książki. Faith stała na palcach, a i tak Eric musiał się do niej schylać. Jedną rękę miał wplątaną w jej włosy, a drugą przyciskał ją w pasie. Stał przodem do mnie i zanim się wycofałam, na chwilę spojrzał mi w oczy.

Inni członkowie stowarzyszenia (technicznie rzecz biorąc, St. Dunstan's nie było bractwem) od czasu do czasu przystawiali się do mnie, ale nigdy w taki lepki, obleśny sposób, jakiego doświadczyłam kilka razy w siedzibach bractw, do których wybrałam się z Jessicą w semestrze jesiennym. Nie, te podrywy na czwartkowych przyjęciach były zwykle bełkotliwymi komplementami na temat mojego wyglądu, potem zaś padały nieporadne propozycje kolejnego drinka albo jakichś innych niegroźnych używek serwowanych w ich pokojach. Zawsze odmawiałam. Nie dlatego, że chłopcy, którzy składali te propozycje, byli jacyś odpychający, lecz dlatego że pomimo istnienia pięknej, ciemnowłosej Faith kochałam się w Ericu

Washburnie, i to od tamtego pierwszego przyjęcia, kiedy wyszedł z baru, żeby mnie oprowadzić po pomieszczeniach i przedstawić znajomym. Tak jakoś trzymał mnie za ramię, tuż nad łokciem, jakby mówił mi oraz innym, że należę do niego, choćby w nieznacznym stopniu. To ze względu na Erica trzymałam się stowarzyszenia St. Dunstan's, chociaż lubiłam rozmawiać z innymi członkami, nawet jeśli się do mnie przystawiali po pijaku. Chłopców, których tam poznałam, można by na pewno zaliczyć do bogatych snobów, jak to powiedziałaaby moja matka – takich, co myślą, że osobiście chwycili Pana Boga za nogi, podczas gdy stali na ramionach swoich przodków. Zwykle byli grzeczni i prowadzili rozmowy, w których najważniejsza była relacja, jak ostro się nawalili poprzedniego wieczoru albo jak ostro zamierzają się nawalić obecnego wieczoru. Byli to chłopcy udający mężczyzn, więc za wszelką cenę starali się zrobić na mnie wrażenie refleksjami na temat polityki czy literatury. I chociaż chodziło im tylko o jedno, doceniałam ten wysiłek.

Ponieważ po raz pierwszy pojawiłam się w St. Dunstan's na zaproszenie Erica, zwykle przed wyjściem z czwartkowych przyjęć szukałam go, żeby się pożegnać. On wciskał mi do ręki kartę z czaszką i prosił, bym przyszła w następnym tygodniu. Jeśli pod koniec przyjęcia nie było go w pobliżu, jakoś mnie odszukiwał w ciągu tygodnia, by dać mi zaproszenie, a raz zostawił je w mojej przegródce na pocztę w świetlicy. Uważałam te zaproszenia za dowód małego romansu. Bardzo małego, ale też dla mnie był to pierwszy romans w życiu. I nic więcej nie potrzebowałam.

Pierwszy egzamin zdawałam we wtorkowe popołudnie i następnego ranka miałam wsiąść w autobus z New Chester do Shepaug, skąd miała mnie odebrać mama i zawieźć do Monk's House. Po egzaminie zamierzałam się spakować, a jednocześnie cieszyć się odosobnieniem ostatniej nocy w Barnard Hall. Jessica zdała egzaminy wcześniej i wyjechała poprzedniego dnia. Po powrocie z egzaminu z literatury amerykańskiej znalazłam na linoleum w moim pokoju czaszkową kartę z wypisaną na odwrocie wiadomością od Erica: „Dwie pełne beczki. Pomóż nam je dzisiaj obalić”. Kiedy skończyłam pakowanie, przeszłam przez zabłocony kampus, dotarłam do siedziby stowarzyszenia i wcale się nie zdziwiłam, że na miejscu zastałam tylko kilku członków ze swoimi dziewczynami, zgromadzonych wokół baru. Większość studentów już wyjechała. Eric ewidentnie szalenie się ucieszył na mój widok, a ja wypiałam więcej niż zwykle, z radością zauważywszy nieobecność Faith. Nawet spytałam o nią Erica.

– O, Kintner, nie ma jej. Dosłownie i w przenośni.



– To znaczy? – Nagle doznałam przerażającego uczucia, że Faith umarła, a ja nic o tym nie wiem.

– Nie ma jej tu. – Otwartą dłonią zatoczył krąg w powietrzu. – I nie ma jej tu. – Położył tę dłoń na sercu, a kilku jego przyjaciół zarechotało. Zdałam sobie sprawę, że tak pijanego Erica jeszcze nigdy nie widziałam.

– Przykro mi – powiedziałam.

– Nieśluszenie. Nie była mi pisana. Krzyżyk na drogę i powodzenia. – Wykonał kolejny teatralny gest. Nagle zrozumiałam, że tego dnia Eric zaprosił mnie do St. Dunstan's, żeby mnie uwieść i że ja mu na to pozwolę. Na to właśnie czekałam. Nie miałam złudzeń, że to będzie cokolwiek poza jednorazowym numerkiem, ale byłam dziewicą i uznałam, że nadszedł właściwy czas. Nie byłam tak głupia, by uważać, że muszę stracić wianek z kimś, kto mnie kocha, ale ważne było dla mnie, bym to zrobiła z kimś, kogo ja Kocham.

Na piętrze St. Dunstan's Manor znajdowały się trzy sypialnie. Eric, jako przewodniczący, dysponował największą: wysokim pomieszczeniem z oknem wychodzącym na uczelnianą kaplicę. Zamiast jednoosobowego funkcjonalnego łóżka miał tam wielkie łoże z pociemniałego drewna. Przeprosił i zniknął w łazience, więc rozebrałam się i weszłam pod kołdrę. Wrócił z twarzą spryskaną zimną wodą i ustami pachnącymi pastą do zębów. Rozebrał się do bokserów i wsunął pod kołdrę koło mnie.

– Mam założyć prezerwatywę? – spytał.

Potwierdziłam. Nie powiedziałam mu, że jestem dziewicą, bo nie chciałam, żeby się rozmyślił. Tamtej nocy uprawialiśmy seks dwa razy, za pierwszym razem on był na górze. Ze względu na jego wzrost miałam przed nosem rzadkie włosy pokrywające w trójkącie centralną część jego chudej klatki piersiowej. Poruszał się nieporadnie i nie byłam pewna, czy odczuwał przyjemność, ale gdy podniosłam kolana wysoko do jego boków, wypowiedział moje imię wysokim, zdyszonym głosem i było po wszystkim. Później uprawialiśmy seks ponownie, tym razem ja byłam na górze. W dole widziałam jego oblicze, słabo oświetlone przez latarnię za oknem. Pokochałam tę jego twarz pomimo całej jej niezgrabności. Uszy jak spodki, wielkie czoło, wąskie wargi. Eric miał oszałamiająco piękne oczy, ciemnobrązowe, o gęstych rzęsach jak u dziewczyny. Będąc na nim, zmieniałam rytm, zwalniałam, a potem znowu przyspieszałam. Zrobiłam tak kilkakrotnie, gdy Eric nagle przyciągnął mnie do siebie, chwycił ustami mój sutek i zadygotał. Później spytał, czy miałam orgazm. Odparłam, że nie, ale że było mi dobrze, i to była prawda.

Wyszłam przed świtem. Gdy się ubierałam, poruszył się w łóżku, ale zdołałam opuścić pokój, zanim się obudził. Nie chciałam słuchać fałszywych obietnic. Chciałam na wakacje zachować same dobre wspomnienia o Ericu.

Tamto lato było pierwszym po rozwodzie moich rodziców. Matka szalała, miała obsesję na punkcie plotek, że David już się zaręczył, i gorączkowo przygotowywała wystawę w New York Gallery. Dwa razy rozmawiałam z ojcem przez telefon; zaprosił mnie do Londynu, ale odmówiłam, zadowolona, że spędzę wakacje w Connecticut na czytaniu. W Monk's House na szczęście nie było gości. Przez cały sierpień towarzyszyła nam moja poczciwa ciotka, matka postanowiła jednak, że tego lata nie przyjmie żadnych – jak to określiła – żebraków. Nie miałam wiadomości od Erica, ale nawet gdyby chciał się ze mną skontaktować, nie miałby jak tego zrobić. Wedle mojej wiedzy nie miał pojęcia, gdzie mieszkam ani nie znał zastrzeżonego numeru telefonu mojej matki.

Wypełniając wniosek o przydział pokoju na drugi rok w Mather, poprosiłam o jedynekę pomimo protestów Jessiki, która twierdziła, że doskonale nam się razem mieszka. W sierpniu dostałam list z kwaterunku, że przydzielono mi czwórkę z trzema obcymi dziewczynami. Wiedziałam, że albo utknęłam z trzema innymi studentkami, które były na tyle aspołeczne, że wszystkie złożyły podanie o jedynekę, albo były to trzy psiapsiółki, które złożyły podanie o trójkę. Dobra wiadomość była taka, że pokój znajdował się w Robinson Hall, najstarszym akademiku kampusu, ceglanej wieży wychodzącej na dziedziniec. Wszystkie czteroosobowe pokoje miały wbudowane siedziska okienne, a w niektórych działał nawet kominek.

Przyjechałam późnym wieczorem w dniu przeprowadzki. Moje trzy nowe współlokatorki stanowiły najwyraźniej tercet żytych przyjaciółek i zdążyły już ozdobić pokój plakatami z filmów Davida Lyncha i The Smiths. Kojarzyłam je z pierwszego roku, ale osobiście ich nie znałam. Wszystkie miały kruczoczarne włosy i blade twarze: gotycka wersja prywatnego liceum. Dla mnie wyglądały jak trzy różne wcielenia Winony Ryder. Najbardziej radykalna miała nastroszone włosy i ubierała się tylko na czarno jak Winona w *Soku z żuka*. Pozostałe były bardziej porządnicze: Winona z *Orbitowania bez cukru* (włosy na pazia zaczesane z czoła) i Winona z *Syren* (rozpinany sweterek, perły i grzywka – całość może ironiczna, nie wiadomo).

Nie wiem, co o mnie pomyślały trzy Winony w tamten wrześniowy wieczór, gdy pojawiłam się w rybaczkach i Inianej bluzce koszulowej, ale pomimo ciemnej szminki i podwójnie przekłutych uszu były przyjazne i zaproponowały, że przycisną

Joy Division, gdy się rozpakowałam. Właśnie przyjął kieliszek wina od Winony z *Syren*, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Był to Eric Washburn. Zaskoczona przez chwilę sądziłam, że przyszedł do którejś z moich współlokaterek. Ale przyszedł do mnie. Miał na sobie krótkie bojówki i płócienną koszulę, pachniał papierosami i whisky. Poszłam z nim do Manor i prosto do jego pokoju. Opowiadał, jak myślał o mnie całe lato, jak rozpaczliwie próbował się dowiedzieć, gdzie mieszkam. Nawet powiedział, że na pewno mnie kocha. A ja, idiotka, mu uwierzyłam.

Zacząłem z Bradem od wypicia piwa, potem przeszliśmy na Jamesona z piwem imbirowym. Siedzieliśmy w zacisznym boksie u Cooleya, w jednym z nielicznych całorocznych barów w rejonie Kennewick Beach. W menu przechwalali się, że istnieją od 1957 roku, i to nie ulegało wątpliwości. Ścianę za barem przesłaniały brudne bibeloty dostarczone przez te wszystkie lata przez przedstawicieli handlowych. Kinkiety Schlitza. Lustro Genny Light. Lampa w kształcie psa Spudsa MacKenziego. Cieszyłem się, gdy przeszliśmy na Jamesona z piwem, bo gdy wypadła moja kolej pójścia po drinki, mogłem dla siebie wziąć samo piwo.

Gdy się spotkaliśmy przed domem, to ja zaproponowałem Bradowi wypad do baru. Ochocho przystał na ten pomysł, zaproponował, że mnie podwiezie i zabrał kilka kilometrów do Cooleya w Kennewick Beach. Dotarliśmy tam o siedemnastej z minutami jako pierwsi klienci. Barmanka, dziewczyna w wieku studenckim, ubrana w opięte czarne dżinsy i fioletowy bezrękawnik, na nasz widok powiedziała: „Cześć, Braggett”.

– Jak ona cię nazwała? – spytałem, gdy już zajęliśmy miejsca w środkowym boksie.

– Braggett. Tak mnie tu wołają. Połączenie Brad i Daggett. Jeszcze licealna ksywka. Pierwszą kolejkę ja stawiam, szefie. – Wysunął się z boksu i ruszył do baru. Nie wiedziałem dokładnie, co mam nadzieję wyciągnąć z Brada, pijąc z nim, ale Lily prosiła, bym zebrał informacje, więc to właśnie robiłem. Im więcej o nim wiedziałem, tym lepiej.

Przez pierwszą godzinę rozmawialiśmy o postępie prac. Sprawiał na mnie takie samo wrażenie jak zawsze – osiemdziesiąt procent skończonego profesjonalizmu i dwadzieścia procent wciskania kitu, jak sprzedawca samochodów, który z ręką na sercu odradzi ci skórzaną tapicerkę, ale zdoła ci wtrynić drogą nawigację. Piliśmy Heinekena, a gdy rozmawialiśmy, przyjrzałem mu się uważnie. Na pewno był pijakiem wagi ciężkiej, konsekwentnie opróżniał butelkę piwa trzema długimi łykami. A o ile wciąż pozostawał przystojny, dostrzegało się już pewne zużycie. Na opalonej twarzy widziałem ciemne plamy posłoneczne, na policzkach skupiska

żyłek charakterystyczne dla alkoholika. Pomimo muskularnej budowy ciała pod brodą zarysowywała się miękkość, jedynie częściowo skrywająca się pod hiszpańską bródką przyprószoną siwizną. Najlepiej prezentowały się ciemnobrązowe oczy i gęsta czarna czupryna siwiejąca na skroniach.

Wypijając kilka piw, omówiliśmy dom, po czym powiedziałem:

– Mam nadzieję, że Miranda nie doprowadza cię za często do szału. Potrafi być bardzo grymaśna, jak czegoś chce.

– To dobrze. Najgorsi są tacy klienci, którzy ciągle zmieniają zdanie. Nie, pani Severson jest super. – Brad wysunął marlboro red z paczki, która leżała na blacie, odkąd usiedliśmy. Kilka razy postukał filtrem o lakierowane drewno, po czym spytał, czy mam coś przeciwko, żeby wyszedł na fajkę.

Pod jego nieobecność zerknąłem na swój telefon, który od dwudziestu minut wibrował milcząco w mojej kieszeni. Miranda wysłała mi grad esemesów, z których ostatni brzmiał: „Nie żartuj sobie, do cholery, gdzie jesteś?”. Odpisałem jej, że wypiliśmy kilka kolejek z Bradem i że niedługo wrócę do motelu. I żeby nie czekała na mnie, tylko zjadła obiad. Odpisała: „OK”, a potem jeszcze: „xoxoxo”.

Obróciłem się na siedzisku i wyjrzałem przed wejście, gdzie stał Brad, teraz już w ciemności. Wypuszczał dym. Miał pochyloną głowę, więc też wpatrywał się w telefon, pewnie coś pisał. Może również do mojej żony. Na chwilę zapłonął we mnie gniew, ale przypomniałem sobie, że mam misję, a mianowicie zbieram informacje. Wojna zaczęła się od tej drobnuteńkiej utarczki, a im bardziej Brad był pijany, tym większe miałem szanse na ustalenie jego słabych punktów. Poszedłem do łazienki, wziąłem ze sobą niemal pełne piwo i większość wylałem do zlewu, żeby zachować resztki trzeźwości.

Brad wrócił, ale już nie rozmawialiśmy o Mirandzie. Wypytywał mnie o pracę, w ogóle o moje życie, a gdy usłyszał, że studiowałem w Harvardzie, koniecznie musiał się dowiedzieć, co wiem o ich programie hokejowym i na ilu turniejach Beanpot byłem. Chociaż generalnie mnie to niewiele obchodziło, na drugim roku parę razy poszedłem na mecz hokeja z kolegą z pokoju, studentem filologii angielskiej z obsesją na punkcie sportu. Później został zresztą wydawcą magazynu i odniósł wielki sukces zawodowy. Od hokeja przeszliśmy do poprzedniego sezonu Red Soxów, w którym to temacie nieco lepiej się orientowałem. Powiedziałem mu, że mam bilety na cały sezon w łoży dla VIP-ów, i obiecałem, że w przyszłym roku zabiorę go na mecz. Przeszedłszy na jamesona i czując, że wyczerpałem limit repertuaru rozmów o sporcie, spytałem go o rozwód.

– Mam dwójkę świetnych dzieciaków – powiedział, wyjąwszy kolejnego papierosa z kartonowego opakowania. Postukał filtrem w blat. – I wykurwisty problem z byłą żoną.

– Dzieci zostały z nią?

– Do mnie przychodzą tylko co drugi weekend. Widzisz, muszę jej to przyznać, i tylko to: ona jest dobrą mamą i dzieciakom z nią jest lepiej. Ale gdyby to małżeństwo się nie skończyło, zabiłbym ją albo ona by zabiła mnie, i tyle. Ciągłe tylko kurwowanie: „Brad, gdzie ty, kurwa, jesteś?!”, „Brad, wróć, kurwa, wcześniej do domu i napraw kibel”, „Brad, kiedy zabierzesz nas, kurwa, na Florydę?”, „Brad, nie przeszkadza ci, że budujesz te wszystkie piękne domy, a twoja żona mieszka z dziećmi w takiej, kurwa, norze?”. Bez przerwy. Dobrze, że nie miałem cholernej broni. – Uśmiechnął się szeroko. Zęby miał lekko pozółkłe od nikotyny. – Wiesz, o czym mówię, brachu, prawda? A może i nie wiesz. Masz coś na Mirandę?

– Nic. My jesteśmy ciągle jak nowożeńcy. Wszystko jak w rajku.

– O kurwa! – zawołał na cały głos. – No co się dziwić. – Trochę już bełkotał: „Nososieziwić”. Wyciągnął ku mnie rękę zwiniętą w pięść, a ja przybiłem żółwika, nieporadnie, odpowiadając szerokim uśmiechem. Jak to możliwe, że nagle zrobił się tak pijany? Chociaż piliśmy nieprzerwanie od dwóch godzin, jeszcze pięć minut temu Brad wydawał się trzeźwy.

– Nie, nie, Miranda jest świetna – powiedziałem.

– Bez kitu. No bo wiesz, nie zrozum mnie źle, nie jesteś złym facetem czy coś, ale jak zdobyłeś taką żonę?

– Pewnie miałem farta.

– Ta, jasne, farta i parę baniek. – Po jego minie poznałem, że od razu pożałował swoich słów. Nie miałem szansy zareagować, bo natychmiast wyciągnął rękę z podniesioną ku mnie dłonią i zastrzegł: – Jezu, przepraszam. To było nie na miejscu. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

– Nie ma sprawy.

– Nie, jest. Zupełnie nie na miejscu. Jestem dupkiem i za dużo wypilem. Wybacz. Ona ma szczęście, że na ciebie trafiła. To na pewno nie ma nic wspólnego z pieniędzmi.

Uśmiechnąłem się.

– Nie, no ja jestem pewien, że to ma dużo wspólnego z pieniędzmi. Ale mogę z tym żyć.

– Nie, co ty. Nie znam Mirandy w zasadzie wcale, ale nie wydaje mi się, żeby takie rzeczy były dla niej najważniejsze. A znam się na ludziach. – Brad chyba się szykował na długi monolog przepraszający, więc ucieszyłem się, gdy mocno umalowana blondynka usiadła obok niego i trąciła go biodrem.

– Cześć, Braggett – zagała, po czym wyciągnęła do mnie rękę. Chwyciłem jej wiotkie palce w teoretycznym uścisku dłoni. – Cześć, kolego Braggetta. Jestem Polly. Na pewno w ogóle nic o mnie nie słyszałeś.

– Pol – odezwał się Brad. – Poznaj Teda Seversona. To on buduje nowy dom przy Micmac.

– Nie gadaj. – Polly się uśmiechnęła. Pomimo absurdalnego makijażu widać było, że jest śliczna, a kiedyś zapewne była piękna. Naturalne blond włosy, niebieskie oczy i wielkie piersi, którymi popisywała się w bluzce w serek i rozpinanym sweterku. Ta część klatki piersiowej widoczna w dekolcie była opalona i piegowata. – Brad wszystko mi powiedział o tym domu. Wiem już, że będzie piękny.

– Taki jest plan – przyznałem.

– Dobra, chłopaki, zamierzałam wam przeszkodzić w tej małej sesji męskiej przyjaźni, ale skoro gadacie o sprawach służbowych, to ja nie jestem zainteresowana.

– Napij się – zaprosiłem.

– Dzięki jednak. Pogadajcie sobie sami.

Wysunęła się zza stolika i odeszła, zostawiając ciężki zapach perfum.

– To twoja dziewczyna? – spytałem Brada.

– Może w ósmej klasie – odparł i roześmiał się, ukazując mnóstwo zębów. – Ale jak się nawija pod rękę, to nie mam nic przeciwko. Mieszkam tu zaraz obok. Może jak skończysz, to zabiorę cię do domu?

– Jasne – odparłem, chociaż ostatnia rzecz, jakiej teraz chciałem, to kolejny drink, a przedostatnia to wsiąść do wozu z Bradem za kółkiem. Dzięki temu miałbym jednak okazję zobaczyć, gdzie mieszka, i nie mogłem tej okazji przepuścić.

Noc zrobiła się zimna, ale mgła się podniosła i po niebie krążyło mnóstwo gwiazd. Chociaż do Brada mieliśmy niecałe trzysta metrów, zawiózł mnie swoim wozem. Zaparkował nierówno przed pierwszym z kilkunastu pudełkowatych domków, które stały w półokręgu frontem do plaży. Na ręcznie malowanym szyldzie widniał napis *Crescent cottages* i numer telefonu.

– Miranda mówiła, że to twoja własność – powiedziałem, gdy Brad otwierał ciemny domek. We wszystkich było ciemno, światło padało tylko z latarni ulicznej i z jasnego nocnego nieba.

– Należą do moich rodziców, ale ja nimi zarządzam. Teraz jest po sezonie, ale latem cieszą się powodzeniem.

W środku włączył wysoką lampę podłogową. Wnętrze okazało się zaskakująco przyzwoite, ale bardziej przygnębiające, niż się spodziewałem: kilka sztuk praktycznych mebli, ściany pomalowane na biało i prawie nagie. Jedyny przedmiot, po którym znać było, że ktoś tu mieszka, to wielki telewizor na stoliku, niepasujący do stosunkowo niewielkiego salonu. Spodziewałem się smrodu papierosów, ale nic takiego nie stwierdziłem.

Brad podszedł prosto do lodówki we wnęce kuchennej, a ja zamknąłem za sobą liche drzwi. Usłyszałem odgłos obwieszczający odkapslowanie dwóch butelek i po chwili Brad podał mi zimnego heinekena. Usiedliśmy na beżowej kanapie. Brad trochę się przygarbił, szeroko rozłożył nogi. W jego wielkich opalonych dłoniach butelka piwa sprawiała wrażenie małej.

– Jak długo tu mieszkasz? – spytałem, żeby przerwać ciszę.

– Jakiś rok. To rozwiązanie tymczasowe.

– No tak. To widać. Kto by tu chciał mieszkać na stałe?

Natychmiast pożałowałem tych słów. Poczułem się okropnie. Patrzyłem, jak po twarzy Brada przemyka cień nienawiści. Szybko jednak zastąpił go wyraz zamyślenia.

– Jak mówię: tymczasowe. Tylko się dorobię.

Nic nie odpowiedziałem, zapadła cisza. Rozejrzałem się. Na stoliku w rogu leżał równiutki stos magazynów o wędkowaniu. Na wierzchu spoczywał pilot, także równo ułożony bokiem do krawędzi stosu. Na stoliku bocznym bliżej mnie stało zdjęcie chłopca i dziewczynki, zrobione na łodzi. Wyglądali na dwanaście lub dziesięć lat i oboje mieli na sobie pomarańczowe kamizelki ratunkowe.

Wziąłem zdjęcie do ręki.

– To twoje dzieci?

– Jason i Bella. Ale to na mojej starej łodzi. Sprzedałem ją na początku lata i kupiłem sobie Albermale. Ty wędkujesz?

Odparłem, że nie, ale on dalej opowiadał o łodzi. Ledwie słuchałem, ale to w sumie nie miało znaczenia. Dowiedziałem się paru rzeczy o Bradzie Daggetcie.



Abstrahując od tego, że sypiał z moją żoną, stwierdziłem, że zupełnie go nie lubię. Był egoistycznym pijakiem, który z wiekiem prawdopodobnie stawał się tylko coraz bardziej samolubny i bardziej pijany. Dzieci go nie obchodziły, poza ustawieniem zdjęcia w domku, i nie podejrzewałem, żeby w ogóle obchodził go ktokolwiek poza nim samym. Na tym świecie był wartością ujemną. Pomyślałem o Lily i pomyślałem o Bradzie, że nagle kończy swój żywot, i naprawdę się nie przejąłem. Wręcz chciałem, żeby to się stało. Nie tylko dlatego, że w ten sposób Brad zostałby ukarany za to, co robił z moją żoną, lecz także dlatego, że usunięcie Brada z tego świata byłoby czymś dobrym. Na czyje życie miał dobry wpływ? Nie na swoich dzieci, nie na byłej żony. Nie na życie Polly w barze, która może uważała się za jego dziewczynę. Był dupkiem, a jeden dupek mniej na świecie to czysta korzyść.

Przerwałem Bradowi jego monolog na temat łódki i powiedziałem, że idę do łazienki. Panował tam taki sam porządek jak w pozostałych częściach mieszkania. Wylałem piwo do umywalki i zajrzałem do szafki na lekarstwa. Niewiele tam było do oglądania. Maszynki do golenia, dezodorant i produkty do włosów. Duża paczka ibuprofenu. Opakowanie farby do włosów, nieotwarte. Fiolka antybiotyków na receptę, przeterminowanych o pięć lat. Otworzyłem i zajrzałem do środka; wypełniały ją niebieskie kanciaste tabletki, w których rozpoznałem viagrę. Więc jednak nie taki z Brada ogier, jak go malują. W duchu roześmiałem się głośno. Wróciłem do salonu – Brad siedział tak, jak go zostawiłem, ale oczy miał zamknięte, a klatka piersiowa unosiła się miarowo. Przyglądałem mu się chwilę, starając się poczuć coś oprócz obrzydzenia – może trochę żalu, tak na próbę. Na próżno.

Przed wyjściem po cichu przejrzałem zawartość szuflad we wnęce kuchennej. W jednej znajdowały się narzędzia, miarka, kłębek sznurka, rolka power tape'a. W głębi znalazłem rewolwer firmy Smith & Wesson z samonapinaniem. Zdziwiłem się tylko dlatego, że wcześniej żartował, że zabiłby żonę, gdyby miał broń. Przez jedną chwilę nierozwagi zastanawiałem się, czy go nie ukraść, po czym zdałem sobie sprawę, że najpewniej wiedziałby, kto go wziął. Zostawiłem go na miejscu, ale zabrałem świeżo dorobiony klucz z niewielkiego pudełka wypełnionego podobnymi kluczami. Tego braku nie zauważy, niewykluczone zaś, że otworzę nim drzwi do tego domku, a może i do wszystkich domków w kompleksie.

Przed wyjściem jeszcze raz się rozejrzałem. Brad nie zmienił pozycji ani o milimetr. Wyszedłem na zimne, słonawe powietrze i cichutko sprawdziłem, czy

klucz pasuje do drzwi wejściowych. Wsunął się i przekreślił. Obróciłem go z powrotem, po czym wrzuciłem do kieszeni. Wyciągnąłem telefon i już miałem zadzwonić po Mirandę, żeby mnie odebrała, gdy uznałem, że przecież mogę się przejść. Zimne powietrze przyjemnie chłodziło mi skórę. Oddychałem głęboko przez nos, sól w powietrzu dodała mi wigoru, już dawno nie czułem takiego ożywienia. Ruszyłem spacerem. Zostało mi do przejścia zaledwie parę kilometrów, a czułem, jakbym miał w sobie energię całego świata.

Przez cały mój drugi rok, a Erica ostatni, niemal każdą czwartkową, piątkową i sobotnią noc spędzałam w St. Dunstan's Manor w sypialni na piętrze. Wtedy uważałam ten okres za najszczęśliwszy w moim życiu. Z perspektywy czasu, i nie ze względu na to, co stało się później, zdałam sobie sprawę, że był to również rok niepewności i niepokoju. Kochałam Erica Washburna, a on mówił, że kocha mnie. Wierzyłam mu, ale wiedziałam też, że jesteście młodzi, że Eric niedługo skończy studia, że zamierza się przenieść do Nowego Jorku i znaleźć pracę w sektorze finansowym. A ja miałam plan, by spędzić następny rok w Londynie w Instytucie Sztuki Faunce, studiując konserwację dzieł sztuki. Chociaż rozmawialiśmy z Erikiem o przyszłości, mówiłam sobie, że na pewno wszystko się zmieni po zdobyciu przez niego dyplomu ukończenia Mather.

W tamtym roku prowadziłam dwa osobne, choć kompatybilne życia. Od niedzieli do czwartku się uczyłam. Moje współlokatorki, trzy Winony, głośno puszczały muzykę i paliły w kółko papierosy, ale były zaskakująco ciche i stosunkowo życzliwe. Odkryłam, że mam dużo wspólnego z Winoną z *Syren*, moim książkowym. Tak jak ja, w dzieciństwie ubóstwiała Nancy Drew. W czwartkowy wieczór szłam do siedziby St. Dunstan's na cotygodniowe przyjęcie. Brałam ze sobą największą torebkę, pakowałam do niej ciuchy na przebranie i przybory toaletowe, ponieważ zawsze zostawałam tam na noc, a czasami na cały weekend. Od piątku rano do niedzielnego wieczoru rzadko rozstawaliśmy się z Erikiem, z wyjątkiem zajęć i meczów racquetballu Erica albo ultimate frisbee, albo jakichś innych spontanicznych rozgrywek, w których Eric musiał wygrać. Oglądaliśmy filmy w siedzibie kampusowego teatru i wyprawialiśmy się do New Chester do knajpki z włoską kuchnią, a czasami chodziliśmy na imprezy nieodbywane się w St. Dunstan's ani nieorganizowane przez jego członków, ale to należało do rzadkości. Trwaliśmy w bezpiecznym, wygodnym związku wypełnionym przewidywalną rutyną, codziennymi hermetycznymi żartami i seksem, który mnie się wydawał idealny. Mówiliśmy do siebie po nazwisku: Washburn i Kintner. Jakimś cudem unikaliśmy melodramatów, rozczarowania czy zdrad. Wielbiłam nasz związek w tej postaci, ale zachowywałam to dla siebie,

mówiąc tylko Ericowi i nikomu innemu, jak silne jest moje przywiązanie. On odwzajemniał moje uczucia i czasami mówił o naszej wspólnej przyszłości po ukończeniu Mather.

Poprzednia dziewczyna Erica, Faith, też studiowała na drugim roku i nadal regularnie uczestniczyła w czwartkowych imprezach. Teraz spotykała się z Matthew Fordem, a ponieważ byliśmy dziewczynami dwóch najznacniejszych członków St. Dunstan's, Faith trzymała się ze mną w tamtym roku i nawet czasami zadawała mi pytania na temat mojego związku z Erikiem, chociaż ja nigdy nie dałam się na to złapać. Niezbyt ją lubiłam. Żywa i bystra, lubiła się znajdować w centrum uwagi, ale nie miałam nic przeciwko spędzaniu z nią czasu. Gdyby Faith w ogóle nie było w pobliżu, ciekawość na temat dziewczyny, która spędziła dwa lata z Erikiem, może przerodziłaby się w obsesję. Ale ona była, poznałam ją i z tego powodu nie zaprzętała moich myśli ani wyobraźni.

Rozumiałam, co Erica w niej pociągało. Miała okrągłą buzię, krótkie czarne włosy i była seksowna. Nosiła ciuchy wzięte prosto z regulaminu dla licealistki, ale sweterki zawsze odrobinę za ciasne, a spódniczki zawsze odrobinę za krótkie. Kiedy rozmawialiśmy, zbliżała się do mnie i nawiązywała rozbrajający kontakt wzrokowy, ale często się śmiała i sama robiła zabawne żarty. Jeśli szliśmy gdzieś razem, Faith wpychała mi się pod ramię, a jeśli stała za mną, przeczesywała mi palcami włosy. Żadne z moich rodziców nie okazywało mi fizycznej czułości, więc to dotykanie przez Faith często wprawiało mnie w niepokój, ale czasami mnie pokrzepiało. Raz, gdy była pijana, powiedziała, że chce przeanalizować kolor moich oczu. Przysunęła się blisko, aż jej brązowe oczy wydawały się przeogromne.

– Są jak gobelin – powiedziała. Gorący oddech owiewał mój policzek. – Widzę plamki szare i żółte, niebieskie, brązowe i różowe.

Eric rzadko mówił o Faith, ale gdy pewnej nocy leżeliśmy w łóżku, spytał, czy przeszkadza mi ta jej bliska obecność.

– Niezupełnie – odparłam. – Uznała, że jesteśmy przyjaciółkami. Zauważyłeś?

– Ona się przyjaźni ze wszystkimi. Nie, przepraszam. Myślę, że naprawdę cię lubi i chce być twoją najlepszą przyjaciółką, tyle że...

– Nie przejmuj się. Wiem, o co ci chodzi. Nie mam zamiaru zostawać jej najbliższą przyjaciółką. Wydaje mi się, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. Oprócz ciebie.

– Nie, nie macie nic wspólnego. Ręczę za to. Nie jest złą osobą, a z Mattem

stanowią świetną parę.

– Chyba tak – powiedziałam.

I to była cała nasza rozmowa na temat Faith.

Tamtego lata wróciłam do Monk's House. Moja mama miała nowego chłopaka, Michaela Bialika, brodatego wykładowcę lingwistyki na uniwersytecie, zaskakująco przyziemnego. Miał własny dom niecały kilometr od naszego, przebudowaną stodołę, w której mieszkał z synem, geniuszem pianistycznym o imieniu Sandy. Michael uwielbiał gotować i z tego względu mama spędzała dużo czasu w jego domu, zostawiając Monk's House mnie. Od poniedziałku do piątku pracowałam po cztery godziny w bibliotece, a resztę czasu spędzałam albo na czytaniu, albo na krzątaniu się po domu. Byłam zakochana. I spokojna. Wróciłam nawet na swoją ulubioną łąkę, miejsce wiecznego spoczynku Cheta. Pokrywa studni wyglądała tak samo jak wtedy, przed laty, gdy ją odkryłam ukrytą pośród żółkłych na zimę traw. W starej zagrodzie nadal nikt nie mieszkał.

Zamierzałam w weekendy odwiedzać Erica w Nowym Jorku, ale gdy on odwiedził mnie w Monk's House, zakochał się w nim, a w każdym razie tak twierdził.

– Chcę tu spędzać wszystkie weekendy, Kintner. To będzie doskonałe życie. Dni powszednie w mieście, a w piątek po południu wsiadam w pociąg i przyjeżdżam do ciebie. Weekendy na wsi.

– Nie zanudzisz się?

– Nie ma mowy. Podoba mi się tu. A ty? W takim układzie cały swój czas musiałabyś spędzać tutaj.

– Tak wygląda każde moje lato. Nie mam nic przeciwko. I w weekendy będę czekać na ciebie.

W ten sposób nasze wakacje stały się repliką roku akademickiego. Tydzień w pojedynkę. Weekendy razem. Nie przeszkadzało mi to, bo nigdy nie miałam nic przeciwko samotności. A dni, które spędzałam sama, przybliżały mnie do weekendów, gdy widziałam, jak Eric wysiada z pociągu z niewielką torbą na ramieniu i wielkim uśmiechem na twarzy. Te weekendy były o wiele bardziej intensywne. Z dala od Mather nasz związek wydawał się dojrzały, swobodniejszy. Czuliśmy się jak małżeństwo. Więc nie, nie miałam nic przeciwko spędzaniu z Erikiem tylko dwóch dni co tydzień.

Eric także nie miał nic przeciwko. Ze swoich powodów.

Może nigdy bym tych powodów nie poznała i może jesienią wyjechałabym do Londynu w przekonaniu, że Eric jest miłością mojego życia, gdyby mój ojciec nie przybył do Nowego Jorku w ostatnim tygodniu sierpnia i nie zaprosił mnie na lunch. Wydawał nową książkę, zbiór opowiadań, więc przyjechał na spotkanie ze swoim amerykańskim agentem i z wydawcą, a także na czytanie swojej książki w Strand Books. Nie zaprosił mnie na to wydarzenie, w czym nie było nic dziwnego. Raz go zapytałam – chyba na początku liceum – czy mogę pójść, a on odparł: „Boże, Lily, jesteś moją córką. Nie mógłbym cię na to narazić. Już i tak fatalnie, że czujesz potrzebę czytania moich książek, więc daj sobie spokój z słuchaniem, jak je czytam na głos”.

Wzięłam więc wolne w bibliotece i wsiadłam w pociąg do Nowego Jorku. Zjadłam z ojcem lunch w lansiarskiej restauracji przy jego hotelu w centrum, rozmawialiśmy o moim pobycie w Londynie. Obiecał przesłać mi mejlem listę przyjaciół i krewnych, których muszę odwiedzić, wraz z jego ulubionymi miejscami w Londynie, z których większość stanowiły puby. Potem przemaglował mnie pod kątem smaczków na temat mojej matki i jej nowego chłopaka. Ku swemu ogromnemu rozczarowaniu dowiedział się, że w ogólnym rozrachunku profesor lingwistyki jest porządnym człowiekiem. Po lunchu pożegnaliśmy się przed hotelem.

– Wygląda na to, że dobrze sobie poradziłaś, Lily, pomimo takich rodziców – powiedział, nie po raz pierwszy zresztą. Uściskaliśmy się jeszcze.

Był to osobiście miły dzień jak na koniec sierpnia w mieście, więc ruszyłam do centrum, w kierunku biura Erica, gdzie jeszcze nigdy nie byłam. Powietrze, które gęstniało przez cały miesiąc, nagle uwolniło się od wilgoci. Radośnie przemierzałam spokojne o tej porze dnia ulice. Jeszcze nie zdecydowałam, czy przeszkodzę mu w pracy bez zapowiedzi, czy nie, ale rozważałam to i właśnie sobie wyobrażałam wyraz zaskoczenia na jego twarzy, gdy wejść do jego firmy. Z zamyślenia wyrwał mnie czyjś głos wołający mnie po imieniu. Odwróciłam się i ujrzałam Katie Stone, znaną mi z przedostatniego roku w Mather, a także z imprez w St. Dunstan's. Właśnie przechodziła przez ulicę, machając do mnie.

– Tak sądziłam, że to ty – powiedziała, wchodząc na chodnik. Minęła ją żółta taksówka. – Nie wiedziałam, że spędzasz lato w mieście.

– Bo nie spędzam. Mieszkam u mamy w Connecticut, ale tata jest tutaj i dzisiaj jadłam z nim lunch.

– Chcesz iść na kawę? Wyszedłam wcześniej z pracy. Boże, Nowy Jork w sierpniu jest taki przygnębiający.

Poszliśmy do sieciowej kawiarni na rogu i obie zamówiliśmy mrożoną latte. Katie paplała o studentach z Mather, których obie znałyśmy, i o takich, o których ja w życiu nie słyszałam. Była istną skarbnicą plotek, więc zdziwiłam się, że nie pyta mnie o Erica.

– Często widzisz Erica? – spytałam w końcu.

Jej oczy otworzyły się szeroko, gdy padło jego imię.

– Och. Nie chciałam o nim wspominać. Nie, często to nie, ale czasami go widuję. Wiesz, on gdzieś tu pracuje.

– Tak, wiem. Dlaczego nie chciałaś o nim wspominać?

– No, nie wiedziałam, jak się czujesz, skoro się już nie spotykacie. Nie wiedziałam, czy chcesz w ogóle o nim słyszeć.

Po mojej skórze przebiegł zimny dreszcz. Już miałam powiedzieć, że oczywiście, że się nadal spotykamy, ale coś mnie powstrzymało.

– Jak to? – spytałam tylko. – Co się z nim dzieje?

– Nic, w każdym razie z tego, co wiem. Czasem go widuję, ale w weekendy nie ma go w mieście. Jego tata choruje. Może o tym słyszałaś?

– Nie – odparłam. – Co mu jest?

– Chyba rak. Eric jeździ do niego co weekend. Muszą być sobie bardzo bliscy? – wypowiedziała to jak pytanie, a ja zdołałam skinąć głową, choć nagle poczułam, że muszę natychmiast wybiec z tej kawiarni, uciec od Katie. Na szczęście zadzwoniła jej komórka, więc przeprosiła i zaczęła przeszukiwać swoją ogromną torbę. Wzięłam od baristy klucz do toalety i zamknęłam się w pomieszczeniu wielkości szafy. W głowie kłębiły mi się myśli, desperacko usiłowałam zrozumieć informację, którą właśnie usłyszałam. Starłam się zakwestionować słowa Katie – to musiało być jakieś absurdalne nieporozumienie – ale bardziej logiczna część mojej natury sugerowała, że to prawda. I że jestem idiotką. Eric prowadził podwójne życie, nikt nie wiedział, że co weekend jeździ do mnie. Oddałam klucz i zobaczyłam, że Katie dalej rozmawia, wykorzystałam więc okazję, by postukać ją w ramię, wskazać zegarek i szybko ruszyć do drzwi. Katie opuściła rękę z komórką i wstała, ale ja tylko bezgłośnie powiedziałam: „przepraszam” i nie zatrzymałam się.

Wyszędłszy na zewnątrz, ruszyłam boczną ulicą mieszkalną. Jedna z kamienic z czerwonego piaskowca miała schody wejściowe ocienione drzewem liściastym.

Przycupnęłam wysoko, nie przejmując się, że zaraz mnie zauważy jakiś właściciel i każe mi odejść. Nie wiem, jak długo tam siedziałam, ale pewnie ze dwie godziny. Przez część tego czasu czułam się żałośnie, ale dość szybko zaczęłam się uspokajać. Przeanalizowałam sytuację. Eric uporządkował swoje życie ze mną tak, że toczyło się wyłącznie w weekendy i nigdy w mieście. To był cały on. Tak samo było w college'u. Ale dlaczego kłamał na temat miejsca swojego pobytu w weekendy? Powód mógł być tylko jeden – Eric był związany z kimś tutaj, w Nowym Jorku.

Tuż przed siedemnastą ruszyłam w stronę jego firmy. Znałam adres, ale nie wiedziałam, jak ten budynek wygląda. Szłam powoli, przyglądając się przechodniom. Wiedziałam, że nie dam rady spotkać się z Erikiem, ale nie byłam jeszcze gotowa wyjechać z miasta. Chciałam zobaczyć, jak pracuje, może nawet zobaczyć go tak, żeby on nie widział mnie.

Jego biuro mieściło się w nijakim czterokondygnacyjnym budynku obok Gray's Papaya. Usiadłam na ławce naprzeciwko wejścia, wyjęłam „New York Post” z pobliskiego śmietnika, rozłożyłam przed sobą, ale nie odrywałam wzroku od wejścia do budynku. Tuż po siedemnastej pojawiło się paru mężczyzn w garniturach i jedna kobieta w spódnicy i bluzce. Eric wyszedł z następną, trzyosobową grupką. Miał na sobie jasnoszary garnitur, a gdy cała trójka wyszła na chodnik, jednocześnie zapalili papierosy. Nie zdziwiłam się widokiem palącego Erica, chociaż mówił mi, że rzucił w dniu rozdania dyplomów. Odwiedzając mnie w Connecticut, ani razu nie zapalił, ale to z racji dwoistości swojej natury. Jego współpracownicy z zapalonymi papierosami ruszyli w stronę centrum, Eric zaś stał chwilę, patrząc na swój telefon. Podjechała żółta taksówka i sądziłam, że do niej wsiądzie, a tymczasem wysiadła z niej ruda kobieta w minisukience retro. Pocałowała go, a on wyrzucił papierosa.

Rozmawiali chwilę, Eric trzymał dłoń na jej biodrze.

Czułam ból w klatce piersiowej, obraz migotał mi przed oczyma, przez krótką chwilę sądziłam, że dostanę ataku serca. Aż nagle najgorsze minęło. Wyprostowałam się, wzięłam głęboki oddech i przyjrzałam się dziewczynie. Wyglądała znajomo, ale musiałam zobaczyć jej twarz. Fakt, że też była ruda, odczułam jak cios w samo serce, chociaż widziałam z tej odległości, że ta dziewczyna kolor włosów zawdzięcza fryzjerowi, a nie genom.

Kiedy się odwrócili, przez jedną straszliwą chwilę sądziłam, że przejdą przez ulicę prosto na mnie, ale wzięli się pod ramię i ruszyli na północ. Przyglądałam im się sponad gazety i w końcu ujrzałam twarz dziewczyny Erica. To była Faith,



rudowłosa Faith. Kiedy później o tym myślałam, wydawało mi się oczywiste, że to Faith – któż by inny? Najbardziej wstrząsnęła mną zmiana jej wyglądu. Jej włosy stały się teraz rude jak moje. Byłam wściekła. Wściekła jak diabli. Dawno nie byłam tak wściekła.

Zanim się pożegnaliśmy w The Concord River Inn po uzgodnieniu, że powinienem spędzić jakiś czas w Maine z Bradem i Mirandą, zaplanowaliśmy z Lily następne spotkanie. Miało się odbyć dwie soboty później, o tej samej godzinie, ale na terenie The Old Hill Burying Ground, starego cmentarza na zboczu ponad Monument Square w centrum Concord. Były tam ławki, więc mogliśmy usiąść obok siebie i rozmawiać, a mniej byśmy się rzucali w oczy niż w knajpie.

Stawiłem się na miejscu w sobotnie popołudnie przed czasem. W mieście spotykało się turystów, ale na wzgórze nie zaglądali. Usiadłem sam na zimnej, żelaznej ławce, patrząc ponad gontowymi dachami w stronę Main Street. Nisko wiszące niebo miało kolor granitu. Nieprzerwany, nieustępliwy wiatr rozrzucał barwne liście w powietrzu. Wypatrywałem Lily, przyglądając się samochodom objeżdżającym Monument Square, chociaż nie miałem pojęcia, jakim wozem jeździ. Próbowałem zgadywać. Czymś klasycznym, ale z odrobiną polotu. Może jakimś zabytkowym bmw albo starym mini. Ale gdy dostrzegłem Lily, nie wysiadała z samochodu, lecz szła energicznym krokiem przez Main Street. Miała na sobie zielony płaszcz do kolan, a jej rude włosy podskakiwały z każdym krokiem.

Patrzyłem, jak idzie w stronę cmentarza i straciłem ją z oczu, gdy zniknęła przesłonięta przez dachy. Poczułem falę ekscytacji, że zaraz ją znowu zobaczę – po części z racji rosnącej romantycznej obsesji, a po części dlatego, że nie mogłem się doczekać, aż opowiem jej o swojej wyprawie i o kluczu, który ukradłem Bradowi, kluczu do jego domku. Czułem się trochę jak dziecko, które przynosi mamie dobre świadectwo ze szkoły.

Ponownie ujrzałem ją na chodniku biegnącym przez cmentarz. Uśmiechnęła się do mnie i usiadła po drugiej stronie ławki.

- Ależ widok – powiedziała głosem nieco zdyszany po wspinaczkę na wzgórze.
- Widziałem, jak idziesz Main Street. Czulaś, że jesteś obserwowana?
- Nie. Nawet o tym nie myślałam. Martwiłam się, że jestem spóźniona i że może już zrezygnowałaś z czekania.
- Och, w życiu bym nie zrezygnowała. Mam ci zbyt wiele do powiedzenia.

Odwróciła się do mnie. W szarym paździenikowym świetle jej twarz sprawiała wrażenie wypranej z kolorów, podczas gdy włosy miała bardziej rude, niż pamiętałem; była to niepokojąco żywa barwa pośród szarych nagrobków. Chciałem wyciągnąć rękę i jej dotknąć, upewnić się, że jest prawdziwa, ale się powstrzymałem.

– Pojechałeś do Maine? – spytała.

– Tak. – Opowiedziałem jej, jak minął mi ten tydzień, jak spędziłem czas z Bradem, jak byłem u niego w mieszkaniu i wziąłem klucz.

– Myślisz, że nie zauważy?

– Nie. Miał ich w szufladzie cały stos. Prowadzi tam biznes, więc zakładam, że potrzebuje mnóstwa kluczy. Z tego, co wiem, to wszystko to klucze uniwersalne, które otwierają każdy zamek.

– No cóż, to może tylko pomóc. Ale pamiętaj: jak będzie już po wszystkim, musisz się pozbyć tego klucza albo go podrzucić z powrotem. Nie możesz dopuścić, by znaleziono przy tobie jakikolwiek dowód. Wiesz zresztą.

Kiwnąłem głową, a Lily spytała:

– Czego jeszcze się dowiedziałeś o twoim domu? Jest jakiś termin zakończenia prac?

Przekazałem jej to, co powiedział mi Brad – że powinien zakończyć prace na początku grudnia, najpóźniej do stycznia.

– To znaczy, że musimy działać stosunkowo szybko. Ważne, żeby to się stało przed zakończeniem budowy. Tak uważam.

Zaplanowaliśmy, gdzie muszę być i kiedy, i co każde z nas będzie robić. Lily omówiła to, jakbyśmy byli dwójką uczniów z liceum analizujących podział zadań przy prezentacji projektu naukowego. Ja byłem osobą skupioną na szczegółach – musiałem być ze względu na pracę, którą wykonywałem, i pieniądze, które zarabiałem – i miałem naturalną skłonność do robienia notatek, ale wiedziałem, że tym razem nic nie mogę zapisać. Absolutnie nic. Lily uprzedziła mnie już, że to nasze ostatnie spotkanie, zanim zostanę wdowcem, a potem możemy się znowu spotkać, ale przypadkowo, jakbyśmy się w ogóle nie znali. Kiedy rozmawialiśmy i kiedy zapamiętywałem, co trzeba zrobić, znowu poczułem ucisk w piersi, skurcz w gardle i szczęce. Przechyliłem głowę. W szyi mi coś strzeliło.

– W porządku? – spytała Lily.

– Tak. To się staje prawdziwe. Planowanie mojego wypadu zwiadowczego do

Maine to jedno, a to tutaj to trochę co innego.

Lily się wyprostowała, wsunęła dolną wargę pod górną. W jej oczach widziałem troskę.

– Nie musisz przez to przechodzić, wiesz? – powiedziała. – To dla ciebie, nie dla mnie, a na pewno nie chcę, żebyś zrobił coś, co będzie cię prześladować przez resztę życia.

– Nie boję się tego. Może się martwię, że coś się nie uda.

– Jeśli zrobimy wszystko zgodnie z planem, to nie ma takiej opcji. Pozwól, że spytam: gdyby dzisiaj w Maine było trzęsienie ziemi i Miranda z Bradem zginęliby z tego powodu, co byś czuł?

– Byłbym szczęśliwy – odparłem bez zastanowienia. – To by rozwiązało wszystkie moje problemy, a oni by zasłużyli na taki los.

– Więc my właśnie to robimy. Trzęsienie ziemi, które pochłonie życie ich obojga. A jeśli zrobimy to jak należy, wszyscy, w tym śledczy zajmujący się tą sprawą, w sposób naturalny założą, że Miranda została zamordowana przez Brada, ten zaś uciekł z miasta. Wszystkie wysiłki skierują na znalezienie go, lecz to im się nigdy nie uda. Mogą cię przez chwilę podejrzewać. Byłoby dziwne, gdyby nie podejrzewali, ale nie znajdą niczego, co by potwierdzało ich podejrzenia, alibi zaś będziesz miał żelazne.

– Dobra, ufam ci.

– Słuchaj, jeśli w którymkolwiek momencie uznasz, że nie chcesz tego robić, to po prostu mi powiedz. Ale jeśli się martwisz, że coś się nie uda, to moim zdaniem nie musisz. Jeśli będziemy uważać i zrobimy wszystko tak, jak zaplanowaliśmy, nie padnie na ciebie nawet cień podejrzenia. Miranda i Brad dostaną, na co zasłużyli, a to nie wszystko. Pomyśl, ile współczucia okażą ci inni ludzie. Twoja piękna młoda żona zamordowana przez zwyrodniałego kochanka. Będziesz atrakcyjną partią.

Lily się uśmiechała. Założyła kosmyk włosów za ucho.

– Tak między nami – powiedziałem – mam inny motyw.

– Tak?

– Tak. No chyba że ty... że ty się zgłaszasz na chętną.

Lily ciągle się uśmiechała.

– Och, napięcie rośnie.

– Albo spada

Roześmiała się.

– Rzeczywiście. Może spada.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, aż uśmiech Lily zbladł. Przygarbiła się i trochę wyżej zapięła płaszcz.

– Zimno ci? – spytałem.

– Trochę. Może się przejdziemy? Nigdy tu nie byłam.

Przystąpiłem na propozycję, więc ruszyliśmy na spacer między chwiejącymi się, zniszczonymi nagrobkami. Lily wzięła mnie pod ramię. Czuliśmy się swobodnie, nie musieliśmy rozmawiać, jakbyśmy byli wiekową parą dzielącą całe długie lata wspomnień. Gdzieniegdzie odczytywaliśmy inskrypcje, większość dotyczyła ludzi żyjących w osiemnastym stuleciu, wielu z nich zmarło w wieku tak młodym, że dzisiaj uznano by to za tragedię. Ale jakiegoś życia zaznali. I bez względu na to, w jak młodym wieku odeszli, dzisiaj i tak nie żyliby już od dawna.

Napisy na niektórych płytach starły się tak, że zamieniły się w nieczytelne hieroglify, na wielu widniała czaszka ze skrzydłami i słowa *Memento mori*. „Pamiętaj o śmierci”. Przesunąłem palcem po jednej z inskrypcji, czaszce z okrągłymi sówimi oczyma i pełnym uzębieniem. Pomiędzy czaszką a napisem widniały dwa zestawy skrzyżowanych piszczeleli.

– Ciekawe, kiedy przestano umieszczać symbole śmierci na nagrobkach – powiedziałem. – A to było takie trafne.

– Tak, to prawda. – Lily przysunęła się do mnie bliżej. Na końcu cmentarza teren opadał nieco bardziej stromo, więc znaleźliśmy się poniżej jego górnej krawędzi, a do tego pod drzewem, wciąż udekorowanym żółtymi liśćmi. Niemal jednocześnie się odwróciliśmy, wziąłem Lily w ramiona i pocałowaliśmy się. Rozpiąłem jej płaszcz i wsunąłem pod spód dłonie, objąłem ją w talii. Miała na sobie kaszmirowy sweter. Zadygotała.

– Ciągle ci zimno? – spytałem.

– Nie – odparła i pocałowaliśmy się raz jeszcze, a pocałunek stawał się wilgotniejszy, gdy przyciskaliśmy się do siebie coraz mocniej. Przesunąłem dłoń na przód swetra, poczułem jej zębra, a potem niewielką wypukłość piersi, twardey sutek. Na dźwięk pękającej gałęzi obróciliśmy się oboje. Na szczycie cmentarza stała samotna postać, robiła zdjęcie jednego z nagrobków. Odskoczyliśmy od siebie, ale nadal na siebie patrzyliśmy.

– Powinniśmy już iść – powiedziała Lily.

- Dobra. – Głos mi trochę ochrypl.
- Znasz plan? Mamy go jeszcze raz omówić?
- Wszystko kumam. Wszystko mam tu. – Postukałem się w czoło.
- A więc dobra.

Żadne z nas się nie poruszyło.

- A potem... – odezwałem się – możemy to kontynuować?

– Ja bym chciała.

– I zdradzisz mi wszystkie swoje sekrety?

– Tak. Powiem ci wszystko. Nie mogę się doczekać.

Przypomniałem sobie swój półzart, który rzuciłem w Concord River Inn – spytałem ją, ilu ludzi zabiła. I znowu zadałem sobie pytanie, z kim ja się wiązę. I znowu odpowiedziałem sobie, że mam to w nosie.

– Powinniśmy stąd wyjść osobno.

– Wiem. Zanim się temu fotografowi nawiniemy w obiektyw.

Podniosłem wzrok na szczyt. Mężczyzna stał tam nadal, patrząc przez wizjer na linię pochyłych kamieni.

– Ja idę pierwsza – powiedziała Lily.

– Dobra. Do zobaczenia...

– Właśnie. Do zobaczenia... i powodzenia.

Odeszła, wspięła się na szczyt wzniesienia i zniknęła, a mężczyzna z aparatem nawet się za nią nie odwrócił. Stałem w miejscu, czując wciąż na wargach smak jej ust. Zapiąłem płaszcz, wepchnąłem ręce głęboko w kieszenie. Niebo, nadal ołowiane, rozjaśniło się odrobinę, tak że musiałem zmrużyć oczy, gdy odprowadzałem Lily wzrokiem. Odkąd postanowiłem zabić żonę, po raz pierwszy poczułem, że chcę, by stało się to już zaraz. Czułem się jak dziecko tydzień przed Gwiazdką; dni się ciągnęły, każdy stanowił miniaturową wersję wieczności. Chciałem śmierci Mirandy. Zadrwiła z naszej miłości. Zadrwiła ze mnie. Wciąż myślałem o tym, jak na mnie patrzyła kiedyś, jak czasami i dziś na mnie patrzy, jakbym był centrum jej wszechświata. A potem wydarła mi serce. Jak miałbym dzielić zarobione własnymi rękoma pieniądze z kobietą, która zrobiła coś takiego? Wydarła mi serce, jakby to nic dla niej nie znaczyło? Taki motyw mną kierował i mówiłem sobie, że w to wierzę.

Ale teraz miałem nowy motyw. Lily. Robiłem to ze względu na Lily. Chciałem

zabić żonę, żeby być z nią. A ten motyw miał więcej sensu niż wszystkie inne.

Do wyjazdu do Londynu, gdzie miałam spędzić cały rok, został jeden weekend. Powiedziałam Ericowi, że mam straszny katar i może nie powinien przyjeżdżać. Zgodził się, pod warunkiem że dam mu się odwieźć we wtorek na lotnisko JFK. Myślałam, że parę godzin z nim w samochodzie upłynie mi w udręce, ale okazało się to łatwe. Musiałam po prostu zachowywać się, jak gdyby nigdy nic.

Przez wakacje kilka razy omawialiśmy z Erikiem mój rok w Londynie. Dałam mu szansę podzielić się wątpliwościami, ale upierał się, że powinniśmy zostać razem, czekać na siebie. Jego pierwszą wizytę zaplanowaliśmy na październik, sześć tygodni po moim wyjeździe. Eric już kupił bilet. Kiedy więc pożegnaliśmy się w hali odlotów JFK, rzekł:

– Sześć tygodni to długo, ale tak się tylko wydaje. Niedługo znowu się zobaczymy.

– Słuchaj... – odparłam – to może zabrzmieć dziwnie, ale chcę, byś wiedział, że jeśli twoim zdaniem to rozstanie jest za długie, to ja zrozumieję. Jeśli chcesz przerwy, jeśli chcesz być z kimś innym, nie spodoba mi się to, ale nie będę cię powstrzymywała. Chciałabym, żebyś mi teraz o tym powiedział. Teraz. Nie później.

Zaniepokojony uważnie wpatrywał mi się w oczy.

– Tego chcesz?

– Nie, zupełnie nie. Ale chcę, byś powiedział mi prawdę. Jeśli mnie zdradzisz, na pewno nie zareaguję dobrze.

– Absolutnie nie musisz się o to martwić. Absolutnie. – Wpatrywałam się w jego twarz, szukając oznak oszustwa. Ćwiczyłam się w tym od wielu lat, mieszkając z moimi rodzicami, i z czasem doszłam do przekonania, że bezbłędnie rozpoznaję, czy ktoś mnie okłamuje. Ale na twarzy Erica widziałam wyłącznie miłość i szczerść.

– Nie mogę się doczekać października – powiedziałam i przez chwilę przytrzymałam go mocno, podczas gdy trąbił na nas range rover, któremu blokowaliśmy drogę. W pewien sposób nie kłamałam. W tej chwili wypatrywałam wizyty Erica. Wyras jego twarzy, niewinnej, kochającej, przypieczętował jego los.



Nie wiedziałam jeszcze, jak to zrobię, ale wiedziałam, że znajdę sposób, by ukarać Erica, gdy przyjedzie do Londynu.

Instytut Sztuki Faunce przyjmował rocznie tylko garstkę zagranicznych studentów, więc przez tydzień zapoznawczy mieszkałam w hotelu przy Russell Square z jakąś czterdziestką amerykańskich słuchaczy, z których wszyscy uczestniczyli w czymś o nazwie Akademia Studiów Zagranicznych. Było to kolegium zaspokajające zachcianki amerykańskiej młodzieży w trakcie roku spędzanego na studiach za granicą. W pierwszym tygodniu – poza zapoznawaniem się i jakimiś zajęciami wprowadzającymi – mieliśmy utworzyć grupy i poszukać zakwaterowania. Dostaliśmy listę agentów nieruchomości, którzy specjalizowali się w wynajmie krótkoterminowym, oraz wskazówkę, że najlepiej sobie poradzimy, tworząc zespoły cztero- albo sześciuosobowe. Jak się okazało, wielu Amerykanów przyjechało już w ustalonych grupkach. Zastanawiałam się, czy dam radę znaleźć pokój wyłącznie dla siebie, gdy podeszła do mnie śliczna dziewczyna z listą agentów w garści.

– Znalazłaś już grupę? – spytała.

– Jeszcze nie. A ty?

– Nie, ale moja starsza siostra uczestniczyła w tym programie i powiedziała mi, że oni mówią, że najłatwiej podzielić się na większe grupy, ale że to kłamstwo. Chcą po prostu, żebyśmy byli w dużych grupach z jakiegoś powodu, podczas gdy o wiele łatwiej znaleźć mieszkanie dla dwóch osób, więc się rozglądam i zobaczyłam ciebie – powiedziała to wszystko jednym tchem, z silnym teksańskim akcentem.

– Jeśli chcesz, chętnie z tobą zamieszkać. – Cieszyłam się, że trafiłam na kogoś, kto najwyraźniej trochę się orientuje w wynajmowaniu mieszkań.

Podskoczyła odrobinę, a wraz z nią długie brązowe włosy spływające na ramiona.

– Och, cudownie! Te wszystkie grupy są mieszane, ale ja, nie zrozum mnie źle, lubię chłopców, ale nie chcę jeszcze z chłopcem mieszkać. Nazywam się Addison Logan. W domu wszyscy mówią na mnie Addie, ale tak myślałam, żeby może teraz, kiedy jestem w Londynie, przejść na pełną formę, ale ty możesz na mnie mówić, jak chcesz.

– Lily Kintner – przedstawiłam się i uścisnęłyśmy sobie dłonie.

Zajął nam to dwa dni, ale znalazłyśmy wreszcie jednopokojowe mieszkanie w suterenie edwardiańskiej kamienicy w Maida Vale. Ja z Faunce Institute,

a Addison ze swoich zajęć miałyśmy tam daleką drogę metrem, ale była to najładniejsza okolica, jaką nam pokazano. Addison powiedziała, że tylko w tym miejscu ze wszystkich oglądanych wcześniej nie odczuła natychmiastowej potrzeby kąpieli, a ja przyznałam jej rację. Zadzwoiłam do ojca – który w tym semestrze prowadził gościnne wykłady gdzieś w Kalifornii – zameldować mu, że wynajęłam mieszkanie w Maida Vale, na co odpowiedział, że to okolica w dobrym guście i wymienił pub o nazwie Prince Albert, a na koniec dodał, że jedynym minusem Londynu są ci wszyscy cholerni amerykańscy studenci.

Okazało się, że z Addison mieszka nam się świetnie, głównie dlatego, że z powodu planu zajęć rzadko się widywałyśmy. Ale już po upływie trzech tygodni widywałam ją jeszcze rzadziej, bo zaczęła chodzić z Tekszańczykiem, innym uczestnikiem programu. Tekszańczyk wynajmował mieszkanie w Camden Town.

– Wiem, że to kiepski pomysł, by lecieć szmat drogi do Londynu, żeby tu się spotykać z kolesiem z Lubbock o imieniu Nolan, ale on jest naprawdę słodki.

– Nie przepraszaj.

– Kiedy twój chłopak... Eric, tak?... Kiedy on przyjeżdża?

Powiedziałam jej kiedy, a ona obiecała zmyć się na ten czas. Upierałam się, że nie musi, chociaż rzeczywiście chciałam, żeby na czas pobytu Erica Addison opuściła mieszkanie. Oddając się bez reszty nauce w instytucie i poznając księgarnie i muzea Londynu, jednocześnie próbowałam rozgryźć problem, jak zabić Erica i uniknąć za to kary. I w zasadzie już wiedziałam.

Pierwsza część mojego planu zasadzała się na ambitnej naturze Erica. Tyle razy patrzyłam, jak gra w bilard w St. Dunstan's, że doskonale wiedziałam, jak nienawidzi porażek. Próbował się z tym kryć, ale gdy przegrał, zwłaszcza z kimś, kogo nie lubił, oczy mu ciemniały i zawsze znajdował sposób, by jeszcze raz zagrać z tą osobą, tak żeby ostatecznie wygrać. Minionego lata, kiedy odwiedził mnie w Monk's House, spytał o wielki dąb na podwórku. Zauważył dwie wyblakłe flagi przybite do pnia, jedną na wysokości trzech czwartych, drugą na szczycie. Wyjaśniłam, jak pewnego lata przyjaciel z dzieciństwa mojego ojca przyjechał do nas na miesiąc i na zmianę z Davidem wspinali się na drzewo, próbując zatknąć swoją flagę wyżej niż rywal. Trwało to tygodniami, a skończyło się dopiero wtedy, gdy pewnej nocy mój ojciec po pijaku spadł z pierwszego konara i złamał rękę w nadgarstku. Od razu wiedziałam, że Eric będzie próbował wspiąć się na drzewo. I rzeczywiście. Musiał podchodzić kilka razy, ale ostatecznie wspiął się wyżej niż ojciec i jego kolega.

– Jak sądzisz, jak twój ojciec by się poczuł, gdybym przybił tam flagę?

Roześmiałam się.

– Nie sądzę, by w ogóle się tym przejął. Ubawiłby się.

– Nie muszę tego robić, ale jeśli twoim zdaniem on uzna to za zabawne...

– Zawsze musiałeś tak rywalizować?

Spojrzał na mnie spode łba.

– Nie sądzę, żebym jakoś szczególnie rywalizował. Powinnaś zobaczyć mojego brata.

Wtedy uznałam jego zaprzeczenie za braki w samoświadomości, ale teraz widziałam to jako część jego oszukańczej natury. Eric naprawdę nie chciał, by ludzie wiedzieli o jego palącej potrzebie zwyciężania za wszelką cenę. Znadto by się wówczas obnażył. W dodatku obnażyłby tę część swojej natury, która była niereformowalna. Kiedy więc usłyszałam o konkursie piwnym w szemranym pubie Pod Flaszka i Kuflem na końcu mojej ulicy, wiedziałam, że Eric da się w to wrobić. Na potrzeby mojego planu nie musiał być pijany, ale na pewno stan upojenia się przyda.

Przyjechał do Londynu w zimną, mokrą sobotę. Addison dotrzymała słowa, zapakowała torbę w piątkowy wieczór, by spędzić kilka dni z Nolanem.

– Ale musisz być podjarana – powiedziała.

– No jestem.

– A nie widać.

– Denerwuję się po prostu – odparłam. – Nie wiem w sumie dlaczego, ale się denerwuję.

– To minie po pierwszych pięciu minutach, niech on tylko tu dotrze. Musicie tylko się bzyknąć. – Roześmiała się i zasłoniła usta ręką.

Samolot Erica wystartował z Nowego Jorku poprzedniego wieczoru i miał wylądować o ósmej rano. Wysłałam mu mejlem wskazówki, jak ma dotrzeć do mojego mieszkania. Nie okłamałam Addison, gdy mówiłam, że się denerwuję, ale nie denerwowałam się tym, co zamierzałam zrobić Ericowi – denerwowałam się, że musimy przebywać ze sobą, zanim zacznę działać. Wiedziałam, że pewnie od razu po przyjeździe będzie chciał uprawiać seks i przygotowywałam się, żeby przez to przejść. Mówiłam sobie, że to sprawdzian, że w ten sposób zobaczę, co naprawdę do niego czuję. Wiedziałam, że przebywanie z Erikiem nie zmieni moich uczuć

odnośnie do jego zdrady, ale zastanawiałam się, czy może zmienię postanowienie o zakończeniu jego życia. Wątpiłam w to, ale w ten sposób mogłam się upewnić. Zresztą jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Eric spędzi tu zaledwie dwanaście godzin. Dam radę.

Dzwonek się odezwał o dziewiątej trzydziści. Wspięłam się krótkimi schodami na zniszczony marmurowy podest, by wpuścić Erica. Widać było, że podróż go wymęczyła, włosy z tyłu mu sterczały. Uściskaliśmy się, pocałowaliśmy i zaprowadziłam go do mieszkania.

– Na pewno jesteś wykończony – powiedziałam, gdy już mu wszystko pokazałam.

– Owszem, ale nie chcę spać cały dzień. Może się zdrzemnę, a potem gdzieś pójdziemy?

– Kawalek stąd jest pub. Pod Flaszka i Kuflem.

– Dobra. Daj mi się tylko kimnąć. Najwyżej godzinę, a i to pod warunkiem, że do mnie dołączysz.

Kazałam mu iść do łóżka i obiecałam, że przyjdę później. Miałam nadzieję, że zaśnie. Ale gdy zniknął w sypialni, a ja przez piętnaście minut powoli przygotowywałam dla siebie filizankę herbaty, doszłam do wniosku, że w sumie chcę do niego dołączyć. Nie chodziło tylko o sprawdzian – lecz także o pożegnanie. Weszłam do małego ciemnego pokoiku. Eric poruszył się pod koldrą, słyszałam jego równy oddech. Zdjęłam ubranie i wsunęłam się obok. Poruszył się, ale nie obudził. Też był nagi, a gdy poczułam jego długie ciepłe ciało przy moim, wbrew oczekiwaniom wcale się nie wzdrygnęłam. Przesunęłam dłońią po jego twardej klatce piersiowej, po płaskim brzuchu, dotknęłam penisa. Natychmiast zareagował, mruczając do poduszki coś, czego nie zrozumiałam, a potem powoli odwrócił się do mnie. Rozchyliłam nogi i objęłam go nimi. Zaczął coś mówić, ale przyciągnęłam jego głowę do siebie, tak że znalazła się obok mojej. Nieumyte włosy pachniały intensywnie, ale dość przyjemnie. Wprowadziłam go do środka, a później naciągnęłam nam na głowy prześcieradło z kocem i kochaliśmy się w tej przytłaczającej ciemnej jaskini, żadne z nas nic nie mówiło, tylko poruszaliśmy się w powolnym, sennym rytmie.

Gdy skończyliśmy, on na powrót zasnął, a ja odsunęłam się od niego i zgarnęłam prześcieradła aż do pasa. Na nagim ciele czułam przyjemny chłód powietrza, skórę miałam wilgotną od potu. Pomyślałam o tym, co zamierzam zrobić Ericowi jeszcze dziś wieczorem, i próbowałam poczuć się źle z moim planem. Porównałam go do

Cheta, który chciał uprawiać seks z dzieckiem, ale Chet przynajmniej nie udawał, że kogoś kocha. Eric był zły do szpiku kości, przeszedłby przez życie, biorąc to, czego chce, i raniąc tych, którzy go kochają. Dałam mu swoją miłość – a wręcz swoje życie – a on jedno i drugie potraktował ze wzgardą.

Obudził się, zdezorientowany i głodny, gdy minęło południe. Wziął prysznic, ubrał się i postanowiliśmy pochodzić po okolicy. Zabrałam go do knajpki z jedzeniem na wynos, kupiliśmy kanapki i napoje i poszliśmy z nimi do niewielkiego parku Rembrandt Gardens przylegającego do kanału. Przeszło padać, ale niebo wciąż było ciemne i niskie, wszędzie z drzew kapąła woda i zbierała się w kałuże. Rozłożyłam swoją kurtkę na drewnianej ławce, usiedliśmy i jedliśmy kanapki. Skończyliśmy akurat w chwili, gdy deszcz zaczął uderzać w liście nad naszymi głowami.

– Przepraszam za pogodę – powiedziałam.

– To pogoda barowa – odrzekł.

– Jesteś gotów na drinka? Do Flaszki mamy stąd niedaleko. Tylko nie stawaj do konkursu piwnego. O nic więcej nie proszę.

– A co to takiego?

Nie musiałam robić nic więcej. Kiedy weszliśmy do Flaszki i Kufla, pubu jak na standardy londyńskie zwyczajnego i banalnego, z nagimi podłogami i drewnianymi ławkami, Eric przeczytał o konkursie piwnym i wpatrzył się w nazwiska dotychczasowych triumfatorów. Żeby zostać uwiecznionym na ścianie Flaszki, wystarczy w ciągu pięciu godzin wypić kufel każdego z tutejszych piw beczkowych w określonym porządku. Monitorują twoje wyjścia do toalety, na wypadek gdybyś zamierzał wymiotować. Eric stwierdził, że jego zdaniem to nie jest szczególnie trudne. Swego czasu sądziłam tak samo i przed tygodniem podzieliłam się tą refleksją ze Stuartem, barmanem. Odrzekł, że połączenie piw – od portera przez bittersy po pilznery i cydry – to nie w kij dmuchał, dlatego zadanie jest o wiele trudniejsze, niż się wydaje. Widział już, jak wielu krzepkich gości się poddaje albo wymiotuje przed końcem konkursu.

– Zrobię to – powiedział Eric do mnie i do barmanki, starszej kobiety, której nigdy wcześniej nie widziałam.

– Żartujesz sobie? Eric!

– Dobra, kochany – powiedziała jednocześnie barmanka i wyjęła formularz. – Tam gdzie jest napisane „start” wpisz drukowanymi literami nazwisko i godzinę

i zaczynamy. Jak skończysz dziesiąte piwo, musisz wrócić do tego baru, wpisać swoje nazwisko na końcu i reszta zależy od ciebie. Większość ostatnie piwa zostawia w toalecie.

Ponarzekałam jeszcze trochę, tak na pokaz, ale wiedziałam, że Eric nie zmieni decyzji. Jako pierwsze wypił fuller's ESB, a ja dotrzymałam mu towarzystwa. Zabraliśmy kufle do stolika w rogu.

– Jestem na urlopie – powiedział i pociągnął haust.

– Nie chcę, żebyś był chory przez cały swój pobyt.

– Nie będę. Dziesięć piw w pięć godzin. To żaden problem.

Zostałam przez jakieś trzy i pół godziny. Było jasne, że Eric jest zdecydowany dokończyć wyzwanie, ale był przy siódmym piwie, porterze, i pił je dosyć powoli.

– Jestem po prostu przepelniony – usprawiedliwiał się, ale na skutek jetlagu i spożytego piwa mówił lekko niewyraźnie.

– Zakończmy to – powiedziałam. – Mam dość siedzenia w tym pubie.

– Nie po to tak daleko zaszedłem, żeby teraz kończyć. – Rozejrzał się. Niektórzy z miejscowych, przybyli tu po pracy, zauważyli, że Eric próbuje trafić na tablicę zwycięzców. Wiedziała, że nie zrezygnuje, choćby nie wiem co.

– Więc ja wychodzę. Jestem głodna i nie zamierzam w kółko jeść chipsów. Wezmę indyjskie jedzenie na wynos i zjem w domu.

– Przykro mi, Lily.

– Nie ma sprawy. Baw się dobrze. Postaraj się nie zarzygać baru i do zobaczenia za kilka godzin. Wiesz, jak wrócić?

– Prosto ulicą?

Wyszłam. Zmierzchało, niebo nadeło się i zsiniało, w powietrzu wisiała delikatna mgiełka. Ruszyłam prosto do indyjskiej restauracji, z której korzystałam już wiele razy. Zamówiłam rogan dżosz i kormę z kurczaka, a do tego colę do picia w oczekiwaniu na jedzenie.

– W rogan dżosz nie ma orzeszków? – spytałam, gdy moje zamówienie było gotowe. Znałam odpowiedź, ale chciałam, żeby zapamiętano, jak pytam.

– W rogan dżosz nie ma orzeszków, ale są nerkowce w kormie.

– No tak, zgadza się. Dzięki.

Wzięłam torby z jedzeniem i wróciłam do mieszkania. Zostawiłam paczki na niskim drewnianym stole w kuchni i weszłam do sypialni przejrzeć walizkę Erica.

Przywiózł kilka ubrań na zmianę, *One Up on Wall Street* Petera Lyncha i strój do biegania. W zapinanej na zamek wewnętrznej kieszeni znalazłam plastikową torebkę z dwiema strzykawkami EpiPen. Jedną powinien nosić przy sobie – mówiłam mu setki razy – ale wiedziałam, że nie nosi. Miał straszliwą alergię na orzeszki, niestety, próżność nie pozwalała mu chodzić ze strzykawką. „Co mam robić, Kintner, nosić je w saszetce przy pasku?” Wmawiał sobie, że dzięki wyjątkowej ostrożności w miejscu publicznym na pewno nigdy nie zje nic z orzeszkami. Wzięłam aplikatory i wsadziłam je pod materac, a potem wróciłam do kuchni. Byłam głodna, więc zjadłam trochę indyjskiego jedzenia prosto z pojemnika, a potem wrzuciłam kormę do szerokiej miski. Równo rozproszłam kurczaka i żółty sos i metodycznie wyłowiałam każdy orzeszek, po czym umieściłam je w kamiennym moździerz, który kiedyś znalazłam w jednej z naszych zagraconych szafek kuchennych. Gdy już nabrałam pewności, że żaden orzeszek mi nie umknął, wzięłam tłuczek i połowę roztarłam na gładką pastę, po czym wmieszałam w kormę i wsadziłam wszystko z powrotem do pojemnika. Pozostałe orzeszki zawinęłam w kawałek ręcznika papierowego i schowałam za przyprawami w lodówce. Umyłam moździerz i tłuczek, potem miskę i odstawiłam na miejsce. Pojemniki z jedzeniem umieściłam w lodówce. Korma z kurczaka była ulubionym daniem Erica, restauracja, w której zamawialiśmy hinduskie jedzenie w New Chester, przyrządzała ją bez orzeszków. Wszystko było gotowe. Teraz musiałam tylko czekać.

Próbowałam czytać *Gaudy Night*, nie mogłam się jednak skupić. Właściwie się nie denerwowałam, ale chciałam mieć to już za sobą. Eric wystartował około trzynastej trzydzieści, więc tak czy owak skończy o osiemnastej trzydzieści. Około osiemnastej piętnaście zachrypiał dzwonek przy wejściu. Zerwałam się na równe nogi. Zastanawiałam się, czy zrezygnował, ale gdy dotarłam do drzwi i je otworzyłam, ujrzałam Addison. Płakała, miała czkawkę i szukała w torebce kluczy.

W trzeciej klasie liceum Dartford-Middleham zaprosiłem na bal dziewczynę z drugiej klasy, Rebecę Rast. Była popularną blond uczennicą, poznałem ją, gdy oboje pracowaliśmy w gazetce szkolnej. Sprawiała wrażenie zadowolonej z zaproszenia, choć wiedziałem, że bardziej ją interesują szkolni pakerzy. Nie przeszkadzało mi to, szukałem tylko pary na tę konkretną imprezę.

Ale tydzień przed balem wpadłem na Rebecę na piwnej imprezie w opuszczonej bazie wojskowej w sąsiednim mieście. Słyszałem o tych imprezach, nigdy jednak na nie nie chodziłem. Bawiła się tam jakaś setka uczniów, samochody zostawiano na spękanych asfalcie starego parkingu, dzieciaki kręciły się po stromym zboczu po południowej stronie zabitych deskami budynków. Większość przyniosła sześciopaki zwęzione z domu rodziców albo kupione przez starsze rodzeństwo. Przyjechałem z moim najlepszym kumplem Aaronem, który tak jak ja ani nie cieszył się wielką popularnością, ani nie był odludkiem. Niewiele brakowało, a zawrócilibyśmy, zanim wysiedliśmy z samochodu, onieśmieleni widokiem i zakłopotani, że nie przywieźliśmy alkoholu. Ale wtedy zauważyłem Rebecę, jak wysiada z kabrioletu z gromadką przyjaciółek, i powiedziałem sobie, że powinienem przynajmniej się przywitać z dziewczyną, z którą za tydzień idę na bal.

O dziwo, wyglądało na to, że wręcz zachwycił ją mój widok, i większość imprezy spędziliśmy razem, pijąc ciepłe piwo na wzgórzu, a potem chodząc po opuszczonej bazie. Po przerdzewiałej drabince wspięliśmy się na niski, płaski dach. Wpatrywaliśmy się w gwiazdy, które dzięki wypitemu piwu zlewały się i rozmywały, a potem zaczęliśmy się całować. To była ciepła wiosenna noc, Rebecca miała na sobie wiążaną na szyi bluzkę, która sięgała jej do pasa, i krótką dżinsową spódniczkę i pozwoliła dotykać się wszędzie. W pewnym momencie wyszeptła, że powinniśmy zwolnić, chyba że mam prezerwatywę. Nie miałem, ale leżąc później nocą w łóżku, postanowiłem, że muszę jak najszybciej jakąś zdobyć, i to zdecydowanie przed balem. Na samą tę myśl czułem wielką radość, ale jeszcze większą radość sprawiał mi fakt, że mam pierwszą dziewczynę.

W wieczór balu odebrałem Rebecę ze skromnego domu jej rodziców niedaleko



stawu Middleham. Gdy mama Rebekki robiła zdjęcia, jej ojciec oparł się o swojego dodge darta, palił cygaro i patrzył na mnie lodowato spod daszku czapki Patriotsów. Ucieszyłem się, gdy wreszcie znaleźliśmy się w moim samochodzie i ruszyliśmy do Holiday Inn, w którym odbywał się bal. Rebecca miała na sobie błękitną suknię z głębokim dekoltem. Włosy zaplotła we francuski warkocz i pachniała waniliowo.

Pomimo mojego zdenerwowania pierwszych kilka godzin balu upłynęło przyjemnie. Rebecca gadała i flirtowała. Zjedliśmy przesuszony cordon bleu i kilka razy zatańczyliśmy. W trakcie jednego z wolnych tańców delikatnie pocałowałem Rebecę w bok głowy. Przyciągnęła mnie bliżej, a ja pomyślałem o paczuszcze z kondomem ukrytej za prawem jazdy w portfelu.

Do końca balu zostało jakieś dwadzieścia minut, gdy wszystko legło w gruzach. Poszedłem do łazienki, a po powrocie nie zastałem Rebekki przy naszym stoliku. Dostrzegłem ją po drugiej stronie sali – oparta o ścianę rozmawiała z trzecioklasistą, w którym rozpoznałem Billa Johnsona, zawodnika drugiej linii szkolnej drużyny futbolowej. Stałem jak wryty, ścisnęło mnie w gardle, zdrętwiały mi kończyny. Zamiast przemierzyć bezkres sali i stanąć przed nimi, wróciłem do stolika i stamtąd patrzyłem, jak Rebecca z Billem się obejmują, potem całują, a wreszcie wychodzą z balu.

W poniedziałek po południu zobaczyłem ją na szkolnym korytarzu. Myślałem, że może przeprosi, ale jedynie omiotła mnie wzrokiem i się odwróciła. W tym samym tygodniu dowiedziałem się, że ona i Bill oficjalnie są parą. Nie wiem, czy było mi łatwiej czy trudniej, dlatego że niewielu z moich kolegów chyba sobie uświadamiało, że na balu zostałem upokorzony. Nie wiem, czy gdyby Rebecca chociaż spróbowała mnie przeprosić, sprawy potoczyłyby się inaczej.

Przez ponad rok szykowałem zemstę. Wydawało mi się sensowne, że jeśli zamierzam coś zrobić Rebecce, powinienem jakiś czas odczekać. W przeciwnym wypadku byłbym oczywistym podejrzanym. Przez całą ostatnią klasę poświęcałem się zdobywaniu jak najlepszych ocen, nie rzucałem się w oczy i nie dałem się wplątać w żadną, choćby potencjalnie upokarzającą sytuację. Przyjęto mnie na Harvard, co zaskoczyło nawet mojego doradcę zawodowego, i chociaż to przyjęcie odczuwałem jako swoistą zemstę, nadal chciałem się Rebecce odpłacić. Idealnie by było znaleźć sposób, żeby upokorzyć ją tak samo, jak ona upokorzyła mnie, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Wybrałem drugą opcję – zamierzałem ją bardzo, bardzo przestraszyć.

Tydzień przed końcem roku, w pochmurne popołudnie zaparkowałem swojego forda escorta na tylnym parkingu sklepu monopolowego U Arniego, a potem przeszedłem przez niewielki las prowadzący na tyły domu Rastów. Gdyby ktoś mnie zauważył, zobaczyłby dzieciaka w dzinsowej kurtce i naciągniętej głęboko bejsbolówce. Na co dzień tak nie wyglądałem. Nikt mnie jednak nie widział. Miałem w plecaku łom, żeby wyłamać tylne drzwi, ale zastałem je otwarte. Wiedziałem, że nikogo nie będzie w domu, że pan Rast odszedł przed kilkoma miesiącami, a pani Rast pracuje za dnia w CVS. I wiedziałem, miałem nadzieję, że Rebecca o piętnastej wróci ze szkoły. Schowałem się w szafie w jej sypialni i czekałem.

Kiedy teraz o tym myślę, pamiętam przerażenie i podniecenie, które czułem w ciasnej, małej przestrzeni z ubraniami Rebekki Rast szeleszczącymi dokoła, w kominiarce, w której od razu zacząłem się pocić. Uchyliłem odrobinę drzwi szafy i słyszałem, jak samochód Rebekki zajeżdża pod dom, jak ona wchodzi do środka i powoli pokonuje schody w drodze na górę. Najpierw poszła do łazienki, wydawało mi się, że na długo, potem spuściła wodę i weszła do sypialni, nucąc coś niemelodyjnie pod nosem. Serce tak głośno mi waliło w klatce piersiowej, że zastanawiałem się, jakim cudem ona tego nie słyszy. Zamierzałem wyskoczyć na nią w tej masce, ale nie musialem. Podeszła prosto do szafy i przesunęła drzwi na prowadnicach. Wpadłem na nią z nożyczkami w jednej ręce i power tape'em w drugiej. Otworzyła usta, by krzyknąć, ale nie wydała żadnego dźwięku. Patrzyłem, jak wszystkie kolory znikają z jej twarzy, i gdy już byłem pewien, że zemdleje, ona rzuciła się do ucieczki. Zdołałem ją zatrzymać i w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że jest w samej bieliźnie. Pochwyciłem ją i udało mi się taśmą zakleić jej usta, a potem unieruchomić ręce i kostki. Nie było to łatwe: kilka razy mnie kopnęła, ale jakimś cudem nie wydałem żadnego odgłosu. Gdybym się odezwał, zorientowałyby się, że to ja. Spętana zaciągnąłem do szafy i zanim zamknąłem drzwi, przesunąłem nożyczkami po jej szyi. Oczy miała zaciśnięte, spod powiek wypływały łzy. Poczulem ostry zapach moczu.

Płaszcz, kominiarkę, nożyczki, łom i plecak wrzuciłem do pojemnika za sklepem, do domu jechałem, cały dygocząc, moje emocje wahały się od ogromnej satysfakcji, że odpłaciłem Rebecce za ból, który mi sprawiła, po dławiący wstyd, że posunąłem się za daleko. Te uczucia nie opuszczały mnie całe lato, w miejsce wstydu czasami pojawiał się potworny strach, że zostanę złapany. Że czeka mnie społeczne potępienie, hańba, trafię do więzienia i nie pójdę na Harvard. Ale policja nigdy się

nie pojawiła, a w miarę jak wakacje mijały, zacząłem wierzyć, że wywinę się z tego. Raz usłyszałem o tym zajściu z plotek mojej koleżanki Molly. Powiedziała, że Rebecca Rast – „Znasz ją, no nie? O Boże, przecież ty byłeś z nią na balu!” – została napadnięta we własnym domu, że bandyta ją związał i wsadził do szafy, i że wszyscy uważają, że to zrobił jej ojciec, okropny koleś, który pracował kiedyś na stacji benzynowej. Już nigdy więcej o całym zajściu nie słyszałem.

Rebecca Rast ciągle mi się śniła. W snach – a były to zdecydowanie koszmary – umierała tamtej nocy, gdy ją obkleiłem i zostawiłem w szafie. Nękało mnie w tym śnie poczucie winy i przerażenie, że zostanę złapany. Nigdy nie pamiętałem, czy zamierzałem ją zamordować, czy tylko przestraszyć. Tak czy owak, jednak byłem mordercą i ta świadomość zdominowała moje życie.

W noc poprzedzającą czwartkowy poranek, gdy Miranda wylatywała do Miami Beach na wieczór panieński przyjaciółki, miałem właśnie jeden z tych snów. Po przebudzeniu byłem sam w łóżku i leżałem przez chwilę, a obrazy z koszmaru przemykały przez mój mózg, po czym znikaly. Z początku myślałem, że to był sen z Rebeccą Rast w roli głównej, aż nagle zdałem sobie sprawę, że osoba, którą zabiłem we śnie, to Miranda. Uwięziłem ją w szafie Rebekki Rast i tam umarła. Wróciły inne obrazy ze snu. Pogrzeb, w trakcie którego nikt na mnie nie patrzył. Przeraźliwy strach, że zapomniałem ukryć ciało. Mój ojciec, któremu woda płynęła z nosa. Pole, na którym kopałem dół jak szalony. Przez jedną potworną chwilę pomyślałem, że to nie są obrazy z moich snów, lecz świeże wspomnienia. Miewałem już kiedyś to uczucie, zawsze w pośrednim stanie pomiędzy snem a przebudzeniem – straszliwe uczucie, że to, o czym śniłem, było rzeczywistością, że jestem mordercą i że prędzej czy później cały świat się o tym dowie. Potrząsnąłem głową i powiedziałem sobie dobitnie, że to był tylko sen, a potem wyszedłem ze skotłowanej pościeli i wziąłem telefon z komody. Minęła ósma, zwykle wstaję o wiele wcześniej. O ósmej trzydzieści miał przyjechać samochód po Mirandę, żeby zabrać ją na Logan. Włożyłem dzinsy, bawełniany sweter i zszedłem na dół.

– Cześć, śpiochu – powiedziała, gdy znalazłem ją w jadalni. Siedziała przy długim stole Stickleya, obok stał bagaż. Miała na sobie krótką niebieską sukienkę oraz czerwone kowbojki i gorliwie wpatrywała się w swój telefon.

– Nie zmarzniesz w tym?

Podniosła wzrok.

– Owszem, ale to tylko chwila. Poproszę kierowcę, żeby podkręcił ogrzewanie do

temperatur z Miami. – Wyłączyła telefon, wrzuciła go do torebki i podniosła się z krzesła. – Po co wstajesz, skoro wyjeżdżam?

– Po pierwsze: ciebie i tak nigdy tu nie ma, więc to nic nowego. Po drugie: do pracy, oczywiście.

– Dzisiaj powinieneś zjeść kolację z Makiem. Na pewno jest w mieście.

– Na pewno go nie ma. Pojechał na pogrzeb ciotki. Mówiłem ci. Nie, wyjmę sobie jagnięcinę z zamrażarki. Wyjątkowy obiad, tylko dla mnie.

– Ależ proszę, zjedz całą. Casey mówiła, że my dzisiaj idziemy do Joe's Stone Crab.

Zaniosłem jej bagaż do przedpokoju, powstrzymując się od uwagi, że jest wyjątkowo ciężki jak na trzydniowy wyjazd. Miranda wyjrzała przez witraż w drzwiach wejściowych.

– Jest limuzyna – powiedziała i przytuliła mnie nadzwyczaj mocno. – Będę tęsknić, Teddy.

– To na ile w końcu jedziesz?

Poklepała mnie po piersi.

– Nie żartuj sobie. Naprawdę będę tęsknić. Jesteś dobrym mężem.

– Też będę tęsknić – odparłem, starając się tchnąć trochę uczuć w swój głos. Miranda zachowywała się w taki sposób, że przez chwilę się zastanawiałem, czy ten wieczór paniński naprawdę się odbywa. Czyżby umówiła się w Miami z Bradem?

Otworzyła drzwi wejściowe, a szofer wyskoczył zza kierownicy i wbiegł po schodkach po bagaż. Miranda zeszła za nim do samochodu, ostry wiatr podrywał rąbek jej sukienki. Odwróciła się, by mi pomachać. W swoim nieodpowiednim stroju wyglądała na zmarzniętą. Zanim zamknęła drzwi wozu, wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne, założyła je i przesłała mi całusa.

A ja musiałem zabrać się do pracy. Miałem do wykonania kilka telefonów i prospekt do korekty, ale to mi miało zająć najwyżej pół ranka. Wziąłem kubek z kawą i poszedłem do komputera. Chyba po raz setny wygooglowałem „Lily Hayward”, ale nie pojawiło się nic, co by do niej pasowało, poza pracą w Winslow College. Wyszukałem z kolei „Winslow” i wyznaczyłem trasę z mojego domu do obiecująco wyglądającej restauracji w centrum miasta. Co to zaszkozi, jeśli pojedę tam na lunch? Zapowiadał się piękny październikowy dzień; po gorącym, długim lecie liście były teraz w rozkwicie. Mogłem się przejść, zjeść lunch, zobaczyć miasto, w którym mieszka Lily. Jeśli nawet ją spotkam – choć szanse na to były niewielkie –

co to szkodzi? Nie musimy się witać, a gdybyśmy się nawet przywitali – co by to zmieniło?

Załatwiłem robotę, wziąłem prysznic i ubrałem się. W garażu, pod wpływem impulsu, zdecydowałem, że zamiast audi pojedę moim stylowym porsche 911 rocznik 1976. Kupiłem je sobie po pierwszej transakcji. Minałem Massachusetts Turnpike i pojechałem w stronę rzeki, by wskoczyć na Storrows Drive. Na rzece roiło się od wioślarzy z college'u przygotowujących się do regat Head of the Charles w najbliższy weekend. Dzień był doskonały, niebo znaczyły jedynie smugi kondensacyjne z samolotów. Podniosłem wzrok, zastanawiając się, czy patrzę na samolot, którym moja żona leci na Florydę.

Ze Storrows Drive zjechałem na Soldier's Field Row, a potem kluczyłem przez Waltham i Newton, aż dotarłem do Boston Post Road i ruszyłem na zachód przez przedmieścia ku Winslow. Zmieniając biegi, zastanawiałem się, po co właściwie kupiłem audi z automatyczną skrzynią. Następny samochód będę miał z ręczną.

Wjechałem Main Street do centrum Winslow, szukając parkingu w zaskakująco ruchliwym rejonie. Studenci przechodzili przez ulicę w dużych grupach. Większość dziewcząt w dzinsach i butach do kostek, z włosami związanymi w koński ogon. Czekając, aż kilkusobowa grupka pokona przejście, zerknąłem przez żelazne bramy na kampus college'u. Dojrzałem trzy niskie ceglane budynki wokół starannie utrzymanego trawnika. Rząd wiązków wyznaczał ścieżkę przez kampus. Czy Lily znajdowała się w jednym z tych budynków? Czy należała do ludzi, którzy przynoszą do pracy zdrowy lunch, i jadła go w swoim gabinecie, czy też chodziła coś przekąsić do centrum? Był w końcu piątek, słoneczny październikowy dzień. Samochód za mną zatrąbił, więc wrzuciłem bieg, po czym zjechałem z Main Street w jakąś boczną ulicę z płatnym parkingiem. Znalazłem wolne miejsce, zaparkowałem i wróciłem do kompleksu restauracji, który minąłem wcześniej. Tam właśnie znajdował się lokal, o którym wcześniej czytałem – The Carvery – ale ja wybrałem restaurację o nazwie U Alison, ze stołem na dworze, na wprost wysoko stojącego słońca i kampusu Winslow. Zamówiłem Krwawą Mary i sałatkę cobb u kelnerki w wieku studenckim i patrzyłem na przechodniów. Studentki miały schludny wygląd gorliwych młodych feministek. Ciągnęły plecaki, które – sądząc z wyglądu – zapewniłyby kontuzję nawet rosłemu futboliście. Na niestudentki składały się głównie panie w wieku średnim, które wyszły z domu na zakupy i lunch. Nosiły szale własnej roboty i falbaniaste ciuchy maskujące biodra. Dostrzegłem kilka osób w typie profesorskim – fatalnie ostrzyżonych mężczyzn w tweedowych

marynarkach i kobiety, które wyglądały jak starsze wersje poważnych młodych studentek. Ale nie widziałem Lily, nawet gdy po lunchu i po drugiej Krwawej Mary przespacerowałem się na kampus.

Był to urokliwy college z kampusem rozciągającym się na terenie lekko opadającym w stronę stawu, który obiegała ścieżka. Posiedziałem jakiś czas na drewnianej ławce w ogrodzie botanicznym obok konserwatorium o wysokim spiczastym dachu. W pobliżu nikogo nie było, a ja wyobraziłem sobie, że Lily przychodzi zjeść lunch właśnie w takim miejscu. Może nawet na tej ławce. Siedziałem tak, aż nadciągnęły chmury, słońce się schowało i zrobiło się zimno.

Zapomniałem po lunchu zasilić parkometr, więc zastałem pod wycieraczką mandat. Piętnaście dolarów. Wrzuciłem go do kieszeni i wsiadłem do porsche. Nagle poczułem zmęczenie, aż do Bostonu jechałem Pike i dotarłem na miejsce w chwili, gdy odebrałem esemesa od Mirandy, że bezpiecznie wylądowała w Miami i zaczyna balowanie. Odpisałem jej, po czym poszedłem do komputera sprawdzić pocztę. Miałem teraz w pracy okres posuchy, co szczerze mówiąc, wcale mi nie szkodziło. giełda po okresie stagnacji znowu skoczyła do góry. Portfolio miałem pokaźne, a praca była dla mnie wyłącznie sposobem zapelnienia czasu.

Kolejny esemes od Mirandy: „Nie zapomnij wyjąć jagnięciny”.

Odpisałem, dziękując za przypomnienie.

Rzeczywiście zapomniałem, więc teraz zszedłem na dół do kuchni. Wyjąłem polędwicę z zamrażarki i włożyłem ją pod wodę bieżącą. Esemes od Mirandy był dziwny, podobnie jak jej nadmiernie sentymentalne pożegnanie. Czy ona coś kombinowała? Czy też może zerwała z Bradem i nagle wzbudziła się w niej skrucha? Jeśli nawet, to żadne wyrzuty sumienia nie umniejszały zła, które już mi wyrządziła.

Wszedłem do sąsiadującej z kuchnią piwniczki na wino i wybrałem europejski syrah, świetnie pasujący do jagnięciny. Otworzyłem butelkę i przelałem wino do karafki. Ponieważ kotlety już miękły, zostawiłem je w plastikowym woreczku w misce z zimną wodą, po czym udałem się na górę do salonu. Nie przeglądałem jeszcze dzisiejszej gazety, więc usiadłem w skórzanym fotelu z podnóżkiem i przeczytałem wiadomości, popijając dzin z tonikiem. Po chwili odłożyłem gazetę i zamyśliłem się nad Mirandą, Bradem, Lily i wszystkim, co się wydarzyło i co miało się wydarzyć od chwili, gdy spotkałem rudą dziewczynę na pokładzie samolotu z Londynu. Mimowolnie wróciłem do snu, który obudził mnie dziś rano. Tamtego okropnego poczucia, że jeśli już kogoś zamordowałeś, nie możesz tego odwrócić.

Już nigdy nie zdołasz obudzić się ze snu i tak po prostu leżeć, wmawiając sobie, że choć twoje życie jest zdecydowanie grzeszne, to przynajmniej nie jesteś mordercą. I nagle zdałem sobie sprawę, że mój plan zabicia Mirandy i Brada stał się środkiem prowadzącym do celu, sposobem na zbliżenie się do Lily i że nie muszę popełniać morderstwa, by ten cel osiągnąć. Mogłem po prostu powiedzieć Mirandzie, że chcę wziąć rozwód, a potem wysłać do Lily mejl i spytać, czy zje ze mną kolację. Nikt by się nigdy nie dowiedział o planach, które ułożyliśmy. Miranda mogła mieć Brada, ja mogłem mieć Lily, a świat dalej by się kręcił. Zawsze byłem niezły w kategoryzowaniu, więc teraz zebrałbym cały swój gniew i wstyd związany z Mirandą i zamknąłbym je w pudle. Powierzyłbym sprawę swojego małżeństwa prawnikom; połowa moich pieniędzy to i tak nadmiar. Zalało mnie poczucie ulgi. Zupełnie jakbym się obudził ze złego snu i zdał sobie sprawę, że to tylko sen, że to wszystko nie zdarzyło się naprawdę.

Na dźwięk dzwonka u wejścia aż podskoczyłem na fotelu.

Idąc do drzwi, odruchowo zerknąłem na zegarek. Minęła osiemnasta. Kto to mógł być? Pewnie kurier. Próbowałem sobie przypomnieć, czy czekam na jakąś przesyłkę.

Założyłem łańcuch i uchyliłem drzwi na kilkanaście centymetrów. Na progu stał Brad Daggett z nieco spiętym uśmiechem na twarzy. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że Brad z Maine stoi na progu mojego domu w Bostonie. Wydawało się to absurdalne, jakbym zobaczył faceta w smokingu na targowisku w małym miasteczku.

– Ted – odezwał się zdyszonym głosem. – Cieszę się, że tu jesteś. Możemy pogadać?

– Oczywiście – odparłem, zdejmując łańcuch, by otworzyć drzwi. – Wejdz.

Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, pożałowałem ich. Brad nie miał żadnego powodu, by jechać tu do mnie z Maine. Już wchodził, gdy delikatnie oparłem się o drzwi, zatrzymując go.

– Brad, co ty tu właściwie robisz?

– Wpuść mnie, Ted. Wyjaśnię ci wszystko. – Głos mu drżał, w jego oddechu czułem wódkę. Spojrzeliśmy sobie w oczy i nagle poczułem strach. Naparłem odrobinę silniej na drzwi, ale Brad nie ustąpił. Wyciągał coś z kieszeni, spojrzałem w dół i zobaczyłem rewolwer. – Wpuść mnie – powtórzył, a gdy się odsunąłem, wszedł do mojego domu.

– Addison, co się stało?! – spytałam.

– Pieprzony Nolan – odparła i weszła do środka, i dalej, w ślad za mną w dół schodami. Strzepywała deszcz z płaszcza, krople padały mi na tył głowy.

– Pokłóciliście się? – spytałam, gdy weszliśmy do naszego mieszkania.

Patrzyła na mnie, dłońmi ścierając łzy z policzków.

– On ma dziewczynę w Teksasie. Poważną dziewczynę.

– Cholera. Jak się dowiedziałas?

Addison opowiedziała, jak weszła do jego komputera, przeczytała mejle, a on jej wyznał wszystko, tłumacząc, że zamierzał jej powiedzieć o Lindzie, ale z początku sądził, że ich – jego i Addison – łączy tylko krótki romans, a teraz już sam nie wie. Słuchałam jednym uchem, otwierając wino i nalewając jej kieliszek, a jednocześnie jak szalona próbowałam wykombinować, co zrobić, gdy wróci Eric. Mam zrezygnować z całego planu i powiedzieć, że jestem niemal pewna, że w kormie są orzeszki, czy mam czekać, aż wszystko się rozegra z Addison jako świadkiem? Pod pewnymi względami jej obecność może być dla mnie korzystna. Potwierdzi moją wersję – że pijany Eric przez pomyłkę zjadł hinduskie jedzenie z orzeszkami nerkowca i że nie zdołaliśmy znaleźć epipenów. Ale z drugiej strony – w obecności Addison wiele rzeczy mogło zawieść. Mogła zadzwonić po pogotowie, a karetka mogłaby zdążyć. Mogła zwrócić uwagę, że epipena nie ma w miejscu wskazanym przez Erica. A gdyby Eric spytał o kormę – czy są w niej orzeszki – przy Addison nie mogłabym skłamać. Przede wszystkim zaś to byłoby nie w porządku kazać jej patrzeć, jak Eric umiera w efekcie wstrząsu anafilaktycznego. Postanowiłam zrezygnować.

– Chwila. Gdzie jest Eric? Jego samolot nie doleciał? – spytała, kręcąc głową na wszystkie strony, jakby Eric miał szansę ukryć się w naszym małym mieszkanku tak, żeby go nie zauważyła.

– Słyszałaś o konkursie piwnym we Flaszce i Kuflu?

– Te dziesięć piw?



Wyjaśniłam jej, że Eric uparł się, że da radę, a ja zgłodniałam i miałam dość czekania na niego, więc sobie poszłam.

– Wygląda na to, że żadna z nas nie może zaliczyć dzisiejszego dnia do udanych.

– Cóż, ja przeżyję – odparłam. – To ciebie przewalono. Co chcesz z tym zrobić?

Zanim otworzyła usta, znowu odezwał się dzwonek.

– Eric wraca – powiedziałam. – Przygotuj się. Na pewno jest zalany w trupa.

– Lily, ja wyjdę. Zupełnie zapomniałam, że on dzisiaj przyjeżdża. – Addison wstała i wzięła torebkę ze stołu.

– Nie ma mowy, zostajesz tutaj.

Wspięłam się schodami, szykując się na spotkanie z pijanym Erikiem, ale gdy otworzyłam drzwi, ujrzałam nie jego, lecz Nolana z oczyma czerwonymi od płaczu.

– O, nasz bigamista. – Patrzyłam na niego zdeorientowana.

– Jest tu? – Nolan był wysoki, chudy i miał płomiennie czerwone uszy. Jego krótko ostrzyżone włosy były niemal białe, a na szyi nosił naszyjnik z muszelek.

– Jest – odparłam – ale to jeszcze nie znaczy, że chce cię zobaczyć. Zaczekaj tutaj, a ja ją spytam.

Zostawiłam Nolana przy wejściu, sama natomiast ruszyłam na dół. Addison dolewała sobie właśnie wina.

– Zgadnij, kto przyszedł?

– Kto? – sprawiała wrażenie szczerze zdumionej.

– Nolan. Zostawiłam go na górze. Mam go posłać do diabła?

Głośno i dramatycznie wypuściła powietrze.

– Nie. Pogadam z nim. – Dalej siedziała przy stole, aż zrozumiałam, że powinnam pójść po Nolana. Pokonałam schody chyba po raz dwudziesty tego wieczoru, a gdy dotarłam do drzwi wejściowych, usłyszałam męskie głosy rozmawiające ze sobą. W jednym rozpoznałam głos Erica. Najwyraźniej właśnie wrócił z pubu.

– Widzę, że już się poznaliście – stwierdziłam, otwierając drzwi. Stali razem. Eric trzymał dłoń na ramieniu Nolana i opowiadał o konkursie piwnym. Wiedziałam, że odniósł sukces, gdy tylko odwrócił się do mnie z przystojnym uśmiechem na twarzy. – I chyba triumfujesz – powiedziałam do Erica.

– Niewiele brakowało – odrzekł. – To naprawdę, kurde, trudniejsze, niż się zdaje.

– Chodźcie na dół. Eric, zostawmy Nolana z moją współlokatorką. Muszą

pogadać.

Wszyscy ruszyliśmy w dół po zniszczonych schodach. Addison stała teraz w progu z wyrazem determinacji na twarzy.

– Ad – odezwał się ochrypłym głosem Nolan.

Eric się przedstawił i jak na kogoś, kto wypił tyle piwa, mówił zadziwiająco normalnie. To była jedna z jego niezmiennych cech – zawsze był uprzejmy i przyjazny, bez względu na okoliczności. Urodzony intrygant.

Weszłam z Erikiem do środka, a Nolan z Addison stali za drzwiami na naszym przygnębiającym podeście, oświetleni jedynie nagą żarówką zwisającą na końcu przewodu. Wprowadziłam Erica w sytuację, pragnąc ocenić ewentualną reakcję na wieść, że Nolan, tak jak on, spotyka się z dwiema kobietami jednocześnie.

– Myślisz, że się dogadają? – spytał, po czym, zanim zdołałam odpowiedzieć, dodał: – Muszę coś zjeść.

Już miałam mu oznajmić, że w lodówce jest hinduskie jedzenie, które mogę mu podgrzać, i że nie powinien ryzykować z kormą, bo moim zdaniem może zawierać orzeszki, gdy do mieszkania wpadła Addison.

– Nie martwcie się, damy wam trochę prywatności. Idziemy się napić. – Nolan stał tuż za nią, a po zaróżowieniu ust można było zgadnąć, że całowali się w korytarzu. Nie wiem, co jej powiedział, ale poskutkowało. Addison chwyciła płaszcz i torebkę i wyszli na wilgotny wieczór. Nagle zdałam sobie sprawę, że mój plan znowu jest aktualny, gdybym chciała skorzystać. Lekko mnie mdliło z niepokoju, ale to, co właśnie ujrzałam pomiędzy Nolanem a moją współlokatorką, jeśli jakkolwiek wpłynęło na moje postanowienie, to wyłącznie je wzmocniło. Takim facetom jak Nolan czy Eric zbyt często uchodziło na sucho łamanie serc.

– Eric, posłuchaj – powiedziałam. – Jestem wykończona. Sama za dużo wypłam, a Addison mnie dobiła. Idę do łóżka. Jak chcesz, w lodówce jest hinduskie żarcie. Dla ciebie wzięłam kormę z kurczaka.

– Ty jesteś, kurna, jakąś świętą – odrzekł i pocałował mnie niedbale w kącik ust. Weszłam do sypialni, odchyliłam drzwi tak, że zostały częściowo otwarte, po czym zdjęłam dzinsy i sweter, a włożyłam wełnianą piżamę, w której nie marzłam w naszym zimnym mieszkaniu. Słyszałam, jak Eric przetrząsa kuchnię; brzdąkały naczynia, szumiała obskurna mikrofalówka. Dobiegł mnie zapach podgrzewającej się kormy – ostrość przypraw i mleka kokosowego. Siedziałam na brzegu łóżka. Czułam spokój, ale myśli miałam rozgorączkowane, wypełnione obrazami.

Wyobrażałam sobie Cheta o zmierzchu na łące, jak chwieje się nade mną, nie wiedząc, że zaraz umrze. Widziałam Erica, jak wychodzi ze swojej firmy, jak pali papierosa, wita się z Faith. Widziałam Erica tamtej nocy, gdy po raz pierwszy się kochaliśmy, jego ciemnobrązowe oczy tuż przede mną.

Mikrofalówka umilkła. Usłyszałam, jak Eric otwiera i zatrzaskuje drzwiczki, a potem przez chwilę trwała cisza. Uznałam, że je pospiesznie, może nawet na stojąco.

Minutę później drzwi sypialni otworzyły się na całą szerokość. Eric stał w progu z pojemnikiem w dłoni, skóra na twarzy już mu zdążyła poczerwieniec. Wokół oczu pojawił się obrzęk.

– Tu są orzeszki – powiedział, wskazując pojemnik. Brzmiało to, jakby miał usta wypełnione watą.

– Jesteś pewien? – spytałam. – Gdzie masz epipeny?

– W torbie. – Gorączkowo dźgał powietrze palcem, wskazując swój bagaż.

Chwyciłam torbę i postawiłam przy łóżku. Eric odłożył pojemnik na komodę i szybko podszedł do torby, gestem nakazując mi, bym usunęła się z drogi. Przeszukał kieszeń, w której przywiózł strzykawkę, a potem odwrócił się do mnie z paniką w oczach. Skórę miał jeszcze czerwiejszą. Jedną ręką szarpał się za gardło.

– Wziąłeś je ze sobą? – spytałam podniesionym, jak w panice, głosem.

– Tak. – To słowo ledwie dosłyszałam. Brzmiało, jak dobiegło z wielkiej odległości, jakby wykrzyczał je człowiek uwięziony głęboko pod ziemią w wąskiej i mokrej jaskini.

Eric wyrzucił zawartość torby na łóżko i zaczął szybko przeszukiwać rzeczy. Usiadł, ciało trzymał sztywno, usta wydał, próbując wciągać powietrze do płuc. Zaczęłam mu pomagać w przeglądaniu ubrań i przyborów toaletowych, ale chwycił mnie za ramię i pokazał, że mam zadzwonić.

– Chcesz, żebym wezwała pogotowie? – spytałam.

Kiwnął głową. Czerwień wokół jego szyi i gardła obrzękła niepokojąco, jak kontynenty na mapie topograficznej. Ale twarz nadal miał bladą, teraz wręcz robiła się niebieskawa. Wbiegłam do sąsiedniego pokoju, podniosłam słuchawkę i stałam przez chwilę, nasłuchując, co się dzieje w sypialni. Usłyszałam, jak rozpina się kolejny zamek błyskawiczny, a potem stłumiony łomot. Delikatnie odłożyłam słuchawkę na widełki, powoli policzyłam do dziesięciu, a następnie podeszłam do

drzwi i wyjrzałam w stronę łóżka. Eric leżał z jedną ręką przy szyi, ale już jej nie drapał. Jego dłoń spoczywała nieruchomo. Patrzyłam na niego na tyle długo, by zyskać pewność, że nie oddycha, a potem, również wyłącznie dla pewności, odczekałam jeszcze minutę, po czym podeszłam i przyłożyłam dwa palce do jego szyi w poszukiwaniu pulsu. Nie znalazłam. Wróciłam do telefonu, wybrałam 999, podałam nazwisko i adres, powiedziałam kobiecie o pogodnym głosie, że mój chłopak ma wstrząs anafilaktyczny.

Po odłożeniu słuchawki rzuciłam się do działania. Wyjęłam pozostałe orzeszki z lodówki, odwinęłam je z ręcznika i włożyłam część do kormy pozostałej w misce Erica (jeszcze ciepłej po podgrzaniu), a część do pojemnika na wynos. Następnie splukałam ręcznik i umyłam ręce. W sypialni Eric leżał bez ruchu. Wsunęłam ręce pod materac i wyciągnęłam plastikową torebkę z dwoma epipenami. Rzeczy Erica leżały rozrzucone po całym pokoju. Skarpetkami starałam swoje odciski palców z torebki i wsunęłam ją do tenisówek. Wyglądały na miejsce, w którym można trzymać leki na nagłą okoliczność. Eric by tak nie zrobił, ale on tego nikomu nie powie. I nie powie nikomu, że twierdziłam, że w kormie nie ma orzeszków. Ja za to powiem, że był pijany, że musiał uznać, że jednak zje kurczaka, a ja byłam w sypialni, a potem nie zdołaliśmy znaleźć epipenów. Zastanawiałam się gorączkowo, czy jeszcze coś muszę przygotować. Może dobrze by wyglądało, gdybym kilka razy ucisnęła Ericowi klatkę piersiową, żeby wyglądało na próbę reanimacji. Czy koroner będzie umiał stwierdzić takie rzeczy? Już miałam zacząć, gdy znowu odezwał się dzwonek.

Wbiegłam po schodach, by wpuścić ratowników.

Trzy dni później, gdy już powiadomiono rodzinę Erica i zorganizowano przewiezienie ciała do ojczyzny, posterunkowy, który był u nas po przyjeździe pogotowia w piątek, przyszedł mnie powiadomić, że śledztwo nie zostanie wszczęte.

Oczywiście ucieszyłam się, ale także zdziwiłam. Czytałam tyle angielskich kryminałów, że przyjąłam, że przy każdym zgonie choćby odrobinę odbiegającym od normalności podejmowane jest śledztwo, a zwłaszcza jeśli wszystko wskazuje na przypadkową i tragiczną śmierć. Trochę wręcz byłam rozczarowana.

– Okej – odparłam ze zmieszaną miną – a co to oznacza?

– To oznacza, że koroner uznał tę śmierć za przypadkową i nie widzi potrzeby dalszego badania. To dobra decyzja, powiedziałbym, chociaż oficjalne śledztwo

może by zbadało sprawę Flaszki i Kufla i tego ich konkursu. Może sam bym tam wpadł i o tym z nimi pogadał. – Posterunkowy miał miłe oczy i wąs, pod którym chowała się górna warga. Po raz drugi już przekazałam mu wszystkie ważne dla sprawy fakty. Jak to Eric się upił i jak go ostrzegłam o nerkowcach w kormie, ale on i tak ją zjadł, a potem nie pamiętał, gdzie wsadził strzykawki.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziałam.

– Tak, tak sobie myślę, że może pójdę do tego pubu i sobie z nimi pogadam – powtórzył. Zatrzymał się chwilę w progu, a potem odwrócił się do wyjścia. Podał mi swoje nazwisko, ale go nie zapamiętałam.

Moja doradczyni w Faunce Institute spytała, czy chciałabym wrócić do Stanów, a ja odparłam, że zostanę w Londynie, poradzę sobie. Że jeśli odbędą się uroczystości pogrzebowe, to pewnie na nie polecę, ale pomimo traumy jestem w Londynie szczęśliwa i zadowolona z programu. To była prawda – uwielbiałam swoją suterенę w Maida Vale, podobało mi się, że od czasu wypadku Addison prawie się tam nie pojawiała. Nigdy nie sądziłam, że jestem istotą miejską, wołałam spokój Connecticut niż przytłaczający świat Nowego Jorku, ale Londyn ze swoją niską zabudową był inny. Czułam coś kojącego w jego długich rzędach domów, w obfitości drzew, anonimowości, grzecznej krzątaninie. Na ulicach w mojej okolicy panowała taka cisza, że łatwiej było o śpiew ptaka niż ludzki głos. Z radością dowiedziałam się z mejla, że Washburnowie zdecydowali się na pogrzeb w gronie rodziny, a większe nabożeństwo jest planowane w przyszłości. Zamierzałam wziąć w nim udział. Po pierwsze, byłoby dziwne, gdybym tego nie zrobiła, a po drugie chciałam zobaczyć, czy pojawi się na nim Faith, a jeśli tak, to jak zareaguje na mój widok. Nadal się zastanawiałam, czy świadomie brała udział w tym, że Eric zdradzał mnie tego lata, czy też może była drugą ofiarą jego dwulicowości. Zamierzałam się tego dowiedzieć.

Półtora miesiąca po śmierci Erica poszłam inną drogą z metra do domu i zajrzałam do Flaszki i Kufla. Był zimny, ciemny wieczór, okna baru wypełniły się delikatnym światłem i zarysami sylwetek klientów, którzy zawitali tu po pracy. Nie przychodziłam tu od śmierci Erica. Pchnęłam drzwi i wkroczyłam do zatłoczonego pomieszczenia wypełnionego pomrukiem cichych angielskich głosów. Zamówiłam guinnessa przy barze i ze szklanką podeszłam do ściany, na której wisiał regulamin konkursu piwnego. Nic się nie zmieniło. Zastanawiałam się, czy miły posterunkowy w ogóle tu zaszedł, by pogadać z właścicielem o zmianie reguł. Jeśli nawet zaszedł, to go nie posłuchali. Obok regulaminu wisiała wielka drewniana

tablica wypełniona tłoczonymi tabliczkami z nazwiskami, w większości męskimi, osób, które sprostały wyzwaniu. Przejrzałam listę do końca. Eric Washburn był przedostatni. Wisiała tu też tablica ogłoszeń pokryta przypiętymi zdjęciami z polaroida. Wszystkie fotografie wyglądały tak samo – bladzi ludzie o załzawionych oczach trzymający w górze kufle po piwie. Zdjęcie Erica znalazłam w prawym górnym rogu. Głowę miał nieco odchyłoną do tyłu, a oczy rozświetlone, uznałam, że dumą. Nadal był trochę opalony po lecie, a przy tym odchyleniu głowy jego dziewczęce piękne rzęsy były jeszcze bardziej wyraziste. Przez chwilę chciałam zdjąć i zabrać tę fotografię, ale uznałam, że nie powinnam. Tu było jej miejsce. To był testament.

Dopiłam guinnessa i uznałam, że moja kariera mordercy dobiegła końca. Nie dlatego, że straciłam do niej serce, lecz dlatego, że już nigdy nie będę musiała mordować. Już nigdy nie pozwolę nikomu tak się do mnie zbliżyć, już nikt mnie nie zrani tak jak Eric. Teraz byłam dorosłą kobietą. Miałam za sobą bezbronność dzieciństwa i niebezpieczeństwa pierwszej miłości. Poczyszająca była świadomość, że już nigdy nie znajdę się w żadnej z sytuacji tego rodzaju, że od tej chwili będę jedyną osobą odpowiedzialną za moje szczęście.

Tamtego wieczoru wróciłam do pustego mieszkania, zrobiłam sobie prostą kolację, a potem usiadłam w ulubionym fotelu, żeby poczytać.

Czekało mnie długie, nieskomplikowane życie.

Cofnąłem się do holu, nie odrywając wzroku od ręki Brada.

– Co jest, kurwa? – spytałem, zerkając na jego twarz. Nie wyglądał dobrze, cerę, na co dzień czerwonawą, miał poszarzałą, mięśnie na szyi napięte. Nosił dzinsową kurtkę podszytą kożuszką, a jego czoło lśniło od potu. Chyba był pijany.

– Ładnie tu sobie mieszkasz – powiedział, ale to zabrzmiało jakoś dziwnie, jakby nauczył się tej frazy na pamięć.

– Oprowadzić cię? Może się czegoś napijesz?

Ściągnął brwi, jakby moje słowa wprowadziły go w zakłopotanie.

– Tak, tu jest o wiele milej niż w mojej tymczasowej norze, co? Tak mieszkają prawdziwi mężczyźni, co?

Mignęło mi wspomnienie. Tamten wieczór, gdy piliśmy z Bradem. Napomknąłem coś o domku, w którym mieszka. Wtedy spojrzał na mnie z nienawiścią. I nagle zrozumiałem, że Brad przyszedł mnie zabić, ale zamiast spanikować, uspokoiłem się, zacząłem myśleć racjonalnie, mój mózg wszedł na najwyższe obroty. Wiedziałem, że mogę odwieść go od tego zamiaru. Wiedziałem, że jestem bystrzejszy od niego.

– Poważnie, Brad, co ty wyczyniasz z tą spluwą?

– A jak sądzisz? – Podniósł broń, mierząc mi w głowę. Wszystko w pomieszczeniu zniknęło. Został tylko ten rewolwer.

– Jezu, chłopie, zastanów się przez chwilę. – Wpatrywałem się w broń, pewnie tę samą, którą widziałem w jego szufladzie w Kennewick. Rewolwer z samonapinaniem. Patrzyłem, jak Brad przesuwając kciuk na kurek. Czyżby nie wiedział, że może po prostu pociągnąć za cyngiel? Muszę się ruszyć, rzucić się albo na niego, albo do ucieczki. Dzieliło nas z pół metra, nie zastanawiając się dalej, ruszyłem do ataku. Kiedy ostatnio się biłem, chodziłem do trzeciej klasy, a przegrałem z jakimś Bruce'em z pierwszaków. Rzuciłem się po prostu na Brada z całej siły, obracając jego ciało tak, że rewolwer już nie był wycelowany we mnie. Daggett poleciał do tyłu, z głośnym trzaskiem uderzając głową o drzwi wejściowe. Pomyślałem, że może stracił przytomność, ale wysyczał jakieś słowo, którego nie

zrozumiałem. Odwróciłem się i ruszyłem biegiem do schodów. Gdy dopadłem pierwszego stopnia, już myśląc o telefonie na podeście, usłyszałem głośny wystrzał z broni Brada i poczułem uderzenie powietrza w plecy, jakby pocisk minął mnie o parę milimetrów. Dalej biegłem po schodach. Zanim dotarłem do szczytu, słyszałem za sobą, jak ciężkie buty Brada uderzają w pierwsze stopnie. Sięgnąłem po telefon stojący na zabytkowym stoliczku, potknąłem się i runąłem na wyłożoną wykładziną podłogę, przewracając stolik i zrzucając telefon. Coś ciepłego rozlało mi się na brzuchu, więc przyłożyłem do tego miejsca rękę. Kiedy ją odsunąłem, ze zdumieniem ujrzałem krew i przez chwilę zastanawiałem się, skąd pochodzi. Nagle stanął nade mną Brad z rewolwerem wymierzonym we mnie. Oddychał ciężko, z dolnej wargi zwisało mu pasmo śliny.

– Dlaczego? – spytałem i natychmiast zrozumiałem. Brad nie był psychopata, który postanowił mnie zabić, bo źle się wyraziłem o jego domu. Robił to dla mojej żony. W ciągu kilku sekund wszystko mi się ułożyło. Miranda wykorzystywała Brada, żeby się mnie pozbyć. Chciała mieć wszystkie pieniądze dla siebie. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy? Ostry ból przeszył moje wnętrzności, skrzywiłem się, a potem niemal roześmiałem.

Podniosłem wzrok na Brada, który stał z tą swoją głupią miną i rewolwerem w drżącej dłoni.

– Miranda nigdy nie będzie z tobą – powiedziałem.

– Gówno, kurwa, wiesz.

– Brad, ona cię wykorzystuje. Jak sądzisz, kogo będą podejrzewać? Ona jest na Florydzie. Macie romans. Wszyscy o tym wiedzą.

Dostrzegłem na jego twarzy cień wątpienia i poczułem promyk nadziei. Przyciskałem dłoń do rany wylotowej na brzuchu. Spomiędzy moich palców wypływała ciepła, gęsta krew.

– Masz się za wielkiego mądrałę, co?

– Brad, jesteś idiotą.

– Jeszcze zobaczymy – odrzekł i pociągnął za spust.



**II**

**DOM W BUDOWIE**

– Cześć – powiedziałam do Teda Seversona. Siedział w barze klasy biznes na Heathrow. Rozpoznałam go bez wahania, ale miałam wątpliwości, czy on mnie również. Spotkaliśmy się tylko raz, kilka lat temu, kiedy wpadłam na Faith Hobart na targu na South Endzie.

– Przeszłam na Mirandę – powiedziała do mnie wtedy Faith.

– O.

– W zasadzie to moje prawdziwe imię. Faith mam na drugie. Miranda Faith.

– Chyba o tym nie wiedziałam.

– To mój narzeczony, Ted. – Wskazała mężczyznę obok siebie.

Przystojny, nieco sztywny mężczyzna odwrócił się od zabytkowej tacy na listy i podał mi rękę. Miał suchy, silny uścisk dłoni zawodowca, ale po zdawkowych grzecznościach, jak to miło mnie poznać, odwrócił się znowu do straganu. Powiedziałam Faith/Mirandzie, że się z kimś umówiłam i muszę lecieć. Zdążyła jeszcze szepnąć:

– Straszna ta historia z Erikiem. Przepraszam, że się z tobą nie skontaktowałam, ale byłaś w Londynie i...

– Nieważne, Faith, nie ma sprawy.

Odeszłam. Wcześniej wiele razy się zastanawiałam, jak by to było, gdybym znowu wpadła na Faith. (Teraz pewnie powinnam ją nazywać Mirandą). Jak by zareagowała? Zdziwiła się, gdy się dowiedziała, że Eric umarł w Londynie, gdzie pojechał mnie odwiedzić? Czy ona również była zdradzana? Ale po tym spotkaniu na targu, gdy zobaczyłam ją z nowymi atramentowoczarnymi włosami, w butach za pięćset dolarów, z nieświadomym narzeczonym, gdy zobaczyłam, jak bez zajknięcia wyraziła troskę o mnie, wiedziałam. Wiedziałam, że brała udział w oszustwie. Kiedy była z Erikiem w Nowym Jorku, wiedziała, że on spędza ze mną weekendy w Sheapug. Czy mściła się w ten sposób za mój związek z nim? Czy należała po prostu do kobiet, które rajcowało odbijanie facetów innym kobietom? Przez krótką chwilę, tam, na South Endzie w Bostonie, znowu poczułam tamten ból w klatce piersiowej, który mnie przeszył, gdy już wiedziałam, że Eric zdradził

mnie z Mirandą i że moje życie już nigdy nie będzie takie samo.

Nie chciałam się tym zadręczać i nie zadręczałam się zanadto, ale gdy zobaczyłam Teda Seversona na lotnisku (byli teraz z Mirandą małżeństwem; widziałam anons w „Globe”), postanowiłam z nim pogadać. Powiedziałam więc „cześć”, dając mu szansę na rozpoznanie mnie, chociaż wątpiłam, czy da radę skojarzyć, że już się spotkaliśmy. Podniósł wzrok – nie miał pojęcia, kim jestem. Widziałam, że jest pijany, oczy miał zaczerwienione, dolną wargę obwisłą. Pił martini. Zamówiłam też dla siebie, chociaż nie znoszę martini.

Lecieliśmy razem do Bostonu. Opowiedział mi o swoim smutnym życiu, jak to Miranda go zdradza, a on czuje wściekłość i rezygnację. Mówił mi o tym wszystkim, bo sądził, że już nigdy w życiu się nie spotkamy. W innym czasie i innym miejscu na pewno by mi tego nie wyznał. A teraz zdradził mi nawet, jak wielką nienawiść czuje do swojej żony, i żartem dorzucił, że chce ją zabić. Powtarzałam sobie, że nie powinnam się w to wplątywać, ale od chwili, gdy zaczęliśmy rozmowę, wiedziałam, że już za późno. Miranda znowu wtargnęła do mojego świata, i to z ważnego powodu. Może to był egoizm, może sprawiedliwość, a może coś zupełnie innego, ale w ciągu następnych kilku tygodni przekonałam Teda Seversona, żeby zamordował Mirandę, podobnie jak Brada Daggetta, jej kochanka. Nie było to trudne. I właśnie kiedy plan miał przejść w fazę realizacji, schyliłam się pewnego ranka po „Sunday Globe” i przy kawie na kuchennym stole zobaczyłam zdjęcie Teda, niewielki rozmyty wizerunek u szczytu kolumny w dziale wiadomości lokalnych.

Z kubkiem kawy zawieszonym w powietrzu przeczytałam załączony materiał.

Mieszkaniec South Endu zastrzelony we własnym domu

Boston. Policja prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa, do którego doszło w rejonie Worcester Square w South Endzie w piątkowy wieczór.

Policja odebrała zgłoszenie o strzelaninie o 18.22. Detektyw Henry Kimball z policji bostońskiej przekazał nam, że ciało ofiary, Teda Seversona (l. 38), znaleziono na podeście schodów na piętrze jego domu. Zginął na miejscu.

„Prowadzimy też postępowanie w sprawie włamania, do którego doszło w piątek wieczorem na tej samej ulicy – dodał Kimball. – Nie wiemy jeszcze, czy te dwa wydarzenia są ze sobą powiązane, ale apelujemy do wszystkich, którzy mogą mieć jakieś informacje na ten temat, by się do nas zgłaszali”.

Ted Severson, prezes Severson Inc., firmy consultingowej, pozostawił żonę, Mirandę z domu Hobart, która w czasie tragicznego wydarzenia przebywała na Florydzie.

Sąsiadka państwa Seversonów, Joy Robinson, mówi, że byli oni piękną parą młodych ludzi. „Takie osoby ogląda się tylko w telewizji. Nie mogę uwierzyć, że to się im stało. I to w tej okolicy”.

Każdy, kto ma jakieś informacje na temat morderstwa lub włamania, proszony jest o kontakt z wydziałem kryminalnym policji.

Odstawiłam kubek, po czym przeczytałam artykuł ponownie. Poczułam, jak robi mi się zimno.

Nie przyszło mi do głowy nawet przez chwilę, że podczas gdy my z Tedem planowaliśmy śmierć Mirandy, ona miała ten sam zamiar odnośnie do Teda. Bo to musiała być sprawka Mirandy, a pomagał jej Brad. Nie było mowy o żadnym przypadkowym włamaniu zakończonym nieumyślnym zabójstwem. To zbyt doskonale, żeby Miranda przebywała w tym czasie na Florydzie z żelaznym alibi. Brad musiał przyjechać z Maine i zastrzelić Teda. Może włamał się do domu w sąsiedztwie, by zmylić tropy. Może nie. Tak czy owak, Miranda pozbyła się Teda i zgarnie wszystkie jego pieniądze.

Pomyślałam o Tedzie. Znalezione go zastrzelonego na piętrze jego domu. Musiał wpuścić Brada, a potem rzucił się do ucieczki. Musiał wiedzieć, że zginie, i musiał zrozumieć, że Miranda to uknuła. Gardło mi się ścisnęło, oczy wypełniły się łzami, ale te nie wypłynęły. Zdążyłam bardzo polubić Teda. Kiedy się spotkaliśmy w samolocie, widziałam w nim tylko drogę do zdobycia informacji o mojej studenckiej Nemezis. Miranda Faith Hobart była luźnym wątkiem mojej własnej narracji. Wmówiłam sobie, że co prawda skrzywdziła mnie, kradnąc mi chłopaka, ale nigdy nie uważałam, że jest nikczemna. Po rozmowie z Tedem w samolocie i wysłuchaniu opowieści o jej zdradzie, wiedziałam jednak, że jest inaczej. Była zepsuta do szpiku kości.

I może czułam podniecenie, że znowu wyruszam na łów. Przyznaję. Zabijanie trochę przypominało swędzące miejsce, którego się od lat nie podrapało.

Ale Ted podobał mi się coraz bardziej. Więcej niż podobał. Kiedy się pocałowaliśmy na cmentarzu w Concord, zaskoczyła mnie moja reakcja, to, ile poczułam w tym pocałunku. Powiedziałam sobie – jak zawsze, gdy się angażowałam w jakiegoś mężczyznę – że zakochanie się nie wchodzi w grę. Wiedziałam, że już nigdy przez to nie przejdę. Ale naprawdę lubiłam Teda. Był przystojny, a jednocześnie jakby zakłopotany, jakby nigdy nie oswoił swoich sukcesów. Jeden z tych mężczyzn, do których należy świat, ale oni nie do końca zdają sobie z tego sprawę. Rozumiałam, dlaczego Miranda mu się spodobała. Nie tylko w każdym towarzystwie była najseksowniejszą kobietą, ale też czuła się ze sobą niewiarygodnie dobrze. To musiało go przyciągnąć. Ale poza intensywnością doznań towarzyszących naszemu pocałunkowi – żółte liście dokoła, jego ręka na

moim sweterku – przy Tedzie miałam niezwykle wrażenie, że potrafię z nim być, że potrafię dzielić tajemnice z inną istotą ludzką. On mi zdradził swoje najskrytsze myśli, pragnienie zamordowania żony i pewnego dnia, pomyślałam sobie, może ja zdołam mu opowiedzieć o swojej przeszłości.

A teraz Teda nie było.

A ja myślałam tylko o tym, jak straszliwie pragnę znowu go zobaczyć, i o tym, że to się już nigdy nie stanie.

Weszłam do internetu w nadziei, że znajdę coś nowego na temat piątkowego wieczoru. Niczego nie znalazłam – kilka gazet powtórzyło tylko informacje z „Globe”. Zastanawiałam się, jak Miranda zaplanowała to morderstwo. Niewątpliwie to Brad pociągnął za spust. Niewykluczone, że była w to wplątana jakaś trzecia osoba, ale miałam co do tego wątpliwości. Więc jak to zrobili? Miranda wyjeżdża z miasta i sprawdza, czy Ted wróci do domu sam w piątek wieczorem. Brad wyjeżdża z Maine. Najpierw włamuje się do domu sąsiadów i go okrada. Musi to być sąsiad, o którym Miranda ma bieżące informacje. Wie, że właściciele są nieobecni i że nie mają alarmu. To nawet łatwe. Po włamaniu Brad idzie do domu Teda i puka do drzwi. Ted go wpuszcza, a Brad musi już tylko go zastrzelić. Wyglądałoby to jak napad, który wymknął się spod kontroli. Następnie Brad wraca do Maine.

Zastanawiałam się nad alibi Brada. Musiał jakieś mieć, ale jakim cudem, skoro pojechał z południa Maine do Bostonu i wrócił, a po drodze popełnił dwa przestępstwa? Zajęło mu to co najmniej trzy godziny, pewnie więcej, bo musiał przestrzegać ograniczeń prędkości na autostradzie. Może Miranda liczyła na to, że absolutnie nikt nie wie o niej i jej budowlańcu? Ale czy to w ogóle wchodziło w grę? Ted się dowiedział. Ktoś inny w mieście też musiał wiedzieć. Członkowie ekipy? Barmanka w Kennewick Inn? Mało prawdopodobne, że zdołali to zachować w całkowitej tajemnicy.

Ja wiedziałam, oczywiście. Stawiało mnie to w wyjątkowej sytuacji – otrzymałam wszystkie informacje od Teda Seversona, a nikt na całym świecie nie miał pojęcia, że cokolwiek w ogóle nas łączy. Mogłam oczywiście pójść na policję i powiedzieć im wszystko, nie wspominając ani słowem, że Ted planował zamordowanie żony. Ale nie zamierzałam tak zrobić. Istniało duże ryzyko, że policja spartaczy sprawę i Miranda się z tego wywinie. A gdyby nawet została aresztowana i skazana, stałaby się sławna na cały kraj. Już to widziałam – kobieta o jej wyglądzie przekonała kochanka, by zabił jej męża. Przez całe lata puszczałiby to w telewizji.

Miranda zasługiwała na karę, teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Wysłałam esemesa do mojej koleżanki Kathy, że źle się czuję i nie mogę z nią jednak po południu pójść do kina. A potem napisałam mejla do szefa, że musiałam się przeziębic i że nazajutrz zrobię sobie wolne. Mój szef śmiertelnie bał się zarazków i zawsze chętnie przydzielał chorobowe.

Miałam robotę do wykonania. Przede wszystkim musiałam udać się do Kennewick i poznać Brada Daggetta. Wiedziałam, że pośpiech jest niezbędny, bo może policja już się zbliża do prawdy, a przecież musiałam dotrzeć tam przed nimi.

Minęła dziesiąta rano, a ja czułam w oddechu Brada zapach alkoholu. Pod linią włosów utworzyły mu się krople potu, oczy miał podkrążone i opuchnięte.

– Jesteś tu sam?

– Tak – odrzekł.

Staliśmy na zwirowej drodze dojazdowej prowadzącej do nieukończonego domu w Maine. Była niedziela. Brad zabił mojego męża w piątek i po samym jego wyglądzie zrozumiałam, że przeceniłam możliwości tego człowieka. Był rozgorączkowany, oczy mu błyszczały.

– Dobrze poszło – powiedziałam. – Policja myśli, że to tragiczna pomyłka włamywacza. Tak jak planowaliśmy.

– Pewnie – powtórzył.

– Jak się czujesz? Nie wyglądasz dobrze.

– Nie czuję się najlepiej. Nie sądziłem, że to będzie takie trudne.

– Kochanie, tak mi przykro... Ale nie będziesz się tak czuł wiecznie. Obiecuję. Pobierzemy się. Będziemy bogaci. Zaufaj mi, to uczucie minie.

– Jasne, wiem przecież.

– Więc musisz się wziąć w garść. Jeśli policja przyjdzie z tobą pogadać, nie możesz wyglądać jak zombie. Rozumiesz? Już po wszystkim. Ted nie żyje i nie ma odwrotu.

Jakiś samochód przejechał Micmac Road, Brad odwrócił głowę, przyglądając mu się. A ja przyglądałam się Bradowi. Poranek był zimny, jego oddech kondensował się w powietrzu. Odwrócił się do mnie.

– Nie wiem, czy powinniśmy się tu tak spotykać – rzekł i wyciągnął marlboro red z twardej paczki, którą nosił w przedniej kieszeni kurtki. Zapalił papierosa zapalką, osłaniając ją oburącz pomimo braku wiatru.

– Jesteś moim wykonawcą, budujesz dla mnie dom. Mój mąż właśnie został zamordowany i musiałam ci powiedzieć, że zawieszamy prace na kilka dni, zanim się zorientuję, co dalej. To nic wielkiego. Jadę zobaczyć się z matką. Nikt o nas nie

wie. Nikt. Musisz się pozbierać, Brad.

– Wiem. Pozbieram się. Ale... Ciebie tam nie było. On był taki przerażony.

– Oczywiście, że był przerażony, kochanie.

– I to nie wszystko.

– A co jeszcze?

– Myślę, że on o nas wiedział.

– Co to znaczy?

– Powiedział coś takiego... Powiedział, że nigdy ze mną nie będziesz i że mnie wykorzystujesz.

– Pewnie wszystko zrozumiał. Jak cię zobaczył na progu z bronią, pojął, że jesteśmy razem. Nie ma szans, żeby wiedział o nas wcześniej.

– Myślę, że wiedział. Nie wyglądał na zaskoczonego. Zachowywał się, jakby cały czas o wszystkim wiedział.

Zastanawiałam się chwilę, analizowałam, czy to możliwe, ale uznałam, że nie.

– Skąd miałby wiedzieć? – spytałam.

– Nie mam, kurwa, pojęcia, ale mówię ci, że wiedział. – Mówił teraz wysokim głosem, a ręka z papierosem podskakiwała w górę i w dół.

– Ciii, już dobrze. Może o nas wiedział, ale już nie żyje, więc to nie ma znaczenia. Już dobrze?

– Mógł komuś powiedzieć.

– Komu? Znam go. Nie ma żadnych bliskich przyjaciół. Może tylko nas podejrzewał, ale nikomu nie pisnął ani słowa. Uwierz mi.

– Dobra. – Zaciągnął się łapczywie papierosem.

– Kochanie, posłuchaj mnie. Musisz być przygotowany ze swoją wersją wydarzeń. Jesteś budowlańcem i pracujesz dla Teda i dla mnie. Ted tu w ogóle nie zaglądał, ale ja ciągle siedziałam. Sprawiałam wrażenie trochę znudzonej, we wszystko się wtrącałam, ale poza tym byłam w porządku. Nigdy się do ciebie nie przystawiałam. Ty nie przystawiałeś się do mnie. Po co miałbyś sobie bruździć w tak miłym układzie? Obrzydliwie bogaci zleceniodawcy. Nie masz pojęcia, kto mógł zabić Teda. Nie masz pojęcia, czy byliśmy z Tedem szczęśliwi. Wydawaliśmy się szczęśliwi, gdy widziałeś nas razem, ale tak z ręką na sercu nie zwracałeś na to uwagi. I już. Nic więcej nie wiesz.

– Dobra.



- Powtórz po mnie to wszystko.
  - Jezu, Miranda, ogarniam przecież.
  - Dobra. Więc opowiedz mi teraz, jak minął wieczór z Polly. Dobrze poszło?
  - Świetnie. Zjedliśmy lunch U Cooleya, piliśmy i zostaliśmy do piętnastej. A potem pojechaliśmy do mnie. Ona była nawalona jak stodoła i padła, zanim wyszedłem.
  - Zerznąłeś ją?
  - Jezu, Miranda!
  - Nie pytam ze względu na siebie. Nie obchodzi mnie to. Pewnie najlepiej by było, gdybyś ją puknął, na wypadek gdyby ją przesłuchiowano.
  - Dlaczego mieliby ją przesłuchiwać? Mówiłaś, zdaje się...
  - Nie będzie przesłuchiwana, ja się tylko upewniam. Ona jest twoim alibi. Chcę wiedzieć, co powie, gdyby się tak zdarzyło, że policja będzie sprawdzać twoje alibi.
  - Powie, co trzeba. Że chodzimy ze sobą i że się napiliśmy, potem uprawialiśmy u mnie seks. Powie, że byłem tam cały wieczór, że to pamięta. Nie powie, że się jej urwał film. Znam ją.
  - Była jeszcze, jak wróciłeś?
  - Pewnie, ani drgnęła.
  - Obudziłeś ją?
  - Tak, zrobiłem wszystko, co powiedziałaś. Obudziłem ją. Dochodziła dziesiąta, zawiozłem ją do jej auta.
- Kolejny samochód przejechał drogą Micmac, temu też Brad się przyjrzał. Wyrzucił papierosa, a wolną ręką skubnął delikatnie swój baczek.
- Dobra – zdecydowałam. – Ja się zbieram. Powiedz ludziom, żeby wzięli parę dni wolnego, dobra? Dopóki nie postanowię, co robić. Zadzwońię do ciebie, ale tylko z powodów służbowych, jasne?
  - Tak, wiem.
  - Nic złego się nie stanie. Obiecuję. Policja pewnie w ogóle nie zamieni z tobą ani słowa.
  - Wiem.

Przysunęłam się do niego, spojrzałam na drogę, żeby sprawdzić, czy jest pusta, po czym chwyciłam sękatą dłoń Brada i przejechałam nią po przodzie swoich legginsów. Nie miałam majtek, a w piątek, w ciągu tych kilku godzin spędzonych

w Miami, poszłam z dziewczynami do spa i zrobiłam sobie depilację brazylijską. Wepchnęłam palce Brada głęboko między moje nogi.

– A kiedy już będzie po wszystkim – wyszeptałam – weźmiemy sobie długi urlop i pojedziemy na jakąś tropikalną wyspę, gdzie nikt nas nie zna, i tam zaruchamy się do upadłego.

– Dobra, Jezu drogi – jęknął, zabierając rękę i odsuwając się ode mnie. – Ktoś nas może zobaczyć.

– Za dużo się martwisz. To twój problem.

– Dobra – powtórzył po raz kolejny i wyjął z paczki jeszcze jednego papierosa. Obejrzał się na swój wóz, pewnie z myślą o flaszcze, którą trzymał w schowku.

– Muszę jechać, skarbie – powiedziałam i wsiadłam do samochodu. – Zachowaj spokój, dobrze?

Kiwnął głową, a ja zawróciłam na drodze. Brad okazał się wielką pomyłką. To było oczywiste. Mogłam mieć tylko nadzieję, że śledztwo nie opuści granic Bostonu i policja nigdy go nie przesłucha.

Wróciłam na I-95 i wyruszyłam w długą drogę do Orono. Po ślubie z Tedem próbowałam namówić matkę na przeprowadzkę do Bostonu, ale uparła się, że zostanie w Maine. Dałam jej trochę pieniędzy, więc w końcu kupiła dom o powierzchni stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych, w którym się zakochała z powodu lodówki ze stali nierdzewnej i granitowych blatów. Mówiłam jej, że posiadanie miłego domu w Orono to jak posiadanie połowy miejsca parkingowego w Bostonie, ale i tak nie chciała się przeprowadzić. Myślę, że chciała zostać w Maine, by nowymi zasobami świecić w oczy przyjaciółkom. Oprócz mieszkania dostała też nową garderobę i mercedesa.

– Mówiłaś swojemu ojcu, że jeżdżę teraz mercedesem? Kiedyś mieliśmy mercedesa, wiesz, przez jakieś pięć minut – mówiła po zakupie samochodu.

– Mamo, tata ma w nosie, jakim wozem jeździsz.

– Myślisz, że dlatego, że jest jakimś tam intelektualistą, to ma w nosie, jakim samochodem ktoś jeździ.

– Nie. Mówię, że ma w nosie, jakim wozem ty jeździsz.

To było kilka tygodni temu. Ponownie rozmawiałyśmy dopiero wczoraj, kiedy do niej zadzwoniłam, by jej powiedzieć, że jej zięć Ted został zastrzelony przez włamywacza. I że przyjeżdżam do niej na kilka dni, bo nie chcę być sama w Bostonie.

– No pewnie, Faith. – Matka wciąż się do mnie tak zwracała, moim drugim imieniem, którego używałam od szóstego roku życia do końca studiów. Uparłam się, żeby tak zrobić, bo do pierwszej klasy chodziła ze mną inna dziewczynka o imieniu Miranda. Kiedy oznajmiłam matce, że przechodzę z powrotem na Mirandę, odmówiła. „Dopiero co się przyzwyczaiłam, Faithy, i nie odwrócę tego”.

Widziałam, że detektyw Kimball nie ucieszył się zbytnio, gdy mu oświadczyłam, że jadę do Maine pobyć z matką.

– Można by wynająć pani pokój w hotelu tutaj, w Bostonie – rzekł. – Pani matka mogłaby tu przyjechać.

– To ważne, żebym została w Bostonie?

– Przydałoby się, żeby była pani pod ręką, na wypadek gdybyśmy mieli jakieś pytania – powiedział niskim głosem detektyw Henry Kimball. Odnosiłam wrażenie, że jest zdecydowanie zbyt nerwowy, żeby dosłużyć się jakiegokolwiek awansu w policji. Miał odrobinę za długie brązowe włosy i brązowe oczy. Chodził w dzinsach i tweedowym płaszczu. Przypominał mi zagubione dusze, które pracowały w magazynie literackim w college’u. Zastanawiałam się, jak szybko zmusiłabym go, żeby się we mnie zakochał. Bardzo, kurwa, szybko.

– Jadę tylko do Maine. Ma pan numer mojej komórki. Nie mogę zostać... nie mogę przebywać w tym domu, w tej chwili nie mogę. Rozumie pan...

– Oczywiście rozumiem, pani Severson. Bez dwóch zdań. W takim razie będziemy w kontakcie. Zadzwońię do pani, gdy tylko pojawi się w śledztwie coś nowego.

Tamtą rozmowę odbyliśmy po tym, jak zidentyfikowałam ciało Teda. Taksówką pojechałam z komisariatu do domu i się spakowałam. Brad sądził, że tak szybki wyjazd do Maine będzie wyglądał podejrzanie, ale moim zdaniem wyglądał najzupełniej naturalnie. To absolutnie zrozumiałe, że po stracie męża chcę pobyć z matką. Chyba że ktoś zna moją matkę. Ale pod pretekstem wyjazdu do Maine miałam szansę zajechać do Kennewick i sprawdzić, co u Brada, i jak bardzo powinnam się przejmować stanem jego nerwów. Jak się okazało, zdecydowanie powinnam.

Zaraz za Portland przestały odbierać porządne stacje radiowe, więc wsunęłam do odtwarzacza jedną z płyt, które nagrał mi Ted. Zaczynała się od piosenki *Mansard Roof* zespołu Vampire Weekend. Zdaniem Teda leciała na imprezie, na której się poznaliśmy. Nie pamiętałam tej piosenki z imprezy, ale lubiłam ją i teraz

śpiewałam do wtóru. Kiedy wychodziłam za Teda, nie zamierzałam go zabijać. Nie kochałam go, ale go lubiłam. Był szczodry. Bez marudzenia pozwalał mi wydawać jego pieniądze. Wprawdzie nie miał na co narzekać: na ile się orientowałam, pieniędzy nie mogło mu zabraknąć. Aż pewnego ranka obudziłam się w Bostonie, słońce wpadało przez okno sypialni. Spojrzałam na mojego męża, wciąż pogrążonego w głębokim śnie, na twarzy odgniotła mu się poduszka. Przyglądałam się niewielkiej kępcze zarostu pod brodą, która musiała mu umknąć podczas golenia poprzedniego dnia. Pochrapywał cicho, ale każdy urywany wydech zaczynał się z małą nosową czkawką, jakby strumień powietrza o coś zahaczał. Ten dźwięk był potwornie irytujący i uświadomiłam sobie, że przez resztę życia będę się budzić, oglądając tę samą osobę, która będzie się starzała coraz bardziej i chrapała coraz głośniej. Już sama myśl o tym była okropna, ale wiedziałam też, że gdy tylko Ted się obudzi, spojrzy na mnie, a na jego twarzy pojawi się radość, i że powie coś w rodzaju: „Witaj, piękna”. To było najgorsze. Będę musiała odpowiedzieć równie promiennie, podczas gdy z najwyższą przyjemnością starłabym mu z twarzy ten durny uśmiech. Ted poruszył się odrobinę. Wiedziałam, że zaraz się zbudzi. Jak najciszej zsunęłam z siebie kołdrę i przerzuciłam nogi przez krawędź łóżka. Ale nie zdążyłam. Ted się obudził, przesunął palcem po moich plecach i powiedział sennym, otumanionym głosem: „Dokąd idziesz, seksiaro?”. W tamtym momencie zrozumiałam, że nie dam rady. Chciałam mieć pieniądze, ale nie mogłam spędzić całego życia z Tedem. Bez dwóch zdań. Właśnie zaczęliśmy prace nad domem w Kennewick. Pomyślałam o Bradzie Daggetcie, naszym wykonawcy, i zastanowiłam się, czy nadaje się do czegoś poza budowaniem.

Zanim dotarłam do Bangor, płyta przeleciała dwa razy, ale ciągle jej słuchałam. Zjechałam z I-95, minęłam Thomas Hill Standpipe i wjechałam w Kenduskeag Avenue, którą dotarłam aż do miasta. Zrobiło się ponuro, liście na drzewach już zaczęły żółknąć i spadać. Większość była pakowana w worki i kompostowana, więc miasto przybrało swoją znajomą paletę gontowo-ceglaną. Niskie budynki pod nisko wiszącym szarym niebem.

Dotarłam do State Street, objeżdżającej rzekę Penobscot, i ruszyłam na północ w stronę Orono. Pół kilometra od domu mojej matki zadzwonił telefon. Ściszyłam radio i odebrałam.

- Dzień dobry, pani Severson, mówi detektyw Kimball.
- Witam. – Chociaż mógł dzwonić w dowolnej sprawie, serce mi trochę podskoczyło.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam pytanie. Wie pani może, co mąż robił tego dnia... co robił w piątek? W ciągu dnia?

– Hm. O ile wiem, cały dzień był w domu. Widziałam go rano, zanim wyruszyłam na lotnisko. Powiedział, że ma pracę i że wieczorem zje kolację sam w domu. Chciał sobie przyrządzić jagnięcinę. Dzwoniłam nawet, żeby mu przypomnieć o wyjęciu jej z zamrażalnika. – Tu odrobinę mój głos zadrżał.

– Aha. A czy mąż zna kogoś w Winslow w Massachusetts?

Zwolniłam, wypatrując adresu matki.

– Winslow? Nie sędzę. A dlaczego pan pyta?

– Znaleźliśmy w jego samochodzie mandat za parkowanie z Winslow. Wystawiono go o czternastej trzydzieści trzy w piątek, tamtego dnia, gdy został zamordowany. Byliśmy ciekawi, czy może pani wie, po co się tam wybrał.

Zobaczyłam właśnie podjazd matki, a na nim mercedesa coupe w kolorze bieli diamentowej, i zaparkowałam obok.

– Nie mam pojęcia. A gdzie jest to Winslow? To tam, gdzie jest college, tak?

– Tak. Czy mąż miał tam jakieś kontakty służbowe?

– Niewykluczone. Nie mam pojęcia. A dlaczego? Myśli pan, że to ma coś wspólnego z tym, co się stało?

– Nie, nie. Po prostu analizujemy każdy trop. Więc o ile pani wiadomo, mąż się z nikim nie spotkał w tamten piątek?

– O ile mi wiadomo, to nie, ale nie było mnie...

– Oczywiście. Bardzo pani dziękuję, pani Severson. Jeśli przyjdzie pani do głowy coś jeszcze albo przypomni sobie pani, że jednak mąż znał kogoś w Winslow, proszę się z nami skontaktować. Ma pani mój numer?

– Właśnie pan do mnie zadzwonił. Wyświetlił mi się.

– Zgadza się. Dziękuję.

Posiedziałam chwilę w samochodzie, chociaż widziałam ciemną postać matki, która wyglądała z okna salonu na piętrze. Trochę się martwiłam, że policja uznała za niezbędne zbadać, dokąd Ted jeździł w dniu śmierci. Wzięłam głęboki oddech, zastanowiłam się chwilę, czy moja matka nadal pali i czy ma papierosy w domu, a potem się uspokołam. Oczywiście, że chcieli wiedzieć, dokąd Ted jeździł tamtego dnia. To rutynowe. Ale dlaczego pojechał do Winslow i dlaczego mi o tym nie powiedział? Nie skłamałam, mówiąc detektywowi, że o ile wiem, nikogo tam nie

znał. Ale nazwa tego miasta z czymś mi się kojarzyła i nie mogłam sobie dokładnie przypomnieć z czym. Mieszkał tam ktoś, kogo znam. Albo myliłam Winslow z Winchester. I dlaczego Ted miałby jeździć do Winslow? Czyżby też miał jakieś tajemnice? Teraz miałam kolejny kłopot, oprócz zmartwienia, czy Brad wytrzyma napięcie. Taki już mój los.

Wysiadłam z samochodu. W Orono było zimno. Suche liście przetaczały się po podjeździe. Wzięłam torebkę z tylnego siedzenia mini coopera i ruszyłam do drzwi wejściowych rezydencji matki.

Całą drogę z Winslow do Kennewick myślałam o tym, co Miranda zrobiła Tedowi. On był niewinny. Chociaż zaplanował jej śmierć, jak również śmierć Brada, to wiedziałam w głębi duszy, że z natury nie był mordercą, nie był prawdziwym drapieżcą. A teraz docierało do mnie, że cały czas był ofiarą. Zastanawiałam się, czy jakoś podświadomie wyczuł, że Miranda coś knuje. Czy może dlatego chciał ją zabić, bo wyczuwał jej zamiary, tak jak mysz wyczuwa obecność kota przyczajonego nieruchomo w wysokich trawach?

Choć dzień był zimny i szary, jechałam z uchylonym oknem i gdy skręciłam z I-95 na rondo na północ od Portsmouth, poczułam zapach słonego morskiego powietrza. Nie znałam dobrze Maine. Odkąd zamieszkałam w Massachusetts, kilka razy odwiedziłam Cape Cod. Zatrzymywałam się wówczas w Wellfleet w domu kolegi z pracy, ale na północ stanu wybrałam się tylko kilka razy. Wjechałam na drogę numer 1, minęłam Kittery, zagłębie outletów, i dostrzegłam Faktorię, gdzie Ted kupił lornetkę, za pomocą której śledził Mirandę. Mogłam sobie go wyobrazić właśnie na tej szosie jeszcze kilka tygodni temu. Mogłam sobie wyobrazić, jak musiał się czuć, to straszne uczucie pustki w brzuchu, kiedy ktoś, kogo kochasz, sprawia ci zawód.

Minąwszy outlety, wjechałam na otwartą przestrzeń i ujrzałam słone mokradła, a w oddali Atlantyckie, niemal w tym samym szarym kolorze co niskie spokojne niebo.

Dopiero po dłuższej chwili znalazłam Kennewick Inn. W Kennewick Beach zjechałam z jedynej, a potem musiałam wrócić na południe w stronę Kennewick Harbor. Minęłam kilka skupisk wyblakłych od soli domków do wynajęcia, zastanawiając się, które należą do Brada i jego rodziny. Minęłam też Cooleya – jego neonowy szyld teraz, wczesnym popołudniem w niedzielę, jeszcze się nie świecił. Jakiś pikap stał na parkingu i zastanawiałam się, czy Brad już tam jest. Za Kennewick Beach Micmac Road wiła się wśród drogich posiadłości. Wpatrywałam miejsca, w którym powstawał dom Teda i Mirandy, i dostrzegłam go niemal od razu – beżowe monstrum daleko na urwisku. Za nim rozpościerał się ciemny ocean. Przed budynkiem wznosiły się dwa wielkie usypiska, ale nie widziałam żadnego samochodu.

Jechałam dalej, aż dotarłam do motelu, i skręciłam na niemal pusty zwirowy podjazd. Pod drewnianym szyldem z wyciętym ozdobnym napisem wisiała tabliczka, że mają tu wolne miejsca. Tego się spodziewałam. Była październikowa niedziela, a o tej porze roku turyści ruszają w góry oglądać listowie, zostawiając wybrzeże stałym mieszkańcom.

Obejrzałam sobie Kennewick Inn od zewnątrz. Budynek o drewnianej konstrukcji szkieletowej stał tuż przy drodze. Rozległa przybudówka na tyłach w założeniu miała wyglądać na równie starą, co główna część domu. Wszystkie jej drewniane części niedawno pomalowano na biało i nawet w szarym świetle dnia zdawała się lśnić obietnicą luksusu i wygody. Nie byłam pewna, czy to mądre wynająć tu pokój; istniało przecież jakieś prawdopodobieństwo, że Miranda też tu nocuje. Może jednak niewielkie – jej mąż właśnie został zabity, więc pewnie zajmowała się w Bostonie swoimi sprawami. Ale pewności mieć nie mogłam. To, że bym na nią wpadła, nie było jeszcze najgorsze. Nie miała powodu podejrzewać, że cokolwiek łączy mnie z jej mężem. Żadnego powodu. Niemniej jednak moja obecność mogłaby obudzić jej czujność, co nie sprzyjało realizacji mojego planu.

Mimo wszystko postanowiłam zostać. Prawdę mówiąc, chciałam zobaczyć, gdzie Miranda mieszkała przez większość ostatniego roku. Ludzie tutaj ją znają. Może plotkowali. A to mogło dać mi przewagę.

Gdy szłam z samochodu do recepcji, poczułam w zimnym powietrzu zapach dymu z drewna. Boczny wejście wychodził właśnie robotnik w poplamionym farbą kombinezonie i przytrzymał mi drzwi. Weszłam z torbą. Po nierównej podłodze z szerokich desek przeszłam do pustej recepcji. Zaczekałam chwilę, po czym nacisnęłam dzwonek. Z bocznych drzwi wyłonił się siwowłosy mężczyzna o podkręconych wąsach. Z plakietki na piersi dowiedziałam się, że to konsjerż John Corning.

– Wyjeżdżamy?

– Przyjeżdżamy. Jeśli jest wolny pokój. Nie mam rezerwacji.

John mniej więcej piętnaście minut przedstawiał dostępną ofertę. Zdecydowałam się na pokój w starej części motelu. Ostrzegł mnie, że sufity są niskie, ale za to dobry widok na ocean.

– Zwiedza pani? – spytał.

– Mam kilka dni wolnego, a ponieważ nigdy tu nie byłam, postanowiłam nadrobić zaległości.



– Więc wybrała pani doskonale miejsce. Mamy tu spa, trzeba się jednak wcześniej umówić. Restauracja jest już dzisiaj zamknięta, ale na dole działa Livery i dają równie dobre jedzenie, jeśli mam być szczery. Polecam kanapkę z homarem. Chętnie też polecę którąś z okolicznych restauracji. Chciałaby pani, żeby ktoś ją zaprowadził do pokoju?

Podziękowałam i wąskimi schodami wspięłam się na piętro. Z okna pokoju widziałam wąski pasek oceanu za gęstą kępą drzew na cyplu po drugiej stronie drogi, ale sam pokój był ładny, miał granatowe ściany, proste meble szejkerskie i łóże z baldachimem i z czerwono-biało-niebieską narzutą. Zastanawiałam się oczywiście, czy w tym właśnie pokoju zatrzymali się Ted i Miranda. Czy spali razem na tym łóżku?

Rozpakowałam się. Johnowi w recepcji powiedziałam, że zostanę na dwa dni, ale miałam ubrania na dłuższy pobyt. Zamierzałam improwizować. W pokoju było za ciepło, grzejnik brzęczał i syczał. Otworzyłam okno i stałam w nim chwilę, podczas gdy owiewało mnie zimne powietrze. Niskie chmury się przerzedziły, widziałam teraz długi cień motelu ciągnący się aż na drugą stronę drogi. Za niespełna godzinę zrobi się ciemno. Zamierzałam wybrać się na spacer po klifie, ale uznałam, że to mogę zrobić następnego dnia. Zostawiłam okno uchylone i położyłam się na miękkim łóżku. Sufit przecinały ciemne belki. Wyobraziłam sobie Mirandę w tym pokoju, jak wpatruje się w ten sam sufit. Wyobraziłam ją sobie samą, nagą pod kołdrą, jak myśli o dwóch mężczyznach w swoim życiu – mężu i kochanku – i knuje morderstwo. Próbowałam myśleć o Tedzie, ale mój umysł wciąż zajmowała Miranda. Czy to możliwe, że myliłam się co do niej, a Ted naprawdę zginął zabity przez przypadkowego włamywacza? Choć w to nie wierzyłam, wiedziałam, że to niewykłuczone. Tego przede wszystkim musiałam się dowiedzieć i z tego powodu musiałam jak najszybciej spotkać się z Bradem.

Miranda zawładnęła moimi myślami. Wspomniałam ją sprzed lat, pewnej pijanej nocy w St. Dunstan's, kiedy wpatrywała mi się w oczy. Powiedziała, że chce im się przyjrzeć, a ja jej pozwoliłam. Czułam w jej oddechu słodkawy zapach wódki. Jedną ręką dotykała mojego nadgarstka. Wymieniła wszystkie kolory, które widziała w moich oczach. Zastanawiałam się wówczas, o co jej chodzi. Myślałam, że może ma to jakiś związek z Erikiem, że próbuje mnie przepłoszyć, bo chodzę z jej byłym chłopakiem, ale teraz się zastanawiam, czy to nie miało związku ze mną. Co zobaczyła w moich oczach? Widziała Cheta na dnie studni? Wspólnotę, która sięgała dalej niż do Erica Washburna?

Jakiś koleś, którego imienia już nie pamiętałam, z drugiego końca pomieszczenia krzyknął wtedy: „Pocałujcie się!” i nasz kontakt wzrokowy się zerwał, ale nigdy nie zapomniałam tamtej chwili. Ciekawe, czy ona też ją pamięta.

Zostałam w pokoju do siedemnastej z minutami, a potem przebrałam się w swoje najbardziej obcisłe dzinsy. Związałam włosy w koński ogon i umalowałam się mocniej niż zwykle, między innymi użyłam ciemnego eyelinera. Zamierzałam coś zjeść w Livery, a potem wybrać się do Cooleya na plaży. Musiałam stosownie wyglądać.

W Livery panowała cisza i spokój. Zająłam miejsce przy barze. Barman, olbrzym w szelkach i krawacie, wyglądający na ofiarę permanentnej niestrawności, kroił właśnie cytryny i limonki, a kelnerka wycierała stoliki. Kontuar był długi i wąski. Przy jednym jego końcu znajdował się kominek, w tej chwili wygaszony, a na drugim mężczyzna o długich siwych włosach wyjmował właśnie gitarę akustyczną i ustawiał wzmacniacz. Powiesiłam torebkę na haczyku pod dębowym blatem i zamówiłam butelkę jasnego piwa. Na zawieszonym nad butelkami telewizorze wyświetlały się najważniejsze wiadomości ze świata futbolu, a ja udawałam, że się nimi interesuję. Zastanawiałam się, czy ktokolwiek się tu pojawi w niedzielny wieczór, ale do osiemnastej, gdy sączyłam drugie piwo, przybyło już chyba piętnastu gości. Większość zajęła miejsca przy barze, a mężczyzna z gitarą zdążył zaśpiewać dwie piosenki The Eagles. Nie jadłam nic od śniadania, więc zamówiłam burgera z indyka z frytkami z batatów. W chwili gdy go podano, wszedł do środka konsjerż, który mnie meldował, usiadł dwa stolki ode mnie i zamówił martini grey goose.

– Cześć – zagaiłam, nieco przekręcając stołek w jego stronę.

Patrzyłam, jak jego oczy przebiegają po mojej twarzy. Wiedziałam, że wyglądam inaczej niż w momencie przyjazdu. Po długiej chwili odezwał się wreszcie:

– Cześć, przybyszu bez rezerwacji. Jak ci się podoba pokój?

– Cudowny. Miałeś rację.

– Nie walnęłaś głową we framugę?

– Prawie.

Podano mu drinka. W przepelnionym kieliszku utworzył się drżący menisk.

– Jak niby mam to wypić? – spytał barmana, który bez słowa wyciągnął niewielką czarną barową słomkę i wsadził ją do martini. John obniżył poziom płynu o pół centymetra, a następnie rzucił słomką w barmana. Odbiła mu się od klatki

piersiowej i spadła na podłogę.

– Fajnie tak wyjść z pracy i zrobić trzy kroki, żeby dostać martini – powiedziałam.

– Nie żartowałem, mówiąc, że to dobry lokal. Jestem jego najlepszą reklamą, bo piję w miejscu pracy. – Jego śmiech do złudzenia przypominał chichot. Ramiona podskakiwały mu w górę i w dół.

Gawędziliśmy, gdy jadłam swojego burgera, a on w miarę picia dodawał lodu do martini. Już miałam porzucić wszelką nadzieję, że dotrę do jakichś plotek na temat Teda i Mirandy, gdy podano Johnowi drugie martini, a on spytał:

– Mówiłaś, że jesteś z Bostonu?

– Nie, ale z Massachusetts, z Winslow. Jakies trzydzieści kilometrów na zachód.

– Czytałaś o morderstwie na South Endzie? Ted Severson?

– Czytałam. Chodziło o włamanie do domu czy coś w tym rodzaju, tak?

– Tak. On tu u nas budował dom, jakieś półtora kilometra dalej. – Wskazał na północ swoją wielką dłonią. – I zawsze zatrzymują się tu u nas. To znaczy zatrzymywali się.

– O Boże! Znałeś go?

– Znałem go bardzo dobrze. I Mirandę, jego żonę. Ona w zasadzie mieszkała tu przez ostatnie pół roku.

– No bo mieszkała – wtrącił barman, przerywając swoje milczenie. – Niemal codziennie przychodziła tu coś zjeść.

– Sidney już wie? – spytał go John. Zauważyłam, że dwie młode kobiety przy barze przerwały rozmowę i zaczęły się nam przysłuchiwać.

– Nie mam pojęcia, ale pewnie tak. Cała okolica o tym gada.

– A dom jest skończony? – spytałam, chcąc się utrzymać przy rozmowie.

– Nie, jeszcze nie – odrzekł John. – Jak się przejdiesz do urwiska, możesz sobie na niego popatrzeć. Będzie wielki. Takie trochę paskudztwo, moim zdaniem, ale na wszelki wypadek nie powtarzaj moich słów.

– Jak myślisz, co się z nim stanie?

– Nie mam pojęcia. Z tego co wiem, Miranda go dokończy i się tu wprowadzi.

– No na pewno się tu przeprowadzi – wtrąciła się jedna z podsłuchujących kobiet. Obie miały po dwadzieścia parę lat, jedna nosiła bluzę UNH, a druga wiatrówkę i czapeczkę Patriotsów. Odezwała się ta w bluzie. Już miała ochrypli

głos, jakby paliła przez całe swoje młode życie.

– Tak sądzisz?

– O tak. Ona i tak tu praktycznie mieszkała i zawsze opowiadała, jak bardzo się jej tu podoba i jaki ten dom będzie fantastyczny, i tak dalej, i tak dalej. Ona jest z Maine, wiecie, z Orono. Może nie będzie chciała się wprowadzać do takiego wielkiego domu, jak jej mąż nie żyje, ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby tu zjechała. Z tymi pieniędzmi może sobie mieszkać wszędzie.

– A czemu tu spędzała tyle czasu, skoro dom jest nieskończony? – spytałam.

Odpowiedział mi John:

– Pilnowała budowy. Mówiła, że praktycznie sama wszystko zaprojektowała. Jej mąż przyjeżdżał na weekendy. Wszyscy go tu dobrze znaliśmy.

– A jaki był?

– Jaki był? Był miły, ale tak trochę się trzymał na dystans. Każdy odnosił wrażenie, że Mirandę zna naprawdę dobrze, a Teda niekoniecznie. Może to i lepiej, że tyle tu przebywała.

– No i Miranda zawsze stawiała wszystkim drinki, a Ted nigdy – powiedziała kobieta w czapeczce i natychmiast pobladała, bo przypomniało się jej, że Ted został zamordowany. Zakryła dłonią usta i dodała: – Co prawda... – nie dokończyła.

– Byli bogaci? – spytałam.

W naszym małym plotkarskim kręgu wszyscy natychmiast zareagowali – kobiety jednogłośnie powiedziały: „O tak”, John głośno wypuścił powietrze, a barman z zapalem i wyraziście kiwnął głową.

– Obrzydliwie – powiedział konsjerż. – Musisz się jutro przejść nad urwisko i zobaczyć ten dom. Nie dasz rady go przeoczyć. Ma chyba z dziesięć sypialni. Nie przesadzam.

Samotny gitarzysta zagrał *Moonlight Mile* Stonesów, a moi nowi znajomi rozmawiali o tym, jacy to bogaci byli Seversonowie. Kobieta w bluzie z kapturem użyła słowa „zyliarderzy”, zdaniem Johna zaś byli niezmiernie zamożni. Poszłam do łazienki, a gdy wróciłam, kobiety przykrywały podkładkami szyjki swoich bud light limes, żeby wyjść na papierosa, a John postawił mi kolejne piwo.

– Skoro już plotkujemy – powiedziałam, siadając na swoim stolku – mnie się wydaje dziwne, że ona tyle czasu spędzała w motelu bez męża. Nie sądzisz, że się z kimś spotykała?

John pogładził się po wąsie.

– Nie sędzę. Zawsze się bardzo cieszyła, jak Ted przyjeżdżał. – W głosie Johna pojawił się jakiś chłód, jakbym zadała o jedno pytanie za dużo.

– Tak się zastanawiałam tylko... to takie smutne.

Zostałam na jeszcze kilka piw. John wyszedł po drugim martini, a ja usiadłam z dwiema kobietami i się przedstawiłam. Laurie i Nicole były kelnerkami, jedna w rybnej knajpie w Portsmouth, a druga w restauracji w innym motelu nad oceanem, trzy kilometry dalej. W niedzielę wieczorem obie miały wolne. Chciały rozmawiać wyłącznie o Tedzie i Mirandzie, a ton naszej rozmowy zmieniał się z pełnego szacunku na sprośny. O dwudziestej w Livery było pełno gości i dołączyła do nas jeszcze jedna para, znajomi Laurie i Nicole. Mark i Callie, po trzydziestce, również pracowali w gastronomii i większość tego, co zostało już powiedziane o morderstwie Teda Seversona, trzeba było powtórzyć. Zostałam i słuchałam. Już postanowiłam, że do Cooleya pojedę dopiero nazajutrz. Chociaż wybierałam lekkie piwa, wypijałam ich za dużo, a większość postawili mi nowi znajomi. Czułam się zbyt pijana, by ryzykować rozmowę z Bradem Daggettem.

Już prawie zamykali, a gdy wszyscy się rozgadali, spytałam znowu o to, czy Mirandę obracał ktoś tutaj, w Maine.

– Nie sędzę – odparła Laurie, która mianowała się osobą najbliższą Mirandzie w tej grupie. – Jeśli nawet, to ja nie wiem, kiedy to robiła, bo co wieczór siedziała tylko tutaj, i na koniec zawsze szła prosto do swojego pokoju. Nie, nie sędzę, żeby coś tu kombinowała. No wiesz, tu nie za bardzo jest w czym przebierać.

– O tak – odparła Nicole.

– Bez urazy, Mark. Ty jesteś zajęty, ale naprawdę wątpię.

– Ale ona była naprawdę zajebista. To rzeczywiście daje do myślenia – rzekł Mark, a jego dziewczyna, Callie, przytaknęła gorliwie ruchem głowy, podobnie jak Nicole i Laurie.

– Naprawdę? – spytałam.

– O Boże, i to jak! Wyglądała jak modelka. Wypas laska.

– Musieli się do niej przystawiać.

– Gdyby chodziła gdzie indziej, to pewnie. Na przykład do Cooleya. Ale tutaj nie. To nie jest knajpa na podryw.

– Sidney by ją poderwała – rzuciła Callie.

Znowu zareagowali wszyscy, zgodnie kiwając głowami

– O tak, Sidney miała na jej punkcie obsesję – potwierdziła Laurie. – Sidney to

tutejsza barmanka – wyjaśniła mi. – Na ogół ona stoi za barem. Kochała się w Mirandzie po uszy, no ale wiesz, bez wzajemności.

Niczego więcej się nie dowiedziałam, a gdy o dwudziestej drugiej zamknięto bar, wróciłam do swojego pokoju, włożyłam bokserki i koszulkę do spania i wsunęłam się pod kołdrę. Najpierw wyciągnęłam narzutę spod materaca, bo nie mogłam spać z unieruchomionymi stopami. Wyłączyłam lampkę przy łóżku i w pokoju zapadły całkowite ciemności, czern, do której nie byłam przyzwyczajona. W Winslow, gdzie mieszkałam, panował spokój, ale na ulicy świeciły latarnie i w sypialni nigdy nie robiło się całkiem ciemno. Próbowałam myśleć o Tedzie, ale mrok w pokoju przypominał mi tylko, gdzie on teraz jest, i gdy zapadałam w sen, to Miranda wdzierała się do mojej świadomości, jej oczy pojawiały się ledwie centymetr od moich, dotyk na nadgarstku zamieniał się w chwyt, ostre paznokcie rosły, aż zamieniały się w szpony i wbijały się w moje ciało.

Tamtej nocy w Orono – zjadłszy paskudną chińszczyznę na wynos i popatrzawszy, jak moja matka męczy się, wypytując mnie o zmarłego męża, zamiast opowiadać mi o swoim żalonym życiu – leżałam w nieurządzonym pokoju gościnnym na wąskim łóżku, które było tutaj jedynym meblem. Ściany miały straszny białocytrynowy kolor i nawet w słabym świetle ulicznej latarni czułam się przytłoczona ich lepkością.

Nie mogłam zasnąć, nadal zamartwiałam się Bradem i jego zdolnością ogarnięcia całego gówna. Nadal się też zastanawiałam, dlaczego Ted pojechał do Winslow w dniu swojej śmierci. Cały dzień powtarzałam sobie tę nazwę – Winslow, Winslow. Nękało mnie poczucie, że na pewno znam kogoś, kto tam mieszka. Najwyraźniej był to ktoś znany również Tedowi. Zadręczałam mózg, przypominając sobie wszystkich znajomych, żeby znaleźć tę osobę. Jak dotąd – na próżno.

Gryzłam skórkę przy paznokciu, aż poczułam smak krwi, więc ogromnym wysiłkiem woli przestałam. Pomyślałam, żeby wstać, zejść na dół i poszukać papierosów, choć moja matka udawała, że żadnych nie ma, ale wiedziałam, że jeśli mnie usłyszy, wyjdzie ze swojego pokoju i dalej będzie głądzić. Próbowałam więc się onanizować, bo był to jedyny znany mi pewny sposób na zaśnięcie. Jak zawsze wyobrażałam sobie mężczyzn o bezimiennych twarzach, ale wciąż pojawiała mi się twarz Teda albo Brada, aż w końcu się poddałam i pogodziłam z bezsennością. Wpatrywałam się w sufit, przez który od czasu do czasu przesuwała się smuga światła, gdy drogą przejeżdżał samochód.

Musiałam zasnąć, bo obudziłam się i ujrzałam nad sobą matkę w różowym szlafroku i z włosami mokrymi po prysznicu.

– Jezu, mamó – jęknęłam.

– Przepraszam, Faithy. Chciałam tylko popatrzeć na moją córeczkę, jak śpi spokojnie.

– Właśnie o to chodzi. Spałam spokojnie.

– No to wracaj do spania. Będę na dole, w kuchni. Czekam ze śniadaniem.

Po jej wyjściu leżałam w łóżku, sprawdzając telefon. Wyłączyłam go wieczorem, więc teraz miałam chyba z tysiąc wiadomości głosowych i esemesów od przyjaciół, którzy zapewniali o swoim współczuciu i pytali, czy czegoś potrzebuję. Weszłam do internetu, sprawdzić, czy jest coś nowego o morderstwie Teda. Wyglądało na to, że nie ma – raporty wciąż się koncentrowały na przypadkowym wtargnięciu do domu, a sąsiedzi łączyli się w solidarność i strachu. „Brak wiadomości to dobra wiadomość” – powiedziałam sobie i postanowiłam wrócić tego dnia do Bostonu albo może do Kennewick. Kolejna doba z moją matką nie wchodziła w rachubę.

Przy śniadaniu rozmawiałyśmy o moich planach, a matka zadawała wyłącznie pytania, na które znała już odpowiedź. Zawsze tak było. „W co się ubierzesz na inaugurację?” „Do którego college’u składasz papiery?” „Jak sądzisz, dlaczego twój ojciec zrobił coś takiego?”. Tego poranka spytała, gdzie zamierzam mieszkać, skoro Ted nie żyje.

– No bo przecież nie w Bostonie – dodała, zanim zdążyłam odpowiedzieć. – To już wiem.

– Pewnie w Bostonie – odparłam.

– Faithy, nie mów tak. Po tym wszystkim, co się stało. W twojej dzielnicy najwyraźniej nie jest bezpiecznie. Osobiście zawsze sądziłam, że jest niebezpiecznie, i okazuje się, że miałam rację. Widziałam ten film o South z Mattem Damonem...

– Mamo, ja mieszkam w South Endzie, nie w South Bostonie. To są zupełnie inne dzielnice.

– Najwyraźniej nie. A jeśli nawet, to obie są niebezpieczne. Możesz się przeprowadzić tutaj, pokazać wszystkim w Orono, co w życiu osiągnęłaś. Z takimi pieniędzmi możesz kupić największy dom w mieście.

– Mamo, nie chcę o tym gadać, nie w tej chwili, dobra?

Trzeba jej przyznać, że kiwnęła uroczyście głową i zaczęła zmywać naczynia, ostentacyjnie cicho wzdychając. Wybaczyłam jej złe wychowanie i egoizm. Zawsze wybaczałam. Ludzie mówią, że osobowość kształtuje się do piątego roku życia, ale osobowość Sandry Roy, przynajmniej ta obowiązująca w drugiej połowie życia, uformowała się w dniu, gdy mój ojciec, dziekan Wydziału Historycznego Uniwersytetu Maine, stracił posadę za molestowanie dziewczyny z pierwszego roku. Do tamtej chwili moja matka wierzyła święcie, że żyje w luksusie. I żyła w pewien sposób – wychowała się w kamienicy czynszowej w Derry, a dotarła aż na



studia na Uniwersytecie Maine, gdzie poznała Alexa Hobarta, doktoranta pochodzącego z niewielkiego miasteczka w Vermoncie. Na drugim roku rzuciła studia, by za niego wyjść, a kilka miesięcy później urodziła mojego brata, Andrew, rok później zaś mnie. Kiedy byliśmy jeszcze mali, ojciec dosłużył się etatu na wydziale historycznym. Wyróżniał się, bo był najmłodszym dziekanem w historii uczelni; rosnące z roku na rok zarobki w Orono zakrawały wręcz na majątek, a moja matka, zadowolony się dwójką dzieci, ze zbudowanego specjalnie dla nas domu w stylu kolonialnym uczyniła swój życiowy projekt. Kiedy miałam dziewięć lat, całą rodziną udaliśmy się w podróż do Europy. Matka wróciła stamtąd z nowym sposobem wysławiania się – mówiła jak amerykańska aktorka z lat pięćdziesiątych, krótkimi wyrazami i nieco z angielska artykułując samogłoski.

A potem, w okresie gdy rozpoczynałam naukę w liceum, to wszystko się rozpadło. Studentka, która uczęszczała na seminarium ze starożytnego Egiptu prowadzone przez mojego ojca, nagrała go, jak namawia ją do odbycia stosunku płciowego w zamian za pozytywną ocenę. Sprawa została upubliczniona i ojca niezwłocznie zwolniono. Matka wyrzuciła go z domu i wystąpiła o rozwód. Zapamiętałam tamten rok jako jeden długi wściekły ciąg monologów matki, która chyba winiła ojca bardziej za utratę dobrze płatnej pracy niż za próbę wymuszenia seksu. Odbiorcą tych monologów byłam ja. Andrew odkrył trawkę, a potem zespół Phish i cały wolny czas spędzał w swoim pokoju z wielkimi słuchawkami na głowie. Nie mieliśmy oszczędności; wszystkie pieniądze rodziców zostały wydane na meblowanie domu i wakacje, więc dwa lata po rozwodzie matka sprzedała dom i wprowadziliśmy się do trzypokojowego mieszkania na poddaszu, które normalnie wynajmowano studentom. Andrew, który wtedy kończył liceum, został z nami niespełna miesiąc, po czym wprowadził się do kolegi. Matka protestowała, ale wiedziałam, że tak naprawdę nie ma nic przeciwko temu. Odwróciła się od wszystkich mężczyzn, w tym i od mojego niemrawego brata. „Zostałyśmy we dwie, same dziewczyny” – mówiła, uparcie twierdząc, że nasze mieszkanie jest rozwiązaniem tymczasowym. Ale przebywałyśmy tam do końca mojego liceum. Mój brat zrobił maturę i przez następny rok jeździł za Phishami po całym kraju, po czym wylądował w San Diego, gdzie mieszkał do dzisiaj. Według ostatnich wieści pracował w pubie i żył na kocią łapę z kobietą, która miała już czwórkę dzieci. Po śmierci Teda zadzwonił i zostawił mi wiadomość, ale ja nie oddzwoniłam i pewnie nie oddzwonię.

Mój ojciec po rozwodzie przeprowadził się do Portland, gdzie objął posadę

adiunkta w lokalnym college'u. Matka dostała pracę recepcjonistki w gabinecie stomatologicznym, a pomiędzy jej wypłatą a nadejściem ojcowskich czeków z nędznymi alimentami usiłowałyśmy jakoś wiązać koniec z końcem. Nieustannym refrenem naszego babskiego domu była fraza, że życie mojej matki legło w gruzach, ale moje może wyglądać lepiej. A przez „lepiej” matka rozumiała „więcej pieniędzy”.

W liceum uczyłam się średnio, ale zostałam światowej klasy złodziejką sklepową. Do większości moich kradzieży dochodziło poza Orono: w Bangor albo w Portland w czasie odwiedzin u ojca. Głównie kradłam z domów towarowych, w miejscach zatrudniających detektywów sklepowych, którzy krążyli między stoiskami i starali się wyglądać na klientów. Nauczyli się wyławiać złodziei na podstawie obserwacji ich mowy ciała, szukali więc kogoś, kto zachowywał się nerwowo albo podejrzanie. Nigdy nie zostałam złapana, bo nie zachowywałam się jak złodziejka. Udoskonaliłam swobodną nonszalancję dziewczyny, która za pomocą karty kredytowej rodziców robi niewielkie bezcelowe zakupy. Zawsze chodziłam z wielką torebką i szukałam małych, drogich przedmiotów. Apaszek, perfum. Doszłam do niesamowitej wprawy.

Tylko raz mnie przyuważono. Kolega ze szkoły przyłapał mnie w aptece w Orono. Rzadko tam kradłam – było to za blisko domu, zresztą często tam robiłam zakupy. Chodziłam wtedy do drugiej klasy liceum. Kupiłam kilka rzeczy u sokolookiej starszej pani przy kasie, a w torebce wyniosłam trzy paczki zapasowych nożyków do mojej golarki.

Gdy wychodziłam przez automatyczne drzwi, usłyszałam, jak jakiś koleś mówi:

– Chyba zapomniałeś za coś zapłacić.

Odwróciłam się. Znałam go ze szkoły. James jakiś tam. Nie wiedziałam, że pracuje w aptece.

– Słucham? – siliłam się na ton sugerujący, że mam na głowie ważniejsze rzeczy niż rozmowa z pracownikiem apteki.

– W torebce. Widziałem, jak wsadzasz tam nożyki.

– O Jezu! – Zrobiłam minę dowodzącą ogromu wstrząsu. – Zupełnie o nich zapomniałam. – Ruszyłam z powrotem do środka. – Ja tylko...

Chłopak się roześmiał, chwycił mnie za ramię i poprowadził przez rozgrzany parking. Był sierpień, coroczny dwutygodniowy okres, gdy północne Maine robi się gorące, parne i pełne komarów. Asfalt zmiękł i wypełnił powietrze zapachem

smoły.

– Nic ci nie zrobię – powiedział. – Po prostu cię przyuważyłem. Gównu mnie obchodzi, czy kradniesz. Ja kradnę nieustannie.

– Och. – Roześmiałam się. – Znam cię, prawda?

Przedstawiliśmy się sobie. Nazywał się James Audet i też chodził do drugiej klasy, ale do liceum w Orono trafił w połowie poprzedniego roku. Był przystojny, miał jasnoniebieskie oczy, szerokie kości policzkowe i gęste blond włosy. Był też niski i starał się to nadrobić, przez co chodził jak gimnastyk, wspinając się na palce. W szkole robiłam niejako za autsajderkę, czekałam na właściwy moment aż do college'u, by zdobyć jakieś stypendium gdzieś w innym stanie. James i ja zostaliśmy wiernymi przyjaciółmi. Wyznał mi, że wierzy głęboko, iż w życiu liczą się jedynie pieniądze i że zamierza dużo ich zarabiać.

– Więc ożeń się bogato – zasugerowałam. Piliśmy napój jabłkowy we Friendly's, bo tu najbardziej lubiliśmy przebywać.

– Jestem za niski. Bogate kobiety chcą wysokich mężów.

– Naprawdę?

– To udowodnione. Ale ty zdecydowanie możesz poślubić bogacza. Spójrz tylko na swoje cycki.

– Błeee. Wyglądam jak dziwoląg.

– Mnie możesz wierzyć. Jesteś taką trochę niezdarną licealistką, która przyjeżdża na zjazd absolwentów i wygląda jak modelka. Widywałem to setki razy.

– Gdzie dokładnie?

– W filmach, oczywiście.

Po maturze oboje dostaliśmy pracę w tak zwanym centrum Orono, James w pizzerii, ja w tej samej aptece, w której czasami kradłam. Dostałam się do Mather, prywatnego college'u w Connecticut. Zasadniczo była to szkoła dla bogatych dzieciaków z Nowego Jorku i Bostonu, ale skończyłam liceum z trzecią lokatą, a wobec marnej sytuacji finansowej moich rodziców mogłam liczyć na pokrycie ponad połowy chesnego. James poszedł na Uniwersytet Maine, gdzie jego ojciec trenował drużynę zapaśniczą. Oboje byliśmy prawiczkami i w lipcu tamtego lata uzgodniliśmy, że odbędziemy stosunek seksualny, żeby nie trafić na studia bez doświadczenia. Zrobiliśmy to na tylnym siedzeniu chevroleta caprice Jamesa. Potem spytał, jak się czułam. Odparłam, że kazirodczo i oboje uśmieśliśmy się tak bardzo, że James spadł z tylnego siedzenia i stłukł sobie biodro. Ale dalej to

robiliśmy, mówiąc sobie, że skoro już widzieliśmy tego lata wszystkie dobre filmy, bzykanie jest dobrym sposobem spędzania czasu. W trakcie ostatniego wspólnego wieczoru, zanim przyjechał mój ojciec, by zawieźć mnie do Connecticut, James powiedział:

– Miło było cię poznać.

– Cóż, zobaczymy się na Święto Dziękczynienia.

– Wiem. Ale zakładam, że do tego czasu znajdziesz sobie bogatego chłopaka i nie będziesz chciała ze mną gadać.

– Będę z tobą gadać!

Miał jednak słuszość. Po rozpoczęciu nauki w college'ach rzadko się widywaliśmy. Myślałam o nim dopiero wtedy, gdy wracałam do Maine. Zastanawiałam się, czy wie, jak bardzo jestem bogata.

– Słyszałaś w ogóle coś o Audetach? – spytałam matkę, gdy sprzątnęliśmy po śniadaniu i przeniosliśmy się do salonu z oknem wychodzącym na kościół metodystów po drugiej stronie placu.

– Ich syn, Jim, się ożenił. To pewnie. Pracuje w banku w Bangor i słyszałam, że jego żona jest w ciąży.

– Teraz używa imienia Jim?

– Peg tak do niego mówi. Nie widziałam go od liceum. Podobno ciągle jest niski.

Zadzwoiła moja komórka. Detektyw Kimball – zapamiętałam jego numer po wczorajszej rozmowie. Poczulałam strach.

– Mamo, muszę odebrać.

Ruszyłam do kuchni.

– Pani Severson?

– Tak.

– Z tej strony znowu detektyw Kimball. Jak się pani czuje?

– Dobrze – odparłam normalnym głosem.

– Przepraszam, że panią niepokoję, ale muszę prosić, żeby wróciła pani do Bostonu.

– Oczywiście. A dlaczego?

– Jedna z pani sąsiadek sądzi, że widziała mężczyznę, który zabił pani męża. Mamy portret pamięciowy i muszę prosić, by pani przyjechała. Musimy go pani pokazać.

– Dlaczego? Sądzą, że znam tego człowieka? – spytałam tonem, którego natychmiast pożałowałam. Słysząc w nim było niepewność.

– Niekoniecznie. Nadal uważamy, że to włamanie, które zakończyło się tragicznie, ale musimy wykluczyć każdą inną ewentualność. Istnieje możliwość, że zabójcy chodziło o zamordowanie pani męża, a w takim wypadku może zdołała go pani rozpoznać.

– Przyjadę dzisiaj po południu.

– To świetnie, proszę pani. Wiem, że to nie będzie dla pani łatwe, ale wszelka pomoc...

– To żaden problem.

Detektyw zakaszał chyba z sześć razy z rzędu.

– Przepraszam, to przeziębienie. Jeszcze jedno: przyszła może pani do głowy jakaś osoba, którą mąż by znał w Winslow? Pamięta pani może, prosiłem...

– Nie. Drażyłam ten temat, ale nic nie wymyśliłam. Przykro mi.

– Tak się tylko zastanawiałem. Proszę zadzwonić, jak dotrze pani do Bostonu. Mogę przynieść portret w dowolne miejsce, gdziekolwiek...

– Zadzwonię – odparłam i się rozłączyłam.

Słyszałam, jak w salonie matka rozmawia przez telefon. Rozpoznawałam jedynie słowo „straszne” powtórzone kilka razy. Zapatrzyłam się w widok za oknem. Świat pociemniał, szybko przesuujące się chmury nabrzmiały i nabrały atramentowej barwy, nadchodziła ulewa. Ponieważ na dworze zrobiło się ciemno, widziałam w szybie kuchennego okna swoje odbicie. Patrzyłam na siebie, myśląc intensywnie o Winslow. Wiedziałam, że znam kogoś, kto tam mieszka... To ktoś z liceum czy z Mather? Nagle doznałam olśnienia – już wiedziałam, kto to jest. Lily Kintner, ta upiorna dziewczyna z Mather, która była z Erikiem Washburnem, gdy umarł w Londynie. Przypomniałam sobie informacje, że mieszka w Winslow, pracuje w college’u jako bibliotekarka. Ale Lily nie znała Teda. W każdym razie nie sądzę, żeby znała. Czy to możliwe, że się poznali wtedy, gdy przed laty wpadłam na nią na South Endzie? Czy to do niej pojechał Ted?

Moja mama ciągle rozmawiała przez telefon, szepcząc głośno, a ja pobiegłam na górę spakować się przed powrotem do Bostonu.

Ted mówił, że U Cooleya to spelunka, i miał rację. O atmosferze i wyglądzie tego baru decydowały stopy zbieranego latami kiczu – zgromadziło się go tyle, że wyglądał nieprawdopodobnie. Gdyby taki przybytek znajdował się w Nowym Jorku czy Bostonie, człowiek by pomyślał, że to jakiś pomysłowy hipster otworzył go przed rokiem. Ale tu instalacje świetlne reklamujące browar Schlitz pokrywały się prawdziwą warstwą brudu, a opryskliwy barman naprawdę miał ponury nastrój, a nie był jakimś aktorem, który stara się tak wyglądać. Usiadłam na końcu baru, tak by mieć widok na wejście. Zastanawiałam się, czy rozpoznam Brada Daggetta, gdy wejdzie. Pewnie tak. Ted opisał go jako wielkiego przystojnego kretyna, który zaczyna się starzeć. Ten opis pasował na pewno do połowy mężczyzn, którzy zachodzili do Cooleya w poniedziałkowy wieczór, ale ja dysponowałam jeszcze informacją, że Brad niedawno zabił człowieka. Wiedziałam, że rozpoznam mordercę.

Dotarłam tam o siedemnastej z minutami, jadąc z Kennewick Inn w ulewie, która zaczęła i tak mroczne niebo. Na parkingu przed knajpą stały trzy samochody, ale ja byłam pierwszym klientem. Usadowiłam się na stołku, zrzuciłam mokrą kurtkę i zamówiłam millera lite. Barman, żywa wersja disnejowskiego Ichaboda Crane'a, odkapslował i podał mi butelkę, a potem położył na kontuarze laminowane menu z obstrzępionymi brzegami. Przejrzałam je. Specjalność zakładu stanowił małżowy placek Cooleya.

To był spokojny wieczór. O ile poprzedniego wieczoru zaskoczył mnie stosunkowo żywy tłum w Livery, o tyle nie zdumiała mnie nieliczność istot, które odważyły się na wyprawę do Cooleya w zimny, mokry poniedziałkowy wieczór. O dziewiętnastej oprócz mnie lokal gościł samotnego mężczyznę, co najmniej pod siedemdziesiątkę, który wciągnął swój słuszny ciężar na stołek i zamówił bourbona z sokiem z limonki, dwie blondynki, które najlepsze lata miały już za sobą, zajmujące przeciwny koniec baru, a do tego dwójkę turystów w średnim wieku, którzy zawahali się w progu, ale uznali, że nie mają odwagi odwrócić się i wyjść, więc usiedli w boksie. W ciągu dwóch godzin spędzonych u Cooleya wypijałam dwie butelki piwa i spróbowałam słynnego placeka małżowego, którego kawałek podano

mi na wyszczerbionym talerzu w towarzystwie garści gałązek pietruszki. Było to ciasto wypełnione siekanymi małżami z panierką w kolorze mokrego piasku. Smakowało jak rybna wersja straszliwego farszu, który zdrapuje się z pieczonych nadziewanych krewetek. Zjadłam dwa kęsy i poprosiłam o frytki. Barman sprawiał wrażenie ubawionego.

Większość dnia spędziłam w Kennewick Inn. Czytałam gazetę w holu przy kominku, a potem zjadłam lunch w Livery, gdzie obsługiwała mnie Sidney, szczupła śliczna barmanka, podobno zakochana w Mirandzie. Gdy jadłam sałatkę, ona przesuwiała się za barem z ewidentnym zaangażowaniem, sprawdzając, czy szkło jest czyste, a blaty wytarte. Miała na sobie koszulkę Oxfordu z rękawami podwiniętymi aż za bicepsy. Jedną z jej rąk szczelnie pokrywały tatuaże przedstawiające kwiaty i seksowne dziewczęta. Nie sprawiała wrażenia rozmownej, więc postanowiłam nie pytać jej o Teda i Mirandę. Ale tuż przed moim wyjściem do baru podeszła pracowniczka motelu, by napełnić kubek colą dietetyczną, i podsłuchałam ich wymianę zdań.

– Rozmawiałaś z Mirandą? – spytała barmankę mocno umalowana brunetka w czarnym kostiumie.

– Nagrałam jej wiadomość, że bardzo nam wszystkim przykro. Nie sądzę, żeby oddzwoniła.

– Jezu.

– Wiem, wiem. Ciągle myślę o niej i o... o tym wszystkim... o Tedzie.

– Jak sądzisz, co ona zrobi? – Kobieta w garniturze, wyglądająca na event managerkę, upiła długi łyk coli przez słomkę.

– Wszyscy mnie o to pytają. A ja naprawdę, kurwa, nie wiem. Jesteśmy przyjaciółkami, tak myślę, ale nie mogę powiedzieć, że znam ją aż tak dobrze. Mnie się wydaje, że ona już tu nie wróci.

Zostawiłam gotówkę na barze i zeszłam ze stołka. Usłyszałam to, co chciałam. Wprawdzie miejscowi nie byli wylewni, ale wyglądało na to, że pracownicy hotelu i stali goście w Livery nie mieli świadomości, że Miranda kręci z Bradem. Nie zdziwiło mnie to. Najwyraźniej robiła wszystko, by to ukryć i gdyby Ted nie zobaczył ich, jak palą jednego papierosa na spółkę i nie nabrał podejrzeń, to nikt oprócz Brada i Mirandy nie wiedziałby, że łączy ich coś więcej niż relacja służbowa. W ten sposób doszłam do wniosku, że Miranda najpewniej od samego początku planowała, że wykorzysta Brada do zamordowania Teda. Nigdy nie chodziła do

Cooleya. Brad nigdy nie przychodził do Livery. Stawiałam, że fizycznie znajdowali się w jednym miejscu: tylko w budowanym domu, i to wyłącznie pod nieobecność robotników.

Po lunchu wróciłam do swojego pokoju po buty do wędrowki i wiatrówkę. Wybierałam się na spacer na klif. Nie mogłam się tego doczekać. Pogoda była orzeźwiająca i wietrzna, ocean, który widziałam z okna pokoju hotelowego – szary i wzburzony. Sprawdziłam w telefonie prognozę pogody – wyglądało na to, że nadciągnie większa ulewa, ale dopiero pod wieczór. Opuściłam hotel, przeszłam na drugą stronę Micmac, wiatr szarpał moim ubraniem. Pokonałam szczytkowe stopnie prowadzące do krótkiego strzępka plaży, gdzie zaczynał się szlak na klif. W zasięgu wzroku nie widziałam nikogo poza mężczyzną, który ze specjalnej plastikowej rękawicy wyrzucał piłeczkę czekoladowemu labradorowi, by ten gnał za nią wielkimi skokami. Od razu ruszyłam w stronę szlaku – właśnie trwał przyływ i pierwsze sto metrów było śliskie od morskiej wody, która przelewała się przez płaskie kamienie, ale dalej ścieżka wspięła się wyżej i wcięła w głąb lądu, tak że kępa karłowatych drzew i krzewów – głównie dławiszy o żółtych jagodach pękających, by odsłonić czerwone jądro, i ostrokrzewów okółkowych – zasłaniała mnie przed wiatrem. Szłam powoli, nie tyle przez ostrożność, ile dlatego, że rozkoszowałam się pięknem spaceru. Nigdy nie należałam do wielbicieli plaż – tych wszystkich nieruchomych naoliwionych ciał rozpostartych na piasku jak kawałki mięsa na ruszcie. Może jestem nieobiektywna, bo moja blada, piegowata skóra czerwienieje i pokrywa się pęcherzami zamiast opalenizną. Lubię pływać, ale wolę wody jezior czy stawów zamiast oceanicznej solanki i nienawidzę, gdy piasek oblepia mi nogi. Ten odcinek wybrzeża Maine wydawał mi się jednak inny. Może to była kwestia złowróżbnej pogody i sunących po niebie chmur, ale na tej ścieżce czułam się otoczona pięknem, pierwotną siłą natury. Wielkie płyty szarych skał były o wiele bardziej kuszące niż nietrwałe połacie plaży, które wielbiła większość ludzi. Odetchnęłam kilka razy głęboko, jakbym była złakniona powietrza.

Tego dnia na szlaku nie było nikogo oprócz mnie. Nic dziwnego. Zanim dotarłam na jego koniec, z widokiem na tyły domu Teda i Mirandy, wiatr się wzmógł, przeganiając czarne chmury. Krople deszczu bębniły w mój płaszcz przeciwdeszczowy.

Rozejrzałam się za miejscem, w którym Ted ulokował się ze swoją lornetką. W grę wchodziło kilka możliwości, ale trawiaste wzniesienie za niskim pokręconym drzewem wyglądało na idealną kryjówkę. Lornetka Teda musiała być



niezła, bo dom stał w odległości, która wydawała się nieprzebyta, za pasem brzydkiej, przekopanej ziemi. Zastanawiałam się, czy pokonać ten pas i przyjrzeć się domowi z bliska, ale bałam się, że może być tam Brad czy któryś z pozostałych robotników. Odwróciłam się. Fale załamywały się na skałach, wystrzeliwując w powietrze pod postacią rozszalałych kłębow wody i piany. Wystawiłam twarz na zacinający deszcz, bo już się nie przejmowałam, że przemoknę, po czym ostrożnie i stanowczo ruszyłam szlakiem w drogę powrotną.

Po powrocie do motelu poszłam do kameralnego baru na tej samej kondygnacji co hol, zamówiłam hot whiskey – tradycyjny zimowy napitek mojego ojca – i zabrałam ją do swojego pokoju, gdzie powoli wypijałam drinka, wylegując się w głębokiej wannie. Było mi tak dobrze, że aż musiałam sobie przypominać, że przyjechałam do Kennewick nie bez powodu, że muszę tu pomścić przyjaciela. Po kąpeli zdrzemnąłam się chwilę, a potem znowu wskoczyłam w obcisłe dżinsy, które miałam na sobie poprzedniego wieczoru, nałożyłam wyrazisty makijaż i pojechałam do Cooleya.

Siedziałam tam już trzy godziny i wysączyłam cztery jasne piwa, gdy uznałam, że Brad pewnie się nie pojawi. Turyści wyszli, podobnie jak dwie kobiety siedzące przy barze. Od tego czasu przybyło trzech samotnych mężczyzn, a za każdym razem, gdy otwierali drzwi wejściowe i otrzepywali kurtki z deszczu, spodziewałam się Brada. Ale jeden miał dwadzieścia parę lat, drugi – sylwetkę w kształcie gruszki i pełną brodę, a trzeci przyszedł w wyprasowanych dżinsach i granatowym swetrze, spod którego wyglądała biała koszula z kołnierzykiem. „Wiek się zgadzał – pomyślałam – jakieś czterdzieści lat, ale był gładko ogolony”. Mimo to przyjrzałam mu się uważnie. Niewykluczone, że Brad zgolił bródkę, o której wspomniał Ted, i niewykluczone, że z jakiegoś powodu się przebrał. Może miał spotkanie z nowym klientem. Może randkę. Przyłapał mnie na gapieniu się, mrugnął okiem w moim kierunku i uniósł kufel piwa. Wbiłam wzrok w telefon, żeby go zniechęcić do ewentualnego zagajenia. Uznałam, że to prawdopodobnie nie jest Brad. Ponieważ siedział dość blisko, widziałam, że ma delikatną skórę rąk i przyprószone siwizną końcówki włosów; o ile Brad nie był geniuszem zbrodni, który całkowicie zmienił wygląd, uznałam, że to jednak nie on. Zapłaciłam rachunek gotówką i drobnym kroczeniem na wysokich obcasach, do których nie byłam przyzwyczajona, opuściłam Cooleya.

– Nie wychodź ze względu na mnie – powiedział granatowy sweterek, gdy go mijałam.

Odwróciłam się i oszacowałam go spojrzeniem.

– Jak masz na imię? – spytałam.

– Chris.

– A gdzie pracujesz, Chris?

To pytanie najwyraźniej zbiło go z tropu, ale odpowiedział:

– Jestem kierownikiem w sklepie Banana Republic w Kittery. Znamy się?

– Nie – odparłam. – Byłam po prostu ciekawa. Miłego wieczoru, Chris. –  
I wyszłam.

Zacinający deszcz zdążył stracić na sile i przejść w jednostajną mżawkę. Zmienił się kierunek wiatru i chociaż ocean był tu zaraz za drogą, powietrze pachniało sosnami i świeżą ziemią. Rozkraczony na dwóch miejscach parkingowych stał z włączonym silnikiem ford pikap z opuszczoną szybą od strony kierowcy. Mijając go, w wilgotnym powietrzu poczułam zapach papierosów. Dotarłam do swojego wozu i udawałam, że szukam czegoś w torebce, w nadziei, że kierowca forda dopali papierosa i wysiądzie, tak żebym mogła zobaczyć, kto zacz. W chwili gdy wyciągnęłam kluczyki, silnik forda zgasł. Odwróciłam się i ujrzałam, jak niedopałek papierosa zgrabnym łukiem przecina parking i z głośnym sykiem ląduje w kałuży. Z wozu wysiadł wysoki mężczyzna. Oświetlał go neon wiszący na słupie przed Cooleyem. Mężczyzna miał ciemne włosy, szerokie ramiona, a gdy odwrócił się, by zamknąć drzwiczki, niemal wyraźnie ujrzałam ciemną hiszpańską bródkę. To musiał być Brad.

Nie miałam zamiaru wracać za nim do Cooleya.

– Brad – zawołałam, a on podniósł głowę, by na mnie spojrzeć. Nawet w słabych światłach parkingu widziałam, że oczy ma podpuchnięte z niewyspania i że jest roztrzęsiony. Wyglądał upiornie, jak człowiek, który zrobił coś bardzo złego.

– Ja? – spytał.

– Ty jesteś Brad, tak?

– Yhy.

– Brad Daggett?

– No...

Ukradkiem rozejrzałam się szybko po parkingu, może wypatrując oddziału szturmowego szykującego się do strzału, gdyby wykonał gwałtowny ruch.

– Możemy chwilę pogadać? Tutaj. To ważne.

– Jasne, pewnie. Znamy się?

– Nie. Ale mamy wspólnych znajomych. Dobrze znam Teda i Mirandę Seversonów. Słuchaj, na dworze jest mokro i zimno. Możemy posiedzieć w moim wozie i pogadać albo możemy usiąść w twoim wozie, jeśli tam poczujesz się swobodniej.

Znowu się rozejrzała. Wiedziała, że jego mózg pracuje gorączkowo, gdy tak się zastanawia, kim jestem i czego mogę chcieć.

– Nie masz się czym martwić – dodałam, starając się mówić uspokajającym głosem. – Może siądziemy w twoim fordzie?

– Dobra, pewnie – rzekł i otworzył drzwi po stronie kierowcy. W trzech krokach pokonałam odległość dzielącą mnie od wozu i otworzyłam drzwi po stronie pasażera. Zanim wsiadłam, rozpięłam torebkę. Na wierzchu leżał piętnastocentymetrowy paralizator, tak zaprojektowany, że wyglądał jak latarka. Nie sądziłam, że będę musiała go użyć, wolałam jednak zachować ostrożność. Nie miałam pojęcia, jak Brad reaguje na fakt, że niespełna tydzień temu zamordował kogoś z zimną krwią, ale zakładałam, że ma paranoję, jest nerwowy i potencjalnie niebezpieczny.

– Więc znasz Seversonów? – spytał, gdy już usiedliśmy w fordzie. Słyszałam, jak się sili na swobodny ton. We wnętrzu jego wozu panował nieskalany ład, pachniało papierosami i środkiem do czyszczenia.

– Tak – odparłam. – A dokładnie to znałam Teda, a znam Mirandę.

– To straszne, co...

– Co się przydarzyło Tedowi, tak. Właśnie dlatego tu jestem. Daj mi chwilę pogadać, dobra, Brad? Nie spodoba ci się to, co powiem, ale musisz mnie przez chwilę wysłuchać. Myślisz, że dasz radę?

Spojrzałam mu w oczy. Powieki miał poczerwieniałe, skóra, pomimo ciemnej opalenizny, ewidentnie zdradzała złe samopoczucie. Z ust zalatywał zapach wilgotnego zboża i zastanawiałam się, ile już musiał wypić. Kiwnął głową.

– Jasne, pewnie.

– Brad, chcę, byś mi wyświadczył przysługę. Wielką przysługę. A jeśli mi ją wyświadczysz, to nie powiem nikomu, że w piątek wieczorem pojechałeś do Bostonu i zamordowałeś Teda Seversona.

Przygotowałam się na atak, rękę oparłam na paralizatorze w torebce. Myślałam, że się na mnie rzuci albo chociaż powie gniewnie, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

Tymczasem jego wydatna dolna warga obsunęła się odrobinę, szczęki się zacisnęły i przez chwilę myślałam, że wybuchnie płaczem. Ale trzeźwo i z rozpaczą spytał:

– Kim jesteś? Czego chcesz ode mnie?

– W tej chwili – odparłam – jestem twoim najlepszym przyjacielem na świecie.

Opuściłam Orono tą samą drogą, którą przybyłam, czyli jechałam znowu przez Bangor. Zanim wskoczyłam na I-95, zatrzymałam się po paliwo na lokalnej stacji, gdzie nastoletni chłopak obsłużył dla mnie dystrybutor. Siedziałam w samochodzie i martwiłam się o Brada. Czy rzeczywiście ten kretyn dał się zauważyć w mojej dzielnicy w wieczór morderstwa? Modliłam się, żeby na portrecie pamięciowym detektywa Kimballa był ktoś inny albo żeby chociaż nie wyglądał jak Brad, bo jeśli wyglądał jak on – choćby odrobinę – będę musiała coś na ten temat powiedzieć. Gdyby zaś do tego doszło, to Brad Daggett zostałby przesłuchany przez policję, a po prostu nie mieściło mi się w głowie, żeby to przetrzymał. Wyobrażałam sobie jego spoconą twarz, rozbiegane oczy; na pierwszy rzut oka widać, że to on. Brad szybko pęknie, to pewne. Godzina w pokoju przesłuchań, nic więcej nie trzeba. Wówczas zaś jedyne, co mi zostanie, to twierdzić, że Brad ma urojenia, że najwyraźniej ma obsesję na moim punkcie i zabił Teda na własną rękę. Mogłam nawet powiedzieć policji, że kilka razy uprawiałam z nim seks w swoim nowo budowanym domu, ale że nigdy nie sugerowałam, by zamordował mojego męża. Byłoby jego słowo przeciwko mojemu i nigdy by nie udowodnili, że miałam z tym cokolwiek wspólnego. Ale ludzie będą wiedzieli. Oczywiście, że tak. Przyłapałam się na zaciskaniu zębów i przywołałam się do porządku.

Oddychałam przez nos, delektując się zapachem benzyny i czekając, aż chłopak z obsługi wróci z moją kartą kredytową. Zaczęło padać – wielkie krople deszczu z głuchym odgłosem uderzały nieregularnie w dach samochodu, gdy wyjeżdżałam ze stacji w stronę I-95.

Przez większość drogi do Bostonu zadręczałam się myślami o Bradzie. Może stanie na wysokości zadania, gdy policja się do niego zgłosi. Może jego alibi wytrzyma. I może – miejmy nadzieję – portret pamięciowy, który pokaże mi detektyw Kimball, w niczym nie przypomina Brada. Tak byłoby najlepiej, ale w głębi serca wiedziałam, że będzie to portret Brada, że dał dupy, bo pozwolił, aby ktoś go zobaczył. Po pewnym czasie zdołałam zająć myśli czymś innym, a mianowicie zaczęłam się zastanawiać nad Lily Kintner, kobietą, która mieszkała w Winslow i o której w życiu już bym nie pomyślała, gdyby Ted nie pojechał tam

w piątek i nie dostał mandatu za parkowanie. Swego czasu Lily była nieustająco i denerwująco obecna w moim życiu. Studiowała w Mather dwa lata za mną. Poznałam ją, gdy mój chłopak Eric Washburn dał jej zaproszenie do St. Dunstan's.

– Kto to jest? – spytałam. Ja sama na czwartkowe imprezy w St. Dunstan's byłam zapraszana dopiero na drugim roku studiów, a i tak musiałam się już pieprzyć z Erikiem Washburnem od trzech tygodni.

– Znasz pisarza Davida Kintnera? – spytał Eric.

– Nie.

– To jego córka.

Przyszła na to pierwsze czwartkowe przyjęcie, a ja prawie jej nie widziałam. Przypominała sierotę z wiktoriańskiej powieści – chuda i blada, o długich, rudych włosach. Przyglądałam się jej i na początku myślałam, że to z nerwów wtapia się w ścianę, pod którą stoi z drinkiem w dłoni, zbyt przerażona, by z kimkolwiek rozmawiać. Ale zbliżyłam się do niej, spojrzałam jeszcze raz i uznałam, że Lily się nie przejmuje, że jest w St. Dunstan's. Wręcz nie była tym zainteresowana, jak dziewczyna w tylnym rzędzie na nudnym wykładzie. Czy ona w ogóle rozumiała, co to znaczy dostać kartę z czaszką na pierwszym roku? Myślałam, że nigdy nie wróci, ale ciągle wracała, każdego czwartku, aż stało się oczywiste, że Eric się nią zainteresował. Znalazłam w bibliotece jedną z książek jej ojca i przeczytałam trochę na miejscu. Miała to być komedia, ale głównie opowiadała o wzajemnym okrucieństwie chłopców w angielskiej szkole z internatem. Zdziwiłam się, że Eric ubóstwia coś tak głupiego. W tamtym momencie już niezbyt mnie to obchodziło, bo zaczęłam sypiać z Matthew Fordem, przy którym Eric wypadł bez mała średnio.

Gdy byłam na ostatnim roku, Eric i Lily zostali parą. Mnie to pasowało. Matthew i ja pasowaliśmy do siebie znacznie lepiej niż Eric i ja. W przeciwieństwie do Erica Matthew czuł się na tyle niepewnie, że nadrabiał to kupowaniem mi wszystkiego, czego zapragnęłam. Opowiadałam mu wymyślne historie: że pochodzę z kanadyjskiego rodu frankofońskiego, ale mój ojciec został wydziedziczony, bo przeprowadził się z rodziną do Maine i uczył swoją córkę jedynie angielskiego. Przed feriami bożonarodzeniowymi powiedziałam mu, że potrzebuję tysiąca dolarów, by w tajemnicy pojechać do Montrealu i odwiedzić umierającą babcię ze strony ojca. Dał mi gotówkę. To był dobry związek, ale nie miałam złudzeń, że przetrwa rozdanie naszych dyplomów. Zakładałam, że to samo będzie dotyczyło Erica i Lily, zwłaszcza że ona studiowała na niższym roku, ale im częściej

widywałam ich razem, tym dobitniej uświadamiałam sobie, że dla nich to poważny związek. W każdym razie dla Lily; tyle widziałam. Nie byłam pewna, czy Eric jest zdolny do miłości. Pod tym względem był podobny do mnie, potrafił włączać i wyłączać emocje. Gdy byliśmy razem, powiedział mi kiedyś, że bez trudu mógłby żyć w związku z dwiema kobietami jednocześnie. Zapamiętałam tamte słowa i przypomniałam mu je na ostatnim roku, kiedy sami już pozdawaliśmy wszystkie egzaminy, a studenci niższych lat jeszcze mieli zajęcia.

– Sugerujesz coś? – spytał. Siedzieliśmy na klatce schodowej w St. Dunstan's, paląc papierosa na spółkę i słuchając odgłosów zamierającego przyjęcia na dole. Grało Radiohead, ktoś krzyczał, żeby zmienić muzykę.

– Nie wiem – odparłam. – Wszyscy sądzą, że ty z Lily to na poważnie.

– A ty i Matthew?

– Jak tylko dostaniemy dyplomy, na pewno z tym skończymy.

– Ach.

– Słuchaj – Dotknęłam jego pokrytej szorstkim zarostem szczęki. – To ostatni rok. Co ty na to?

Tamtej nocy spaliśmy ze sobą i kontynuowaliśmy to do końca wakacji. Eric odwiedzał Lily w domu rodziców w weekendy, a resztę tygodnia spędzał ze mną. Lily nigdy nie przyjeżdżała do miasta, a Eric powiedział przyjacielom, że w weekend odwiedza chorego ojca. Dla żartu pofarbowałam włosy na rudo i zasugerowałam Ericowi, żeby udawał, że ma tylko jedną dziewczynę. Uwielbiałam moje samotne weekendy tamtego lata w Nowym Jorku. Podnajęłam swój pokój na wsi, więc soboty i niedziele miałam całkowicie dla siebie. Wyobrażałam sobie Erica i Lily na wsi, zakochanych, i w ogóle się tym nie przejmowałam. Wręcz mnie to bawiło.

Eric zmarł jesienią w Londynie. Pojechał do Lily w odwiedziny i zapomniał zabrać leki na alergię. Padł trupem po zjedzeniu orzeszków. Zastanawiałam się wtedy, jak się czuła z tym Lily. Słyszałam, że zmarł w jej mieszkaniu, na jej oczach. Wyobrażałam sobie, jak w panice szuka epipenów, jak próbuje ratować mu życie. Zawsze myślałam, że Lily miała farta. Znała Erica Washburna wyłącznie jako wiernego chłopaka. Nigdy nie poznała prawdy o nim. Natknęłam się na Lily kilka lat później. Nie było jej na Facebooku, ale słyszałam plotki na jej temat – że została jakąś bibliotekarką w Winslow College – i że jej ojciec miał wypadek samochodowy, w którym zginęła jego druga żona. Rozpoznałam ją od razu. W ogóle się nie

zmieniła, blada bida z nędzą, włosy Pippi Pończoszanki, tak samo ostrzyżone, nieruchoma twarz. Powiedziałam, że ogromnie mi przykro z powodu tego, co się stało z Erikiem, a ona przez chwilę wpatrywała się we mnie nieruchomym, uporczywym spojrzeniem. Tak wyglądało nasze spotkanie. Próbowałam sobie przypomnieć, czy przedstawiłam ją Tedowi; chyba tak, ale nie byłam pewna. Pamiętałam jej zimny wzrok, zielone, jakby podświetlone oczy. Wiedziała, że się spotykałam z Erikiem tamtego lata? A gdyby wiedziała, to czy to możliwe, że Eric wcale nie umarł przypadkiem? Nie sądziłam, ale wytrącało mnie z równowagi, że Lily znowu zaprzęta moje myśli. Ted mógł pojechać do Winslow w piątek z wielu powodów. Szanse na to, że jego wyjazd miał cokolwiek wspólnego z Lily, były nieprawdopodobnie mizerne.

Wróciłam do Bostonu o szesnastej. Zaparkowałam trzy przecznice od domu i poszłam do baru w hotelu butikowym, gdzie wypięłam wódkę z lodem i zamówiłam sobie orecchiette z homarem. Umierałam z głodu. Kiedy skończyłam jeść, wróciłam do auta i zadzwoniłam do detektywa Kimballa. Odebrał natychmiast.

– Jestem w Bostonie – powiedziałam.

– Świetnie – odrzekł. – A gdzie dokładnie? Mogę panią odebrać i zawieźć na komisariat.

Wyjaśniłam, że zaparkowałam na ulicy, przecznicę od swojego domu, że nie wiem, co zrobić ani dokąd pojechać. Ubarwiłam przy tym głos odrobiną napięcia.

– Oczywiście. Jeśli zechce tam pani poczekać, przyjadę po panią. Potem, jeśli pani chce, może pani skorzystać z telefonu w komisariacie. Może chciałaby się pani zatrzymać u jakichś przyjaciół albo w hotelu...

Przyjechał po dziesięciu minutach białym mercury grand marquisem i zawiózł mnie na komisariat. W jego samochodzie pachniało skręcanymi papierosami i miętą. Miał na sobie džinsy i sztruksową kurtkę. Jego krawat wyglądał klasycznie i był wystrzępiony po jednej stronie.

– Bardzo dziękuję, że przyjechała pani do Bostonu – mówił, klucząc po zatłoczonych ulicach z jedną ręką na kierownicy, a drugą na kolanie, na którym palcem wskazującym wybijał rytm nieistniejącej melodii. – Mamy dobre przeczucia co do tego tropu. Dysponujemy chyba szczegółowym opisem człowieka, który zabił pani męża.

– Jak to?



– Państwa sąsiadów odwiedzała pewna kobieta. Siedziała w samochodzie i wysyłała esemesa. Widziała, jak pewien mężczyzna wychodzi z domu, do którego się włamano, od Bennettów pod trzysta siedemnastym, zna ich pani? a potem idzie do waszego domu. Mówi, że obserwowała go, bo wzbudził jej nieufność i sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Przeszedł pod latarnią, więc wyraźnie widziała jego twarz. Pracowała z naszym rysownikiem i mamy dość znaczne podobieństwo, tak sędzę. – Spojrzał na mnie. Uśmiechał się odrobinę nieśmiało, jakby nie do końca wiedział, jak ma się zachować. Patrzyłam, jak jego oczy wędrują po mojej twarzy.

– Dlaczego ja mam oglądać ten portret? Myśli pan, że go znam?

– Naszym zdaniem to niewykluczone. Świadek powiedziała, że podejrzany zadzwonił do drzwi wejściowych waszego domu. Pani mąż podszedł do drzwi i chwilę rozmawiał z tym mężczyzną. Wręcz mówi, że przestała się przyglądać, bo wyglądało na to, że się znają. Gdy znowu podniosła wzrok, nie zobaczyła już mężczyzny, więc uznała, że wszedł do środka.

– O mój Boże! – jęknęłam. – Ted tego kogoś znał?

– To tylko ewentualność, pani Severson. Niewykluczone, że to był przypadkowy włamywacz, ale użył jakiegoś podstępu, żeby pani mąż go wpuścił. Dlatego chcemy, by przyjrzała się pani portretowi.

– Jesteście pewni, że ten człowiek, który podszedł wtedy do drzwi, to ten sam, który zastrzelił... który zastrzelił mojego męża?

Detektyw niedbale zakręcił kierownicą i wjechał na parking przed posterunkiem.

– Tak sędzimy – odrzekł, wyłączając silnik. – Świadek zeznała, że siedziała w samochodzie około osiemnastej, a to w przybliżeniu czas zgonu podany przez koronera. Nie słyszała strzałów, ale w jej samochodzie pracował silnik, a państwa dom ma grube mury, w każdym razie tak mi powiedziano.

Pochyliłam głowę i głęboko wciągnęłam powietrze przez nos.

– Dobrze się pani czuje? – spytał detektyw.

– Bywało lepiej. Przepraszam. Potrzebuję chwili... Wejdźmy do środka, zobaczę ten portret.

Milczeliśmy, gdy detektyw Kimball na posterunku przeprowadził mnie przez ciężko ufortyfikowaną recepcję do korytarza o ceglanych ścianach wyłożonego zdartym linoleum. Szłam za nim aż do wielkiego pomieszczenia podzielonego na boksy. Poruszałam się powoli. Z tego, co usłyszałam, wynikało, że najwyraźniej Brada ktoś widział. Hamując gniew, zastanawiałam się, co muszę powiedzieć

detektywowi. Jeśli na portrecie choć trochę przypomina siebie, będę musiała o tym wspomnieć, w przeciwnym wypadku wzbudzę podejrzenia, kiedy ostatecznie i tak dopadną Brada. Z desperacką nadzieją powtarzałam sobie, że może rysunek w niczym go nie przypomina, tak żebym mogła z ręką na sercu powiedzieć, że nie mam pojęcia, kto to jest.

Dotarliśmy do biurka detektywa w przydzielonym mu boksie. Zaproponował mi miejsce na plastikowym krześle, a sam usiadł w obrotowym fotelu z miękkim siedziskiem. Biurko miał zarzucone stertami teczek i luźnymi kartkami. Wszystkie sprawiały wrażenie starannie posegregowanych. Leżały w osobnych stosach. Na szczycie każdego stosu widniała kolorowa samoklejka. Detektyw Kimball wziął teczkę ze szczytu jednego z mniejszych stosów i ją otworzył.

– Dobrze tu pani widzi? – spytał.

Siedzieliśmy pod jasną lampą fluorescencyjną zainstalowaną w niskim suficie z płytek polistyrenowych. Zapewniłam, że widzę świetnie. Z szarej teczki wyjął kartkę papieru i położył przede mną. Dość mocno przypominał Brada – gruby kark, czarna bródka, ciemne oczy nieco za blisko osadzone pod gęstymi brwiami. Najbardziej charakterystyczny element jego wyglądu – gęste włosy i niskie czoło – skrywał się pod bejsbolówką. Czułam na sobie wzrok detektywa Kimballa. Czułam jego upojne wyczekiwanie.

– Nie wiem... – powiedziałam. Wydęłam dolną wargę, przyglądając się rysunkowi, by zyskać jeszcze kilka sekund. Ale podobieństwo było zbyt silne, bym mogła o nim nie wspomnieć. – Wie pan, kogo on przypomina... Wygląda jak nasz wykonawca, szef robót w Maine. Brad Daggett. Ale Brad w zasadzie nie znał Teda, zresztą w ogóle nie mieszka w Bostonie, więc... – Wyprostowałam się i popatrzyłam na detektywa. – Nie wiem, czy to coś pomoże.

– Brad Daggett? – powtórzył. – Może mi pani przeliterować? – Zapisał dane. – Co może pani o nim powiedzieć?

– W zasadzie niewiele. Dużo z nim pracuję, ale nie wiem nic o nim osobiście. Naprawdę nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego Brad miałby przyjeżdżać do Teda czy go zabijać. To nie ma sensu.

– On był państwa wykonawcą? Może posprzecziali się z pani mężem o pieniądze?

– Musiałabym coś o tym wiedzieć. Tylko ja współpracowałam blisko z Bradem i podejmowałam większość decyzji finansowych. Nie. To nie wchodzi w rachubę.

– Więc czy może pomiędzy panią a nim doszło do sprzeczki? Na jakikolwiek

temat?

– Na temat jakichś drobiazgów, że na przykład on kupił niewłaściwe listwy sufitowe, ale nic ważnego. Był absolutnie profesjonalny i niewiarygodnie dobrze go wynagradzaliśmy. Nie przychodzi mi go głowy, dlaczego miałby mieć coś do Teda.

– Jest żonaty?

– Kto, Brad? Nie sądzę. Był żonaty, bo jestem pewna, że ma dzieci, ale o żonie nigdy nie wspominał.

– A czy wobec pani nie zachował się w sposób niewłaściwy? Dał może pani do zrozumienia, że... że wzbudza pani jego zainteresowanie? – Przy tym pytaniu trochę się jąkał, jakby go krępowało, a ja zastanowiłam się przelotnie, czy ta nerwowość jest prawdziwa, czy aby jej nie odgrywa.

– Nie. Może wzbudzałam jego zainteresowanie, ale jeśli nawet, to nigdy nie dał mi tego do zrozumienia. Jak powiedziałam, zachowywał się absolutnie profesjonalnie. – Znowu spojrzałam na rysunek. Podziwiałam, że tak bardzo przypomina Brada, i byłam wściekła na niego, że okazał się tak durny, by dać się zauważyć. – Im dłużej na to patrzę – dodałam – to cały czas widzę podobieństwo, ale tylko powierzchowne. To mężczyzna z bródką, po prostu.

– No dobrze. – Kimball przyłożył palec do rysunku i obrócił go do siebie. – Sprawdźmy go. Ma pani jego numer?

Wyjęłam telefon i podałam detektywowi numer Brada.

– Naprawdę nie sądzę... – zaczęłam.

– Nie, nie, rozumiem. Ale musimy to sprawdzić choćby dlatego, żeby wyeliminować go ze śledztwa. Osobiście nadal sądzę, że pani mąż zginął przypadkowo. Ktoś włamywał się do domów, szukając biżuterii czy innych cennych przedmiotów. Może zabójca miał przygotowaną jakąś gadkę, dzięki której był wpuszczany do środka. Czy określiłaby pani męża jako osobę ufny? Wpuściłby kogoś obcego do domu, gdyby ten ktoś mówił coś przekonującego?

Zastanawiałam się chwilę, wiedząc, że jeśli mam się trzymać prawdy, to odpowiedź brzmi: „Nie”.

– Wyobrażam to sobie – powiedziałam. – Miał w życiu dużo szczęścia, nigdy nie przydarzyło mu się nic złego. Można by pomyśleć, że przy całym swoim majątku... ale był dość ufny.

Detektyw Kimball odchylił się wraz z oparciem fotela i kiwnął mi głową. Czułam, że nasze spotkanie dobiega końca. Denerwowałam się. Wiedziałam, że gdy

policjant zostanie sam, niezwłocznie zadzwoni do Brada, a nie miałam złudzeń, że Brad dobrze zniesie ten telefon, chociaż przerabialiśmy setki razy, co ma w takim wypadku powiedzieć. Rozważałam, czy nie ubiec policjanta, nie ostrzec Brada i uspokoić, ale przypomniałam sobie o istnieniu billingów – policja się dowie, że zadzwoniłam do niego natychmiast po rozpoznaniu portretu.

– Ja nawet widziałam się z Bradem Daggettem wczoraj rano – dodałam, uznając, że to ważne, bym nie ukrywała tej informacji przed policją. – Musiałam go prosić, by zawiesił prace na budowie. Zajechałam tam w drodze do Maine.

– Och. – Detektyw Kimball odrobinę powrócił do pionu.

– Zachowywał się najzupełniej normalnie. Wydał mi się trochę wstrząśnięty tym, co stało się z Tedem.

– Jak wspomniałem, musimy go po prostu wyeliminować. Na pewno ma alibi. Z tego, co pani mówi, wnioskuję, że raczej nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Ach, i jeszcze jedno, pani Severson. Technicy kryminalistyczni zakończyli już prace w pani domu, co oznacza, że może pani tam w dowolnej chwili wrócić. Nie wiedziałem, czy chciałaby...

– Muszę wrócić – odparłam – choćby po jakiejś rzeczy, a potem zobaczę, jak się będę tam czuła.

– W porządku. – Wstał. Ja też. – Muszę zostać teraz tu, na komisariacie, ale czy mogę zaproponować, że któryś z funkcjonariuszy odwiezie panią do samochodu albo do domu?

– Nie, dziękuję, wezmę taksówkę.

– W takim razie zadzwonię po taksówkę. Naprawdę nie wiem, jak pani dziękować, że przyjechała pani zobaczyć ten portret. Bardzo nam to pomogło, a z mojego doświadczenia wynika, że jeśli już mamy prawdopodobieństwo, do aresztowania niedaleko.

Stałam jeszcze przez chwilę, zwlekałam z wyjściem, wiedząc, że sprawy mogą się szybko rozegrać. W głowie mi się kręciło, wiedziałam, że najpewniej w ciągu kilku godzin Brad zostanie przesłuchany przez policję. Przeszkoliłam go, ale niewystarczająco. A jeszcze były inne rzeczy, jak fakt, że Ted podczas swojej ostatniej wizyty w Kennewick spotkał się z Bradem i upił się z nim w barze przy plaży. To było najdziwniejsze, zupełnie do Teda nie pasowało. Zastanawiałam się też nad tym, co Brad powiedział poprzedniego dnia – jak był przekonany, że Ted o nas wiedział. Może wiedział, ale jakim cudem? A jeśli wiedział, to czy z kimś się tą

wiedzą podzielił? Ale nawet jeśli nie wiedział, fakt, że Brad z Tedem razem pili, tylko potwierdził podejrzenia policji względem Brada.

– Dobrze się pani czuje? – spytał detektyw Kimball z zakłopotaniem, a ja zdałam sobie sprawę, że przygląda mi się stojącej tak w zamyśleniu przez jakieś pięć sekund. Opuściłam ramiona, udałam, że tłumię łkanie, a potem podniosłam na niego wzrok i uroniłam kilka łez. Kimball szybko się rozejrzał dokoła, ale ja już zrobiłam krok w jego kierunku, tak że musiał wziąć mnie w ramiona. Zaczęłam łkać, przyciągnęłam go bliżej, schowałam głowę pod jego brodą. Przycisnęłam tak mocno, że czułam, jak mój biust rozpląszcza się na jego klatce piersiowej.

– Już dobrze, pani Severson – mówił i objął moje ramiona jedną ręką, drugą trzymając przy boku. Odsunęłam się od niego, przepraszając gorączkowo, a w tym samym momencie pojawiła się przy mnie detektyw James, jego partnerka, wysoka czarna kobieta, i spytała, czy czegoś potrzebuję.

– Tylko taksówki – odparłam. – Przepraszam. Bardzo, bardzo przepraszam.

– Proszę się nie przejmować. Doskonale to rozumiem. – Detektyw James gładko przejęła zdruzgotaną wdowę i delikatnie, lecz stanowczo zaczęła mnie wyprowadzać z boksu Kimballa. Zatrzymałam się i odwróciłam.

– Och, panie detektywie... – powiedziałam. – Pamięta pan może, wczoraj pytał mnie pan, czy znam kogoś w Winslow?

Wciąż stał z komórką w dłoni.

– Tak, oczywiście.

– Przyszła mi do głowy jedna osoba. Nazywa się Lily Kintner. Chodziłam z nią do Mather College. Jestem pewna, że nie ma nic wspólnego z piątkowym wyjazdem Teda, ale...

– Czy oni się znali? Byliście z nią państwo blisko?

– Nie. Nie byliśmy. W college’u odbiła mi chłopaka, prawdę mówiąc, więc nie darzę jej wielką sympatią... ale Ted i ona nie znali się... cóż, dobrze, może się kilka razy widzieli, jeśli się zastanowię. Kilka lat temu wpadłam na Lily w Bostonie.

– Jak się pisze jej nazwisko?

Przeliterowałam. Oczywiście nie było powiązań pomiędzy Tedem a Lily, ale uznałam, że nie zaszkodzi podsunąć policji kolejnego tropu. Może zdołam opóźnić to, co teraz wydawało się nieuniknione – że Brad zostanie złapany i że najpewniej mnie wyda.

Zapewniłam detektyw James, że nic mi nie jest, że po prostu chciałabym sobie

pójść.

– Może jednak przyniosłabym pani wody, zanim pani pójdzie? – spytała ochryłym głosem, przyglądając mi się z góry. Musiała mieć z metr osiemdziesiąt wzrostu. Musiała też z tym wzrostem czuć się nie najswobodniej, bo ilekroć ją widziałam, miała obuwie na płaskim obcasie. I nigdy nie nosiła biżuterii. W przeciwieństwie do detektywa Kimballa wprawiała mnie w zdenerwowanie. Nie w tym rzecz, że sądziłam, że mnie podejrzewa. Po prostu naprawdę nie miałam pojęcia, co myśli. Patrzyła na mnie wzrokiem, którym mogłaby patrzeć na parkometr.

– Mogę panią odprowadzić, pani Severson?

– Nie trzeba. Nic mi nie jest. I mam na imię Miranda.

Kiwnęła mi głową i się odwróciła. Byłam pewna, że się nie maluje.

Detektyw Kimball musiał jednak zadzwonić, bo gdy wyszłam przed budynek, taksówka czekała. Zmierzchało, zaczęło padać. Paskudna pogoda ścigała mnie cały dzień aż od domu mojej matki.

Wymeldowałam się z Kennewick Inn wczesnym rankiem we wtorek, doszedłszy do wniosku, że mogę pojechać od razu do Winslow College. Nie było sensu opuszczać kolejnego dnia w pracy i zwracać na siebie uwagi. W motelu wypiliśmy dwie kawy, ale zatrzymałam się jeszcze w Dunkin' Donuts w Kittery po kawę na wynos. Byłam wykończona. Poprzedniego wieczoru rozmawiałam z Bradem kilka godzin, najpierw w jego fordzie, potem w domku, w którym mieszkał. Mimo tego, co zrobił Tedowi, czułam wobec niego wyrzuty sumienia. Był zdruzgotany, a gdy zdał sobie sprawę, że nie chce go wydać, uczepił się mnie jak tonący brzytwy. Obiecał, że umówi spotkanie z Mirandą na dwudziestą drugą. Jeśli ona się zgodzi, Brad zadzwoni do mnie z automatu w Cooleyu. Zaczeka tylko dwa sygnały, ale na moim aparacie wyświetli się numer.

Dotarłam do pracy przed wszystkimi. Zalogowałam się do poczty i wcale się nie zdziwiłam, widząc powiadomienie, że mój szef, Otto, w poniedziałek, czyli wczoraj, wyszedł wcześniej do domu, czując, że dopada go przeziębienie. Przewidywał, że we wtorek również nie przyjdzie. Otto Lemke był najbardziej podatną na sugestie osobą na świecie, zwłaszcza jeśli chodzi o wszelkie choroby. Samym powiadomieniem w niedzielę, że nie czuję się dobrze, zapewne zafundowałam mu spiralę choroby psychosomatycznej. Przedpołudnie zajęły mi krótkie opisy naszych zbiorów archiwalnych; miały trafić do intranetu dla studentów i wykładowców. Kiedy zdziałalam już tyle, by poranek uchodził za wypełniony pracą, udałam się do prowadzonej przez studentów knajpki po drugiej stronie kampusu. Tam zwykle jadałam lunch. Po ulewie z poprzedniego dnia świat wyglądał czysto i lśniaco jak samochód po wyjeździe z myjni. Bezchmurne niebo miało kolor metalicznego błękitu. Świeże powietrze pachniało jabłkami. W knajpce zamówiłam pszenną kanapkę z sałatką z tuńczyka w sosie curry i zabrałam ją na jedną z kamiennych ławek z widokiem na aleję wiązów, jasnożółtych i jeżących się w ostrych powiewach, które sunęły po głównym dziedzińcu Winslow. Wiodłam dobre życie i przez chwilę zastanawiałam się, dlaczego się wplątałam w paskudne sprawy Mirandy, Teda i Brada. To, co zaplanowałam na jutrzejszy wieczór w Kennewick, wiązało się z wielkim ryzykiem. Wszystko zależało od Brada, który był tak kruchy,

że niemal widać było na nim pęknięcia, i zależało też od tego, by Miranda nie powzięła podejrzeń, gdy Brad zasugeruje spotkanie. Czułam się niepewnie, odkryta, ale wiedziałam, że skoro zaszłam tak daleko, dojdę aż do końca. Śmierć Teda zasługiwała na zemstę, a Miranda zasługiwała na karę, teraz jeszcze bardziej niż kiedyś.

Na popołudnie miałam umówione spotkanie poza terenem college'u z absolwentką, obecnie osiemdziesięcioletnią, która zaoferowała oddanie do archiwum pamiątek z lat studiów. Te wizyty często były najlepszą częścią mojej pracy, a czasami okazywały się częścią najgorszą. Wszystko zależało do przytomności umysłu i oczekiwań dawnego studenta czy wykładowcy. Niekiedy okazywało się, że pamiątki to kilka zniszczonych skryptów i jakieś notatki. Często byli to samotni ludzie, którzy pragnęli, by ktoś z nimi chwilę porozmawiał, wysłuchał ich długich opowieści z czasów studenckich. Czasami jednak okazywało się, że ci absolwenci przechowują prawdziwe perły archiwaliów. Niektóre kobiety zachowywały dosłownie wszystko. Drukowane menu balu zimowego z roku 1935. Zdjęcia ze śnieżycy z 1960 roku, gdy zasypany śnieg wznosił się na półtora metra. Rękopis wiersza May Gyls, która prowadziła gościnne wykłady. Nigdy nie wiedziałam, czego się po tych wizytach spodziewać, a umawiałam je wyłącznie wtedy, gdy darczyńca mieszkał w zasięgu jazdy samochodem. W pozostałych wypadkach prosiliśmy o przesłanie materiałów pocztą.

Niewiele brakowało, a dzisiejszą wizytę bym odwołała. Dawał mi się we znaki brak snu i nie byłam pewna, czy zdołam dotrzymać towarzystwa obcej osobie i znieść jej falę wspomnień. Wiedziałam też jednak, że powinnam trzymać się swoich planów, więc ruszyłam w drogę, by przejechać kilka miast na zachód do Greenfield, gdzie mieszkała Prudence Walker, rocznik 1958. Gdy dotarłam na miejsce, grabiła liście. Kilka toreb z aktami stało już na chodniku gotowych do odbioru. Jej dom należał do schludnych, porządných budynków charakterystycznych dla dzielnicy domów kolonialnych i nowoczesnych lekkich konstrukcji w Cape Cod. Wjechałam na podjazd za nową camry, a Prudence Walker odłożyła grabie i podeszła się przywitać.

– Witam. Bardzo dziękuję, że pani przyjechała. Wyświadczyła pani wielką przysługę starszej pani. – Miała na sobie wyblakłą denimową spódnicę i zieloną wiatrówkę. Siwe włosy związała w koczek.

– Nie ma o czym mówić – odparłam, wysiadając z samochodu.

– Wszystko jest w pudłach, stoi na schodku. Przywiozłabym to sama, ale nie



mam już siły po zniesieniu tego ze strychu. Najwyraźniej kiedyś uznałam, że muszę przechowywać absolutnie wszystko. Większość to moje albumy z pamiątkami, ale załączyłam też wszystkie notatki z wykładów, plany zajęć i stos arkuszy egzaminacyjnych. Mówiła pani, że to chcecie, tak?

– Wezmę to wszystko. I jeszcze raz bardzo dziękuję.

Podeszłam do schodków wejściowych i dźwignęłam ciężkie pudło. Prudence Walker szła ze mną nierównym krokiem – przy każdym ruchu prawej nogi opuszczała nisko prawe ramię.

– Przykro mi, że kazałam pani jeździć tak daleko, a teraz tak po prostu musi pani odjechać, ale chcę zgrabić te wszystkie liście, dopóki jest słońce. Może szklanek wody?

– Nie, dziękuję – odrzekłam, wsadzając pudło do bagażnika.

Gdy tyłem ruszyłam z podjazdu, patrzyłam, jak niepewnie podchodzi do grabi, które zostawiła oparte o klon. Poczułam przyływ miłości do tej kobiety, która tak chętnie pozbywała się dawnego życia, by nie oglądać się już za siebie, ale tak naprawdę byłam po prostu wdzięczna, że nie muszę siedzieć całe popołudnie i wertować starych albumów.

Podrzuciłam pudła do Winslow, odebrałam jeszcze kilka mejli, po czym pojechałam do domu – starej dwupokojowej chaty z 1915 roku. Z jej okien roztaczał się widok na malowniczy staw, fatalny do kąpieli (całe lato leży się tam komary), ale dobry do jazdy na łyżwach w mroźne zimowe miesiące. Zerknęłam na telefon – nikt jeszcze nie dzwonił z Cooleya. Dzwoniła natomiast recepcjonistka mojego lekarza, by przypomnieć mi o umówionej wizycie, a także moja mama, ale nie zostawiła wiadomości. Ponieważ było jeszcze przed siedemnastą, uznałam, że utnę sobie drzemkę przed obiadem. Położyłam się na kanapie w salonie i już miałam zapaść w lekki sen, gdy rozległ się dzwonek. Zerwałam się na równe nogi, nie wiedząc w pierwszej chwili, gdzie się znajduję. Przeczesałam palcami włosy, wstałam i przeszłam do przedpokoju. Zerknęłam przez szybki z boku drzwi. Na progu stał nieco niechlujny trzydziestoparoletni mężczyzna, drapał się po szyi. Uchyliłam drzwi, nie zdejmując łańcucha.

– Słucham?

– Lily Kintner? – spytał mężczyzna, wyciągając portfel z tweedowej marynarki. Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdy pokazał mi odznakę detektywa z bostońskiej policji. – Detektyw Kimball. Moglibyśmy chwilę porozmawiać?

Zdjęłam łańcuch i otworzyłam drzwi. Zanim wszedł do środka, wytarł buty o wycieraczkę.

– Ładny dom – rzekł, rozglądając się dokoła.

– Dziękuję. W czym mogę panu pomóc? Ciekawa jestem. – Wolnym krokiem przeszłam do salonu, a policjant za mną.

– Pani nazwisko wypłynęło w trakcie śledztwa, mam więc kilka pytań. Może mi pani poświęcić chwilę?

Wskazałam mu miejsce na czerwonym skórzanym fotelu, a on przysiadł na skraju. Sama usiadłam na kanapie. Bałam się tego, co powie, a jednocześnie nie mogłam się doczekać, aż to usłyszę.

– Co może pani powiedzieć mi o Tedzie Seversonie?

– O tym człowieku, którego w weekend zamordowano w Bostonie?

– Właśnie.

– Mogę powiedzieć jedynie to, co czytałam w gazetach. Mam z nim dość dalekie powiązanie, ale go nie znam. Ożenił się z osobą, z którą studiowałam.

– Studiowała pani z Mirandą Severson? – Detektyw wyjął notes z płaszcza i go otworzył. Z wnętrza spirali bindującej wyciągnął krótki ołówek.

– Tak, w Mather College. Wtedy nazywała się Miranda Hobart. A właściwie Faith Hobart.

– Używała innego imienia?

– Faith to bodajże jej drugie imię. I używała go w college’u.

– Utrzymywała pani z nią kontakt? Wiedziała pani, że wyszła za Teda Seversona?

– Rozsiadł się odrobinę, nieco przesuwając się w głąb siedziska. Włosy miał trochę za długie, zwłaszcza jak na policjanta. Miał też okrągłe brązowe oczy, krzaczaste brwi, wydatny nos i usta z mięsistą dolną wargą, które mogłyby należeć do dziewczyny.

– Spotkałyśmy się kilka lat temu w Bostonie.

– Towarzyszył jej wówczas mąż?

– Wie pan, sama się nad tym zastanawiałam po przeczytaniu artykułu. Wydaje mi się, że towarzyszył jej jakiś mężczyzna i że mi go przedstawiła, ale oprócz tego niewiele pamiętam, jeśli chodzi o sprawy, które mogłyby mieć z nim związek. Nie mogłam uwierzyć w to, co przeczytałam w gazecie. Panie... Kimball, tak? Właśnie chciałam zrobić sobie kawę. Może przygotuję dla dwóch osób? – Wstałam, wiedząc

doskonale, że zachowuję się trochę podejrzanie. Potrzebowałam jednak czasu do namysłu.

– Tak, pewnie. Skoro robi pani dla siebie.

– No chyba że uważa pan, że szybko wszystko załatwimy. Jestem, szczerze mówiąc, bardzo ciekawa powodów pańskiej wizyty – powiedziałam, idąc do kuchni.

– Nie. Proszę zrobić kawę, chętnie się napiję.

W kuchni wzięłam głęboki oddech, nastawiłam wodę i wsypałam mielonej kawy do zaparzacza. Musiałam myśleć jasno. Wydarzyło się coś, co powiązało mnie z Tedem Seversonem i musiałam postępować z największą uwagą, żeby nie dać się przyłapać na kłamstwie, nie przedstawić sprzecznych wersji. Czegoś się dowiedzieli, ale nie wiem, ile tego jest. Kiedy woda się zagotowała, zalałam kawę i wsadziłam do środka tłok. Postawiłam zaparzacza na tacy razem z dwoma kubkami, kartonikiem mleka oraz miseczką kostek cukru i zniosłam wszystko do salonu. Ku swojemu zaskoczeniu zastałam detektywa Kimballa przed półkami, gdzie studiował grzbiety książek.

– Przepraszam – powiedział, wracając na brzeg fotela. – Ma pani kilka interesujących pozycji. Chyba mogę spytać... jest pani córką Davida Kintnera?

Postawiłam tacę na stoliku, a sama usiadłam na kanapie.

– A tak. Zna pan go? Proszę sobie nalać kawy.

– Nie znam. Czytałem kilka jego książek i raz słuchałem jego czytania. W Durham w New Hampshire.

– Naprawdę?

– Jest świetnym showmanem.

– Tak słyszałam. Sama nigdy nie widziałam, jak czyta.

– Naprawdę? Jestem zaskoczony.

– Niesłusznie. To mój ojciec. Jego działalność zawodowa nie musi być dla mnie fascynująca. W każdym razie nie była, gdy byłam młodsza.

Patrzyłam, jak detektyw przygotowuje sobie kawę, jak dodaje mleka, ale cukru już nie. Miał piękne dłonie o długich, szczupłych palcach. Nagle uderzyło mnie jego podobieństwo do Erica Washburna. Szczupły i męski, ale też o dziewczęcych rysach twarzy. Usta jak pączek róży. Gęste rzęsy. Upił kawy i odstawił kubek na stolik.

– A wie pani, że niełatwo panią znaleźć? – spytał. – Nadal się pani nazywa Kintner czy oficjalnie zmieniła pani nazwisko na Hayward?

– Nie, nadal jestem Kintner, formalnie. Tutaj ludzie mnie znają jako Lily Hayward. To panięskie nazwisko mojej babki od strony ojca. Ale proszę nie przywiązywać do tego nadmiernej wagi. Chodzi po prostu o to, że pracuję w college’u, a ludzie tutaj znają mojego ojca z całym jego bagażem życiowym, więc kiedy dostałam tę pracę, postanowiłam używać innego nazwiska.

– Rozumiem.

– Więc wie pan, co się stało z moim ojcem?

– Wypadek w Anglii?

– Właśnie.

– Tak, słyszałem o tym. Przykro mi. Jestem wielkim wielbicielem twórczości pani ojca. Czytałem wszystkie jego książki, naprawdę. Przypominam sobie, że chyba ostatnią zadedykował pani.

– Owszem. Niestety, to nie było jego najlepsze dzieło.

Detektyw się uśmiechnął.

– Książka nie była taka zła. Myślę, że recenzje są zbyt surowe. – Upił kolejny łyk kawy i milczał chwilę.

– A wracając do Teda Seversona... – przypomniałam – ...nadal nie wiem, co pana sprowadza.

– No cóż... to może być oczywiście zbieg okoliczności, ale Ted Severson przyjechał tu, do Winslow, w dniu, w którym został zabity. Wiemy o tym, bo dostał mandat za parkowanie. Nie przyjechał przypadkiem na spotkanie z panią?

Poczułam przelotny gniew na głupotę Teda, a potem cień smutku. Przyjechał mnie szukać. Przyjechał do mojego miasta. Pokręciłam głową.

– Jak powiedziałam, nie znam go, a on nie znał mnie. Może się kiedyś widzieliśmy, może nawet ze dwa razy...

– We wrześniu była pani w Anglii, prawda?

– Tak. Pojechałam zobaczyć się z ojcem, który właśnie wyszedł z więzienia. Zamierza na powrót przenieść się do Ameryki, więc miałam mu pomóc w sprawach logistycznych.

– Pamięta pani, którym lotem wracała?

– Mogę to sprawdzić, jeśli pan chce.

– Nie trzeba. Ja już sprawdziłem. Tym samym lotem wracał Ted Severson z podróży służbowej do Wielkiej Brytanii. Pamięta pani, czy go wtedy spotkała?

Zdażyłam się na to przygotować. Więc wiedzieli, że lecieliśmy z Tedem tym samym samolotem.

Nadal jednak raczej nie wiedzieli o naszym spotkaniu w Concord River Inn. A o tym, że wczoraj byłam w Kennewick? Pewnie nie, ale nietrudno będzie zdobyć takie informacje.

– Ma pan jego zdjęcie? – spytałam.

– Nie przy sobie, ale jeśli ma pani tu internet...

– No tak! Sprawdzę, ale rzeczywiście rozmawiałam z pewnym mężczyzną w czasie lotu i jak się teraz nad tym zastanawiam, to niewykluczone, że był to Ted Severson. Ściśle rzecz biorąc, spotkaliśmy się w barze na Heathrow. Miałam nawet wówczas wrażenie, że on mnie zna. Tak jakoś się przywitał... Ale potem się sobie przedstawiliśmy i rozmawialiśmy chwilę. Mnie nie wydał się znajomy.

– Nie podaliście sobie nazwisk?

– Podaliśmy, ale ja jego nazwiska nie dosłyszałam. Albo usłyszałam, ale nie zapamiętałam.

– Ale pani mu swoje nazwisko podała?

– Tak. I powiedziałam mu, że pracuję w Winslow.

– Więc gdyby chciał, mógł przyjechać tu panią odszukać.

– Teoretycznie – odparłam. – Chociaż gdyby naprawdę chciał się ze mną skontaktować, najłatwiej przecież byłoby mu zadzwonić.

– Dała mu pani swój numer?

– Nie dałam.

– Więc niewykluczone, że próbował zdobyć pani numer, ale nie udało mu się i wtedy tu przyjechał.

– Oczywiście, to niewykluczone. Tylko że jakieś mało prawdopodobne. Miło nam się rozmawiało, ale to nie był żaden flirt, zresztą on jest żonaty i...

Detektyw uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Może pani to umknęło. Tak się ciągle zdarza. Facet spotyka jakąś kobietę, dla niej to nic nie znaczy, a już za chwilę on zamienia się w jej stalkera. I *vice versa* również, ale to nie jest równie powszechne.

– Myśli pan, że byłam śledzona?

– Nie mam pojęcia. Ciekawiło nas po prostu, dlaczego Ted Severson przyjechał tu w dniu swojej śmierci. To zgon w podejrzanych okolicznościach, więc badamy każde z ostatnich wydarzeń, które odbiega od codzienności. Ale nawet jeśli przyjechał tu w nadziei, że panią spotka, to i tak nie mam pojęcia, jak może się to wiązać z jego śmiercią.

– Ja też nie mam.

– Ośmielę się spytać, jeśli pani pozwoli, czy żyje pani w związku z kimś, panno Kintner?

– Ależ proszę. Nie, z nikim się w tej chwili nie spotykam. I może pan do mnie mówić po imieniu.

– Tylko pytam, Lily. Nie ma w pani życiu żadnego zazdrosnego byłego chłopaka?

– Ja o żadnym nie wiem.

Detektyw spojrzał na swój notes i milczał przez chwilę. Odprężyłam się. Chyba wyszłam z tego obronną ręką. Nie mogłam zaprzeczyć, że spotkałam Teda w samolocie. Świadczyli, że rozmawialiśmy. Ale nie miałam powodu przyznawać się do niczego innego. Jeśli policja ustali, że zaraz po morderstwie pojechałam na dwa dni do Kennewick, będę się upierać, że to zbieg okoliczności. Mogło to wyglądać dziwnie, ale co z tego? Przecież nie miałam nic wspólnego z piątkowym morderstwem.

– Przykro mi, Lily, ale muszę zadać jeszcze jedno pytanie. Gdzie pani była w piątek wieczorem?

– Tutaj, w domu. I byłam sama. Zrobiłam sobie obiad, a potem oglądałam film.

– Ktoś tu zachodził? Ktoś dzwonił?

– Nie, niestety. Nie sędzę.

– W porządku. – Dopił kawę i wstał. – Mógłbym jeszcze poprosić, żeby spojrzała pani na zdjęcie Teda Seversona w internecie i potwierdziła jego tożsamość? – spytał.

– Oczywiście – odparłam i sięgnęłam po laptopa.

Razem znaleźliśmy zdjęcie, które towarzyszyło artykułowi o morderstwie. Potwierdziłam, że owszem, najpewniej to mężczyzna, z którym rozmawiałam w samolocie.

– To dziwne – powiedziałam. – Przeczytałam ten artykuł i uświadomiłam sobie, że znam tego człowieka albo że zdecydowanie znam jego żonę, a tu się okazuje, że niedawno go spotkałam, rozmawiałam z nim.

W drzwiach detektyw Kimball sięgnął do kieszeni kurtki.

– Byłbym zapomniał – rzekł. Wyciągnął klucz, lśniący nowością. – Mógłbym sprawdzić, czy ten klucz pasuje do pani drzwi?

Roześmiałam się.

– Ależ to dramatyczne! Myśli pan, że ten człowiek miał klucz do mojego domu?

– Nie, nie sądzę, ale znaleźliśmy go wśród jego rzeczy i muszę sprawdzić każdą ewentualność. Po prostu eliminuję pani dom.

– Ależ proszę sprawdzać, rozumiem. – Musiał to być klucz, który Ted ukradł Bradowi, pewnie uniwersalny, do wszystkich domków. Jeśli Brad stał się podejrzanym, prędzej czy później odkryją, że to jego klucz.

Patrzyłam, jak detektyw wkłada klucz do zamka moich drzwi wejściowych. Wsunął się bez trudu i przez jedną przerażającą chwilę sądziłam, że się obróci, że może Ted, nie wiedząc dlaczego, rzeczywiście miał klucz do mojego domu. Ale nie, nie obrócił się. Policjant szarpnął nim kilka razy i wyjął go z zamka.

– Nie pasuje – stwierdził. – No ale musiałem sprawdzić. Bardzo mi pani pomogła. Gdyby pani przyszło coś jeszcze do głowy... – Podał mi wizytówkę, a ja ją wzięłam do ręki. Spojrzałam na nią i zobaczyłam, że detektyw ma na imię Henry. Stałam w drzwiach, patrząc, jak odjeżdża. Było prawie ciemno, po niebie sunęły pomarańczowe chmury. Za moimi plecami dwa razy telefon zadzwonił i zamilkł. Ruszyłam do niego, ale wiedziałam, czego się dowiem z wyświetlacza. „Nieodebrane” i numer. Kierunkowy 207. Porównam numer z tym z automatu w Cooleyu, zanotowanym na serwetce, ale byłam w zasadzie pewna, że są takie same. Ten telefon oznaczał, że Brad umówił się na wieczór z Mirandą. Wszystko odbędzie się zgodnie z planem. Wizyta detektywa trochę mnie zdenerwowała, ale – że użyję jego określenia – po prostu eliminował mnie ze śledztwa.

Otworzyłam lodówkę i zajrzałam do środka, zastanawiając się, co zrobić na obiad.

Kiedy jeszcze planowaliśmy z Bradem morderstwo Teda, przez chwilę zastanawiałam się, czy kupić dwie komórki na kartę. Na wszelki wypadek. Nerozważnie odrzuciłam ten pomysł, nie chcąc zostawiać fizycznych dowodów, które by wskazywały na naszą winę. W tej chwili strasznie żałowałam, że tych pieprzonych telefonów nie mamy. Krążyłam po domu na South Endzie, odchodząc od zmysłów i zastanawiając się, czy powinnam po prostu zadzwonić do Brada i go ostrzec, że będzie przesłuchiwany. Nawet nie wiedziałam, czy to w czymś pomoże. Może gdyby wiedział, bardziej by panikował? A trochę się zastanawiałam, czy powiedzieć Bradowi, że został rozpoznany przez świadka i że powinien spakować swojego forda i wyjechać z miasta. Uciekać.

Rozmaite scenariusze przewijały mi się przez głowę.

„Z pani billingów wynika, pani Severson, że po rozpoznaniu Brada Daggetta jako mężczyzny, którego widziano, jak wchodzi do państwa domu, zadzwoniła pani do rzeczonego pana Daggetta tego samego wieczoru. I teraz nie możemy go znaleźć. O czym dokładnie państwo rozmawiali w trakcie dziesięciminutowego połączenia?”

Powiedziałabym im, że zadzwoniłam do Brada z informacją, że policja może go przesłuchać, ponieważ uznałam, że podejrzany wygląda jak on. Pocieszałam go, żeby się nie martwił, że nikt tak naprawdę nie uważa, że miał on coś wspólnego z morderstwem. Nie miałam pojęcia, panie detektywie. No bo skąd?

„Na pewno się pani ucieszy, pani Severson, z wiadomości, że dzisiaj rano złapaliśmy Brada Daggetta. Nie uciekł daleko. Dopadli go na granicy kanadyjskiej. Przyznał się do zamordowania pani męża i opowiedział dość ciekawą historię. Zechce pani przyjechać na komisariat na przesłuchanie?”

Nie, ucieczka Brada nie wchodziła w grę. Musiał się wziąć w garść na tyle długo, by śledztwo umorzono. Miałam wobec Brada jeszcze pewne plany, ale musiały poczekać.

Stałam przed szerokim oknem salonu na piętrze. Na dworze panował mrok, padał jednostajny, niemal kojący deszcz. W oknach domu sąsiadów po drugiej



stronie ulicy świeciło się światło. W jednym z nich przemieściła się jakaś postać i zaciągnięto zasłony.

Chwilę stałam w oknie. Nie włączyłam jeszcze w domu żadnych świateł i patrząc tak na moją dzielnicę, sama czułam się niewidzialna. Ulicą sunął jakiś samochód, wjechał w kałużę, rozpryskując wodę na chodnik. Czyżby policja już mnie obserwowała? Uznali mnie za podejrzaną? Był poniedziałek. Morderstwo popełniono w piątek, a nikogo jeszcze nie aresztowano. Na pewno się niecierpliwili, zresztą na pewnym etapie musieli mnie podejrzewać. Byłam żoną bogatego człowieka, który zmarł w tragicznych i niejasnych okolicznościach. Ale czy było coś więcej? Zaciągnęłam zasłony, sprawdzając, czy się zetknęły na środku, po czym włączyłam lampę. Rzuciła na pokój krąg bladego światła. Zamrugłam szybko i wyłączyłam lampę. W ciemności położyłam się na kanapie, zastanawiając się, czy popełniłam błąd, wracając do domu. Może lepiej by mi było w hotelu, tak jak sugerował ten detektyw o chłopięcej twarzy.

Raz za razem wyobrażałam sobie Brada w chwili, gdy policjant zaczyna go pytać, gdzie był w piątek wieczorem. Wyobrażałam go sobie, jak się poci i jąka, utwierdzając detektywa w podejrzeniach. Wiedziałam, że wszystko się spieprzy. Źle oceniłam Brada. Kiedy się poznaliśmy, widziałam w nim pewnego siebie, trochę nierozgarniętego budowlańca. Uwiedzenie go było śmiesznie łatwe. Zaczekałam, aż zostaniemy w domu sami. Wysepiłam papierosa, prosząc, by nie mówił mojemu mężowi.

– No weź – odrzekł. – Nic bym nie powiedział twojemu mężowi, nie musisz mnie prosić.

Był początek sierpnia, miałam na sobie krótką sukienkę rozpinaną z przodu. Ściągnęłam ją przez głowę, zdjęłam majtki i wspierałam się na gotowy blat kuchenny. Wysokość zupełnie nie pasowała, Bard musiał przysunąć sobie pudło kafelków i stanąć na nim. Było nam niewygodnie, satysfakcji żadnej, ale potem ze łzami w oczach nakłamałam Bradowi, że po raz ostatni uprawiałam seks tydzień po ślubie, że mąż nie interesuje się mną w ten sposób. Ubraliśmy się, płakałam przez jakiś czas, a potem znowu się rozebraliśmy i uprawialiśmy seks, gdy Brad siedział na jednym ze składanych krzesel, które robotnicy przynieśli sobie na przerwy śniadaniowe. Siedziałam na nim, twarzą do niego, drżały mi mięśnie nóg. Widok jego twarzy, omiatające mnie spojrzenie, powiedziały mi wszystko, co chciałam wiedzieć.

– Nigdy w żadnym innym miejscu – zastrzegłam tamtego dnia. – Tylko tutaj i tylko jeśli mamy stuprocentową pewność, że nikt się tu nie pojawi. Jasne?

– Jasne – odrzekł.

– Jeśli komuś o tym powiesz...

– Nikomu nie powiem.

Tydzień później wyznałam mu, że czasami śni mi się, że zabijam męża. Dwa tygodnie później Brad powiedział, że jeśli chcę, on to zrobi za mnie. To było łatwe. Zapewniłam go, że jeśli zrobimy wszystko jak należy, jeśli nie popełnimy żadnych błędów, nikt nie będzie nas podejrzewał, a w dodatku będziemy mogli się pobrać, kupić jacht i wyjechać w roczną podróż poślubną. Gdy wspomniałam o jachcie, Bradowi zapłonęły oczy, jak jeszcze nigdy wcześniej, nawet kiedy uprawialiśmy seks. Na seks mogłam go zwabić, ale to chciwość go przy mnie trzymała i cały czas sądziłam, że da radę zapanować nad nerwami. A teraz już nie miałam pewności.

Wstałam z kanapy, strząsnęłam ręce, podskoczyłam kilka razy na piętach. Skóra mi cierpła, w głowie się kotłowało. Nalałam sobie wódki z lodem i chodziłam po ciemnym domu. Na podeście piętra widniała na podłodze plama, tam gdzie Ted się wykrwawił. Policja mnie o tym uprzedziła, że bym nie doznała szoku. Dotknęłam tego miejsca bosym palcem – ciemnobrązowy krąg niemal w kolorze drewnianej podłogi. Jutro przyjeżdżał serwis sprzątający, muszę im zwrócić uwagę na to miejsce. Usiadłam z drinkiem przed telewizorem i przez jakiś czas skakałam po kanałach, a w końcu zatrzymałam się na *Pretty Woman*, moim ulubionym filmie z czasów, gdy byłam dziewczynką. Wtedy też w kółko leciał w telewizji, uwielbiałam go. Dopiero kilka lat później dowiedziałam się, kim jest prostytutka. Teraz ten film wydawał się głupi, ale i tak go oglądałam, powtarzając dialogi, zanim padły z telewizora. Uspokoiliam się, a gdy film się skończył i gdy dopiłam drinka, wiedziałam, że będę musiała pojechać znowu do Maine i pogadać z Bradem. Trzeba go było przygotować na to, co nadejdzie, a czułam, że wystarczy mi niewiele czasu, by dużo zmienić.

Mój samochód stał na ulicy, a nie w garażu. Włożyłam dzinsy oraz ciemnozieloną bluzę z kapturem i wyszłam z domu. Idąc w deszczu do samochodu, powstrzymałam się od rozglądania, mimo że chętnie bym sprawdziła, czy ktoś mnie obserwuje. Co prawda uważałam, że to mało prawdopodobne. Mój wóz stał na rogu ulicy. Wsiadłam, ruszyłam i skierowałam się w stronę I-93. Na drogach panował spokój, wręcz oprócz mnie nie było innych kierowców, żadne światła się nagle nie pojawiły. Wskoczyłam na autostradę, wciąż czując pewność, że nikt mnie

nie śledzi. Przede mną rozwijała się zmoczona deszczem szosa. Do Crescent Cottages dotarłam późno, deszcz przeszedł w mżawkę. Przed domkiem Brada nie widziałam jego wozu. Uznałam, że jest u Cooleya, ale że na niego zaczekam. To oznaczało, że będzie nałojony, gdy w końcu zdołam z nim pogadać, ale miałam nadzieję, że nie na tyle, by nic do niego nie dotarło. Zamierzałam przygotować go na przesłuchanie, wbić mu do głowy, co ma mówić, a przed świtem wrócić do Bostonu.

Zaparkowałam po drugiej stronie drogi, pod dębem o gałęziach ugiętych od deszczu, i czekałam. Nie musiałam czekać długo. Około dwudziestej trzeciej toyota Brada zatrzymała się z poślizgiem przed jego domkiem. Pomimo uchylonej szyby wewnątrz mini coopera zdołało zaparować, więc nie widziałam dokładnie, co się dzieje na zewnątrz. Opuściłam szybę do końca i patrzyłam, jak obok wozu Brada parkuje jakiś drugi samochód, chyba honda kombivan. „Cholera – pomyślałam – pewnie Polly”. Patrzyłam, jak najpierw Brad, a potem wysoka szczupła kobieta wysiadają ze swoich aut. Brad przytrzymał drzwi i przepuścił kobietę. Miała na sobie śliską kurtkę i obcisłe džinsy. Była o wiele za chuda jak na Polly i zbyt pewnie stała na nogach. Brad wszedł za nią. Coś w ich zachowaniu sprawiło, że pomyślałam, że to nie jest zwyczajny podryw. Przypominali biznesmenów wchodzących na spotkanie służbowe. Odczekałam pięć minut, a potem naciągnęłam kaptur na głowę i wysiadłam z auta. Myślałam, że ciągle pada, ale woda kapiała tylko z dębu, z jego ostatnich liści.

Przeszłam przez drogę i podkrađłam się pod domek Brada – nigdy nie byłam w środku, ale stałam kiedyś w progu, kilka miesięcy temu, gdy przywiozłam projekty, jeszcze zanim nas cokolwiek łączyło. Pamiętam, że zauważyłam wtedy, jak w środku jest schludnie, wręcz sterylne. Podeszłam pod okno znajdujące się na lewo od drzwi. Co prawda zasłaniały je żaluzje, ale światło ze środka padało w taki sposób, że miałam szansę coś dojrzeć. Może rozpoznam tę kobietę. Już prawie byłam u celu, gdy włączyła się lampa nad drzwiami, a ostre białe światło zalało teren przed domkiem. Szybko uskokczyłam w bok, tenisówki zachręściły na wysypanym muszlami podjeździe. Przyłgnęłam plecami do drewnianej ściany w najgłębszym cieniu i czekałam, aż światło się wyłączy. Po dłuższej chwili zgasło. Nie słyszałam nic ze środka, a na drodze panował spokój. W bocznej ścianie domku również było jedno okno, umieszczone na tyle nisko, że mogłam przez nie zajrzeć, wspinając się na palce. Żaluzje były zamknięte, ale między nimi została niewielka szczelina, przez którą zdołałam zerknąć do kuchni – biała lodówka, pusty blat –

i dalej, do saloniku, w którym Brad z tą kobietą, rudowłosą, rozmawiał na kanapie. Na stoliku przed nimi stały dwie butelki piwa. Przez chwilę myślałam, że to Lily Kintner z Mather, i przeszedł mnie dreszcz, ale kobieta poruszyła lekko głowę i uznałam, że to nie ona. Ta miała na twarzy tandetny makijaż: grubą ciemną kreskę, jaskrawą szminkę, a Lily w ogóle się nie malowała. No chyba że radykalnie się zmieniła.

Patrzyłam tak przez chwilę. Brad i kobieta dysputowali z ożywieniem, a nie mogłam za diabła wymyślić o czym. On sprawiał wrażenie przygnębionego, ramiona miał opuszczone, usta rozchylone. Mówiła głównie ona, kimkolwiek była. Brad wyglądał jak tępawy uczeń, który usiłuje pojąć słowa nauczyciela. W ogóle nie spodziewałam się takiego widoku. Spodziewałam się ujrzeć Brada z jakąś zdziwą z Cooleya ciurlających się na kanapie. Nie podobałoby mi się to, ale i tak byłoby lepsze od widoku, który miałam przed oczyma. O czym oni tak gadali?

Brad kiwnął głową kilka razy z rzędu jak marionetka pociągana za sznurki, a potem pogrzebał w kieszeni kurtki i wyjął papierosy. Kobieta wstała, przeciągnęła się – koszulka podsunęła się do góry, odsłaniając pasek bladego brzucha – a potem przeszła do kuchni. Musiałam starać się z całych sił, żeby wytrwać przy żaluzjach, modląc się, by nie spojrzała w moją stronę. Chciałam się jej przyjrzeć dokładniej. Otworzyła drzwi lodówki, schyliła się, zaglądając do środka, i wtedy ujrzałam wyraźnie jej twarz z profilu. Naprawdę bardzo przypominała Lily Kintner – to samo chłopięce ciało, blada cera, rude włosy. Ale strój zupełnie się nie zgadzał.

Wyjęła z lodówki butelkę wody i ją otworzyła. Zanim wróciła do saloniku, obróciła głowę i przebiegła wzrokiem po pustych blatach kuchni. Przyjrzałam się jej uważniej, zamocowana pod sufitem świetlówka odbijała się w jej oczach, w których na chwilę zapłonęła nieziemska zieleń. Opadłam na pięty. To rzeczywiście była Lily Kintner. Zobaczyłam jej oczy i zyskałam pewność. Szybko wróciłam do samochodu, szerokim łukiem obchodząc front domku, żeby nie włączyć światła. Wsiadłam do środka. To była Lily. Na pewno. Ale jak to możliwe? Jakim cudem związała się z Bradem? I oczywiście nie chodziło jedynie o Brada. Ted wybrał się do Winslow najwyraźniej po to, by się z nią spotkać. Więc musiała mieć coś wspólnego z Tedem. Mieli romans? Ona go zainicjowała z pielęgnowanego wiele lat pragnienia zemsty? Ale – co było ważniejsze w tym momencie – jakim cudem dotarła do Brada i czego od niego chciała?

Zsunęłam się na fotelu i czekałam. W głowie mi się kotłowało. Deszcz ustał, ale niebo wciąż było zasnuwane chmurami, więc w czarnym cieniu drzewa, pod którym

stałam, czułam się osłonięta. Obserwowałam domek Brada, zastanawiając się, czy Lily spędzi tam noc, ale wiedziałam, że muszę czekać, na wypadek gdyby nie spędziła. W głowie kłębiło mi się od rozmaitych możliwości, ale we wszystkich byłam ścigana. I tak się składało, że ścigała mnie Lily.

Odniosłam wrażenie, że upłynęły dwie godziny, choć w rzeczywistości chyba minęła jedna, gdy drzwi domku Brada się otworzyły i Lily wyszła. Włączyło się światło na zewnątrz, patrzyłam, jak wsiada do wozu. Wycofała z podjazdu i skręciła na południe w Micmac Road. Chciałam za nią pojechać, sprawdzić, dokąd się udaje, ale przede wszystkim musiałam pogadać z Bradem, dowiedzieć się, co jest grane. Z trudem odczekałam pięć minut, na wypadek gdyby Lily uznała, że czegoś zapomniała i zawróciła, po czym przemknęłam przez szosę i zapukałam do drzwi Brada. Uchylił je i spojrzał na mnie. W podpuchniętych oczach mignęło zmieszanie. Ściągnęłam kaptur z głowy.

– Brad, to ja. Wpuść mnie.

– Cholera – zaklął i otworzył przede mną drzwi na oścież. Weszłam i zamknęłam je za sobą. Czułam zapach tanich perfum.

– Co, do cholery, robiła w twoim domu Lily Kintner?! – spytałam.

– Tak się nazywa?

– Kurwa, Brad, czego ona chciała?!

– Poznałem ją wczoraj. Była u Cooleya, zaczepiła mnie na parkingu. – Oczy biegały mu na wszystkie strony, jakby próbował wymyślić, co mi powiedzieć. Miałam ochotę z całych sił walnąć go w gardło.

– Czego, kurwa, od ciebie chciała?!

Ręce mu opadły, wyglądał jak skarcony pies.

– Ona chce cię zabić, Mirando – powiedział. – I chce, żebym ja to zrobił. Mówi, że to jedyny sposób, żebym nie trafił do więzienia. Zamierzałem ci o tym powiedzieć, słowo honoru.

Dotarłam do Kennewick we wtorek o dwudziestej, dobę po omówieniu planów z Bradem. Bez tłoku na szosie jazda z Massachusetts zajęła mi niewiele ponad godzinę. Zaparkowałam przed The Admiral's Inn, zupełnie nowym domem wypoczynkowym wciśniętym na cypel po drugiej stronie plaży w Kennewick Harbor. Parking nie był przepelniony, ale też nie świecił pustkami. Objechałam go i stanęłam tak, żeby mieć widok na wąski pasek plaży, i dalej, na łagodne światła Kennewick Inn. Przez chwilę siedziałam w samochodzie. Noc była bezchmurna, czarne niebo usiane żółtymi gwiazdami. Księżyc w trzeciej kwadrze odbijał się w oceanie. Kupiłam niewielką latarkę, żeby bez trudu dostać się szlakiem klifowym do domu Teda i Mirandy, ale nie sądziłam, bym musiała jej używać.

Wcześniej, przygotowawszy sobie omlet z serem na obiad, zadzwoniłam pod domowy numer mojego szefa i powiedziałam mu, że nadal boli mnie gardło i może wręcz mi się pogorszy.

– Nie przychodź jutro. Zostań w domu. Wydobrzej – powiedział z rosnącą paniką w głosie.

– No to zdecydowanie zostanę jutro w domu.

– Tak, powinnaś. Weź sobie tydzień wolnego, jeśli musisz.

Po tej rozmowie przeanalizowałam szczegóły planu. Był ryzykowny. Wszystko zależało od tego, czy Brad zdoła zrealizować swoją część, a nie cierpię zdawać się na kogoś innego. Nigdy tego wcześniej nie robiłam i nie zrobiłabym tego również tym razem, gdybym nie musiała działać szybko. Detektyw, z którym się widziałam wczoraj – Henry Kimball – prawdopodobnie był już na tropie Brada i Mirandy, ewentualnie samego Brada, a ja chciałam ich dopaść pierwsza.

Chwilę siedziałam w samochodzie. Miałam na sobie najciemniejsze ze swoich ubrań – czarne dżinsy i czarny golf, który włożyłam na kilka warstw odzieży, ponieważ temperatura miała spaść poniżej zera. Na nogach miałam buty do wspinaczki z dobrymi podeszwami. Zaplecione włosy schowałam pod ciemnozieloną włóczkową czapką zimową, od której odcięłam pompon. Do małego szarego plecaka przeznaczonego na jednodniowe wędrówki zapakowałam

rękawiczki, paralizator, latarkę, termos z gorącą kawą, piersiówkę z likierem morelowym, nóż do filetowania ryb w skórzaney pochwie, multitool Leathermana i kilka plastikowych torebek.

Gdy wysiadłam z auta, okazało się, że jest zimniej, niż zakładałam. Znad oceanu nadciągała jednostajna, silna bryza, aż pożałowałam, że nie mam wiatrówki. Latarkę schowałam do tylnej kieszeni dżinsów, założyłam obie szelki plecaka, zamknęłam samochód i zeszłam z cypla do miejsca, gdzie zaczynał się szlak na klifie. Szłam jak najostrożniej, na wypadek gdyby ktoś mnie obserwował, wyobrażając sobie, że jestem osobą, która przechadza się nad brzegiem w księżycowe noce. Sama nikogo nie widziałam i do szlaku dotarłam niezauważona.

Miałam mnóstwo czasu, więc szłam powoli, tylko raz włączając latarkę, gdy ścieżka biegła pod nisko wiszącymi koronami powykręcanych drzew. Już dwa dni temu, w tamto wietrzne popołudnie, ten szlak zrobił na mnie oszałamiające wrażenie, ale teraz był jeszcze piękniejszy – pod wielkim białym księżycem srebrzyście lśnił ocean. Czułam się, jakbym weszła do czarno-białego filmu z lat trzydziestych, a ocean i niebo wyglądały niczym fantastyczna wizja doskonałego połyskliwego wieczoru, jednocześnie romantycznego i kapryśnego. Szłam dalej z wyostrozonymi wszystkimi zmysłami, jakbym była zwierzątkiem, które wychyliło się ze swojej norki na bezkresny świat. Coś zaszeleściło w zaroślach laurowych. Przystanąłam, czekając, czy wyłoni się inne zwierzę takie jak ja, czy to tylko rytmiczny wiatr znad morza. Nic już nie usłyszałam, więc ruszyłam dalej. Gdy dotarłam do końca szlaku, przykucnęłam i popatrzyłam na majaczący w oddali dom. W świetle księżyca wyglądał na wykończony, ze swoimi trzema szczytami na tle rozjaśnionego księżycem nieba. Pas ziemi pomiędzy oceanem a budynkiem, w świetle dnia wyglądający na przeoraną glebę, w blasku księżyca przeobraził się i przypominał spadzisty królewski trawnik, którym miał się stać. Odwróciłam się i popatrzyłam w niebo; strzęp chmury sunął szybko i zaraz zakryje księżyc. Obserwowałam go, a gdy przysłonił srebrną tarczę i na chwilę zrobiło się ciemniej, wzięłam głęboki oddech i ruszyłam przez odkryty teren ku domowi, pilnując, by obejść wykopaną już dziurę pod basen. Dwoma długimi krokami dotarłam do wykończonego dziedzińca, znowu przykucnęłam, zdjęłam plecak i go rozpięłam. Wyjęłam paralizator oraz nóż, skórzanę rękawiczki i dwie plastikowe torebki, a potem zapięłam z powrotem plecak i wstałam, nóż wsunęłam do jednej z przednich kieszeni spodni, a paralizator do drugiej. Na buty nałożyłam

plastikowe torebki, brzegi schowałam pod ściągaczem skarpet, a potem włożyłam rękawiczki i sprawdziłam przesuwane szklane drzwi, które zdaniem Brada powinny być otwarte. Rzeczywiście były. Weszłam do pogrążonego w egipskich ciemnościach domu.

Zasunęłam drzwi za sobą i stałam tak przez moment, nasłuchując uważnie i czekając, aż mój wzrok przyzwyczai się do mroku. Trwało to chwilę, ale ostatecznie się doczekałam i wewnątrz domu stało się szare i nieostre. Widziałam niewykończone podłogi, tu i ówdzie stosy płytek albo wielkie nietknięte paczki płyt gipsowo-kartonowych. Ruszyłam przed siebie do holu znajdującego się w przedniej części domu, plastikowe torebki szurały na podłodze. Coś mnie uderzyło w głowę, aż podskoczyłam odruchowo. Podniosłam wzrok i ujrzałam dwa zwisające z sufitu kable oczekujące na podłączenie żyrandola.

Szłam w kierunku wychodzącej na południe kuchni, a jej szerokie okna pomagały mi się orientować w przestrzeni. Miałam nadzieję, że z jednego z nich widać podjazd od frontu. Zawiodłam się, więc zawróciłam. Odnosiłam wrażenie, że poruszam się w zwolnionym tempie w ziarnistym świetle. W domu było równie zimno, jak na dworze, pachniało trocinami i klejem. Znalazłam drzwi wejściowe, dwa razy wyższe od przeciętnego człowieka, i wyjrzałam przez jedną z ich bocznych szybek. Widziałam przed sobą pojemnik na śmieci, przy którego krawędzi coś trzepotało na wietrze, ale żadnego samochodu. Okno sięgało od podłogi do sufitu, więc usiadłam po turecku i czekałam. Dotarłam tu godzinę przed czasem.

Kilka razy w ciągu tej godziny powiedziałam sobie, że mogę po prostu wstać i wyjść, wrócić szlakiem po klifie, wsiąść do samochodu i ruszyć do domu, do Winslow. Nie zrobiłam jeszcze nic niezgodnego z prawem, nic, co by mnie łączyło z jakimkolwiek przestępstwem. Byłam nietykalna. Ale też powiedziałam sobie, że jeśli to zrobię, jeśli wstanę i odejdę, będę żyć na świecie, na którym Mirandzie Hobart nawet morderstwo uchodzi na sucho. Ted nie żył. Eric Washburn nie żył. A żaden z nich pewnie by nie umarł, gdyby nie Miranda.

Forda usłyszałam, zanim jeszcze go zobaczyłam. Brad wyłączył reflektory, ale wielki pikap chrząścił na żwirowej drodze. Zaparkował między pojemnikiem na śmieci a domem. Pod bezchmurnym niebem wciąż było jasno, więc widziałam Brada na fotelu kierowcy i Mirandę obok. Według wskazań mojego zegarka przyjechali trochę za wcześnie, a Miranda została w szoferce przez jakąś minutę. Zastanawiałam się, o czym rozmawiają. Gdy otworzyła drzwi, włączyła się lampka



w środku. Widziałam, jak Brad z niezapalonym papierosem w ustach szybko zasłania lampkę dłonią, gdy Miranda wyskakuje na drogę. Podeszła do domu, w charakterystyczny dla siebie sposób kołysząc biodrami. Pamiętałam ten jej chód. Włosy miała schowane pod cyklistówką. Gdy zbliżyła się do drzwi, wstałam i cofnęłam się w głębsze ciemności. Serce łomotało mi w piersi trochę szybciej, ale też czułam, jak po skórze przebiega mi dreszcz.

Słyszałam, jak do dziurki wsuwa się klucz, jak zwalnia się zamek. Drzwi otworzyły się do środka, Miranda zrobiła pół kroku i znieruchomiała. Zauważyłam, że wiatr przybrał na sile. Wiedziałam, że ona czeka, aż jej wzrok przyzwyczai się do ciemności, tak jak ja wcześniej, i że w tej chwili mnie nie widzi. Twarz miała szarą, oczy otwarte szeroko w daremnym wysiłku, usta lekko rozchylone. Spojrzałam na jej dłoń spoczywającą na klamce. Miranda też włożyła rękawiczki.

– Tutaj – powiedziałam.

Odwróciła się, a ja włączyłam latarkę, kierując jej promień na podłogę, żeby mogła zobaczyć, gdzie stoję. Gdy tylko mnie zlokalizowała, wyłączyłam latarkę.

– Lily? – spytała.

– Wejdz. Wzrok ci się zaraz dostosuje.

Zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Czyż to nie dramatyczne? – zapytała i oto w tej samej chwili z pełną siłą wróciło wspomnienie Faith z college’u. Sarkastycznej, nieco wstawionej, rozmawiającej ze mną w bladym świetle jakiegoś przyjęcia w St. Dunstan’s, z drinkiem w jednej ręce i papierosem w drugiej.

– Brad powiedział ci, czego chcę? – spytałam.

Zrobiła krok do przodu. Miała na sobie płaszcz do łydek, a prawą rękę trzymała w wielkiej kieszeni. Odruchowo dotknęłam swojego paralizatora. Jego koniec wystawał na zewnątrz.

– Tak – odparła, zatrzymując się mniej więcej metr ode mnie. Zamierzałam się odrobinę cofnąć, ale z kolei nie chciałam, żeby usłyszała szelest worków foliowych na moich butach. – Zdziwiłam się.

– Czym?

– No, wszystkim. Że tu jesteś. Że znałaś Teda. Ale przede wszystkim, że chcesz ode mnie pieniędzy. To do ciebie nie pasuje. Czy to ma coś wspólnego z twoim ojcem?

– Nie rozumiem.

– Zdaje się, że kogoś zabił, tak? W Anglii. Na pewno ma do opłacenia mnóstwo kosztów sądowych.

– Nie, pieniądze są dla mnie.

– Świetnie. Mnie to zresztą wszystko jedno – powiedziała. – Wiesz, że nie mogę już teraz zaraz dać ci pieniędzy. Trzeba przeprowadzić postępowanie spadkowe. A takie rzeczy trochę trwają.

– Wiem. Chciałam się tu dzisiaj spotkać, żeby usłyszeć to bezpośrednio od ciebie. Potem możemy wszystko załatwić przez Brada.

– Mogę cię o coś spytać? Sypiałas z Tedem? Jak do tego doszło? Jak się poznaliście?

– Lecieliśmy razem samolotem. Wiedział o was wszystko, wiesz? Wiedział, że go zdradzasz z Bradem. Nie zwiódłś go. – W mętym świetle widziałam, jak Miranda wzrusza ramionami. Znajdowała się tak blisko mnie, że czułam jej zapach. Papierosów. Drogiego balsamu.

– Więc dlaczego mnie po prostu nie wydałaś? – spytała. – Skoro jestem takim okropnym człowiekiem.

– Wydam cię, Faith, jeśli nie zrobisz tego, co każę.

– Chodzi o Erica? – spytała. Usłyszałam, jak gdzieś w głębi domu zadygotały drzwi, wiatr na dworze przybrał na sile.

– Nie – odparłam. – Nie o Erica. Chodzi o ciebie.

Miranda odwróciła się pierwsza. Brad wyłonił się z ciemności i stanął pomiędzy nami z długim i ciężkim kluczem nastawnym w dłoni. Musiał wejść przez drzwi od dziedzińca, a po domu poruszał się tak cicho, że przez chwilę się zastanawiałam, czy aby nie zdjął butów. Jego twarz w półmroku wydawała się wykrzywiona, zuchwa przesuwająca się w przód i w tył, jakby coś utknęło mu w gardle. Patrzył na mnie. Widziałam, jak podnosi ciężki klucz nad głowę i jak zaczyna go opuszczać.

Wymagało to dwóch godzin i kubka kawy doprawionej whiskey, ale Brad powiedział mi o wszystkim. Po południu zauważył wóz szeryfa przed swoim domem. Spanikował, minął domki i pojechał do chatki rybackiej swojego ojca w Lebanon. Niemal zdecydował, że zostanie tam na noc, ale potem uznał, że to by wyglądało dziwnie, że tak by się zachował ktoś z nieczystym sumieniem. Pojechał z powrotem do Kennewick, zamiast do domu poszedł prosto do Cooleya, i tam właśnie znalazła go Lily Kintner, która czekała na niego na parkingu przed knajpą. Rozmawiali w jego fordzie; powiedziała mu, że wie wszystko o morderstwie. Wiedziała, że Brad i ja mieliśmy romans i że razem zaplanowaliśmy zamordowanie Teda. Wiedziała, że Brad pojechał do Bostonu, najpierw włamał się do sąsiadów, żeby morderstwo w naszym domu wyglądało jak efekt nieudanej próby włamania, a potem zapukał do drzwi Teda, poprosił o wpuszczenie i go zastrzelił.

– Skąd ona wie o tym wszystkim? – spytałam.

– Nie pytałem, Mirando. Po prostu wiedziała. Wiedziała o wszystkim – głos Brada wzniósł się o oktawę, ręce mu się trzęsły, gdy pił kawę z kubka.

– Ciii. Będzie dobrze. Jestem z tobą.

– Wiem. Zamierzałem do ciebie zadzwonić z samego rana i powiedzieć ci o wszystkim.

– Kochanie, wiem przecież. Ale dobrze, że przyjechałam jeszcze dzisiaj. Będziemy mieli więcej czasu, żeby wykombinować, co z nią zrobić. Czego ona chce?

Brad się zawahał.

– Mam ci powiedzieć, że chce pieniędzy.

– Co to, kurwa, znaczy, że masz mi powiedzieć?!

– Zaczekaj, posłuchaj mnie chwilę. Mam ci powiedzieć, że ona chce od ciebie pieniędzy, masz jej dawać milion rocznie za zachowanie milczenia, i że chce się z tobą spotkać jutro wieczorem w domu przy Micmac. Chce usłyszeć od ciebie, że się zgadzasz.

– Jutro wieczorem?

- Tak. O dziesiątej. Podwożę cię i spotkacie się w domu sam na sam.
- Jezu.
- Nie, Mirando. Nie słuchasz mnie. Tak mam ci tylko powiedzieć. A ona chce cię zabić. Zamierza cię zabić. Tak mówi.
- Jak chce mnie zabić? – spytałam. To pytanie jako pierwsze przyszło mi do głowy.
- Ma paralizator, a potem, jak wyjaśniła, chce cię udusić. – Brad otarł nos wierzchem dłoni.
- Nie rozumiem, dlaczego powiedziała ci o tym wszystkim.
- Nienawidzi cię. Mówi, że cię zna jeszcze ze studiów i że jesteś złym człowiekiem.
- O rany, Jezu!
- Wyglądasz na zadowoloną.
- Tak? A świruję ze strachu. – Świrowałam, ale uświadomiłam sobie jeszcze jedno uczucie, którego nie umiałam dokładnie określić. Zupełnie jakbym była w liceum i dowiedziała się, że najśłodszy chłopak w klasie obgaduje mnie ze swoimi kumplami. Zalażłam Lily za skórę i nawet nie wiedziałam kiedy.
- I jej się wydaje, że się z tego wywinie? Jakim cudem? I jak ty miałbyś się z tego wywinąć? Już i tak cię podejrzewają. W Bostonie mają, kurwa, świadka. Ktoś cię widział, Brad, jak wchodzisz do mojego domu. Dlatego wieczorem był u ciebie szeryf. Będziesz przesłuchiwany.
- O czym ty mówisz?! – Ślina przysnęła mu z ust, kilka kropel spadło mi na twarz.
- Uspokój się, to nic wielkiego – skłamałam. – Masz alibi, pamiętasz? Ale dlatego właśnie tu przyjechałam. Będziesz przesłuchiwany przez policję. Nie wiem, kiedy, wiem, że na pewno będziesz. Musisz tylko pamiętać o wszystkim, o czym rozmawialiśmy. Trzymaj się swojej wersji, a wszystko będzie dobrze.
- Ale teraz tamten ktoś wie.
- Pamiętam. Daj mi chwilę do namysłu. – Odetchnęłam dwa razy głęboko, wciąż próbując pomieścić w głowie fakt, że Lily o wszystkim wie, że Lily chce mnie zabić.
- Powiedziała, skąd zna Teda?
- Nie. Myślałam, że sama wiesz. Ale wiedziała o wszystkim, co się stało.
- Jak ona zamierza się z tego wywinąć? Jak ona sobie wyobraża, że mnie zabije i to jej ujdzie na sucho?

– Powiedziała, że ukryje twoje ciało i twój samochód i że to będzie wyglądało, jakbyś uciekła z miasta. I że to jedyna droga, jeśli nie chcę, by policja mnie złapała. Ja mam cię zawieźć jutro wieczorem na to spotkanie, a potem mam jej pomóc zanieść twoje ciało do samochodu. Ona ma to wszystko już rozpracowane.

– I co? Powiedziałaś jej, że zrobisz to dla niej z radością?

– Mało, kurwa, nie padłem na serce! Ona wie o wszystkim. Powiedziałem, że się zastanowię. Mam do niej jutro zadzwonić z Cooleya, jeśli się z tobą umówię. Mam odczekać dwa sygnały, żeby się pokazał numer dzwoniącego. Oczywiście zamierzałem ci o wszystkim powiedzieć, ale się zgodziłem. Jakie miałem wyjście?

– Pewnie, pewnie, masz rację. Postąpiłeś właściwie. Jestem z ciebie dumna. Daj mi się chwilę zastanowić.

Brad szarpnął się za baczek.

– Wiem, co musimy zrobić – powiedział. – Wiem, co ja muszę zrobić.

– Co?

– Zabiję ją, Mirando. To będzie łatwe. Ona się tam zakradnie, żeby się z tobą spotkać. Nikt nie wie, że ona ma cokolwiek z tym wspólnego. Tak mi powiedziała. Zawiozę cię do tego domu. Ty wejdiesz drzwiami od frontu, a ja obejdę dom i wejdem tyłem. Będziesz do niej mówić, a ja się podkradnę i walnę ją czymś. Mogę ją zakopać na podwórku.

– Zrobisz to dla mnie – powiedziałam.

– Zabiłem dla ciebie twojego męża, Mirando. Kocham cię. Oczywiście, że zabiję tę sukę.

To było idealnie sensowne rozwiązanie. Wiedziałam, że nie mamy innego wyjścia. Skoro Lily o wszystkim wie, to musi umrzeć. Ale coś nie dawało mi spokoju.

– Czy ona aby nie będzie się tego spodziewać? – spytałam, wypowiadając na głos swoje myśli. – To ryzykowne, żeby przychodziła na spotkanie ze mną...

– Ona nie przychodzi się z tobą spotkać. Przychodzi cię zabić. Tak mi powiedziała.

– O tym właśnie mówię. Skąd może mieć pewność, że nakłoniła cię, byś to dla niej zrobił. Dopiero co cię poznała. No bo dopiero, prawda?

– No wiesz, była przekonująca. Powiedziała mi, że nie mam innego wyjścia, że zrobisz ze mnie kozła ofiarnego, że kiedy przyjdzie policja, będzie moje słowo przeciwko twojemu i że nie ma żadnego dowodu, że współdziałałaś przy zabójstwie

swojego męża. Mogłabyś powiedzieć, że oszalałem, że wpadłem w obsesję na twoim punkcie. Nikt oprócz mnie nie poświadczyłby, że było inaczej.

Taki oczywiście miałam plan na wypadek, gdyby Brad został aresztowany za zamordowanie mojego męża. Powiem, że uprawialiśmy raz seks w chwili mojej słabości, ale że nigdy nie było mowy o zabijaniu Teda. „Jak się tak teraz zastanawiam, to przypomina mi się, że wspomniałam Bradowi Daggettowi, że wyjeżdżam na weekend na Florydę. Musiał pomyśleć... Musiał pomyśleć, że mówię mu to, bo... O mój Boże!” Mogli mnie podejrzewać, ale wyrok skazujący nie wchodził w grę.

– I uwierzyłeś w to całe gówno, które ci wciskała? – spytałam Brada z wyrazem oburzenia na twarzy.

– Nie, nie wierzę w to. Wierzę tobie, ale powiedziałem, że jej pomogę. Udawałem, że jej wierzę. Mamy kłopoty, Mirando. Ona wie o wszystkim.

– Dobrze, już dobrze. Spotkam się z nią w tym domu, a ty ją zabijesz. Wszystko się ułoży. Musi się ułożyć.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę, ale Brad był pijany i zaczynał bełkotać bez sensu, zresztą musiał iść spać. Ja płaciłam za powierzenie tchórzliwemu alkoholikowi zabicia mojego męża. Przed wyjściem, jakąś godzinę przed świtem, powiedziałam mu, że powinien zniknąć na cały dzień. Pojechać na północ i nie odbierać telefonów.

– Nie nadajesz się jeszcze do przesłuchiwania – wyjaśniłam.

– Wiem.

– Będzie dobrze. Mogą nas podejrzewać, ale nas nie dopadną. Tak jak zakładaliśmy.

– Wiem.

– Jeśli chcesz, skarbie, możesz pojutrze wyjechać. Uciec z miasta. Z kraju. Pojechać na wyspy, a ja do ciebie dołączę, jak będzie po wszystkim.

– Wiedzieliby, że to ja.

– Owszem, ale nie mogliby cię znaleźć. Dałabym ci pieniądze, żebyś miał za co wyjechać, a później bym się z tobą spotkała i przywiozłabym resztę pieniędzy. Byłbyś wolny.

– A moje dzieci? – spytał łamiącym się głosem. Uniósł wielki łeb i zobaczyłam, że oczy naprawdę zaszły mu łzami. Nigdy nie rozmawialiśmy o jego dzieciach. Ani razu.

– Ciii – odparłam. – Nie rozmawiajmy o tym teraz. Musisz gdzieś pojechać i się przespać, a jutro pogadamy. Pamiętaj: trzymaj się z daleka od swojego domu i wyłącz telefon. Podjedź gdzieś i prześpij się w wozie, dobra? Na wypadek gdyby policja wpadła tu wczesnym rankiem. Spotkam się z tobą w Portsmouth przed tą restauracją, do której kiedyś poszliśmy z Tedem. Okej? O dziewiątej wieczorem.

Dotarłam do Bostonu w chwili, gdy wschodzące słońce zaczęło rzucać blade zimne światło na dachy budynków. Weszłam do domu, biorąc po drodze gazetę Teda i nastawiłam sobie dzbanek kawy. Tymczasem wzięłam prysznic i się przebrałam. Wiedziałam, że teraz nie zasnę, więc postanowiłam, że zdrzemnę się w ciągu dnia. Siedziałam w gównie po uszy. Policja nie kupiła wersji z włamaniem i lada chwila dopadną Brada. A teraz jeszcze ten obłęd z Lily. Zupełnie nie mogłam tego ogarnąć. W tej Lily Kintner zawsze było coś dziwnego. Była jakaś taka... czujna. To pamiętam. Poznałam ją, gdy miała bodajże osiemnaście lat, ale wydawała się o wiele starsza. Opanowana i pewna siebie, i zdecydowanie odróżniająca się od innych dziewcząt z pierwszego roku.

Czyżby wiedziała, że odbiłam jej Erica tamtego lata przed jego śmiercią? Właściwie to go nie odbiłam, miałyśmy go na spółkę, ale Lily nie wyraziła zgody na ten układ. Czyżby się dowiedziała i od tego czasu mnie śledziła, czekając na okazję, by mnie zabić? Gdyby Eric tu był... Nagle ta myśl w mojej głowie nabrała kształtu: „Czy ona zabiła Erica w Londynie?”. Umarł wskutek wstrząsu anafilaktycznego, ale może to ona podała mu orzeszki, wiedząc, że nie zdąży przyjąć leku. Ten pomysł wydawał się szalony, ale też nie sposób go było wykluczyć. Próbowałam sobie przypomnieć wszystkie informacje, które wtedy do mnie dotarły. Był pijany i zabrał się do hinduskiego żarcia, a kurczak, którego zjadł, zawierał orzeszki. I umarł. Coś w ten deseń. Jedno pamiętałam na pewno – wówczas była z nim Lily, pewnie patrzyła, jak umiera. Zabrała mu lekarstwa? Teraz zdecydowanie wydawało się to możliwe.

Dzień minął powoli. Ciągle zmieniałam zdanie na temat nadchodzącego wieczoru. Chciałam, żeby Lily umarła, ale niepokoiła mnie moja obecność na miejscu zbrodni. Tak bardzo pilnowałam, by nie dało się mnie oskarżyć o zamordowanie Teda, że żadne dowody nie łączyły mnie z tą zbrodnią. Gdy myślałam o najbliższym wieczorze, czułam, jakbym wchodziła w pułapkę. Bo wchodziłam – Brad mi o tym przecież powiedział – ale nawet znając zamiary Lily, czułam niepokój, niepewność, i to po raz pierwszy od dawna. Wiedziałam też jednak, ponad wszelką wątpliwość, że jeśli rzeczywiście jakimś cudem Lily wie

o wszystkim, to trzeba ją wyeliminować. Gdy się jej pozbędę, odetchnę z ulgą. A potem będę mogła się zająć Bradem.

Mój telefon łądował się na nocnym stoliku. Podeszłam do łóżka i się położyłam, po czym przeglądałam nieodebrane połączenia i odsłuchiwałam wiadomości głosowe. Jedną zostawił detektyw Kimball – że koroner może już wydać ciało Teda, więc mogę powiadomić dom pogrzebowy, żeby odebrali je w dogodnej dla siebie chwili. Pytał także, czy wiem może, jak się skontaktować z Bradem Daggettem. Odetchnęłam z ulgą. Brad najwyraźniej zrobił, co mu kazałam, i zniknął. Rozważyłam, czy zadzwonić do domu pogrzebowego, ale odrzuciłam ten pomysł. Wysłałam natomiast kilka esemesów do przyjaciół z wiadomością, że dobrze się czuję, ale muszę się pozbierać. Zadzwoniłam do matki i rozmawiałyśmy chwilę. Powiedziałam jej, że czuję się przytłoczona wszystkimi drobnymi sprawami, które wiążą się ze śmiercią męża.

– Komu ty to mówisz, kotku – odparła. – Rozwód to też nie w kij dmuchał. Te wszystkie dokumenty...

Staralam się zasnąć, zapadałam w drzemkę delikatną jak bibułka, ale myśli o Lily nie dawały mi spokoju. Usiłowałam sobie przypomnieć, jak wygląda, a przed oczyma miałam tylko szczupłą, chłopcę sylwetkę, lśniące rude włosy i niepokojący spokój. Gdy próbowałam sobie przypomnieć jej twarz, miałam o niej ogólne wyobrażenie, ale nie pamiętałam konkretnych rysów. Jak wyglądał jej nos? Usta? Za każdym razem, gdy o tym rozmyślałam, ulatywało mi to jak motyl, który wymyka się siatce. Nagle przyłapałam się na gryzieniu kciuka i czym prędzej przestałam, zanim popłynęła krew. Miałam na sobie legginsy... dotknęłam się przez materiał, myśląc o nieokreślonym mężczyźnie, kimś bogatym, we Włoszech, zonatym sąsiedzie, który przychodzi do mojej willi nad jeziorem, żeby mnie zerznąć. Pieściłam się, zsunąwszy legginsy do połowy ud, ale zanim doszłam, zaczęłam myśleć o Tedzie, jak pierwszej nocy w tym domu na tym łóżku rozrucił płatki róż i rozłożył na posłaniu drogą bieliznę dla mnie i jak bardzo mi się to nie podobało.

Zaparkowałam w zaułku za restauracją w Portsmouth, bo tam się umówiłam z Bradem. Zrobiło się zimno, więc miałam na sobie długi płaszcz i czapkę, pod którą schowałam włosy. Jedna z latarni przed restauracją była stłuczona, więc pod nią stanęłam, wypatrując znajomego forda. Noc była jednak tak jasna, że nawet w tym miejscu czułam się na widoku. Brad przyjechał punktualnie; wskoczyłam na miejsce pasażera, mając nadzieję, że będzie stosunkowo trzeźwy.



- Robimy to? – spytałam, gdy ruszył od krawężnika.
- Noż kurwa, pewnie – odparł. Po nadmiernej głośności wypowiedzi zorientowałam się, że jest co najmniej trochę wstawiony, ale nie narąbany.
- Powtórz, co będziemy robić.
- Na Micmac Road wyłączam światła i podjeżdżam pod dom. Ty wysiadasz i wchodzisz frontowymi drzwiami, używając klucza. Ja idę od tyłu i wchodzę przez drzwi od dziedzińca. Potem podkradam się do was i uderzam ją w głowę.
- Dlaczego jej po prostu nie zastrzelisz?
- Nie mam już broni. Wiesz przecież.
- Rzeczywiście, zapomniałam. A co potem?
- Zostawiłem w domu plastikową plandekę. Ty pomagasz mi ją zawinąć. Pakujemy ją do mojego wozu, ciebie podrzucam do twojego samochodu. Pozbywam się ciała.
- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego ja muszę tu być.

Brad powoli odwrócił głowę w moją stronę. Jechaliśmy na północ jedyneką, reflektory samochodów nadjeżdżających z przeciwka oświetlały jego twarz. Przez chwilę widziałam w jego oczach prawdziwą nienawiść i mimowolnie się wzdrygnęłam.

– Dlatego, że ona przyjeżdża spotkać się z tobą. Jeśli pojawię się sam, kto wie, co się stanie. I dlatego, że musisz wziąć w tym udział. Za pierwszym razem zrobiłem wszystko sam, ale teraz jesteś mi potrzebna. Nie zrobię tego znowu w pojedynkę.

– Dobrze już, dobrze. – Wiedziałam, że Brad tak naprawdę chce, bym zobaczyła, jak ktoś umiera. Nie zapomniałam udręki w jego oczach po zastrzeleniu Teda. Pewnie myślał, że sobie z tym nie poradzę, ale byłam przygotowana. Denerwowałam się, czy wszystko pójdzie, jak trzeba, ale nie denerwowałam się, że zobaczę rozwalającą się głowę Lily Kintner.

Na miejsce dotarliśmy trochę przed czasem, więc Brad jeździł pustymi ulicami Kennewick. Gdy przejeżdżaliśmy wzdłuż plaży, spojrzałam na ocean; jego powierzchnia migotała w srebrnym świetle księżyca. Naprawdę lubiłam Kennewick, nie jako miejsce do pobytu na stałe, lecz miejsce do ucieczki z miasta. Ale gdy już zostanie przeprowadzone postępowanie spadkowe i wszystkie pieniądze Teda będą należały wyłącznie do mnie, sprzedam dom wraz z cyplem. Są lepsze miejsca do mieszkania. Wyobraziłam sobie wyspy Morza Śródziemnego. Wyobraziłam sobie palmy i bary na plaży, które nie wyglądały jak Cooley. Nie będę

za długo marnować życia w Nowej Anglii.

Zbliżała się dwudziesta druga, gdy Brad wyłączył reflektory w swoim fordzie i skręcił z Micmac na żwirową drogę prowadzącą do mojego domu. Jechał powoli, samochodem huśtało, po ostatnich deszczach koleiny się pogłębiły. Przed nami pojawił się dom, jego ciemna sylwetka sprawiała wrażenie ogromnej, a jednocześnie wydawał się mały i nietrwały na tle bezkresnego oceanu. Brad zaparkował obok pojemnika na śmieci i wyłączył silnik. Samochodem zakołysało na silnym wietrze.

– Pewnie jest już w środku – powiedział. – Obserwuje nas.

– Nie ociągaj się, dobra? Powinieneś ruszyć, gdy tylko wejdziesz do domu. Nie chcę się tam bić z tą psychopatyczną suką.

– Pospieszę się. Chcę już to mieć za sobą.

– Dobra – odparłam. Nawet w bladym świetle szoferki widziałam, że Brad się trochę trzęsie. Przyłożyłam dłoń do jego szorstkiego policzka, a on podskoczył, jakby ukąsiła go żmija. – Jezu! Denerwujesz się?

– Przestraszyłaś mnie. Nic nie widzę w tym wozie. Powinnaś już iść.

Otworzyłam drzwi, a Brad zasłonił dłonią lampkę.

– Do zobaczenia w środku – rzuciłam jeszcze i zatrzasnęłam drzwi. Silnik tykał, stygnąc. Wyjęłam klucze z kieszeni i podeszłam do kamiennych schodków przed wejściem. Dom, podświetlony przez księżyc, z bliska wyglądał jak czarny mur, za którym nic nie ma. Oddychałam głęboko, wstrząśnięta, że powietrze jest tak zimne. Chwilę gmerałam w kluczach, szukając właściwego, wreszcie otworzyłam zamek. Pchnęłam drzwi i weszłam do środka. Przez chwilę miałam nierealne wrażenie, że tylko przeszłam przez ścianę domu i nadal znajduję się na dworze. Podniosłam wzrok, szukając gwiazd, ale nade mną był sufit.

– Tutaj – odezwał się jakiś głos i na chwilę Lily zmaterializowała się w kałuży światła, a potem znowu zniknęła. – Wejdz – dodała – wzrok ci się zaraz dostosuje.

Drzwi zatrzasnęły się za mną. Wysokie sufity holu zaczęły nabierać kształtów w szarym świetle.

Postanowiłam się odezwać.

– Czyż to nie dramatyczne? – rzuciłam, a głos poniósł się wyraźnym echem po domu.

– Brad powiedział ci, czego chcę? – spytała Lily.

Ruszyłam w stronę, z której dobiegał głos, jedną ręką sięgając odruchowo do

kieszeni. Wzięłam niewielki pojemnik z gazem pieprzowym, z którym czasami chodziłam po mieście. Powiedziałam Lily, że zaskoczyło mnie jej żądanie pieniędzy. Spytałam, czy dla ojca – miałam nadzieję, że to drażliwy temat i że ją tym wkurzę.

– Nie rozumiem. – Głos miała spokojny, niemal obojętny.

– Zdaje się, że kogoś zabił, tak? W Anglii. Na pewno ma do opłacenia mnóstwo kosztów sądowych.

– Nie – odparła. – Pieniądze są dla mnie.

Wyjaśniłam, że nie mogę zdobyć tych pieniędzy od razu, a ona odparła, że chciała tylko spotkać się ze mną twarzą w twarz, usłyszeć, że to nie będzie problem. Dzielił nas metr i nie zamierzałam podchodzić bliżej. Ona sama nie ruszyła się, odkąd weszłam, jakby przykuta do miejsca. Gdyby ruszyła w moją stronę, rzucę się do ucieczki. Znałam każdy kąt tego domu i z tej przewagi zamierzałam skorzystać.

– Sypiałaś z Tedem? – spytałam. Brad lada chwila przyjdzie, a ja naprawdę chciałam wiedzieć. – Jak się spotkaliście?

– Lecieliśmy razem samolotem. Wiedział o was, wiesz? Wiedział, że zdradzasz go z Bradem. Nie zwiódłś go.

– Dlaczego mnie po prostu nie wydałaś? Skoro jestem takim okropnym człowiekiem?

– Wydam cię, Faith, jeśli nie zrobisz tego, co każę.

Dziwnie zabrzmiało w moich uszach to dawne imię, przypomniał mi się college, zadymione pokoje, imprezy ociekające alkoholem. Nagle ujrzałam dawną twarz Lily, jej zimne zielone oczy.

– Chodzi o Erica? – spytałam. Zobaczyłam zbliżającą się do nas ciemną postać. To Brad szedł zabić Lily. Niemał chciałam, by zaczekał chwilę. Chciałam wiedzieć, czy Lily przed laty zabiła Erica. Potrzebowałam tego.

– Nie – odparła Lily. W jej głosie usłyszałam ubawienie. – Chodzi o ciebie.

Nagle pojawił się Brad, z upiorną twarzą, z długim kluczem nastawnym w uniesionej ręce. Patrzyłam zafascynowana i nagle zdałam sobie sprawę, że twarze ich obojga, Brada i Lily, zwrócone są ku mnie. Klucz opadł, w mojej głowie eksplodował straszny ból. Kolana się pode mną ugięły i nagle znalazłam się na zimnej, pokrytej trocinami podłodze, z ręką na głowie. Brad stał nade mną. Chwyił moją dłoń i ją odsunął. Czapka mi spadła. „Umieram” – pomyślałam. Usłyszałam jeszcze świst klucza, gdy Brad znowu się nim zamachnął.



Brad opuścił klucz nastawny na głowę Mirandy. Ta padła, najpierw na kolana, potem na podłogę, zleciała jej czapka. Podniosła rękę, dotknęła uderzonego miejsca. Przez sekundę myślałam, że Brad nie zdoła dokończyć, ale przykucnął i uderzył ją jeszcze kilka razy. Bez czapki, która by tłumiała ciosy, rozbijana kluczem czaszka wydawała krótkie, głuche odgłosy. Kiedy zamachnął się ostatni raz, usłyszałam zgrzytliwy chrzęst, jakby ktoś walnął ręką w ścianę i przebił się na wylot. Odsunęłam go delikatnie, gdy już było jasne, że Miranda nie żyje, gdy nawet w niewyraźnym świetle wnętrza domu widziałam, że bok jej głowy jest zapadnięty, a na podłodze rozlewa się czarna kałuża krwi.

– Klucz zostaw tu przy niej – powiedziałam. – Wyjdźmy na chwilę na dwór.

Brad zrobił, co kazałam, niemal delikatnie odłożywszy klucz obok bezwładnego ciała. Chwyciłam go ponad łokciem i podprowadziłam do drzwi wejściowych i dalej. Powietrze na dworze miało tę samą temperaturę, co wewnątrz, ale wydawało się czystsze, wypełnione słonawym zapachem oceanu. Za nami zamknęły się drzwi.

– Zrobione – powiedziałam do Brada.

– Myślisz, że ona nie żyje? – spytał.

– Tak, nie żyje. Już po wszystkim. Wykonałeś dobrą robotę. Podejrzewała coś?

– Nie. Przekazałam jej wszystko, jak mi kazałaś. Ale cię widziała.

– Jak to mnie widziała?

– Wczoraj w nocy. Kiedy wyszłaś ode mnie, ona tam czekała. Przyjechała wcześniej, żeby się ze mną spotkać i cię widziała. Rozpoznała. – Brad wyjął papierosy z kieszeni kurtki i bez powodzenia próbował wyluskać jednego z paczki.

– Usiądźmy na chwilę w twoim wozie i zapalmy – powiedziałam. – Potem zajmiemy się ciałem.

Wsiedliśmy do forda. Położyłam sobie na kolanach ściągnięty z ramion plecak.

– Zimno ci? – spytał Brad. – Mogę włączyć ogrzewanie.

– Nie, w porządku. Ale napiję się. – Rozpięłam plecak i wyjęłam piersiówkę

z likierem. – Masz coś przeciwko? Trochę świruję.

– Nie gadaj – odrzekł Brad i zaśmiał się krótko, nienaturalnie.

Przyłożyłam piersiówkę do ust, ale nie wypiałam ani kropli.

– Chcesz trochę? – spytałam. – Likier morelowy. Dobry.

Wziął ode mnie piersiówkę i upił długi łyk, a potem mi ją oddał.

– Napij się jeszcze – zachęciłam. – Ja mam na dzisiaj dość.

– Gdybyśmy nie mogli dzisiaj pić, to nie wiem... – rzekł i raz jeszcze przechylił piersiówkę. Słuchałam, jak przetyka dwukrotnie. Wypił już dość. Miałam nadzieję, że morelowy smak zamaskuje to, co jest w likierze, i rzeczywiście tak się stało. Nie wiedziałam, ile czasu minie, zanim doczekam się efektów, ale chciałam jeszcze dowiedzieć się więcej o nocnej wizycie Mirandy u Brada.

– Opowiedz mi o ostatniej nocy – poprosiłam. – A potem zajmiemy się ciałem.

Brad strzelił zapalniczką i zapalił papierosa. Wypuścił chmurę dymu w stronę szyby.

– Nastraszyła mnie jak cholera. Ty wyszłaś, a pięć minut później wchodzi ona. Najpierw myślałam, że to ty wracasz.

– Co ona tam robiła?

– Przyjechała, bo nie chciała do mnie dzwonić. Powiedziała, że policja ma jakiegoś świadka i że będą mnie przesłuchiwać, że muszę się wziąć w garść. Nie rozmawialiśmy o tym dużo, bo ona z kolei przestraszyła się na twój widok.

– I powiedziałaś jej, o czym rozmawialiśmy?

– No tak. Powiedziałem jej dokładnie o wszystkim, co zaplanowaliśmy. Że próbowałaś mnie przekonać, bym ci pomógł w zamordowaniu jej, i że powiedziałem, że się namyślę, ale że moim zdaniem powinniśmy cię wystawić. I że chętnie cię dla niej zabiję. Kupiła to.

Poprzedniej nocy, gdy podeszłam do Brada na parkingu przed Cooleyem, miałam prosty plan – namówić go, żeby sprowadził Mirandę do domu przy Micmac Road. To był pierwszy krok. Gdybym już została sama z Mirandą, wiedziałam, że mogłabym ją zabić, najpierw używając paralizatora, a potem albo bym ją udusiła plastikową torebką, albo użyłabym noża. Ale gdy zaczęłam rozmawiać z Bradem przed barem, zorientowałam się, że on jest bliski załamania. W bladym świetle szoferki widziałam w jego oczach udękę i przerażenie. Przypominał zwierzę z łapą uwięzioną we wnykach, zagłodzone i zrozpaczone. Od razu zmieniłam plany. Powiedziałam, że znam Mirandę od college'u i wiem, co zrobiła, że on cały czas był

wykorzystywany.

– Ona cię wrobi, Brad – podsumowałam. – Wiesz o tym, prawda?

– Nie, nie wiem – odparł.

– Brad, ja cię nie pytam. Ja ci to mówię. Miranda jest złym człowiekiem. Czy istnieje jakikolwiek dowód, że miała cokolwiek wspólnego ze śmiercią Teda? Poza twoim słowem, oczywiście. Jedyne, co musi zrobić, to zeznać, że zrobiłeś to na własną rękę. Nie dasz rady udowodnić, że było inaczej. Spędzisz resztę życia w więzieniu, a Mirandzie wszystko ujdzie płazem.

– O Boże – jęknął i wielką dłonią otarł oko.

Tak łatwo było go przekabacić... Najwyraźniej Miranda nie omotała go całkowicie. Zdecydowanie nie. Zasugerowałam, że powinniśmy pojechać do niego i omówić opcje. Moim samochodem pojechałam za nim do wynajmowanego domku, w którym mieszkał. Ted już mi go opisał, mówiąc, jaki jest czysty i uporządkowany. Miał rację. W środku stały porządne, ale nijakie meble. Na stoliku rozłożono magazyny, a w całym domku pachniało środkami czystości. Zastanawiałam się, czy nie jest tu jeszcze czystiej, niż kiedy był tu Ted. Zastanawiałam się, czy Brad w swojej zgryzocie nie sprząta kompulsywnie mieszkania. Usiedliśmy na kanapie. Odmówiłam piwa, ale Brad przyniósł sobie heinekena z małej wnęki kuchennej obok salonu. Pierwszym łykiem opróżnił pół butelki.

– Kochasz ją? – spytałam.

– Tak sądziłem – odrzekł. – To znaczy, nie wiem. Znasz ją. Widziałaś ją. I będzie, kurwa, bogata.

– Tak, będzie bogata, ale ani myśli się dzielić z tobą swoim bogactwem. Uwierz mi. To cała Miranda. Nakłania mężczyzn do tego, by zrobili to, czego ona chce, a potem ich eliminuje. Namówiła cię, byś zabił jej męża, i to w chwili, gdy ona sama znajdowała się tysiące kilometrów stąd.

Kiwnął głową, twarz mu zmarkotniała.

– To jest najgorsze – ciągnęłam. – Namówiła cię do morderstwa, a tego nie da się już odwrócić. Ale to nie ty je popełniłeś, Brad. To Miranda. Manipulowała tobą. Nie miałeś szans.

Patrzyłam, jak z oczu Brada wylewają się dwa strumienie łez, jak suną po jego zniszczonej twarzy. Z moich ust usłyszał to, co bardzo chciał usłyszeć: że nie ponosi odpowiedzialności za zamordowanie Teda Seversona, że tę odpowiedzialność

ponosi Miranda. Udzieliłam mu rozgrzeszenia. Gdy przestał płakać, poprosiłam, by przyniósł mi piwo. Nie zamierzałam go wypijać, ale chciałam mu dać coś do zrobienia. Chciałam, by poczuł, że teraz jestem po jego stronie. Wrócił z dwiema butelkami, usiadł i odkapslował butelki otwieraczem, który miał przy kluczach.

– Co mam zrobić? – spytał. – Mam po prostu pójść na policję i się przyznać? Powiedzieć im, jak to wszystko wyglądało?

– To nie pomoże. Nadal będziesz mordercą Teda. Kiedy to się stało, jej tu nie było, a ona powie, że nie miała z tym nic wspólnego.

– Więc co powinienem zrobić? – Napił się piwa, po brodzie poleciało mu trochę śliny.

Patrzył na mnie tak, że czułam, że mogłabym mu powiedzieć, by połamał sobie palce, a on by to zrobił. Skorzystałam więc z tej możliwości.

– Musisz mi pomóc w pozbyciu się Mirandy. Ona sobie na to zasłużyła i wyłącznie w ten sposób ocalisz głowę. Pomożesz mi w tym?

– Co to znaczy pozbyć się jej?

– Chcę ją zabić, Brad.

– Dobra.

Więc przedstawiłam mu plan. Powiedziałam, że musi powiadomić Mirandę, że chcę się z nią spotkać, że wiem wszystko o morderstwie i że chcę pieniędzy. Spotkamy się późnym wieczorem, po zmroku, w domu budowanym przez Seversonów.

– Będzie coś podejrzewać – zauważył Brad.

– Rzeczywiście, masz rację. Więc nie mów, że będę ją szantażować, ale że to pułapka, że kazałam ci powiedzieć, że to szantaż, ale tak naprawdę zamierzam ją zabić, że czekałam na tę chwilę od college'u. Ona przyjdzie. Wiem, że przyjdzie. Wtedy ją zabiję, a ty pomożesz mi ukryć ciało. Jeśli zostanie znalezione, zapewnię ci żelazne alibi. Powiem, że poznaliśmy się w Kennewick i uprawialiśmy seks, a potem przyjechałeś do mnie do Massachusetts. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

– A co z pieniędzmi?

– Nigdy nie zobaczysz tych pieniędzy, Brad. Nigdy. Pójdiesz do więzienia, a ja ci proponuję ratunek. Jeśli Miranda zniknie, będziesz bezpieczny.

Kiwnął szybko głową, jakbym go skarciła.



– Jak ją zabijesz?

– Zajmę się tym – odparłam.

– Ja mógłbym to zrobić. – W oczach Brada pojawiło się coś nowego. Nie strach, już nie, ale nienawiść, a do tego może odrobina szaleństwa. Zastanawiałam się, czy w ogóle zasnął choć na chwilę od zamordowania Teda.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałam.

– Mógłbym ją wysłać do domu, a potem wejść przez drzwi od strony dziedzińca i podkraść się do niej. Mam taki wielki klucz nastawny. Mógłbym ją walnąć nim w głowę. Wtedy ty nie musiałabyś jej zabijać. Nie chcesz wiedzieć, jak to jest.

Doskonale. W ten sposób rozwiązał się mój największy problem – gdybym to bowiem ja zabiła Mirandę, niewątpliwie badania kryminalistyczne wykazałyby, że śmiertelny cios zadała kobieta o wzroście metr siedemdziesiąt, a nie mężczyzna o wzroście metr osiemdziesiąt pięć.

– Nie będziesz musiał się podkradać.

– Co masz na myśli?

– Powiedz jej, że zamierzasz mnie zabić, bo wiem o wszystkim. Że zamierzasz zajść mnie od tyłu i uderzyć kluczem. W ten sposób jeśli nawet cię usłyszy, uzna, że to ja jestem twoim celem. Nawet się nie zorientuje, co się dzieje.

– Dobra. – Kiwnął głową.

– Jesteś pewien, że możesz to zrobić?

Zapewnił, że tak, a ja mu uwierzyłam. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, analizując każdy szczegół planu. Kilka razy zapewniłam go, że wszystko się uda. Gdy wychodziłam z domu, byłam przekonana, że zrobi wszystko zgodnie z ustaleniami.

I zrobił.

Stojąc tam w ciemności z Mirandą, zastanawiałam się, czy aby nie byłam głupia, czy Brad nie zabije mnie zamiast niej. Ale w ostatnim momencie, gdy podniósł ten potężny klucz, już wiedziałam. Wiedziałałam, że to ja wygrałam, a Miranda, jak wcześniej inni, umrze. A ja będę żyć.

Szyby w fordzie były zasunięte, Brad palił, więc kabina wypełniła się gryzącym dymem.

– Więc ona chciała mnie zabić? – spytałam Brada. Musiałam wiedzieć.

– Tak. Tak jak przewidziałaś. Ale była zaskoczona... mówiła, że nie kolegowałyście się zbyt w college'u. – Potarł wargi łopatkowatymi palcami. –

Skąd wiedziałaś o wszystkim? Skąd wiedziałaś, co się stało z Tedem? Wczoraj cię nie spytałem.

– Spotkałam Teda Seversona w samolocie z Londynu. Powiedział, że żona go zdradza z budowlańcem. Obserwował was przez lornetkę ze ścieżki na cyplu. Spotykaliśmy się. Ted doszedł do wniosku, że chce zabić Mirandę. I ciebie również. Ja zaproponowałam, że mu w tym pomogę.

Brad zaciągnął się głęboko papierosem, ale ten dopalił się już do filtra. Uchylił okno i wyrzucił niedopałek. Usłyszałam syk, gdy gasł w kałuży.

– W ciula mnie robisz – powiedział, obracając głowę w moją stronę. Wodzian chloralu zaczynał działać. Brad mówił już trochę bełkotliwie, powieki mu się przymykały.

– Nie. Chciałabym. Ted planował morderstwo Mirandy, a ona planowała morderstwo Teda, i była pierwsza. To znaczy, ty byłeś pierwszy. Teraz jednak już po wszystkim.

– To prawda – rzekł. – To prawda. – Słowa całkiem się już zniekształcały, zamiast „prawda” powiedział „wawda”, ledwie go rozumiałam. Głowa mu się przechyliła, przypominał boksera, który usiłuje nie stracić przytomności na ringu, nie zdając sobie sprawy, że już został znokautowany. Przechylał się trochę w moją stronę, a ja odsunęłam się na fotelu. Na podłodze zaszeleściły torebki, które miałam na butach.

– Dlaczego... dlaczego masz woreczki na butach? – Jego słowa już całkiem zamieniły się w papkę i w ogóle bym nie zrozumiała, co mówi, gdybym nie widziała, na co patrzy. Padł do przodu, przechylając się w bok, tak że prawym ramieniem uderzył mocno w moje udo. Chwyciłam z całych sił grubą dżinsową kurtkę i zdołałam przesunąć go do pionu. Głowa mu opadła do tyłu, usta się rozchyliły. Otworzyłam drzwi po swojej stronie i wysiadłam z samochodu, zatrzaszkując je szybko, żeby lampka nie świeciła za długo. Podniosłam wzrok. Niebo wypełniło się skupiskami gwiazd, teraz jeszcze jaśniejszymi niż w chwili, gdy parkowałam samochód. Szumiał niewidoczny ocean. Stałam tak dziesięć sekund, a potem zabrałam się do pracy.

Przyniosłam dodatkowe torebki i miałam swój nóż, ale zanim sięgnęłam po którąkolwiek z tych rzeczy, wskoczyłam na pakę i sprawdziłam skrzynkę narzędziową, która była zamocowana elastyczną liną do tylnej ściany szoferki. Wieko z blachy falistej nie było zamknięte na klucz, więc za pomocą swojej latareczki zajrzałam do środka. Znalazłam wszystkie narzędzia, których się spodziewałam – młotki, piły, łyżkę do opon, plastikowe pudełko z wiertłami – ale

moją uwagę przyciągnął kawałek drutu stalowego uformowanego w długi hak; służył do podważenia zamka, jeśli klucze zostały w środku. Wzięłam ten drut do ręki i go wyprostowałam. Będzie idealny; nie chciałam krwi w wozie.

Wróciłam na miejsce pasażera i zamknęłam za sobą drzwi. Opuściłam szybę po swojej stronie; zapach ostatniego papierosa Brada nadal wisiał w powietrzu, a do tego coś jeszcze... chemiczny odór destylowanego alkoholu z oddechu Brada. Może też zapach jego ciała. Zaczął chrapać – przy każdym wydechu słychać było wysokie nosowe zgrzyty. Chwyciłam go za ramię i potrząsnęłam nim z całych sił, lecz nie okazał żadnych oznak przebudzenia z głębokiego snu. Zastanawiałam się, czy połączenie alkoholu – ile on dzisiaj wypił? – i wodzianu chloralu koniec końców i tak go zabije, ale nie mogłam ryzykować.

Uklękałam na fotelu pasażera. Mocno odepchnęłam od siebie głowę Brada, tak że obróciła się do okna od strony kierowcy. Głowa wciąż była odchyłona do tyłu, pomiędzy grubym karkiem a zagłówkiem powstało trochę miejsca. Owinęłam jego szyję drutem i zakręciłam końce; drut mocno zacisnął się na szyi. Wyjęłam z plecaka swojego leathermana i obciąłam końcówki drutu, w efekcie skrócony odcinek miał jedynie dwa centymetry długości.

Chwyciłam go obcęgami leathermana i obracałam, zaciskając pętlę, aż miałam pewność, że Brad nie żyje.

**III**

**DOBRZE UKRYĆ CIAŁA**

Nie mogłem spać.

Nie było to dla mnie nic nowego, zwłaszcza gdy prowadziłem śledztwo. Zerknąłem na zegar na szafce nocnej. Minęła trzecia w nocy. Na moich rzeczach rozrzuconych na podłodze spał kot Pyewacket. Wyglądał na zmarzniętego, zwinięty w kłębek jak włochata gąsienica, która udaje martwą. Pewnie się zastanawiał, dlaczego stalowe paski wzdłuż podłogi mieszkania nie zaczęły jeszcze wydawać bulgotów i się rozgrzewać. Pod koniec października było zimno, ale z włączeniem ogrzewania lubilem zaczekać co najmniej do listopada.

Rozważałem, czy wyjść z łóżka i sprawdzić, co leci na TCM, ale wiedziałem, że jeśli tak zrobię, już w ogóle nie zasnę. A następnego dnia musiałem być choć odrobinę przytomny. Teda Seversona zamordowano w piątek wieczorem, a teraz była już prawie środa. Niemal cały tydzień. Mieliśmy głównego podejrzanego – tego typu Brada Daggetta – ale zwał i nikt go nie umiał znaleźć. Cały dzień spędziłem w Maine, obserwując dom Daggetta w towarzystwie zasadniczo pomocnych policjantów z Kennewick, sprawdzając wszelkie tropy co do jego miejsca pobytu. To na pewno był on. Kiedy Miranda Severson rozpoznała w mężczyźnie z portretu pamięciowego Brada Daggetta, sprawdziłem system i go znalazłem. Dwukrotnie był aresztowany. Pięć lat temu pod zarzutem stosowania przemocy domowej, a dwa lata temu za prowadzenie pod wpływem alkoholu. Zadzwoiłem pod jego numer, ten podany przez Mirandę, ale nie odebrał. Potem zadzwoniłem na miejscowy posterunek i poprosiłem, by zajechali do jego domu i sprawdzili, czy tam jest, może przeprowadzili wstępne przesłuchanie, spytali, czy ma jakieś informacje na temat Teda Seversona. Spełnili moją prośbę, ale gościa nie było w domu. Powiedziałem im, że to może zaczekać do jutra, że przesłucham rano głównego świadka i wtedy będziemy wiedzieli więcej. Wydrukowałem najnowsze zdjęcia z kartoteki Daggetta i następnego ranka pojechałem z nimi do mieszkania Rachel Price w Somerville. Na widok zdjęcia aż podskoczyła odrobinę.

– Och, to on! – powiedziała. – Zdecydowanie on.

– Tego mężczyznę widziała pani wchodzącego do domu Seversonów w piątek

o osiemnastej?

– Tak, to on. Jestem pewna.

Działo się to we wtorek rano. Zadzwoiłem do szeryfa, a potem pojechałem osobiście. Wciąż nie było ani śladu Daggetta. Ani na żadnej z budów, którymi kierował, ani w jego domu w należącym do niego kompleksie domków Crescent Cottages przy plaży Kennewick. Białe ściany, zielone wykończenia. Przypomniały mi się wakacje z dzieciństwa w Weels Beach, odrobinę dalej na północ. Kiedy było jasne, że Daggetta nie ma w domu i że nie wróci w najbliższym czasie, wsunąłem do zamka klucz znaleziony w szufladzie w sypialni Teda Seversona. Pasował. Dlaczego Ted miał klucz do domu swojego wykonawcy? Czy oni mieli romans? Zajrzałem do maleńkiego, nieskalanie czystego wnętrza, ale nie wchodziłem do środka. Miejscowy sędzia po przerwie na lunch wydał nakaz przeszukania i zrobiliśmy rewizję, ale niczego nie znaleźliśmy.

Cały dzień wyrzucałem sobie, że po otrzymaniu od Mirandy danych Brada Daggetta nie działałem szybciej. Powinienem od razu pojechać z jego zdjęciem do Rachel Price, ale Miranda dokonała tej identyfikacji z takim brakiem przekonania, że nie zostawiła mi dużo nadziei. Oczywiście teraz wydawało się aż nadto jasne, że Miranda zidentyfikowała Brada wyłącznie dlatego, że uważała, że musi i że kryła siebie. To ona musiała ostrzec Brada, żeby się trzymał z daleka od swojego domu i wyłączył telefon. Historia stara jak świat. Żona namówiła swojego kochanka, żeby zabił męża. Pozostawał problem z kluczem ukrytym w szufladzie Teda, kluczem do domku Brada w Maine. Czy należał do Mirandy, czy to ona schowała go w szufladzie męża? Możliwe.

Wczesnym popołudniem rozestaliśmy nakaz zgłoszenia zawierający szczegółowy opis wyglądu Brada oraz jego samochodu. Przesłuchano jego żonę, a do tego kilku pracowników i kolegów z pracy. Nikt nie widział go od lunchu poprzedniego dnia, gdy kupił bagietkę z klopsikami w pizzerii w York, do której często zachodził. Zniknął.

Wyjechałem z Maine po południu i ruszyłem do Bostonu autostradą I-95. Po drodze odebrałem telefon od Billy'ego Elkinsa, którego prosiłem o wywiad w sprawie Lily Kintner, kobiety, której nazwisko podała Miranda Severson jako jedynej znanej jej osoby w Winslow w stanie Massachusetts. Billy podekscytowanym głosem zameldował, że dowiedział się dużo – Lily Kintner pracowała w Winslow College w bibliotece najwyraźniej jako Lily Hayward. Ale była właścicielką domu przy Poplar Road w Winslow, i to już pod prawdziwym

nazwiskiem. Co najważniejsze – Ted i Lily lecieli tym samym samolotem z Londynu dwudziestego września. Triumfalnie wyrzuciłem piść w powietrze i wprowadziłem jej adres do nawigacji.

Poprosiłem Billy'ego, żeby sprawdził listę pasażerów, kierując się czystym przecuciem, ale opartym na doświadczeniu, i teraz aż nie mogłem uwierzyć, że się to opłaciło. Zaraz gdy Miranda podała nazwisko Lily Kintner jako znajomej z Winslow, zacząłem się zastanawiać, czy to ta Lily Kintner, która jest córką Davida Kintnera, bez dwóch zdań najulubieńszego mojego autora spośród żyjących pisarzy. Nie wiedziałem dużo o córce Kintnera oprócz tego, że ma na imię Lily i że urodziła się w Stanach, gdy David mieszkał w Connecticut, żonaty z amerykańską artystką Sharon Henderson. Mather College znajdował się w Connecticut i jeśli Lily była mniej więcej rówieśnicą Mirandy, to jej wiek zgadzałyby się z wiekiem córki Kintnera.

Problem z Davidem Kintnerem polegał na tym, że zasłynął nie tylko jako powieściopisarz; zyskał również złą sławę, ponieważ prowadząc w Anglii po pijaku samochód, spowodował wypadek, w którym zginęła jego druga żona. W Anglii była to wielka sensacja, w Stanach trochę mniejsza. Śledziłem doniesienia jako wielbiciel jego książek. Odsiedział wyrok i właśnie wyszedł, niespełna miesiąc temu. Jego córka mogłaby polecieć z Ameryki do Londynu, żeby na przykład się z nim zobaczyć. Od Mirandy wiedziałem też, że niedawno Ted latał służbowo do Londynu, więc przyszło mi do głowy, że może ta dwójka spotkała się w samolocie. Poprosiłem Billy'ego, by sprawdził listę pasażerów – i bingo! Po bezowocnych poszukiwaniach Brada Daggetta przyjemnie było poczuć, że jakaś praca śledcza przyniosła efekty. Tamtego dnia Ted Severson pojechał do Winslow z powodu Lily, chociaż prawdopodobnie ona nie miała nic wspólnego z jego śmiercią.

Dotarłem do rozjazdu I-95 oraz I-93 – zamiast wjechać na I-93 i skierować się do Bostonu, zostałem na I-95 i łukiem podążyłem ku Winslow. Nie spodziewałem się wiele po rozmowie z Lily Kintner, ale musiałem spróbować.

Była w domu i okazało się, że rzeczywiście jest córką Davida Kintnera, tak jak podejrzewałem. Mieszkała w wypełnionym książkami domku nad stawem – na zasypanym liśćmi brzegu stało ledwie kilka budynków. Przywitała mnie w drzwiach, trochę zdezorientowana, jej oczy skupiły się na mojej twarzy dopiero po chwili. Zastanawiałem się, czy nie wybudziłem jej z drzemki. Zaprosiła mnie do środka. Spytałem o Teda Seversona. Odpowiedziała, że go zna, ale jedynie z doniesień prasowych dotyczących jego śmierci. Wiedziała też, że był mężem

jakiejś znajomej z college'u. zaproponowała kawę, przyjąłem propozycję. Gdy ją przygotowywała, rozejrzałem się po półkach i znalazłem rząd powieści Davida Kintnera. Przebiegłem palcem po grzbietach książek, przypominając go sobie ze spotkań, w których uczestniczyłem. Wysoki i chudy ze strzechą siwych włosów. Twarz pijaka – ziemista o zapadniętych policzkach. Lily wróciła z kawą, włosy założyła za uszy, senne oczy były już czujne i bystre. Powiedziałem, że znam książki jej ojca, że wręcz jestem ich wielbicielem, a na niej to wyznanie jakby nie zrobiło wrażenia, jakby się już dość nasłuchiwała o geniuszu swojego ojca. Powiedziałem też, że wiem o wypadku w Anglii i w ten sposób nawiązałem do lotu, w którym uczestniczyła razem z Tedem Seversonem. Coś mignęło w jej rozświetlonych zielonych oczach i przyznała, że rzeczywiście spotkała w czasie lotu pewnego mężczyznę, że wydawał się jej znajomy i że to pewnie był Severson. Dużo rozmawiali, niewykluczone, że powiedziała mu, jak się nazywa i gdzie mieszka. Znaleźliśmy zdjęcie w internecie; potwierdziła, że rozmawiała z Tedem Seversonem, ale twierdziła, że nie ma pojęcia, dlaczego wybrał się do Winslow.

Uwierzyłem w część jej relacji. Wierzyłem, że nie wie, czy Ted Severson przyjechał jej szukać, i wierzyłem, że zdziwiła ją moja wizyta w jej domu, ale nie wierzyłem, że nie miała świadomości, że mężczyzna z samolotu jest mężem jej koleżanki. To było pozbawione sensu. Ale dlaczego miałaby kłamać w takiej sprawie?

W drzwiach włożyłem rękę do kieszeni, palce trafiły na klucz, o którym już wiedzieliśmy, że pasuje do domku Brada Daggetta w Maine. Mimo to spytałem Lily, czy mogę sprawdzić go w jej drzwiach. Chciałem po prostu ocenić jej reakcję. Sprawiała wrażenie zmieszanej, ale nie zmartwionej. Wyszedłem, w sumie nie wiedząc, co myśleć. Ale wiedziałem już, dlaczego Ted Severson przyjechał w piątek do Winslow. Poznał Lily Kintner w samolocie i się w niej zakochał. Tyle chociaż było pewne. Doskonale to rozumiałem. Prawdę mówiąc, myślałem o Lily Kintner niemal bez przerwy od chwili, gdy ją poznałem. Była piękna, tyle pamiętałem, ale już z odtworzeniem rysów jej twarzy miałem problem. Wyobrażałem sobie jej długie rude włosy i jej zielone oczy, takie kocie, ale jej twarz wymykała się mojej pamięci. Bardziej jednak niż jej fizyczność ujęło mnie jej niemal nieziemskie panowanie nad sobą, to, że mieszkała w wypełnionej książkami chacie w lesie w Winslow. Czy czuła się samotna tak w pojedynkę? Czy może należała do tych rzadkich okazów, istot, które nie potrzebowały w życiu towarzystwa innych ludzi? Tego zamierzałem się dowiedzieć.



Moja młodsza siostra Emily, która zna mnie jak nikt inny na świecie, powiedziała ostatnio, że mój problem ze związkami polega na tym, że zakochuję się w każdej kobiecie, która mnie pociąga.

– Ale chyba większość facetów tak ma? – odparłem.

– Nie. Większość facetów chce się po prostu przespać z kobietą, która ich pociąga. Ostatnie, czego chcą, to się zakochać. Jesteś podobno detektywem, a nie wiesz takich rzeczy?

– Wierz mi, ja również chcę się przespać z tymi kobietami.

– Tak, ale potem się w nich zakochujesz i albo one ci łamią serce, albo...

– Możemy teraz porozmawiać o twoim życiu uczuciowym? – przerwałem. W ten sposób zawsze nakłaniałem Emily do zmiany tematu, gdy analizowała moje nieudane romanse.

Pyewacket poruszył się na legowisku, co oznaczało, że jest piąta. Wskoczył do łóżka, przygotował się, żeby skierować swój oddech na moje powieki, aż się obudzę, ale ja wysunąłem nogi spod kołdry, zanim zdążył to zrobić. Wypuściłem go bocznymi drzwiami, prowadzącymi na schody ewakuacyjne. Wyskoczył ochotczo i sprawnie pokonując metalowe stopnie, zbiegł na niewielkie podwórko, gdzie pełnił swoją powinność, broniąc naszego królestwa przed spadającymi liśćmi i łotrzykowskimi wiewiórkami.

Wróciłem do łóżka, teraz już pewien, że nie mam szansy na ponowne zaśnięcie. Na wierzchu stosu książek przy łóżku trzymałem notes i długopis. Miał to być notes na pomysły, miejsce do zapisywania nocnych refleksji na temat spraw, nad którymi pracowałem, ale także wierszy. Nadal uważałem się za poetę (o czym nikt w policji nie wiedział), chociaż ostatnio straciłem zdolność pisania czegokolwiek prócz limeryków. Mówiłem sobie, że zawsze to coś i że może to pomaga mi myśleć nad śledztwami. Miałem już zapisane dwa utwory:

Był sobie bogacz imieniem Ted,  
Co gwałtownie niestety zszedł.  
Za żonę oczywiście  
Wziął sobie kurwiszczce,  
Nie dziwota więc, że zległ.

Było sobie dziewczę imieniem Miranda,  
Piękne niczym z płótna Flamanda.  
Całkiem niezła ta dupa,

Rozgrzałaby nawet trupa,  
Chędożyć ją więc chciała cała banda.

Na tej samej stronie dopisałem:

Pewien świetny pisarz miał córkę cud  
O oczach zieleńszych od morskich wód.  
Ilekcóć ją widziałem,  
Rozdziać bardzo ją chciałem  
Bo uroków ciała musiała mieć w bród.

Zastanawiałem się, zresztą nie po raz pierwszy, dlaczego w limerykach zawsze tak świntuszę. Próbowałem jeszcze ułożyć jakiś o Bradzie Daggetcie, ale mi się nie udało. Wstałem więc, zrobiłem sobie cały dzbanek kawy i zacząłem się szykować do pracy.

Przy biurku byłem tuż po siódmej. Od razu zadzwoniłem do Kennewick, do komendanta policji, sprawdzić, jak się sprawy mają, i dowiedziałem się, że mój główny podejrzany nie pojawił się w domu.

– Jakoś mnie to nie dziwi – rzuciłem pod nosem. – Ale niech tam stoi dalej radiowóz, na wszelki wypadek. Mimo że najwyraźniej zwiął.

– Wczoraj rozmawialiśmy z jego dziewczyną – dodał komendant Ireland głosem ochryłym, jakby walczył z przeziębieniem. – Nazywa się Polly Greenier. Stała bywalczyni Cooleya, tego baru, do którego chodził Daggett. Oni się tak schodzą i rozchodzą. I to od lat. Chodzili razem do liceum.

– Wie coś?

– Nie wie, gdzie on może być. Ale spytałem, kiedy widziała go ostatni raz, a ona odparła, że spędziła z nim piątkowy wieczór.

– W ostatni piątek?

– Tak właśnie powiedziała. Pili w Cooleyu i poszli potem do niego. Mówi, że spędziła tam cały wieczór.

– Jest pan pewien, że nie pomyliła dnia?

– Nie, nie jestem, ale możemy to sprawdzić. Jeśli byli w Cooleyu i wyszli razem, ludzie z baru będą to pamiętać. To małe miasteczko, miejscowi zauważają takie rzeczy.

– Sprawdźcie mi to?

– Pewnie.

– I jeszcze jedno – dodałem. – Niech któryś patrol zajedzie do tego domu Seversonów, który buduje Daggett. I do każdego innego domu, do którego Daggett może mieć klucze. Jeśli on nadal jest gdzieś w okolicy, może się w którymś ukrywać. I sprawdźcie wszystkie domki przy plaży, które należą do niego.

– Sprawdziliśmy.

– Świetnie, dziękuję, panie komendancie.

– Mów do mnie Jim, dobra?

– Dobra.

Po rozmowie siedziałem jakiś czas przy biurku, zamartwiając się kwestią alibi Daggetta, na ile jest niepodważalne. Na pewno nie było prawdziwe. Musiał namówić swoją dziewczynę, by twierdziła, że spędzili razem piątkowy wieczór. Jeśli tak było, to alibi się rozsypie jak domek z kart. Zapisałem jej nazwisko w notesie, zakreślając je kilka razy. Zaszła do mnie moja partnerka, Roberta, i postawiła mi na biurku kanapkę z jajkiem z McDonalda („W menu dwa w cenie jednego, więc pomyślałam o tobie”), a ja jej zrelacjonowałem, czego się od rana dowiedziałem. Po jej odejściu w notesie pod nazwiskiem Polly Greenier zapisałem kilka pytań: „Dlaczego by kłamała dla Brada? Dlaczego Ted Severson miał klucz do domku Brada? Dlaczego Lily Kintner mnie okłamała?”.

Już miałem znowu zadzwonić do komendanta Jima Irelanda, by mu powiedzieć, że chcę przyjechać i pogadać z tą Polly Greenier, gdy on zadzwonił do mnie.

– Lepiej niech pan tu przyjedzie – powiedział. – Znaleźliśmy zwłoki. W tym domu, który budował Daggett.

– To on? – spytałem, już stojąc nad biurkiem. Wciągałem kurtkę i sprawdzałem, czy mam w kieszeni kluczyki do wozu.

– Nie, to zdecydowanie nie on. To kobieta. Jeszcze jej nie widziałem, ale to niemal na pewno Miranda Severson. Ma roztrzaskaną czaszkę.

– Już jadę – odparłem, rozłączając się. Zabrałem Robertę, która dopiero co usadowiła się przy biurku, i oznajmiłem, że jedziemy do Maine.

Upewniwszy się, że Brad nie żyje, zdjęłam mu z szyi drut. Chwyciłam go za dżinsową kurtkę i jakoś przeciągnęłam na miejsce pasażera, gdzie przypięłam go pasem. Odchyliłam fotel trochę do tyłu, tak żeby on też się odchylił, potem zapięłam mu kurtkę pod szyję i podniosłam obszuty barankiem kołnierz, by ukryć ślady duszenia. Gdyby ktoś nas zobaczył w wozie, Brad wyglądałby jak pasażer, który się zdrzemnął. W każdym razie miałam nadzieję, że tak wygląda.

Uruchomiłam silnik i wyjechałam na podjazd i dalej na drogę, cały czas bez świateł, które włączałam dopiero na Micmac. Sprawdziłam poziom paliwa – wskazówka tkwiła pomiędzy trzy czwarte a pełnym, i uznałam, że wystarczy benzyny, żebyśmy dojechali do Connecticut. Przygotowałam się wcześniej na tankowanie na stacji samoobsługowej, gdzie zapłaciłabym gotówką, ale ucieszyłam się, że mogę tego uniknąć. Jak na razie nikt w Maine mnie nie widział i zamierzałam utrzymać ten stan rzeczy.

Jechałam na północ, w stronę wjazdu na I-95. Opuściłam Micmac, zanim dotarłam do Kennewick Beach, wiedząc, że jeśli policja nadal szuka Brada, pewnie stoją pod jego domkiem. Chętnie bym tam wróciła i zabrała trochę jego rzeczy, tak żeby naprawdę wyglądało to na ucieczkę, ale nie warto było ryzykować. Zanim wskoczyłam na międzystanową, zajechałam do zamkniętego warsztatu o nazwie U Mike'a, jednego z tych warsztatów na uboczu, zastawionego gruchotami. Z wyłączonymi światłami wjechałam między owe gruchoty i wysiadłam. Znalazłam samochód, który wyglądał, jakby nie był ruszany od dwóch lat i za pomocą leathermana zdjęłam tablice z Maine, a następnie zamieniłam je z tablicami Brada. Zajęło mi to jakieś pięć minut, nie słyszałam żadnego dźwięku oprócz szelestu resztek liści na wietrze. Po wymianie tablic wróciłam do forda, lampka w kabinie na chwilę oświetliła Brada, teraz siedzącego z głową nienaturalnie przechyloną na bok. Odwróciłam się od niego i wtedy mój wzrok padł na plastikowy transponder opłat E-ZPass<sup>[3]</sup> przyklejony do wnętrza przedniej szyby. Na międzystanowej znajdowały się punkty poboru opłat, dwa w Maine, a potem jeszcze jeden, tam gdzie autostrada biegła przez New Hampshire. Rozważałam, czy lepiej śmignąć przez bramki z E-ZPass i dać się w ten sposób namierzyć, czy też powinnam go

usunąć i przejechać przez bramkę gotówkową. Uznałam, że płatność gotówką jest lepsza i usunęłam nadajnik z szyby, po czym wyrzuciłam go w lesie przy warsztacie. Brad naprawdę wyglądał jak facet śpiący po pijaku; zastanowiłam się, jakie jest ryzyko, że ktoś mnie rozpozna. Włosy, moja najbardziej charakterystyczna cecha, były ukryte pod czapką.

Nie miałam się czym martwić. W czasie całej czterogodzinnej podróży z Kennewick na moje stare śmieci w Connecticut żaden operator na bramce nie popatrzył na mnie ani na Brada. Na drogach było pusto i pewnie pokonałabym trasę w trzy i pół godziny, ale ściśle przestrzegałam ograniczeń prędkości i trzymałam się zawsze prawego pasa, podczas gdy tiry wyprzedzały mnie z łoskotem. Nie włączałam radia, ale gdzieś w okolicach Worcester ciało Brada poruszyło się i wydało charakterystyczny jęk wydalanych gazów. Byłam na to przygotowana, wiedziałam, że martwe ciała wydają odgłosy, ale i tak gdy to się stało, podskoczyłam parę centymetrów na fotelu. Potem włączyłam radio i przeskakiwałam przez gówniane stacje, aż gdzieś w Connecticut znalazłam nocną audycję jazzową na stacji bez reklam, daleko po lewej stronie skali. Nie przepadałam za jazzem, ponieważ kojarzył mi się z rodzicami, ale umiałam rozpoznać wiele standardów. *On Green Dolphin Street* Milesa Davisa przeszło niepostrzeżenie w *Autumn Leaves* Nata Kinga Cole'a. Słuchałam słów, starając się nie myśleć, że jadę ciemną nocą ze zwłokami w charakterze pasażera. Nawet przy głośno nastawionym radiu jeszcze dwa razy usłyszałam dźwięk wydalanych gazów, kabina wypełniła się zapachem moczu i kału. Pomyślałam o czarnym dzikim kocie, którego zabiłam przed laty jako dziewczynka. Wówczas wstrząsnęła mną obecność gówna. Pamiętam, jak dzięki obrzydzeniu do tego nieżywego kota poczułam się szczęśliwsza, że go zabiłam. Tak samo było z Bradem Daggettem jadącym obok mnie w fordzie. Dostał to, na co zasłużył, i to porządnie zasłużył. Teraz nie żył i nie mógł już nikogo skrzywdzić, ale nadal musiałam sobie radzić z jego obrzydliwym ciałem. I musiałam przetrwać tę podróż. Przycisnęłam nieco mocniej pedał gazu, uznając, że nie zaszkodzi troszeczkę przekroczyć dozwoloną prędkość. Kilometry mijaly jeden za drugim, do wtóru *There's a Small Hotel, Almost Blue* Cheta Bakera i Dinah Washington śpiewającej *This Bitter Earth*. W miarę jak zbliżałam się do domu, piosenki to zanikały, to wracały, ale już nie zmieniałam stacji. Wołałam przerywaną starą muzykę od reklam sklepów meblowych i pustej gadki.

Wyłączyłam radio, gdy dotarłam do Shepaug, i zasłuchałam się w ciszę, jadąc znajomymi, zadrzewionymi ulicami. Minęłam skręt do Monk's House, odruchowo

odwróciłam głowę i zobaczyłam, że na piętrze pali się jedno światło. Domyśliłam się, że moja matka zasnęła przy czytaniu, tak jak co noc, z książką rozłożoną na piersi i włączoną lampką. Skręciłam w następną w prawo, na zarośnięty chwastami podjazd prowadzący do opuszczonej zagrody. Wyłączyłam reflektory i zwolniłam. Podobnie jak w Maine, noc w Connecticut była bezchmurna, a czarne niebo zasypane jasnymi gwiazdami. Dom, prosty i bezbarwny, stał przy podwórku, które zamieniło się w pastwisko. Samotne drzewo, zasadzone za blisko domu, wydawało się spowijać budynek, a jedna z gałęzi przebiła dach. Gdy wyskoczyłam z forda, zalał mnie znajomy sosnowy zapach lasu. Wzięłam latarkę i przebrnęłam na znajdującą się obok łąkę, jej wysuszone trawy chrzęściły pod moimi stopami. Od czasów dzieciństwa byłam na tej łące kilka razy, ale nocą znalazłam się tu po raz pierwszy od śmierci Cheta. Przeszłam w stronę miejsca, w którym moim zdaniem znajdowała się studnia, a latarkę włączyłam dopiero wtedy, gdy uznałam, że jestem już blisko, kierując światło prosto w ziemię. Zajęło mi to pięć minut, ale znalazłam pokrywę studni, zasłoniętą trawami, które rozłożyłam na niej przed tyłu laty. Oparłam latarkę o drewnianą krawędź, kierując ją odrobinę w górę, tak żebym mogła zobaczyć jej słaby promień, po czym wróciłam do wozu.

Jeśli nie liczyć ulewy poprzedniego dnia, wrzesień i październik w Nowej Anglii były suche, a ziemia na łące rozmiękła, ale nie zamieniła się w błoto. Zerkając na światło latarki, zjechałam fordem z podjazdu na łąkę, podskakując na kilku głazach, które pozostały po starym murze. Bradem Daggettem rzucało w przód i w tył na fotelu, co powodowało kolejne wydalenia gazu. Opuściłam szybę, by wychylić głowę na zewnątrz. Podjechałam z lewej strony studni i zostawiłam silnik włączony, a sama wysiadłam, obeszłam samochód i stanęłam nad pokrywą. Wciąż miałam na dłoniach rękawiczki i teraz rozgarnęłam trawy i poruszyłam pokrywę. Odsunęłam ją delikatnie, starając się nie uszkodzić przegniłego drewna, i położyłam obok otworu. Wzięłam do ręki latarkę – w jej świetle widziałam robaki wijące się w ziemi w miejscu, gdzie opierała się pokrywa. Skierowałam promień w dół – ujrzałam tylko kamienie i ziemię pokrywające Cheta. Wyobraziłam sobie, co tam na dole z niego zostało: skręcone ciało, resztki poplamionych farbą ubrań, kilka przegniłych ram i okulary w ciemnych oprawkach. Nagle świat pociemniał, a mnie przeszedł dreszcz strachu. Podniosłam wzrok i zobaczyłam jedną chmurę zasłaniającą księżyc. Patrzyłam, jak przepływa, aż świat znowu zalało światło księżycy.

Otworzyłam drzwi pasażera, odpięłam pas Brada, a on sam się wytoczył

i wylądował twarzą na ziemi. Stopa w wielkim bucie zaczepiła o próg. Uwolniłam go i noga podążyła za ciałem na ziemię. Od wlotu studni ciało dzielił niespełna metr, ale poruszenie takiej masy nie było łatwe. W końcu przetoczyłam go kilka razy, zanim głowa i korpus znalazły się w studni, a wtedy podniosłam ciężkie stopy, aż przesunął się przez skraj. Uderzył w dno studni z łomotem i chrzęstem, a do mnie doleciała fala gryzącego zapachu.

Brad, poznaj Cheta. Chet, to Brad.

Zasunęłam z powrotem pokrywę, ostukałam ją na krawędziach i zarzuciłam trawą, zagarniając ją niczym włosy na łysinę. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła trzecia. Wszystko zgodnie z planem. Zanim wróciłam do forda, żeby wyruszyć do Nowego Jorku,ostałam chwilę pod rozgwieżdżonym niebem w otoczeniu ciemności i natury. „Rzadki okaz” – powiedział o mnie kiedyś ojciec i tak właśnie się czułam. Bezgranicznie żywa i całkowicie sama. W tej chwili jedynym moim towarzyszem byłam młodsza ja, ta, która wepchnęła Cheta do studni. Wyobrażałam sobie, że ona jest tu ze mną. Spojrzałyśmy sobie w oczy i nie musiałyśmy nic mówić. Wiedziałyśmy, że liczy się tylko przetrwanie. To był sens istnienia. A odebranie życia komuś innemu pod wieloma względami było najdoskonalszym wyrazem istoty bytu. Zamrugalam powiekami i młodsza Lily zniknęła. Wróciła do swojego ciała i razem ruszyłyśmy do Nowego Jorku.

O dziesiątej rano wróciłam już do Shepaug. Wcześniej w Nowym Jorku wjechałam fordem do centrum miasta, krążyłam po Lower East Side, aż znalazłam miejsce do parkowania niedaleko stacji metra. Była to zapchana śmieciami przecznica pełna zamkniętych sklepów. Świtało już prawie, ale głośnie muzyka łomotała z zaparkowanego auta pół przecznicy dalej. Stałam pod migoczącą latarnią. Przez całą noc ani razu nie zdjęłam rękawiczek, więc nie miałam odcisków do ścierania, ale i tak wszystko przetałam ręczniczką, którą znalazłam w schowku na rękawiczki. Po wytarciu wszystkiego rozpostarłam ręcznik na poplamionym siedzeniu pasażera, a potem zebrałam wszelkie dokumenty na nazwisko Brada i wzięłam je ze sobą. Wrzuciłam pakunek do pobliskiego śmietnika, wpychając go pomiędzy resztki pizzy i kubki z kawą. Następnie upuściłam kluczyki do wozu na chodnik obok drzwi kierowcy, gdzie rzucały się w oczy. Miałam nadzieję, że człowiek, który jako pierwszy zauważy zgubione kluczyki, nie będzie żadnym życzliwcem, który by powiadomił władze. Trochę liczyłam na to, że przed wschodem słońca ford zostanie rozebrany na części

w jakiejś dziupli.

Metrem pojechałam na Grand Central, gdzie kupiłam bilet na kolejkę do Shepaug. Do odjazdu pociągu miałam godzinę, więc wypić kawy, zjadłam tłustego donuta i patrzyłam, jak dworzec powoli wypełnia się ludźmi zdążającymi do pracy. W pociągu jadącym do mojego domu zdołałam się chwilę zdrzemnąć i obudziłam się, drżąc z zimna, które przeniknęło mnie do kości po długiej bezsennej nocy. Ze stacji Shepaug szłam pięć kilometrów do Monk's House, trzymając się szlaku wzdłuż nieczynnej linii kolejowej. Nie mieszkałam tutaj od niemal dziesięciu lat, ale nie chciałam ryzykować, że zauważy mnie ktoś znajomy.

Gdy matka otworzyła mi drzwi, z wielkim kubkiem kawy w ręku, powiedziała: „Jesteś, kochanie” takim tonem, że aż się przez chwilę zastanawiałam, czy może jej zapowiedziałam swoją wizytę. Po chwili jednak zorientowałam się, że zabezpiecza się na wypadek, gdyby zapomniała, że jest ze mną umówiona.

– Spodziewałaś się mnie? – spytałam, wchodząc do domu.

– Nie. Spodziewałam się? On dzisiaj nie przyjeżdża, prawda?

„On” odnosiło się do mojego ojca, który wracał do Ameryki i do Monk's House. Uzgodniłam to w czasie ostatniej podróży do Londynu. Ujmując to w skrócie: ojcu, który znajdował się w fatalnej kondycji psychicznej, potrzebna była opieka, a matce potrzebny był ktoś, kto opłaci jej rachunki. Pośredniczyłam w negocjowaniu umowy i choć nie miałam pojęcia, czy okaże się trwała, czy nie, sądziłam, że warto spróbować. W każdym razie tak sobie mówiłam.

– W najbliższy weekend, mamó – powiedziałam, podchodząc do dzbanka z kawą w kuchni.

– Co ty tu robisz i co masz na sobie? Wyglądasz jak włamywaczka.

Przy kawie opowiedziałam mamie, że jestem w podróży służbowej, zbieram materiały archiwalne dla college'u, najpierw w Maine, potem w Nowym Jorku. I że zostawiłam samochód w Maine i przyleciałam z Portland do Nowego Jorku, ale nie zdążyłam na samolot powrotny. Że postanowiłam pojechać do Shepaug, spotkać się z matką, ewentualnie zorganizować podwózkę do Maine po samochód. Moja historia była niedorzeczna, wiem, ale matka, pomimo całego swojego rzekomego instynktu, była niewiarygodnie łatwowierna z tego prostego powodu, że historie innych ludzi nie interesowały jej na tyle, by je należycie analizowała.

– No nie wiem, Lily, mam dzisiaj zajęcia z ceramiki...

– Do Maine masz raptem trzy godziny jazdy – skłamałam. – Potem może być



pojechała za mną do Winslow. Zjadłybyśmy sobie razem obiad, jak przystało na mamę z córką. I zostałybyś na noc.

Jeszcze się zastanawiała, ale wiedziałam, że się zgodzi. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu moja matka zawsze próbowała się wprosić do mojego domu w Winslow. Lubiła uniwersyteckie otoczenie i mój „domeczek” (jej słowo) i lubiła, jak jej gotowałam. Wiedziałam, że mnie odwiezie do Maine, jeśli oznaczało to przyjazd do Winslow.

– Dobrze, kochanie – zdecydowała. – Ale fajnie! Spontaniczna wyprawa do Maine, tylko ty i ja.

Przygotowania zajęły jej trochę czasu, ale w południe byliśmy już w drodze, ja prowadziłam jej stare volvo. Od trzydziestu godzin w zasadzie nie spałam, więc myśl o spędzeniu kolejnych kilku godzin za kierownicą zdecydowanie nie była mi miła, ale wszystko poszło doskonale. I zbliżałam się do końca.

Większość podróży rozmawialiśmy o ojcu.

– Mam nadzieję, że nie oczekuje wypełniania obowiązków małżeńskich – powiedziała matka, zresztą nie po raz pierwszy.

– Nie jesteście małżeństwem, więc trudno wam mieć obowiązki małżeńskie – zauważyłam.

– Wiesz, o czym mówię.

– Ja bym się tym nie martwiła. Nie poznasz go. Jest zupełnie innym człowiekiem.

– Mam nadzieję.

– Nie może zostawać sam w domu. W każdym razie na noc. Ma napady paniki. Nie musisz być przy nim przez cały czas, ale on musi wiedzieć, gdzie jesteś.

– Tak, mówiłaś mi.

Owszem, mówiłam, i to kilka razy. Niemniej wiedziałam, że mama nie jest przygotowana na to, kim stał się jej były mąż. Zawsze miał dziwactwa i fobie. Bał się ciemności, bał się przechodzenia przez ulicę, bał się siedzenia na tylnym miejscu w samochodzie. Trudno to było zrozumieć, bo nigdy z kolei nie okazywał cienia strachu, gdy miał przemawiać przed liczną publicznością, gdy wymykał się z sypialni od śpiącej żony i wpuszczał do domu kochankę, by uprawiać z nią seks na kanapie w salonie. To on też w ramach zakładu wspiał się do połowy wysokości na ścianę Pilgrim Monument w Provincetown. Ale tamta wersja mojego ojca, ta nierozważna, odeszła do historii po tym, co się stało z Gemmą, jego drugą żoną.

Poznał ją już po sfinalizowaniu rozwodu z moją matką; mieszkał wówczas

w hotelu przy Old Brompton Road w Londynie. Gemma Daniels była początkującą powieściopisarką, rok młodszą ode mnie, i prawdopodobnie przyszła do ulubionego pubu ojca wyłącznie po to, by go poznać. Stali się nierozłączni, wzięli ślub już po półrocznej znajomości. Dla ojca minusem zamieszkania w Londynie było to, że angielskie brukowce zajmowały się wybrykami powieściopisarzy równie intensywnie, jak wybrykami piłkarzy czy gwiazd pop. Ojca i Gemmę fotografowano, jak awanturują się na ulicy; łajano ich za pomocą nagłówek w stylu „Sprośny Davie i jego dziecięca oblubienica”. Tak było przed wypadkiem, zanim mój ojciec wbił się swoim jaguarem z 1986 roku w drzewo, kiedy w sobotnią noc po wizycie u przyjaciół na wsi wsiadł za kierownicę po pijaku. Gemma siedziała na miejscu pasażera – wyleciała przez przednią szybę i skręciła sobie kark. Ojciec, który zawsze zapinał pas bezpieczeństwa, wyszedł z wypadku bez szwanku. Zadzwoił po karetkę, ale nie zdołał wysiąść z jaguara, by sprawdzić, co z Gemmą. Niczego by to zresztą nie zmieniło. Zginęła na miejscu. Niemniej jednak rozniosło się, że znaleziono go kulącego się w samochodzie, a jego żona leżała na żywopłocie przy drodze. Uznano to za zabójstwo przez rażące zaniedbanie, a ojca skazano na dwa lata więzienia. Po apelacji wyrok skrócono do jednego roku i na początku września został wypuszczony na wolność. Odwiedziłam go w domu przyjaciela w Cotswolds i poprosiłam, żeby wrócił do Ameryki i zamieszkał z moją matką. David nadal miał pokaźne pieniądze, a moja matka, odkąd porzuciła nauczanie po sporze z szefem wydziału, nie miała na rachunki. Monk’s House był obciążony odwróconą hipoteką. Ojciec ze łzami w oczach zgodził się przenieść do Connecticut.

– I ty jesteś blisko, Lily – powiedział. – Będziesz mnie odwiedzać, prawda?

W wieku sześćdziesięciu ośmiu lat przypominał małego chłopczyka żalącego się matce przed wyjazdem do szkoły z internatem.

– Ale ślicznie – zachwyciła się moja matka, gdy skręciłam jej autem w stronę Kennewick Cove. Ciągle było jasno, ale słońce wisiało nisko na zachodzie, rzucając długie cienie na drogę. Niebo miało kolor głębokiego, jaskrawego błękitu.

Wjechałam na parking przed Admiral’s Inn, gdzie niespełna dwadzieścia cztery godziny temu zostawiłam samochód. Nadal tam stał. Zanim ruszyliśmy w drogę powrotną do Winslow, rozprostowałyśmy nogi – przeszłyśmy się skrajem plaży, patrząc na ołowiany ocean.

– Uwielbiam ocean, zawsze uwielbiałam, ale twój ojciec go nie znosi.

– To prawda – przyznałam ze śmiechem. – Mówił, że to jak gapienie się na

śmierć.

– „Jak gapienie się na śmierć, gdy każdy mówi: «ależ to piękne»” – powiedziała matka z angielskim akcentem, przedrzeźniając ojca.

– Zgadza się. Tak właśnie zawsze mówił. A ten drugi tekst? „Uwielbiam plażę, ale nie cierpię, kurwa, piasku, słońca i wody”.

– Tak, pamiętam to! Co oznaczało, że na plaży uwielbia wyłącznie dziewczęta w strojach kąpielowych.

Roześmiałyśmy się zgodnie, a potem moja matka zadygotała z zimna i wróciłyśmy do swoich samochodów, by ruszyć do Winslow. Kusiło mnie, by podjechać kawałek na północ i zobaczyć, czy coś się dzieje wokół domu Teda i Mirandy, ale uznałam, że lepiej nie ryzykować. I tak niedługo się dowiem, ile zajęło policji odkrycie ciała Mirandy. Skręciłam więc na południe, wybierając najszybszą trasę do I-95. Nieco przed osiemnastą zajechałam pod swój dom, a za mną moja matka. Nie czekał na mnie żaden policjant, żaden oddział szturmowy nie wyłaniał się z lasu. Byłam w domu i udało mi się! Ogarnęło mnie radosne uniesienie, podobne do tego, które czułam na łące piętnaście godzin temu. Zmieniłam świat i nikt się o tym nigdy nie dowie. A nawet jeśli znajdą samochód Brada w Nowym Jorku, uznają, że go tam po prostu zostawił. Nigdy nie znajdą samego Brada, nigdy mnie nie powiążą z tą sprawą. Znajdą ciało Mirandy, a wszystkie dowody wskażą, że mordercą jest Brad. On zaś zniknie na zawsze. Policja uzna, że uciekł, ale nigdy go nie odszukają. Sprawa zamknięta.

Przypomniałam sobie, jak mówiłam Tedowi, że są dwa sposoby na ukrycie ciała. Jeden dosłowny, a drugi to ukrycie prawdy towarzyszącej temu ciału, zasugerowanie, że wydarzyło się z nim coś innego niż w rzeczywistości.

– Udało się nam – wyszeptałam, wysiadając z samochodu, i przez chwilę wierzyłam, że gdzieś tam jest ktoś, kto dzieli ze mną to uczucie. Matka podążyła za mną do domu. Włączyłam światło w przedpokoju i wzięłam od niej torbę z bagażem.

– Och, jakże tu urokliwie – powiedziała jak zawsze, gdy wchodziła do mojego domu.

Zanim wraz z detektyw James dotarliśmy do domu Seversonów w Kennewick, przy drodze dojazdowej ciężko było już znaleźć miejsce do zaparkowania. Zgodnie z naszymi przewidywaniami panował zwykły bałagan jurysdykcyjny. Stawiła się cała policja z Kennewick, a z racji ograniczonych sił miejscowego wydziału śledczego wezwano również śledczych z policji stanowej. Był tam główny lekarz sądowy i usłyszałem, że powiadomiono biuro szeryfa, że podejrzany o morderstwo może przekroczyć granice stanu. Zdołaliśmy się przedrzeć do wnętrza budynku, pokonując kilometry taśmy policyjnej i chyba siedmiu mundurowych zdecydowanych bronić miejsca zbrodni do ostatniej kropli krwi.

Poprzedniego dnia, kiedy szukaliśmy Brada Daggetta, widziałem ten ogromny dom od zewnątrz, ale w środku jeszcze nie byłem. W holu wielkości całego mojego mieszkania na niedokończonej podłodze leżała twarzą w dół Miranda Severson. Miała na sobie ciemnozielony płaszcz, zapewne drogi, dżinsy i buty do kostki. Na dłoniach miała rękawiczki, a jedną z rąk trzymała przy rozbitej głowie. Czapka – z szarego tweedu, o wąskim daszku – spadła. Czarne włosy miała rozpuszczone, rozsypały się wokół głowy. Ciężko było określić, gdzie kończyły się włosy, a zaczynała się krew, ciemna, skrzepnięta. Włosy i krew razem utworzyły aureolę wokół jej głowy.

– Broń? – spytałem komendanta Irelanda, który właśnie stanął przy mnie. Jeszcze nic nie powiedział, dawał mi szansę obejrzenia ciała.

– Przed chwilą została zapakowana. Klucz nastawny, sześćdziesięciocentymetrowy. Porzucono go przy ciele. – Ruchem ręki wskazał jakąś część pokrytej trocinami podłogi, zaznaczony taśmą.

– Co jeszcze znaleźli?

– Mnóstwo rzeczy. Odciski palców, włókna, włosy. Ominęło was dużo pakowania.

– Coś nietypowego?

– Bardziej nietypowego niż dziewczyna z rozwaloną czaszką?

– Coś, co nie wygląda w sposób oczywisty. Coś, co nie wskazuje na to, że Brad

Daggett wpadł w panikę, przywiózł ją tutaj i zatłukł na śmierć.

– No to nie. Nie znaleźliśmy żadnego portfela burmistrza Kennewick, jeśli to masz na myśli. Przed domem są świeże ślady opon, których nie zdeptano w tym całym chaosie. Dla mnie wyglądają na ślady ciężarówki i pewnie należą do F-150 Daggetta. Więc z dziwnych rzeczy to nic. To znaczy, moim zdaniem wszystko jest dziwne. Podniosła rękę, żeby zatrzymać cios – komendant Ireland sam podniósł swoją wielką dłoń, by to zademonstrować – ale nie widać innych śladów walki. Więc owszem, to trochę dziwne. Wprowadza ją tutaj, trzymając w ręku wielki klucz nastawny, a ona sobie stoi i czeka, aż ją walnie w głowę.

– To rzeczywiście dziwne – przyznałem. – Nie ma śladów obecności jakiejś trzeciej osoby?

– Sfotografowali tu wszystko, więc musimy trochę zaczekać i się dowiemy, ale tak na pierwszy rzut oka to nie. Wygląda na to, że ona weszła drzwiami od frontu, a Daggett przez szklane drzwi od tyłu, właśnie tymi tutaj. Widzisz te wielkie ślady? To jego.

Wszędzie poprzyklejano taśmę, ale zdołałem dostrzec niewielkie ślady błota na zapyłonej podłodze. Musiały je zostawić buty Daggetta.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Przychodzą mi do głowy jakieś powody. Niekoniecznie dobre. Może drzwi wejściowe były zamknięte i ona szukała klucza, a on obszedł dom, sprawdzić, czy tutaj jest otwarte. Może on wysłał ją przodem, a potem wrócił, wziął ten klucz i wszedł tyłem, żeby ją zaskoczyć.

– To chyba ma sens – powiedziałem.

– Może chciał popatrzeć na księżyc nad oceanem.

– Nigdy nie wiadomo.

Jeden z ludzi Irelanda przywołał go z drugiej strony pomieszczenia. Komendant przeprosił i odszedł. Ja stałem chwilę dłużej, patrząc na ciało i zastanawiając się nad śladami stóp. Podeszła do mnie James. Była jak zawsze szykowna oprócz swojej zimowej zielonej czapki Boston Celtics z tym ich okropnym irlandzkim skrzatem kręcącym na palcu piłką do kosza.

– Czego się dowiedziałaś? – spytałem.

– Wszystko wskazuje na Daggetta. Śmierć nastąpiła pewnie dwanaście godzin temu, co oznacza, że on może się znajdować już dość daleko.

– Złapiemy go.

– O tak.

Powiedziałem jej o śladach stóp, o tych prowadzących od drzwi wejściowych i o tych prowadzących od dziedzińca. Zastanawiała się nad tym chwilę.

– To brzmi sensownie. Przywiózł ją tutaj, żeby zabić, ale nie mógł wejść z takim wielkim narzędziem w rękę. Więc wymawia się, że musi wrócić do auta, bierze klucz, po czym wchodzi od tyłu. Te drzwi pewnie były już odblokowane. Mniej rozumiem, jak on ją w ogóle namówił, że tu przyjechała. Bo jeśli jej powiedział, że chce pogadać, to mogli pogadać w samochodzie. Tu nie jest miło ani przytulnie.

– Właśnie. Mnie to też zastanawia.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu.

– Widziałaś widok? – spytałem wreszcie. – Od tyłu.

– Nie – odparła. Razem podeszliśmy do drzwi prowadzących na kamienny dziedziniec i dalej, na dwór, gdzie panował piękny jesienny dzień. Widok był oszałamiający. Dom stał na cyplu bezpośrednio nad Atlantykiem. W każdym kierunku rozciągał się widok na całe kilometry.

– Myślisz, że to miał być basen? – spytała James, wskazując na szeroką dziurę wykopaną w pochyłym trawniku na tyłach domu.

– Tak bym sądził – odparłem.

– To wszystko jest jakieś nieprzyzwoite. Nie lokalizacja, ale wielkość domu. Bardziej to wygląda na hotel niż na dom dla małżeństwa bez dzieci.

Odszedłem kawałek dalej i rozejrzałem się po beżowej fasadzie. Na piętrze ciągnęła się linia balkoników. Pewnie po jednym na każdą sypialnię. Na kamiennym dziedzińcu zbudowano kominek, przewidziano miejsce na grilla i minilodówkę. Zastanawiałem się, co się stanie z tym domem. Czy ktoś go kupi i zapłaci za dokończenie budowy, czy też dom zmarnieje i się rozpadnie, stanie się luksusowym lokum dla kolonii nietoperzy i szopów.

– Jeszcze jedno – powiedziała James. Nadal patrzyła na ocean. – Jeśli nasze przypuszczenie jest właściwe, jeśli Miranda Severson namówiła Brada Daggetta, by zabił jej męża, musiał to zrobić w założeniu, że ostatecznie całe to bogactwo stanie się jego udziałem.

– Może ją kochał, James. Nie bądź taka cyniczna.

– Wszystko jedno. Tak czy owak, mam pytanie: dlaczego Daggett zabija Mirandę kilka dni po zamordowaniu jej męża? Skoro to dla niej wszystko zrobił. Jeśli ją zabija, to wszystko trafia szlag. Nie ma pieniędzy, nie ma seksu.

– Tak, to dziwne. Ale mogło być wiele powodów. Spanikował, pomyślał, że Miranda zamierza go wydać.

– Jeśli tak, to dlaczego nie uciekł od razu, tylko najpierw ją zabił, a uciekł dopiero potem?

– Nie wiem – odparłem. – Może działał na własną rękę. Może zakochał się w Mirandzie, uznał, że zabijając męża, zgarnie wdowę. Skoro to nie poskutkowało, zabił Mirandę, żeby nie związała się z żadnym innym mężczyzną.

– Myślałam nad tym – powiedziała James – ale gdyby tak było, to jak by ją namówił, żeby tu z nim przyjechała?

– Cóż, dowiemy się. Niedługo go złapią. Najpóźniej w ciągu dwudziestu czterech godzin. Tymczasem musimy się zająć resztą. Ja porozmawiam z Polly Greenier, alibi Brada na piątkową noc.

– Potrzebujesz mnie?

– Zawsze cię potrzebuję – odparłem. – Ale z Polly sobie poradzę. Coś mi mówi, że jeśli jej powiem, że według zeznań świadków Brad był w Bostonie, alibi legnie w gruzach.

– Dobra. W razie czego zadzwoń. Policja stanowa chce, byśmy im przekazali wszystko, co mamy w sprawie morderstwa Teda Seversona, i potwierdziłam, że się podporządkujemy.

Wziąłem adres od komendanta Irelanda i ruszyłem na północ do Kennewick Beach. Po drodze minąłem Cooleya, bar, w którym Brad podobno bawił z Polly w ostatni piątek po południu. Z drogi przy plaży skręciłem w głąb lądu na Sea Mist Road, przejechałem jakieś półtora kilometra, domy zrobiły się mniejsze, a las gęstszy. Polly Greenier mieszkała przy ślepej ulicy o nazwie York Court w niewielkim parterowym domku przy podwórku, które na pewno przez całe lato nie widziało kosiarki. Jeszcze raz sprawdziłem numer na skrzynce pocztowej. We wszystkich oknach żaluzje były spuszczone, dom wyglądał na niezamieszkały.

Brnąc przez trawę sięgającą mi prawie do kolan, dotarłem do wejścia. Gdy wcisnąłem guzik dzwonka, w głębi domu odezwało się bim-bom i niemal natychmiast drzwi otworzyła mi blondynka z telefonem wciśniętym pomiędzy ramię a podbródek. Pokazałem jej odznakę.

– Jan, muszę kończyć – rzuciła do telefonu. Kopniakiem otworzyła drzwi siatkowe i ruchem ręki zaprosiła mnie do środka. – Tak, tak, oddzwonię. Muszę kończyć, policja do mnie przyszła. O co chodzi? – spytała, gdy wytarłem nogi

o wycieraczkę i wszedłem do zagraconego salonu.

– Przyjechałem zadać kilka pytań na temat pani ostatniego spotkania z Bradem Daggettem. Możemy pogadać?

– O Boże, jasne, pewnie – odparła. Nadal trzymała w dłoni telefon. W drugiej miała niezapalonego papierosa. Długi różowy szlafrok, rozchyłony na przodzie odsłaniał ciężkie piersi. Nie odrywałem wzroku od jej twarzy. Zaprosiła mnie do środka, dłonią z papierosem zgarnęła szlafrok, a potem gestem wskazała mi salon, w którym stała kanapa i fotel z podnóżkiem z jednego kompletu. Z legowiska spojrział na mnie mokrymi oczyma cocker-spaniel. Polly przeprosiła na chwilę, a ja usiadłem na tapicerowanym sztruksem fotelu. W domu unosił się zapach papierosów i odświeżacza powietrza.

Gdy Polly wróciła, nadal miała na sobie szlafrok, ale teraz starannie zawiązany. Blond włosy zebrała z tyłu i chyba lekko się umalowała.

– Mogę pana czymś poczęstować? Kawy?

– Jeśli przygotowuje pani również dla siebie, to chętnie. Jeśli nie, proszę się nie kłopotać.

Wyszła i po jakimś czasie wróciła z dwoma kubkami kawy, do mojej bez pytania dodała mleka i cukru. Czekając, schyliłem się do psa i podrapałem go po głowie. Zauważyłem, że jest stary, wielkie oczy miał zasnute zaćmą.

– To Jack – poinformowała Polly, podając mi kawę.

Wypiłem łyk, podczas gdy ona siadała wygodnie na kanapie naprzeciwko mnie. Założyła nogę na nogę, a szlafrok zsunął się jej z ud. Tęgawa w środkowych partiach ciała, o brzuchu wyraźnie widocznym w szlafroku, Polly Greenier miała cudowne nogi, lekko opalone i niesamowicie zgrabne. Paznokcie u nóg miała pomalowane na opalizujący błękit.

Jadąc tu, zastanawiałem się, czy już słyszała o znalezieniu ciała w domu Seversonów, ale teraz miałem pewność, że tak, że wie. Pojąłem to w chwili, gdy otworzyła drzwi z telefonem przy uchu. Prawdopodobnie cały ranek o niczym innym nie rozmawiała.

– Słyszała pani? – spytałem. – O zwłokach, które dzisiaj znaleziono?

– O tak. Całe miasto słyszało. To naprawdę Miranda Severson?

– Jeszcze jej nie zidentyfikowano, ale tak, sądzimy, że to ona. Przyszedłem tu z powodu Brada Daggetta.

– Nie wiem, gdzie on jest. Przysięgam. Wczoraj wieczorem powiedziałam



wszystko policji.

– Tak, wiem – zapewniłem. – Nie przyszedłem dlatego, że moim zdaniem pani wie, gdzie on przebywa. Przyszedłem, bo chciałbym wiedzieć więcej o waszym ostatnim spotkaniu. Słyszałem od komendanta Irelanda, że odbyło się w piątek.

– Zgadza się.

– Może mi pani o tym opowiedzieć? Wiem, że już pani to robiła, ale chciałbym osobiście tego wysłuchać.

Powiedziała mi, jak ona i Brad schodzili się i rozchodzili praktycznie od zawsze, poczynając od czasów liceum, i że oboje ciągle chodzą do Cooleya i od czasu do czasu sypiają ze sobą, i że ostatnim razem tak się stało właśnie w piątek.

– Nie jestem z tego dumna, ale przyjaźnimy się od lat, wie pan. Chwilami myślałam, że kiedyś ostatecznie zejdziemy się na stałe.

– Jest pani pewna, że to był piątek?

– O tak – odparła, pochylając się do przodu i biorąc ze stolika paczkę mentolowych marlboro. – Nie ma pan nic przeciwko, żebym zapaliła, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Pan też chce?

– Pewnie – odparłem i wychyliłem się, by wziąć papierosa z twardej paczki. Zwykle paliłem tylko własnoręcznie zwijane, ale uznałem, że nie zaszkodzi trochę się zakumplować z Polly Greenier. Ona zapaliła pierwsza, po czym podała mi zapalniczkę marki Bic. Od lat nie paliłem mentolowych, więc pierwsze zaciągnięcie sparaliżowało mi gardło. – Skąd ma pani taką pewność, że to był piątek?

– To jedyny dzień tygodnia, gdy wcześniej wychodzę z pracy. W piątek mam zmianę od piątej rano do pierwszej po południu w domu opieki Manor House. Pojechałam do Cooleya na lunch i tam spotkałam Braggetta... to znaczy Brada... wypiliśmy kilka kolejek, a potem poszliśmy do niego.

– Planowała pani, że się tam z nim spotka, czy to był przypadek?

– W sumie tak pół na pół. Widziałam go w tygodniu i wspomniał mi o tym. Spytał, czy nadal kończę w piątki wcześniej, i powiedział, że pewnie będzie w Cooleyu i że może byśmy się razem napili, oblali weekend.

– Zwykle tak robicie? Planujecie spotkanie?

Wypuściła obłok niebieskiego dymu z nozdrzy, o krawędź szklanej popielniczki na stoliku obtarła popiół z papierosa.

– Nie. W zasadzie nie. Zwykle nie robiliśmy takich planów. Po prostu na siebie wpadaliśmy. To małe miasteczko, wie pan.

– A czy tamtego dnia wydarzyło się jeszcze coś nietypowego w związku z Bradem?

– Był trochę dziwny, przyznaję. Na przykład nalegał, żeby zapłacić za mój lunch i postawić mi piwo. Jakby się do mnie przymilał. To często się zdarzało w przeszłości, ale tak w środku dnia to nie. Pomyślałam, że to dziwne, ale też poniekąd mi się to podobało. Przyszło mi do głowy, że odkąd małżeństwo mu się posypało, czuje się samotny i chce mieć dziewczynę.

Zgasilem papierosa, odłożyłem go do popielniczki.

– Polly, Brad Daggett był w Bostonie około osiemnastej w piątek. Świadek go rozpoznał. Na pewno chcesz się trzymać swojej wersji wydarzeń?

– Nie rozumiem. Byłam z nim w jego domu.

Milczałem, napiłem się kawy, żeby pozbyć się z ust mentolowego posmaku.

– Chciałbym, żebyś to zrozumiała: Brad ma wielkie kłopoty. Jest głównym podejrzanym o dwa morderstwa. Jeśli kłamiesz, że Brad był z tobą, to oznacza, że świadomie wprowadzasz w błąd organy ścigania i trafisz do więzienia. Co do tego nie ma wątpliwości.

Zakryła sobie ręką usta. Widziałem w jej oczach, że jest wstrząśnięta, ale też, że nie rozumie.

– Brad kogoś zabił?

– Byłaś z nim w piątek wieczorem?

– Tak. Byłam z nim, ale nie wiem... Nie pamiętam dużo. Możliwe, że film mi się urwał. – W jej głosie pojawiła się ostra nuta. Cocker-spaniel Jack podniósł łeb skonsternowany, ale nie ruszył się z legowiska.

– Powiedz mi dokładnie, co pamiętasz. Jeśli powiesz mi prawdę, nie będziesz miała problemów, jasne?

– Wychodziliśmy z baru dość mocno pijani, bo piliśmy wódkę i tym podobne. A u niego dalej piliśmy...

– Która to była godzina?

– Nie wiem dokładnie. Może piętnasta? Przyjechałam do Cooleya koło pierwszej i spędziliśmy tam ze dwie godziny. Nie wiem, która dokładnie...

– W porządku. Około trzeciej to wystarczy. Więc oboje piliście? Co piliście?

– Głównie jagerbomb, a potem zaczęliśmy się wygłupiać. Byliśmy naprawdę konkretnie nawaleni. Bradowi... Bradowi nie stanął. Tyle pamiętam. Powiedział coś, żeby się kimnąć i znowu spróbować, a potem poszliśmy spać.

– O której się pani obudziła?

– Było późno. Nie wiem... Dwudziesta druga czy coś. Pamiętam, bo spojrzałam na zegarek i nie wiedziałam, czy jest dziesiąta rano, czy dziesiąta wieczorem.

– A Brad był z panią w łóżku?

– Nie. Ale był w domu. Oglądał telewizję w salonie. Odwiózł mnie pod Cooleya, bo tam zostawiłam samochód, i pojechałam do domu. Czułam się beznadziejnie.

– Dziękuję, Polly. To wszystko jest bardzo pomocne. I od tego czasu nie miałaś od niego wiadomości ani się z nim nie widziałaś?

– Mój Boże, nie! Naprawdę on to zrobił? Zabił ich oboje? – Znowu podniosła rękę do twarzy, szlafrok się rozchylił. Odłożyła papierosa na popielniczkę, nie gasząc go, więc się tam tlił.

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć. Rozmawiał z tobą kiedykolwiek o którymś z Seversonów?

– Nie, nigdy, ale on i ten człowiek się przyjaźnili. Chodzili na drinka do Cooleya. Raz ich spotkałam.

– Pili razem?

– Co najmniej raz. Pamiętam, że mnie przedstawił. To on budował ten wielki dom na urwisku, prawda? Wyglądali na zakolegowanych.

– A Miranda Severson? Żona? Widziała ją pani kiedyś w Cooleyu?

– Nie, nigdy. W ogóle nigdy o niej nie słyszałam, dopiero w zeszłym tygodniu. Boże drogi, w ogóle nie mogę uwierzyć, że to wszystko się dzieje. – Sięgnęła do popielniczki po swojego papierosa, stwierdziła, że wypalił się do filtra i go zgasła.

Zostawiłem jej wizytówkę, powiedziałem, żeby zadzwoniła od razu, jeśli coś sobie jeszcze przypomni, po czym wróciłem do samochodu. Dochodziło południe. Pierwotnie zamierzałem zajechać do Cooleya, pogadać z barmanem, zobaczyć, czy da się potwierdzić historię Polly, ale teraz nie odczuwałem takiej potrzeby. Ona mówiła prawdę. Brad ją upił, dopilnował, żeby urwał się jej film u niego w domu, a potem pojechał do Bostonu zabić Teda Seversona. Zadzwoniłem do James i przekazałem, czego się dowiedziałem: że alibi Brada legło w gruzach. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Nadal była w siedzibie policji stanowej w Portland w Maine. Zapowiedziałem, że wpadnę po nią za godzinę lub dwie. W ten sposób

miałem jeszcze dość czasu na jakiś lunch. Ruszyłem na południe, mijając dom Seversonów, przed którym wciąż stały wozy rozmaitych służb. Skręciłem do Kennewick Inn. Słyszałem, że to tutaj Ted i Miranda mieszkali podczas pobytu w Maine. Drewniany szyld „Wolne pokoje” kołysał się na oceanicznym wietrze. Pomyślałem sobie, że gdy gazety ogólnokrajowe dorwą się do tej historii, problemy z wypełnieniem pokoiów same się rozwiążą.

Na głównym budynku hotelu wisiał mniejszy szyld zapraszający do Livery Pub. Ruszyłem w tę stronę wąskim chodnikiem, pod moimi stopami chrzęściły wysuszone liście i zewnętrznymi kamiennymi schodami zszedłem do wejścia w suterenie. Livery zajmowało wąską długą przestrzeń pachnącą dymem z drewna i frytkami. Usiadłem przy barze. W pubie znajdowało się zaledwie kilka osób, ale wszystkie mówiły o czymś gorączkowo, niewątpliwie powtarzając plotki o wydarzeniach, które rozegrały się kilometr stąd. Zamówiłem kawę i cheeseburgera u pulchnego barmana. Czekając, wyjąłem swój notes i zerknąłem na zapiski poczynione dzisiaj rano.

„Polly Greenier – dlaczego by kłamała dla Brada?” – Teraz już wiedziałem, że nie kłamała, że po prostu została przez niego wykorzystana.

„Dlaczego Ted Severson miał klucz do domku Brada?” – Tego nadal nie wiedziałem, ale dowiedziałem się od Polly, że Brad i Ted spędzili razem jakiś czas w Cooleyu. Czyj to był pomysł? Czy Brad dał Tedowi klucz z jakiegoś powodu?

Ostatnia notatka: „Dlaczego Lily Kintner mnie okłamała?”. Wciąż się nad tym zastanawiałem, chociaż nie sądziłem, że ma to coś wspólnego z zejściem pomiędzy Bradem a Seversonami. Niemniej wyjąłem telefon, sprawdziłem, czy mam zasięg, i znalazłem zdjęcie Lily Kintner, które wcześniej widziałem gdzieś w internecie. Fotografia przedstawiająca ją i jej ojca, o niskiej rozdzielczości, sprzed jakichś dziesięciu lat, ale Lily od tego czasu niewiele się zmieniła. Te same rude włosy, ta sama fryzura. Ta sama blada cera i intensywne oczy. Kiedy barman podał mi cheeseburgera, pokazałem mu telefon i spytałem, czy rozpoznaje dziewczynę ze zdjęcia. Nachylił się i przyglądał zdjęciu jakieś pięć sekund. Tak się nastawiłem na odpowiedź przeczącą, że ledwie zwróciłem uwagę, gdy rzekł:

– Pewnie. Była tu w tym tygodniu. Zatrzymała się na dwie noce. Ładna dziewczyna.

– Co tu robiła? – spytałem, starając się nie zdradzać głosem zaskoczenia ani ekscytacji.

– Nie mam pojęcia. Piła jasne piwo, zdaje się. Zawsze pamiętam zamówienia na

trunki.

Odsunął się, by przywitać dwójkę gości, którzy właśnie zajęli miejsca na drugim końcu baru. Spojrzałem na zdjęcie Lily w telefonie – kilka ziarnistych punktów, które składały się na jej twarz. Czy miała z tym wszystkim więcej wspólnego, niż sądziłem? Wiedziałem, że będę musiał znowu się z nią spotkać, dowiedzieć się, dlaczego mnie okłamała, dowiedzieć się, dlaczego przyjechała do Maine po śmierci Teda Seversona. Nie spodziewałem się dowiedzieć wiele, ale to oznaczało, że znowu ją zobaczę. Raczej prędzej niż później. Ugryzłem cheeseburgera, zaskakująco pysznego. Szło ku lepszemu.

Ojciec wiercił się i wzdychał całą drogę z JFK do Shepaug.

– To tylko mama – powiedziałam. – Gada pierdoły jak zawsze. – Uśmiechnął się do mnie, ale w jego oczach wciąż widziałam łzawy strach. – Tylko spróbuj – dodałam. – Jeśli się nie uda, wymyślimy coś innego.

– Zawsze mogę zamieszkać z tobą – powiedział.

Takiego rozwoju wypadków miałam nadzieję uniknąć, ale położyłam dłoń na jego kolanie i je ścisnęłam.

Gdy wjechaliśmy przez niskie wzniesienia Connecticut na znajomy teren, ojciec umilkł i patrzył za okno. Liście na drzewach zakończyły już fazę eksplozji jaskrawych barw. Czerwienie przeszły w rdzę, żółcie wyblakły. Wreszcie skręciliśmy do Monk's House.

– Czuję, jak jaja mi się obkurczają – odezwał się w końcu ojciec. – Teraz jestem pewien, że wracam do domu.

Gdy wyjęliśmy z bagażnika dwie nieporęczne walizy ojca, do drzwi podeszła moja matka w fartuchu i poplamiona farbą. Wargi maznęła jasnoczerwoną szminką.

– Powrót patriarchy – powiedziała i zabrzmiało to sztucznie, jakby sobie tę frazę przygotowała. Uświadomiłam sobie, że ona też się trochę denerwuje.

– Sharon... – Ojciec podsunął okulary na czoło, tak żeby widzieć ją z daleka. – Nic się nie zmieniałaś. – Były to zapewne najmiłsze słowa, jakie mógł w tych okolicznościach do niej powiedzieć. Kiwnęła głową i wróciła do środka.

Pomogłam ojcu rozpakować rzeczy i ulokować się w pokoju gościnnym na piętrze w głębi domu, a potem szybko obeszliliśmy teren, zanim słońce całkiem zniknęło.

– Wcześniej tu się robi ciemno – zauważył ojciec. – Pamiętam to.

– Tylko jesienią i zimą – odparłam. – Nie przez cały rok.

– Mógłbym pewnie jutro trochę pograbić.

– Mama byłaby zachwycona. Nienawidzi grabienia.

– Pamiętam. Zawsze na mnie spadało całe grabienie.

– No, na ciebie albo na chłopca z przeciwka.

– To prawda. – Ojciec ciałniej zawinął szyję szalikiem, chociaż jak na październikowy wieczór było ciepło. – Pamiętasz, że jak byłaś mała, wczółgiwaliśmy się w kupy liści?

– Nie jestem pewna – odparłam.

– Inne dzieci podobno zawsze wskakują na kupę liści, a ty się w nich zagrzebywałaś. I siedziałaś w nich godzinami. Nie pamiętasz tego?

– Może trochę.

– Byłaś taką dziwną dziewczynką. Zanim zatraciłaś się w książkach, sądziliśmy, że urodziło nam się dzikie zwierzątko. Rzadko się uśmiechałaś. Godzinami przekradałaś się gdzieś na dworze. Wydawałaś zwierzęce odgłosy. Nazywaliśmy cię lisczką i mówiliśmy, że ludzie cię wzięli na wychowanie. Mam nadzieję, że nie spieprzyliśmy ci za dużo.

– Byliście w porządku – odparłam. Z nieba zaczął padać drobny deszczyk. – To wasza zasługa, że mogłam was pojednać. Każde dziecko rozwiedzionych rodziców o tym marzy.

– Ale ty do tych dzieci nie należałaś, prawda? – spytał, gdy zawróciliśmy w stronę domu, pogrążonego w ciemności, jeśli nie liczyć światła w kuchni.

– Boże, nie. Żartowałam. Zresztą wy się nie schodzicie, mam nadzieję. Po prostu będziecie razem mieszkać. Wzajemne pasożytnictwo, można powiedzieć. Przecież takie są założenia, prawda?

– Tak, takie są założenia. Cisza i spokój. Może napiszę jeszcze jedną książkę. Może nie. Chciałbym po prostu dożyć końca swoich dni i nikogo nie skrzywdzić. Na nic więcej nie mam nadziei.

Obiad wypadł niezłe. Matka upiekła kurczaka, a ojciec nie powiedział na jego temat nic złego, chociaż był przesuszony. Wypiliśmy w troje butelkę wina, a potem ojciec zaproponował, że posprząta, i dodał, że będzie sprzątał po każdym posiłku.

– Nie umiem gotować, Sharon, wiesz zresztą, ale posprzątam z radością.

Wzniosłam oczy do nieba, ale tylko w duchu. Ojciec już sprzątnął ze stołu i ostrożnie układał przy zlewie stosy naczyń. Przeszliśmy do salonu; teraz stał tam telewizor, sprzęt, którego nigdy nie mieliśmy, gdy byłam dzieckiem. Napomknęłam o tym.

– Ze względu na PBS<sup>[4]</sup> – powiedziała matka, gdy usiadłyśmy na dwóch końcach zniszczonej kanapy. Sądziłam, że będziemy rozmawiać o ojcu, ale matka powiedziała w wyczerpujących szczegółach o entuzjastycznej recenzji jakiegoś artysty, którego kiedyś znała. – Nigdy nie miałam o nim najlepszej opinii, ale chyba cały czas się myliłam, w każdym razie zdaniem „The New York Times”.

Słuchając jej, pomyślałam, że ten dziwny układ moich rodziców może się okazać skuteczny, w każdym razie przez jakiś czas. Po latach rozdzielenia znaczyli dla siebie dużo mniej i może to umożliwi im wspólne życie. Nie kochali się na tyle, żeby się ranić.

Wyjechałam nazajutrz po śniadaniu. Nie spieszyłam się, więc w Hartford skierowałam się na północ, by przejechać przez Pioneer Valley, potem włączyć się na drogę numer 2 i dojechać do Winslow bardziej malowniczymi trasami. To naprawdę była moja ulubiona pora roku: podmuchy wiatru, suche liście, domy ozdobione na Halloween. Tydzień temu dowiedziałam się o śmierci Teda Seversona, a teraz cały ten ohydny rozdział mojego życia był zamknięty. Miranda i Brad zniknęli na dobre, a mnie uszło to na sucho. Uleciał strach, że zostanę złapana. Teraz czułam się odprężona i pełna mocy. Cieszył mnie nawet czas spędzony z rodzicami.

Śmierć Seversonów przyciągnęła wielką uwagę mediów. Kennewick zalali dziennikarze, a wszyscy usiłowali rozwikłać historię czarującej pary młodych ludzi zamordowanych w ciągu jednego tygodnia. Brada Daggetta nie znaleziono i nigdy nie zostanie znaleziony. Jeśli nawet znaleziono jego wóz, nie trafiło to do mediów. Zabił Teda i Mirandę, potwierdzą to badania kryminalistyczne. A on sam nigdy nie przedstawi swojej wersji wydarzeń.

Pomyślałam o tym, co poprzedniego dnia powiedział mi ojciec – że chce dożyć końca swoich dni, nie krzywdząc już nikogo. Może powinnam to odnieść też do siebie. Tak właśnie się czułam po zabiciu Cheta i tak się czułam po zabiciu Erica w Londynie. Teraz też tak się czułam. Nie żałowałam tego, co zrobiłam w przeszłości. Zarówno Miranda, jak i Eric mnie skrzywdzili. Chet chciał mnie skrzywdzić, a Brad – o ile nie skrzywdził mnie bezpośrednio – zamordował niewinnego człowieka. Prawdopodobnie popełniłam błąd, dopuszczając Teda Seversona do swojego życia. W ciągu kilku ostatnich tygodni podjęłam ogromne ryzyko i miałam szczęście, że się z tego wywinęłam. Ale teraz już koniec. Raz na zawsze. Będę prowadzić spokojne życie i dopilnuję, żeby nikt już nie mógł mnie skrzywdzić. Będę trwać, pamiętając, tak jak czułam to tamtej nocy na łące, gdy



gwiazdy zalewały mnie swoim światłem, że jestem wyjątkowa, że urodziłam się z inną moralnością. Moralnością zwierzęcia – wrony, lisa czy sowy – a nie zwyczajnego ludzkiego stworzenia.

Zjechałam z dwójki i przez centrum Winslow podążałam do swojego domu. Na błoniach miejskich świętowano Oktoberfest, orkiestra grała polkę, postawiono namiot piwny. Opuściłam szybę. Powietrze pachniało świeżym sokiem jabłkowym. Zastanawiałam się, czy stanąć, ale uznałam, że pojedę jednak do domu. Przejechałam ostatnie pięć kilometrów dzielące mnie od domu. Zbliżając się do budynku, ujrzałam długi biały samochód na moim podjeździe, doskonale widoczny przez gałęzie bezlistnych drzew. Poczułam strach i niewiele brakowało, a pojechałabym dalej, ale ostatecznie zatrzymałam się, mówiąc sobie, że wszystko będzie dobrze.

O samochód stał oparty detektyw, który parę dni temu przyszedł mnie wypytać. Henry Kimball z policji w Bostonie. Na mój widok wyrzucił palonego właśnie papierosa i zdusił go butem. Zaparkowałam i wysiadłam z auta. Kimball ruszył ku mnie z tajemniczym uśmiechem na twarzy.

W niedzielę po lunchu wyruszyłem do Winslow raz jeszcze porozmawiać z Lily Kintner. Nie zastałem jej w domu, ale dzień był rześki, jesienny, niezbyt zimny, więc postanowiłem poczekać. Uznałem, że pewnie wyszła coś zjeść i niedługo wróci. Oparłem się o swój wóz, tak żeby mieć widok na staw za jej domem, i pieczołowicie skręciłem papierosa, jednego z dwóch, które sobie codziennie wydzielałem.

Brada Daggetta wciąż nie znaleziono. Jedynym konkretnym tropem było doniesienie z jakiegoś warsztatu w Kennewick, że w stojącym tam wozie zamieniono tablice rejestracyjne. Mike Comeau, mechanik, zauważył to tylko dlatego, że nowe tablice były o wiele czystsze niż pozostałe. Okazało się, że to tablice z forda Daggetta. A więc był na tyle sprytny, by przed opuszczeniem Maine postarać się o nowe tablice. Przekazano do bazy te nowe numery, ale na razie niczego nie znaleźli. Zaczynałem wątpić, czy kiedykolwiek znajdą.

Zapaliłem papierosa, odchyliłem głowę do tyłu i wystawiłem twarz do słońca. W górze przepłynęło stado dzikich gęsi. Dopalałem papierosa, gdy nadjechała honda accord Lily Kintner. Próbowałem przez szybę odczytać wyraz jej twarzy, ale patrzyła po prostu na mnie z umiarkowanym zaciekawieniem i nic więcej. Zaparkowała, wysiadła, a wówczas podszedłem do niej i raz jeszcze się przedstawiłem.

– Pamiętam pana – powiedziała. – Widzieliśmy się raptem kilka dni temu.

Miała ze sobą niewielką torbę z bagażem, granatową w szare groszki. Spytałem, czy wyjeżdżała.

– Byłam u rodziców w Connecticut. Mój ojciec właśnie wrócił z Londynu.

– O. Będzie tu mieszkał?

– W tej chwili taki jest plan. Czym mogę panu służyć? Słyszałam o Mirandzie. To straszne.

– Mam kilka nowych pytań. Miałem nadzieję... że usiądziemy i porozmawiamy, tak jak wtedy.

– W porządku. Proszę mi dać tylko chwilę, żeby się ogarnęła. Możemy usiąść

na tarasie za domem, jeśli pan chce. Nie jest za zimno.

Podążyłem za nią do środka, minęliśmy salon i przez kuchenne drzwi wyszliśmy na niewielki taras zaścielony liśćmi.

– Przyniosę panu ściereczkę, to wytrze pan krzesła – powiedziała.

Wykonałem polecenie, jasnożółtą szmatką uprzątając liście miłorzębu z dwóch drewnianych foteli. Usiadłem, a po pięciu minutach wróciła Lily. Wciąż miała na sobie džinsy, ale zdjęła płaszcz, a włożyła biały sweter z dekoltem w szpic. Sweter wyglądał na kaszmirowy. Rozpuściła włosy i chyba umyła twarz. Nie pomalowała się.

– Czym mogę panu służyć? – spytała ponownie.

Wcześniej postanowiłem, że przejdę od razu do rzeczy, i tak zrobiłem.

– Chcę wiedzieć, dlaczego mnie pani okłamała – powiedziałem.

Nie wyglądała na zaskoczoną, ale powoli zamrugła bladymi powiekami.

– W jakiej sprawie dokładnie?

– W sprawie pani powiązania z Tedem Seversonem. I w sprawie wyjazdu do Kennewick na niedzielę i poniedziałek. Gdy tu byłem poprzednio, nie przyszło pani do głowy, żeby o tym wspomnieć?

– Mogę to wyjaśnić – powiedziała. – I przepraszam, że skłamałam. Ta sytuacja z moim ojcem mocno nadwreżyła moje nerwy. Kiedy tu pan przyjechał po raz pierwszy, bałam się, że zostanę wplątana w śledztwo w sprawie morderstwa. Ojciec by tego nie zniósł. Dlatego udawałam, że nie znam Teda. Proszę mi wierzyć, nie skłamałabym, gdybym sądziła, że nasza relacja ma cokolwiek wspólnego z morderstwem.

– Proszę mi dokładnie opisać charakter tej relacji.

– Spotkaliśmy się na lotnisku w Londynie. Z początku go nie rozpoznałam, ale zaczęliśmy rozmawiać i ostatecznie zgadaliśmy się, że już się znamy przez Mirandę. Oboje lecieliśmy klasą biznes i ostatecznie siedzieliśmy obok siebie. Ted wyznał mi, że żona prawdopodobnie go zdradza z ich budowlańcem.

– To niezmiernie ważna informacja – zauważyłem. – Tydzień temu miałyby duże znaczenie.

– Wiem, wiem, bardzo mi przykro. Ale on nie miał pewności. Po prostu sądził, że to możliwe. Znałam Mirandę z college'u i uznałam, że Ted pewnie ma rację. Tak czy owak, zaprzyjaźniliśmy się. On się przede mną otworzył, jak to czasami się zdarza na pokładzie samolotu.

– I związaliście się ze sobą.

– Nie, nie do końca. Nie w sensie romansu. Spotkaliśmy się jeszcze raz w Concord, w barze, wypiliśmy drinka, ale nie kontynuowaliśmy tego. On był żonaty...

– Ale lubiła go pani?

Znowu powoli zamrugła.

– Tak. To był miły człowiek.

– Kiedy się pani dowiedziała, że został zabity?

– Przeczytałam o tym w niedzielnym „Globe”. Z artykułu wynikało, że zginął przypadkiem w czasie włamania, ale zastanawiałam się...

– Zastanawiała się pani, czy nie zabił go Brad Daggett?

– Tak się nazywa ten budowlaniec, tak? I sądzicie, że on zabił i Teda, i Mirandę?

– Proszę mi po prostu powiedzieć, dlaczego postanowiła pani pojechać do Maine?

– W sumie sama nie wiem... Z mnóstwa powodów. Ted opowiadał, że bardzo mu się tam podoba, więc postanowiłam pojechać. Myślę, że to była taka żałoba po nim. Spotkaliśmy się raptem dwa razy, ale oba spotkania były dość emocjonujące. I pewnie pojechałam tam również w nadziei, że się czegoś dowiem. Pewnie bawiłam się w Nancy Drew. To głupie, wiem.

– Co pani tam robiła?

– Chodziłam na spacer. Zjadłam kolację w hotelu. Wszyscy mówili o morderstwie, więc się przysłuchiwałam, ale nie usłyszałam nic, z czego by wynikało, że Miranda ma romans. Sądziłam, że właśnie coś takiego usłyszę. Że wszyscy będą o tym gadać. Z tego, co mówił Ted, wynikało, że Miranda praktycznie mieszkała w Kennewick Inn. Gdyby sypiała z kimś miejscowym, można by założyć, że wszyscy o tym wiedzą. W każdym razie ja tak zakładałam. Ale nikt nic o tym nie wspominał. Pojechałam nawet do Cooleya, to taki bardziej miejscowy bar, i wypiałam tam drinka, sądząc, że czegoś się dowiem, może nawet spotkam Brada. Ale tak się nie stało.

– A co dokładnie zamierzała Pani zrobić, gdyby się dowiedziała, że Miranda i Brad mieli romans?

– Podejść go, oczywiście – odparła. – Wyciągnąć z niego przyznanie się. Dokonać obywatelskiego zatrzymania. – Jej twarz się nie zmieniła i dopiero po chwili zrozumiałem, że żartuje. Uśmiechnąłem się znacząco, a ona odpowiedziała mi

uśmiechem. – Słowo daję – dodała – nie mam pojęcia, co bym zrobiła. Nie miałam planu. A to, że Brad i Miranda mieli romans, nie oznacza, że mieli coś wspólnego z jego śmiercią.

– Jesteśmy w zasadzie pewni, że Brad Daggett zabił oboje Seversonów.

– I zniknął?

– Tak.

Milczeliśmy przez chwilę. Patrzyłem, jak Lily po kolei każdym palcem lewej dłoni dotyka poręczy fotela. Był to pierwsza oznaka nerwowości, jaką u niej zaobserwowałem. Wreszcie się odezwała:

– Dałam ciała. Powinam była panu powiedzieć wszystko za pierwszym razem. Powinam panu powiedzieć, że Ted podejrzewał żonę o romans z Bradem. Przepraszam. Słowo daję, że kiedy pan tu wówczas przyjechał, myślałam, że Ted zginął przypadkowo. Czułam się niemal zażenowana, że jadę do Maine prowadzić własne dochodzenie. Wydawało mi się to głupie.

– Jak Nancy Drew – powiedziałem.

– Hm. Nazywa pan głupią bohaterkę mojego dzieciństwa?

– Nie, oczywiście, że nie. Też uwielbiałem Nancy Drew. Jak pani sądzi, dlaczego zostałem policjantem?

Na taras wszedł obdarty kot i miauknął do Lily.

– Ma pani kota – stwierdziłem.

– Niezupełnie – odparła, wstając. – Nazywa się Mog, ale większość życia spędza na dworze. Tutaj przychodzi, kiedy jest głodny. Idę po jedzenie. Może panu przynieść coś ze środka?

– Nie, dzięki. – Pod jej nieobecność usiłowałem przywołać Moga, ale ani drgnął. Oczy miał różnego koloru, chyba że jedno było w jakiś sposób uszkodzone. Lily wróciła z kocią karmą w miseczce i postawiła ją na skraju tarasu. Mog przykucnął i zaczął jeść.

Chciałem coś powiedzieć, ale skończyły mi się pytania. Nadal nie wierzyłem, że Lily mówi mi całą prawdę, ale jej odpowiedzi trzymały się kupy.

– Jak się czuje pani ojciec? – spytałem.

– Och... w zasadzie się nie zmienił. Myślę, że wyprowadzka z Anglii jest w jego wypadku najlepszym rozwiązaniem. Prasa nie zostawiała na nim suchej nitki.

– Wciąż pisze?

– Powiedział mi, że może nosi w sobie jeszcze jedną książkę, ale ja nie jestem pewna. Zobaczymy. Może teraz, gdy znowu mieszka z moją mamą, coś go natchnie.

– Myślałem, że pani rodzice są rozwiedzeni.

– Są. Dzięki Bogu. To dziwny układ, wiem. Ale moja mama potrzebuje pieniędzy, a tata jej pomoże, mieszkając tam. Zresztą on nie może być sam. To ryzyko, ale jeśli okaże się, że dadzą radę, ten układ rozwiąże problemy ich obojga. Jeśli się nie uda, ojciec zamieszka ze mną.

Chciałem jeszcze ją wypytać o ojca, po części dlatego, że się nim interesowałem, ale przede wszystkim dlatego, że chciałem jeszcze posiedzieć na tarasie Lily Kintner. Chciałem jeszcze na nią patrzeć. Słońce podświetlało ją od tyłu, zamieniając jej włosy w ogniście rude. Skrzyżowała ramiona, otulając się swetrem, dzięki czemu widziałem górną krawędź jej piersi i delikatny zarys różowego stanika pod cienkim białym kaszmiem. Gorączkowo szukałem sposobu, żeby przedłużyć wizytę. Mogłem zadać więcej pytań o jej ojca, o jej miłość do Nancy Drew, o jej pracę w Winslow, ale wiedziałem, że nie powinienem. To nie było spotkanie towarzyskie. Wstałem, Lily również. Mog dokończył posiłek, podszedł i otarł się boki o kostkę Lily, a potem zniknął tam, skąd przyszedł.

– Ach, jeszcze jedno – powiedziałem, przypominając sobie ostatnie pytanie, które miałem zadać. – Przy pierwszym naszym spotkaniu powiedziała pani, że znałyście się z Mirandą Severson z college’u.

– Tak. Z Mather College w New Chester w stanie Connecticut.

– Miranda powiedziała mi, że odbiła jej pani chłopaka.

– O, pamięta pan o tym? Tak, spotykałyśmy się z tym samym facetem. Miranda pierwsza, później ja, a potem on wrócił do niej. Wtedy strasznie to przeżyłam, ale minęło już wiele lat.

– Więc kiedy spotkała pani Teda i zdała sobie sprawę, że jest mężem Mirandy i że jest nieszczęśliwy, nie pomyślała pani, że to okazja do zemsty?

– Pewnie. Przyszło mi to do głowy. Lubiłam Teda, a nie lubiłam Mirandy, ale nie, nie o to chodziło między Tedem a mną. Nie mieliśmy romansu. Dla niego byłam po prostu partnerem do rozmowy.

Lily przeprowadziła mnie z powrotem przez dom i do samochodu. Wyciągnęła rękę, a ja ją uścisnąłem. Miała suchą i ciepłą dłoń. Gdy ją puściłem, koniuszki palców Lily delikatnie musnęły moją rękę, a ja się zastanowiłem, czy to było

zamierzone, czy też wyobrażam sobie coś, czego nie ma. Jej twarz nie wyrażała nic.

Zanim wsiadłem do samochodu, odwróciłem się jeszcze.

– Jak się nazywał ten chłopak? – spytałem.

– Słucham?

– Ten chłopak, z którym obie chodziłyście?

– A, on. – Na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec. Zawahała się, nim odpowiedziała: – Eric Washburn. Ale... on już nie żyje.

– Och. A co się stało?

– Zaraz po studiach umarł na skutek wstrząsu anafilaktycznego. Miał alergię na orzeszki.

– Och – powtórzyłem. Nie przyszło mi do głowy nic innego. – Bardzo mi przykro.

– Niepotrzebnie – odparła. – To było dawno temu.

Ruszyłem. Gdy jechałem w stronę Bostonu, wał niskich chmur zaczął zasłaniać słońce. Było popołudnie, a można by odnieść wrażenie, że to wieczór. Analizowałem rozmowę z Lily. Wierzyłem w większość tego, co mi powiedziała, ale nadal miałem wrażenie, że mnie okłamała. Czułem, że coś przede mną ukryła, tak samo jak za pierwszym razem. Ale dlaczego? I dlaczego się zawahała, nim podała mi nazwisko swojego chłopaka z czasów studiów? Jakby nie chciała mi go zdradzić. Powiedziała, że to było dawno temu, ale to przecież nieprawda. Ona dopiero dobiegała trzydziestki.

– Eric Washburn – powiedziałem na głos, by na pewno zapamiętać jego imię i nazwisko.

Tydzień po drugiej wizycie detektywa Kimballa pojechałam do centrum Concord. Każdego wieczoru w wiadomościach lokalnych śledziłam postępy w sprawie morderstwa Seversonów, chociaż w zasadzie nie było żadnych postępów. Wiedziałam, że ich nie będzie. Brad Daggett nigdy nie zostanie odnaleziony. Dobrze się czułam ze świadomością, że jako jedyna istota na świecie wiem, gdzie jest Brad – że tylko ja wiem, że nigdy nie zostanie znaleziony nad kieliszkiem daiquiri na jakiejś karaibskiej plaży. Gnił powoli na zapomnianej łące. Wiedziałam o tym ja, a także ptaki i zwierzęta, które się na niego natknęły. Wyczuły jego zapach, uznały, że umarło jakieś duże zwierzę, a potem zajęły się swoimi sprawami.

Była pierwsza niedziela czasu zimowego. Poranek nastał zimny, o świcie szalały zamiecie, ale do południa śnieg ustał. Niebo było teraz niskie, grożące nawalem kredowych chmur. Z Winslow do Concord pojechałam powoli bocznymi drogami, słuchając muzyki klasycznej jednej z publicznych stacji radiowych. Dotarłam na miejsce po południu, zaparkowałam przy Main Street. Na chodnikach było sporo ludzi: tłum rodzin czekał przed popularną knajpą na lunch; kobieta w średnim wieku ubrana w sportowy strój chodziła po sklepach jubilerskich. Ruszyłam powoli ku Monument Square i przecięłam rozległe skrzyżowanie, zmierzając do wejścia na teren Old Hill Burying Ground. Przeciskałam się między nagrobkami i wspinałam się po stromej ścieżce na szczyt wzniesienia. Poza mną na cmentarzu nie było nikogo.

Dotarłam na sam szczyt, mijając ławkę, na której ponad miesiąc temu siedziałam z Tedem Seversonem podczas naszego ostatniego spotkania, i popatrzyłam na dachy Concord. Odkąd tu byłam ostatnio, drzewa na wzgórzu zrzuciły wszystkie liście, więc teraz widziałam całą okolicę aż po mój samochód. Stałam tak chwilę w jasnozielonej kurtce, ciesząc się samotnością i zimnym powietrzem Nowej Anglii, i boskim widokiem na przemyskających przechodniów, podążających w swoich sprawach w niedzielę dłuższą o godzinę. Spojrzałam na miejsce, w którym całowaliśmy się z Tedem, próbowałam sobie przypomnieć swoje wrażenia. Jego zdumiewająco miękkie wargi, duża silna dłoń przesuwaną się po



moim swetrze. Po pięciu minutach ponownie skupiłam się na grzbiecie wzgórza z nagrobkami. Wiatr rozrzucił suche liście i nawiał ich pod niektóre płyty. Ruszyłam z powrotem powoli chodniczkiem i wybrałam grób częściowo ukryty za pokręconym, bezlistnym drzewem. Przykucnęłam przy nim. Był to grób Elizabeth Minot, która zmarła w 1790 roku w wieku czterdziestu pięciu lat. „Powolną śmierć zniosła ze spokojem i radością”. U szczytu płyty przedstawiono czaszkę ze skrzydłami, wokół której widniał napis „Pamiętaj o śmierci”. Siedziałam w tej pozycji, przyglądając się nagrobkowi i rozmyślając, jakie było krótkie, ciężkie życie Elizabeth Minot. Prawda była taka, że nie miało to już znaczenia. Nie żyła, podobnie jak wszyscy, którzy ją znali. Może mąż przydusił ją poduszką, by skrócić jej udrękę. Albo by zakończyć własną. Ale jego też już dawno nie było na świecie. Ich dzieci nie żyły i nie żyły dzieci ich dzieci. Jak mawiał mój ojciec – co sto lat zupełnie nowi ludzie. Nie wiem dokładnie, dlaczego tak mówił, ani co to dla niego znaczyło – pewnie to jego wersja „pamiętaj o śmierci” – ale wiedziałam, co to oznacza dla mnie.

Pomyślałam o ludziach, których zabiłam. Malarz Chet, którego nazwiska nigdy nie poznałam. Eric Washburn, zmarły u progu życia. I Brad Daggett, którego los pewnie został przesądzony w chwili, gdy nieszczęsny budowlaniec po raz pierwszy spojrział na Mirandę Faith Severson. Poczułam ból w klatce piersiowej; uczucie co prawda nie do końca znajome, ale je rozpoznałam. Nie poczułam się źle w związku z tym, co zrobiłam, nie dopadły mnie wyrzuty sumienia. Nie. Miałam powody – i to dobre – by zabić każdą z tych osób. Nie, ból w mojej piersi wynikał z tego, że poczułam się sama. Że nikt inny na świecie nie wiedział o tym, o czym ja wiem.

Zeszłam ze wzgórza i ruszyłam do miasta. Poczułam, jak w torebce wibruje mi telefon. Dzwoniła moja matka.

– Kochanie, czytałaś już „Timesa”?

– Nie czytuję „Timesa” – odparłam.

– Och. Jest cały artykuł o Marcie Chang. Pamiętasz Marthę, prawda? Choreografkę? – Opisała artykuł szczegółowo, odczytując mi na głos kilka fragmentów. Usiadłam na zimnej ławce z widokiem na Main Street.

– Jak tata? – spytałam, gdy skończyła.

– Obudził się w środku nocy z krzykiem. Weszłam, sądząc, że próbuje mnie zwabić do sypialni, ale był w rozsypce. Dygotał i płakał. Poszłam po ciepłe mleko i whisky dla niego, a gdy wróciłam, już spał. Naprawdę, kochanie, zupełnie jakbym miała w domu małe dziecko.

Oznajmiłam, że muszę kończyć, a matka odpowiedziała mi kilkoma historyjkami o swoich znajomych, dla mnie zupełnie obcych. Kiedy się pożegnałyśmy, stwierdziłam, że do knajpki nie ma już takiej kolejki, więc weszłam po dużą kawę na wynos. Potem jeszcze trochę pochodziłam, minęłam The Concord River Inn, gdzie wypiliśmy z Tedem kilka drinków i gdzie planowaliśmy zamordowanie jego żony. Udałoby się nam. Nasz plan nie odbiegał zbyt od tego, co się ostatecznie wydarzyło. Wrobienie Brada w zamordowanie Mirandy, a potem dopilnowanie, by Brad zniknął na zawsze, a jego ciało nigdy nie zostało odnalezione. Zmieniły się szczegóły. Jego ciało miało być wrzucone do oceanu, a ja miałam pojechać jego wozem do Bostonu, zostawić go w miejscu, z którego by go skradziono, a potem by go rozebrano na części, ale wynik byłby ten sam.

Szłam powoli spokojnymi bocznymi uliczkami, zabudowanymi majestatycznymi budynkami w stylu kolonialnym. Zdążałam na tyły cmentarza, który niedawno opuściłam. Kilku ogrodników uprzętało liście na jednym z większych podwórek. Kilkuletni chłopiec podrzucał w powietrze piłkę i sam ją łapał. Nikogo innego nie widziałam. Dotarłam do ślepej ulicy przylegającej do tyłów cmentarza. Przeskoczyłam krótkie ogrodzenie, oparłam się o drzewo i czekałam. Widziałam szczyt wzgórza z nagrobkami rozrzuconymi jak kręgi kręgosłupa. Słońce, biały połysk za pokrywą chmur, wisiało nisko na niebie. Przysunęłam kawę do klatki piersiowej, żeby się ogrzać. Włosy miałam schowane pod tą samą ciemną czapkę, którą nosiłam w noc śmierci Brada i Mirandy. Zastanawiałam się, nie po raz pierwszy, co by się stało między Tedem a mną, gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z naszym planem. Na pewno związałibyśmy się, ale jak długo zostalibyśmy razem? Czy powiedziałabym mu o wszystkim? Dzieliłabym z nim życie? A czy ta wiedza – wiedza, którą byśmy mieli o sobie nawzajem – uczyniłaby nas silniejszymi? Czy też by nas wykończyła? Pewnie wykończyła, chociaż przez jakiś czas byłoby miło, miło byłoby mieć kogoś, z którym to wszystko mogłabym dzielić.

Dopiłam kawę, a pusty kubek wrzuciłam do swojej otwartej torby. I czekałam.

Odkryłem, że jeśli zaparkuję pod Dunkin' Donuts przy pięcioramiennym skrzyżowaniu zaraz przy Winslow Center, zobaczę Lily Kintner, jak jedzie ze swojego domu Leighton Road. Ulicą tą przejeżdżało mało samochodów, zresztą Lily rzuciła się w oczy w swojej ciemnoczerwonej hondzie. Czekałem tam codziennie od naszego drugiego spotkania, w sumie śledząc ją siedem razy. Śledziłem ją do pracy w Winslow College i z powrotem. Śledziłem ją w drodze do sklepu spożywczego i na targ w sąsiednim mieście. Pewnego razu dotarła do międzystanowej i ruszyła na południe; domyśliłem się, że najpewniej jedzie do Connecticut odwiedzić rodziców, i zawróciłem. Kilka razy pojechała do centrum Winslow załatwiać jakieś sprawy, a wtedy śledziłem ją trochę na piechotę, zachowując odpowiedni dystans. Nie zauważyłem nic interesującego.

Wszystko to robiłem na własną rękę, jeżdżąc swoją nijaką srebrną sonatą. Nie wiedziałem, co mam nadzieję osiągnąć. Wiedziałem po prostu w głębi duszy, że Lily Kintner jest jakoś w tę całą sprawę uwikłana i że jeśli będę ją obserwował, to może coś odkryję.

Parkowałem pod Dunkin' Donuts w niedzielne popołudnie i już miałem zrezygnować, gdy ujrzałem hondę Lily. Skręciła w lewo, w Brooks, kierując się na wschód, ku obrzeżom miasta. Wyjechałem z parkingu, od niej dzieliły mnie trzy samochody. Jej honda należała do starszych modeli, była bardziej kanciasta niż większość hond na drogach i łatwo ją było śledzić. Jechałem za nią przez Stow, potem Maynard, wreszcie dotarliśmy do West Concord. Cały czas pilnowałem, żeby dzieliły nas co najmniej dwa samochody. Zgubiłem ją tylko raz, gdy przejeżdżałem przez Maynard Center, gdzie utknąłem za ciężarówką UPS, ale prawidłowo zgadłem, że będzie się trzymać drogi numer 62 i ją dogoniłem. Wjechała do centrum Concord, zaparkowała na Main Street i wysiadła z auta. Miała na sobie jasnozieloną kurtkę zapiętą pod szyję. Patrzyłem, jak idzie w kierunku czegoś, co wygląda na duże rondo okalające niewielki park.

Jedyną osobą, która wiedziała, że śledzę Lily Kintner, była Roberta James, moja partnerka, chociaż nawet ona nie wiedziała, jak często to robię. Na pewno nie miała pojęcia, że dwukrotnie zaparkowałem po zmroku na Leighton Road

i przedarłem się przez las, by podglądać dom Lily z obrzeża jej posiadłości. Pewnego wieczoru obserwowałem ją przez godzinę, gdy z podwiniętymi nogami siedziała na swoim czerwonym skórzanym fotelu i czytała książkę w twardej oprawie. Czytając, w roztargnieniu nawijała na palec kosmyk włosów. Ze stojącego obok kubka herbaty unosiła się para. Powtarzałem sobie, że muszę odejść, ale nie mogłem się ruszyć z miejsca. Gdyby nagle wyszła na zewnątrz i mnie zobaczyła, to chyba nawet wtedy bym nie odszedł. James nigdy nic o tym nie powiedziałem – już i tak podejrzliwe traktowała moje motywy.

– Jak ona wygląda, Hen? – spytała mnie wczoraj.

Siedzieliśmy nad spaghetti carbonara i szkocką.

– Jest piękna – odparłem, bo postanowiłem nie kłamać.

– Aha. – James nic więcej nie musiała dodawać.

– Słuchaj – powiedziałem – Eric Washburn chodził z nią w college’u. Chodził również z Mirandą Severson czy też Faith Hobart, bo tak wtedy się nazywała. Lily powiedziała mi, że Miranda jej tego Erica odbiła. Eric umarł na skutek wstrząsu anafilaktycznego po zjedzeniu orzeszków, na które był uczulony, zaraz po zakończeniu studiów. Był z Lily w Londynie.

– Myślisz, że zabiła go orzeszkami?

– Jeśli tak, to było genialne posunięcie. Ciężko udowodnić, że coś takiego nie stało się na skutek wypadku.

– Dobra. – James kiwnęła głową i upiła łyk macallana.

– Teraz, po latach, zaprzyjaźnia się z mężem Mirandy. Może nie tylko zaprzyjaźnia. A potem on zostaje zabity...

– Został zabity przez Brada Daggetta. O tym wiemy. Myślisz, że jego Lily też znalazła?

– Nie, tak nie myślę. Wiem po prostu, że mnie okłamała i że to naprawdę niesamowity zbieg okoliczności, że ją coś łączy zarówno ze śmiercią Erica Washburna, jak i Mirandy.

– Możemy ją tu ściągnąć i dokładniej przesłuchać. Pytałeś ją, czy ma alibi na noc śmierci Mirandy Severson?

– Nie, nie pytałem. Przecież wiemy, że to również dzieło Brada. Czy to możliwe, że znała Brada cały czas, że namówiła go do obu morderstw i teraz wie, gdzie on jest?

– Pewnie, możliwe, ale dlaczego miałyby to robić? Ludzie nie mordują lasek,

które im odbiły chłopaka w college'u.

– Tak, pewnie...

– I tyle tylko powiesz? Tak, pewnie?

– Tak, tylko tyle. – James się uśmiechnęła. Nie robiła tego często, ale gdy już robiła, jej twarz zmieniała się ze srogiej w promiennie piękną. Byliśmy partnerami w wydziale od ponad roku. Wieczory z makaronem i szkocką zaczęliśmy urządzać jakieś trzy miesiące temu. Jak na razie nasz układ był najwspanialszym pozaseksualnym układem, jaki miałem w życiu. Snuliśmy rozmowy o wszystkim i o niczym, a ja czułem się, jakby łączyła nas wieloletnia przyjaźń. Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, jak niewiele wiem o Robertce James, poza tym skąd pochodzi (z wybrzeża Maryland), gdzie chodziła do szkoły (Uniwersytet Delaware) i gdzie mieszka (drugie piętro w dwupiętrowym budynku w Watertown). Przyjąłem, że jest lesbijką, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Kiedy wreszcie pierwszej naszej nocy makaronowej poruszyłem ten temat, powiedziała:

– Lubię mężczyzn, ale tylko teoretycznie.

– To znaczy, że praktycznie lubisz kobiety?

– Nie. To znaczy, że wolę celibat, ale jeśli kiedyś zdecyduję, że już nie chcę żyć w celibacie, to będę żyła z mężczyzną.

– Kumam, James – odparłem, nie prosząc już o żadne wyjaśnienia. Jej zwykle niewzruszone spojrzenie odrobinę zadrżało w czasie naszej krótkiej rozmowy.

Większość szkocko-makaronowych wieczorów urządzaliśmy u mnie, prawdopodobnie dlatego, że zawsze nadużywałem szkockiej, a gdy już spotykaliśmy się u Roberty, zawsze kazała mi spać na kanapie. W jedną z takich nocy wstałem po szklankę wody, a gdy przechodziłem korytarzem obok drzwi sypialni James, zauważyłem, że jej drzwi są uchylone, ze szpary padało żółte światło. Pchnąłem drzwi odrobinę bardziej, mówiąc „puk, puk”. James czytała w łóżku książkę. Noc była ciepła, więc wystawiła spod kołdry długą nogę. Miała na nosie okulary do czytania i sponad nich spojrzała na mnie pytająco.

– Nie mogę spać – wyjaśniłem. – Pomyślałem, że może chciałabyś towarzystwa.

Nie jestem pewien, jakiej reakcji James na moją propozycję oczekiwałem, ale na pewno nie spodziewałem się wybuchu śmiechu, którym mnie uraczyła. Podniosłem w górę ręce i wycofałem się za próg, mówiąc:

– Okej, okej.

Próbowała mnie zatrzymać, ale szybko wycofałem się na kanapę. Rano James

wstała o świcie i przyniosła mi kawę.

– Przepraszam za ten śmiech – powiedziała, podając mi kubek.

– Nie, to ja przepraszam za nocne najście – odparłem. – To było absolutnie niewłaściwe – mówiłem z pełną powagą, zresztą miałem wrażenie, że głowę ściśnięto mi w imadle.

– Myślę, że totalnie mnie zaskoczyłeś. Kiedy ostatnio mnie podrywano, robiła to kobieta. Tak czy owak, źle się z tym czuję.

– Nie powinnaś. To ja naruszyłem granice. Poza tym jesteśmy świetnymi partnerami służbowo. Po co to psuć?

– Właśnie. Po co to psuć?

I tyle w temacie. W pracy przez jakiś czas zachowywaliśmy się wobec siebie trochę niezręcznie, ale i to minęło. A teraz wróciliśmy do regularnych spotkań i dyskusji o moim życiu uczuciowym.

– Jutro też zamierzasz ją śledzić? – spytała James, dolewając nam trochę szkockiej.

– Nie wiem. Może powinienem zrobić dzień przerwy.

– Może powinieneś. Na pewno jesteś w tym dobry, ale ona na pewno w końcu cię zauważy. I złoży skargę.

– Masz rację – przyznałem, wiedząc, że jej nie posłucham.

Gdy Lily zbliżała się do ronda położonego przy końcu Main Street, wysiadłem z samochodu i ruszyłem za nią piechotą. Obserwowałem ją z drugiej strony dużego skrzyżowania, jak szła w stronę białego, przysadzistego kościoła o wieży oplecionej rusztowaniami, a potem skręciła w prawo i weszła na cmentarz na wzgórzu. Usiadłem na niskim kamiennym murku i zacząłem skręcać papierosa. Dzielilo mnie od niej jakieś dwieście metrów, ale w zielonej kurtce łatwo było ją obserwować. Patrzyłem, jak idzie powoli cmentarnym chodniczkiem. Przechadzała się jakiś czas, potem na chwilę zniknęła za łupkowym dachem starego kamiennego domku z pergolą. Zapaliłem papierosa i kobieta w średnim wieku ubrana w spandeksowy strój rowerowy przebiegła z hałasem w swoich rowerowych butach, rzucając mi spojrzenie, jakbym zamordował jej dzieci. Nie odrywałem wzroku od cmentarza. Wreszcie znowu zobaczyłem Lily, jak idzie samotnie po grzbiecie wzniesienia. Najwyraźniej znalazła grób, którego szukała, kamienną płytę pod skręconym drzewem. Przykucnęła i chyba czytała inskrypcję. Przez chwilę pozostała w tej pozycji, zanim wreszcie się podniosła i ruszyła na dół.

Zastanawiałem się, czyj to grób i czy to ma znaczenie.

Gdy Lily dotarła do chodnika przed cmentarzem i ruszyła przez Monument Square w moim kierunku, wycofałem się, przeciąłem Main Street i wszedłem do ekskluzywnego sklepu, gdzie sprzedawano kobiecą odzież. Udałem, że przeglądam wieszak z szalami – wszystkie w cenie porządnego używanego samochodu – i przez przeszkloną witrynę obserwowałem Lily, która podeszła do kamiennej ławki i teraz rozmawiała przez komórkę. Byłem na tyle blisko, że widziałem, jak pasmo rudych włosów wysliznęło się jej spod ciemnej czapki.

– Wszystkie są z kaszmiru – powiedziała ekspedientka, która nagle pojawiła się kilka centymetrów za mną.

Aż podskoczyłem.

– Są piękne. Takie miękkie.

– Prawda?

Odsunąłem się od szali i trochę się jeszcze porozglądałem po niewielkim sklepie. Lily sprawiała wrażenie, jakby miała spędzić jeszcze trochę czasu na tej ławce. Kilka minut później podziękowałem kobiecie i wyszedłem. Lily zniknęła. Martwiłem się, że może przeszła na moją stronę ulicy i że niechcący na nią wpadnę, więc oddaliłem się od sklepów i usiadłem na niskim murku, na którym siedziałem wcześniej. Miałem ochotę jak najszybciej pójść na cmentarz i spojrzeć na nagrobek, który ona studiowała z taką uwagą. Grób znajdował się bezpośrednio pod sękatym drzewem, które sterczało z grzbietu wzgórza; byłem pewien, że zdołam je znaleźć. Lepiej jednak byłoby udać się na cmentarz w chwili, gdy Lily na pewno by mnie tam nie zobaczyła. Postanowiłem poczekać.

Z ławki porozglądałem się dokoła uważnie. Ciągle się denerwowałem, że Lily nagle się pojawi i mnie zauważy. Uznałem, że nie muszę jej odnaleźć. Wstałem więc i opuściłem centrum Concord. Minąłem stary, kryty szarym gontem hotel o nazwie The Concord River Inn. Z jego komina unosił się dym; wyglądał na przybytek wyposażony w bar. Wszedłem do środka. Od frontu znajdowała się jadalnia ze stołami nakrytymi obrusami, na ścianach dojrzałem eleganckie tapety, ale słyszałem też głosy dobiegające gdzieś z głębi. Przeciąłem hol o niskim suficie i znalazłem niewielki bar wciśnięty w przestrzeń w zasadzie niewiele większą od miejsca parkingowego. Szybko się rozejrzałem, by się upewnić, czy nie ma tu Lily – dwie pary kończyły późny lunch, do tego jeden samotny mężczyzna czytał gazetę i popijał grolscha z butelki. Usiadłem na niewygodnym drewnianym stołku przy krótkim kontuarze i zamówiłem boddingtona z beczki. Zamierzałem powoli

popijać piwo, a potem pójść na cmentarz, by sprawdzić nagrobek, któremu wcześniej przyglądała się Lily. Nie oczekiwałem, że czeokolwiek się z niego dowiem. Na tak starym cmentarzu pewnie był to grób osoby zmarłej ponad dwieście lat temu – ale czułem, że muszę na niego zerknąć. Lily wpatrywała się w niego z wielką uwagą i chciałem wiedzieć dlaczego. Pomyślałem o wczorajszej kolacji z James, o jej niewyartykułowanym ostrzeżeniu, że mam zgoła nieprofesjonalną obsesję na punkcie Lily Kintner. Pewnie miałem.

Upiłem łyk piwa, zjadłem paluszka z miski stojącej na barze i z kieszeni kurtki wyjąłem długopis. Na serwetce napisałem limeryk:

Niejaki Kimball, detektyw młody  
Za mózg miał kawał drewnianej kłody.  
Dziewczynę piękną śledził  
I jak w malignie bredził,  
Że wkrótce spije z jej ciała miody.

Zmiałem serwetkę i wsadziłem do kieszeni. Wyjąłem nową ze stosu na kontuarze i spróbowałem raz jeszcze.

Była raz dziewczyna ruda,  
Chciałem jej zajrzeć pomiędzy uda.  
Szanse miałem mizerne,  
Ale nie byłem pazerny –  
Wystarczyć mi mogły i kolan cuda.

Tę serwetkę też zmiałem, wsadziłem do kieszeni z poprzednią i dalej piłem piwo. Nagle poczułem się idiotycznie – nie tyle z racji okropnych wierszyków, ile dlatego, że obsesyjnie śledziłem kobietę niezwiązaną bezpośrednio ze sprawą, i to bez wiedzy mojego wydziału. James miała rację. Jeśli sądziłem, że Lily Kintner coś ukrywa, powinienem ją po prostu wezwać na przesłuchanie. Niewykluczone, że z naszym śledztwem miała wspólnego jedynie tyle, że Ted Severson zakochał się w niej niedługo przed śmiercią. Okłamała mnie z powodu stresowej sytuacji z ojcem, osobą publiczną uwikłaną we własną sprawę o zabójstwo. Nie miała nic wspólnego z Bradem Daggettem, który zabił i Teda, i Mirandę, po czym zniknął z powierzchni ziemi. W tej chwili trzymaliśmy się teorii, że po zamordowaniu Teda Brad najpewniej szantażował Mirandę i nie wiedzieć czemu nalegał, by przekazanie pieniędzy odbyło się w niedokończonym domu. To by wyjaśniało,



dlaczego spotkali się tam nocą i może by wyjaśniało, dlaczego Brad zdołał zniknąć tak całkowicie – duża suma pieniędzy znacznie by to ułatwiła. Dopilem piwo i uiściłem rachunek. Wyjdę z hotelu, wrócę do samochodu i ruszę do Bostonu. Jutro pogadam z przełożonym, spytam, co on na to, by przesłuchać Lily Kintner. Jeśli uzna, że warto spróbować, James będzie mi towarzyszyć. Jeśli uzna, że podążam złym tropem, to może odczekam tydzień, zadzwonię do Lily i spytam, czy ma ochotę na drinka.

Wyszedłem przez niskie drzwi hotelu. Przez mniej więcej pół godziny, które spędziłem w środku, bardzo się ściemniło. Przypomniałem sobie, że mamy już czas zimowy i że wcześniej zapada zmrok. Idąc do samochodu, spojrzałem na wzgórze cmentarne. Pusto. W gasnącym świetle mogłem rozpoznać drzewo i nagrobek. Nie zaszkodzi rzucić okiem. Przeciąłem duże skrzyżowanie, znalazłem niewielkie wejście na cmentarz. Z dość nowej tabliczki z ciemnego polerowanego granitu dowiedziałem się, że przybytek ten nazywa się The Old Hill Burying Ground. Stromym chodnikiem wspiałem się aż do drzewa o bezlistnych gałęziach odcinających się czernią na tle sinego nieba. Znalazłem płytę, której tyle uwagi poświęciła Lily, przykucnąłem tak jak ona i przeczytałem napis. Elizabeth Minot, zmarła w 1790 roku. Zastanowiłem się, co miałem nadzieję tu znaleźć. Przebiegłem palcem po nadgryzionej zębem czasu inskrypcji. Był to piękny nagrobek ze skrzydlatą czaszką wyrzeźbioną u szczytu wraz z przestrogą „Pamiętaj, że umrzesz”. Zadygotałem lekko i wstałem. Strzeliło mi w kolanach. W głowie mi trochę zawirowało w bezbarwnym świetle dnia. Podmuch wiatru zawirował spadłymi liśćmi na szczycie wzgórza. Należało już wracać do domu.

Usłyszałem trzask gałęzi z drugiej strony zbocza. Odwróciłem się. W odległości kilku kroków ujrzałem Lily Kintner. Z rękoma w wielkich kieszeniach kurtki zdecydowanym krokiem ruszyła w moją stronę. Jej obecność wydała mi się nierzeczywista, jakby była widmem, i uśmiechnąłem się, nie wiedząc, co mogę zrobić innego. Czy powinienem się przyznać, że ją śledziłem? Czy mam udawać, że to całkowity zbieg okoliczności?

Ciągle szła, aż dzieliło ją ode mnie kilkanaście centymetrów. Przez chwilę sądziłem, że zaraz mnie pocałuje, ale ona wyszeptała cicho:

– Przepraszam.

Poczułem bolesny nacisk w okolicach żeber, a gdy spojrzałem w dół, zobaczyłem, że jej okryta rękawiczką dłoń wbija we mnie nóż, kierując go w górę, ku sercu.

Ze swojej kryjówki pod kasztanowcem na obrzeżach cmentarza dostrzegłam samotną postać na szczycie wzniesienia. Światło gasło szybko, ale widziałam, że to detektyw Kimball. Patrzyłam, jak przykuca i patrzy na grób, ten sam, na który patrzyłam wcześniej – na grób pani Minot.

Chwilę potrząsałam nieco odrętwiałymi ramionami, gratulując sobie, że tak łatwo zwabiłam Kimballa w odosobnione miejsce, gdy tylko zapadł zmierzch. Ruszyłam w jego stronę, rozglądając się, na wypadek gdyby po cmentarzu kręcili się jeszcze jacyś zwiedzający. Ale byliśmy sami.

Dzieliło mnie od Kimballa jakieś pięć metrów, gdy nastąpiłam na gałąź, a on się odwrócił.

W jednej kieszeni miałam paralizator, w drugiej nóż do filetowania. Zamierzałam najpierw go ogłuszyć, a potem dźgnąć, ale wydawał się tak zaskoczony, tak oszołomiony, że po prostu do niego podeszłam i wbiłam nóż pomiędzy jego żebra, kierując go tak, by dosięgnął serca.

Ależ to było łatwe.

Jego twarz pobraźla, poczułam, jak ciepła krew zalewa mi rękę.

Z oczyma utkwionymi w jego oczach, czując w uszach własne tętno, ledwie dosłyszałam głucho kroki wspinające się na wzgórze po mojej lewej stronie.

– Odsuń się od niego i podnieś rękę! – rozkazał kobiecie głos, przekrzykując szeleszczący wiatr.

Odwróciłam się i patrzyłam, jak wysoka czarna kobieta w trenczu wspina się po chodniku, w rękach trzymając pistolet. Odpięty płaszcz łopotał jej za plecami. Upuściłam nóż, a Kimball padł na kolana, przy czym jedno trzasnęło sucho. Podniosłam rękę w górę i się cofnęłam. Widziałam, jak kobieta spogląda na Kimballa, nieprzerwanie sunąc do przodu. Zauważyła nóż sterczący pomiędzy jego żeber i przyspieszyła. Dopadła Kimballa, broń trzymała już w jednej ręce i machała nią na mnie.

– Na ziemię, kurwa! Już! Twarzą, kurwa, do ziemi!

Niemal słyszałam, jak adrenalina krąży w jej żyłach, i wykonałam jej polecenie, rozciągając się na zimnej ziemi cmentarza. Nie miałam zamiaru walczyć ani uciekać. Zostałam złapana.

– Leż i się nie ruszaj, Hen. I nie dotykaj noża, jasne? – mówiła cichym i miękkim głosem do Kimballa. Odwróciłam głowę, żeby ich widzieć. Kobieta szybko wciskała klawisze telefonu, z bronią wciąż wymierzoną we mnie. Wybrała 911 i wezwała karetkę „na jakiś pierdolony cmentarz w centrum Concord. Na wzgórzu”. Przedstawiła się jako detektyw Roberta James z wydziału policji w Bostonie i powiedziała dyspozytorce, że ranny został policjant. Rozłączyła się, sprawdziła szybko, co z Kimballem

– Nie wygląda tak źle, Hen, tylko leż spokojnie – powiedziała.

Potem odwróciła się do mnie. Usłyszałam świst, gdy jednym sprawnym ruchem wyciągała pasek ze szlufek płaszcza. Oparła kolano na środku moich pleców i przycisnęła mocno. Poczułam, jak zimna lufa jej broni dotyka mojej szyi.

– Tylko mnie, kurwa, nie prowokuj – ostrzegła. – Ręce na plecy.

Zrobiłam, co kazała, a ona ciasno i wprawnie zawiązała paskiem moje nadgarstki.

– Rusz się choćby o milimetr, a strzelę ci w łeb – dodała.

Odprężyłam się. Wiatr rzucał mi na twarz skręcone liście. Zamknęłam oczy i z niedowierzaniem i przerażeniem pomyślałam, że oto moje życie się skończyło. Słyszałam, jak policjantka mówi coś do Kimballa cichym, spokojnym głosem. Detektyw coś odrzekł, ale nie rozpoznawałam słów. Teraz, skoro już zostałam złapana, nie chciałam jego śmierci. Bo po co? Wręcz miałam nadzieję, że przeżyje, i pewnie miał na to spore szanse. Nie wepchnęłam noża do końca. Z daleka dobiegł mnie sygnał zbliżającej się karetki. Słyszałam, jak policjantka mówi do Kimballa, że przeżyje, że wszystko będzie dobrze. Podniosłam powieki. Kosmyk włosów przesłaniał mi oczy, ale częściowo widziałam dramatyczną scenę przed sobą: detektyw Kimball leżący przed grobem Elizabeth Minot, nad nim kobieta z ręką przyciśniętą do jego boku, by spowolnić upływ krwi. Niebo pociemniało i stało się grafitowe, a po chwili słabe, błyskające światła karetki zaczęły oświetlać tę scenę.

Dwadzieścia cztery godziny później sąd hrabstwa Middlesex odrzucił wniosek o wyznaczenie kaucji.

– Spróbujemy jeszcze raz – powiedziała moja adwokat z urzędu. Nazywała się

Stephanie Flynn i miała jakieś dwadzieścia pięć lat. Była drobna i śliczna, ale paznokcie miała obgryzione do żywego ciała i wyglądała, jakby się nie wysypiała od lat.

Wróciła ze mną do celi.

– Złożymy odwołanie i nie będą mogli cię trzymać. W tych okolicznościach na pewno nie.

– W porządku – powiedziałam. – Staralaś się. Naprawdę zdaję sobie sprawę, że pchnęłam nożem policjanta.

– Policjanta, który cię napastował i śledził – odparła Stephanie, przyglądając mi się intensywnie przez szkła swoich szykownych okularów. – A tak swoją drogą: nic mu już nie grozi – dodała. – Leży na OIOM-ie.

– To dobrze.

Moja adwokat zerknęła na zegarek i obiecała mi, że wróci jutro o tej samej porze. Mogłam sobie sama wynająć adwokata albo poprosić rodziców, by za niego zapłacili, ale zdecydowałam się na obrońcę z urzędu i na razie cieszyłam się z tej decyzji.

Po jej wyjściu położyłam się na pryczy w swoim ciemnozielonym dresie. Lunch – hamburgera z dodatkiem różnych warzyw – przyniosła mi ponura policjantka w mundurze. Nie byłam szczególnie głodna, ale zjadłam kawałek hamburgera i wypiałam sok jabłkowy podany do posiłku w plastikowym kubku. Potem napełniłam kubek wodą z kranu, napiłam się i powtórzyłam to kilka razy. Wreszcie znowu położyłam się na pryczy. Wkrótce mieli przyjechać moi rodzice, do których w końcu dziś rano zadzwoniłam na ich koszt z automatu na korytarzu, a przed ich przybyciem rozkoszowałam się odrobiną spokoju. Wczoraj, leżąc cicho i spokojnie na terenie The Old Hill Burying Ground, gdy przyjechała najpierw karetka, później kilka radiowozów, a potem cała ich flotylla, myślałam o tym, co powiem, gdy będę przesłuchiwana. Zastanawiałam się, czy nie wyznać prawdy, całej prawdy o dwóch ciałach w studni i tego, co się stało z Erikiem Washburnem w Londynie, i tego, co mnie łączy z Tedem Seversonem, z Mirandą i Bradem Daggettem. Wyobrażałam sobie, jakby to było – wyznać to wszystko – i wyobrażałam sobie zimne, zafascynowane oczy skupione na mnie, gdy to opowiadam, a potem wyobrażałam sobie, że ta fascynacja będzie mi towarzyszyć przez resztę życia. Wszystkie lata w więzieniu. Nieszłowna córka Davida Kintnera. Stanę się okazem, ciekawostką. Ludzie będą się głośno domagać napisania książki. Na zawsze stracę wszelką anonimowość.

Przyszło mi więc do głowy inne rozwiązanie, znacznie prostsze. Powiem wszystkim, że detektyw Henry Kimball śmiertelnie mnie wystraszył, bo śledził mnie od ponad tygodnia. Powiem, że kilka razy go zauważyłam – co się zgadzało – i że zaczęłam się obawiać o swoje życie. Jeśli mnie spytają, dlaczego nie zadzwoniłam na policję, powiem, że przecież policja to on. Dodam, że zaczęłam zabierać wszędzie ze sobą paralizator i mały nóż i że tego fatalnego dnia pojechałam na mój ulubiony cmentarz w Concord. Kiedy tam go zobaczyłam, wpadłam w panikę, więc pchnęłam go nożem. Wiedziałam, że źle robię, ale nie myślałam jasno. Pod wpływem ciągłego stresu straciłam kontrolę nad sobą.

Taką właśnie historię przedstawiłam najpierw funkcjonariuszowi dopełniającemu formalności na posterunku policji w Concord, gdzie mnie zarejestrowano jako aresztowaną za usiłowanie zabójstwa, a potem, tego samego wieczoru, detektyw Robert James, kobiecie, która ocaliła życie detektywowi Kimballowi. W trakcie przesłuchania próbowałam się dowiedzieć, czy Kimball i James śledzili mnie oboje w porozumieniu, czy też ona przypadkiem znalazła się na miejscu wydarzeń. Byłam niemal pewna, że Kimball śledzi mnie na własną rękę, nie w ramach obowiązków służbowych. Ewidentnie miał obsesję na moim punkcie i wystarczyło poczekać, a zacząłby rozgrzebywać każdy fragment mojego życia. Podałam mu już nazwisko Erica Washburna, więc niewątpliwie sprawdził akta i odkrył, że w chwili jego śmierci byliśmy razem. Zaczęłam trochę panikować i przyszło mi do głowy, że jeśli naprawdę śledził mnie sam, to po prostu zwabię go w odosobnione miejsce i rozwiążę problem. Pomyślałam o cmentarzu, na którym się spotkałam z Tedem Seversonem. Nigdy nie widziałam tam nikogo innego, a jednocześnie można było tam wejść bez przeszkód. Jeśli detektyw Kimball pojedzie za mną do Concord, zobaczy mnie na cmentarzu z ulicy na dole. Zacznę wpatrywać się długo w jeden grób, a Kimball, mam nadzieję, zechce sam na niego spojrzeć. Wtedy będę na niego czekać.

Wszystko szło doskonale, dopóki nie pojawiła się detektyw James.

Uważałam, że moja historyjka jest przekonująca. Pewnie na jakiś czas wyląduję w więzieniu albo w psychiatryku, ale wątpiłam, by mnie uwieziono na długo. Najbardziej się martwiłam, że zaczną głębiej drążyć śmierć Mirandy i zniknięcie Brada Daggetta. Nie miałam alibi na tamtą noc, ale w sumie dlaczego miałabym mieć? Wtorek, późny wieczór, a ja mieszkałam sama. Nawet gdyby przesłuchali moją matkę, nie powinna wspomnieć, że trzeba było mnie podwieźć do południowego Maine. Wręcz właściwie w ogóle o tym nie pamiętała.

Gdy myślałam o matce, usłyszałam skrzywienie nienasmarowanych zawiasów na końcu korytarza, gdy otworzyły się tam drzwi. I rozpoznałam jej napastliwy głos. Usłyszałam słowa „kaucja” i „absurd”. Do krat mojej celi rodziców doprowadziła ta sama policjantka, która wcześniej przyniosła mi lunch. Matka wyglądała na rozwścieczoną, a ojciec wyglądał jak przerażony starzec.

– Och, kochanie – powiedziała matka.

Trzy dni później, dzień przed rozpatrzeniem mojego odwołania w sprawie kaucji, po śniadaniu składającym się z gotowanych jajek i ziemniaków zaprowadzono mnie do pokoju przesłuchań. Byłam w tym pokoju już wcześniej – pudło bez okien, o ścianach pomalowanych na ostrą, przemysłową biel.

Weszła detektyw James, podała do kamery w rogu pokoju pod sufitem swoje dane i godzinę.

– Jak się pani czuje, panno Kintner? – spytała, usiadłszy.

– Bywało lepiej – odparłam. – A jak się czuje detektyw Kimball?

Milczała chwilę z zasznurowanymi ustami i zobaczyłam, jak zerka w stronę lustra fenickiego zajmującego jedną ze ścian pomieszczenia. Przyszło mi do głowy, że może Kimball przygląda się przesłuchaniu.

– Wraca do zdrowia – odparła. – Miał dużo szczęścia, że żyje.

Kiwnęłam głową, ale wolałam nic nie mówić.

– Mam do pani kilka nowych pytań, panno Kintner. Przede wszystkim powiedziała pani podczas poprzedniego przesłuchania, że kilka razy przed niedzielą, kiedy to udała się pani do Concord na cmentarz, zauważyła pani, że detektyw Kimball panią śledzi. Może mi pani dokładnie opisać okoliczności tych wydarzeń?

Opowiedziałam, kiedy widziałam detektywa Kimballa. Najpierw w centrum Winslow, raz w samochodzie, jak przejeżdżał powoli koło mojego domu. Spytała mnie o relację z Tedem Seversonem i o powody, dla których pojechałam do Kennewick po jego śmierci. Powtórzyłam to, co kiedyś mówiłam Kimballowi.

– Chce mi więc pani powiedzieć – podsumowała – że mając istotne dla śledztwa informacje, postanowiła pani je zatrzymać dla siebie i prowadzić własne śledztwo. A później, gdy sądziła pani, że detektyw policji, który po prostu wykonywał swoją pracę, śledzi panią i prześladowuje, postanowiła go pani zamordować? Znajduje pani bardzo interesujące rozwiązania swoich problemów.

– Nie postanowiłam zamordować detektywa Kimballa.

– No, ale postanowiła pani wbić w niego nóż.

Nic nie odpowiedziałam. Detektyw James wpatrywała się we mnie z drugiej strony stołu. Zastanawiałam się, czy coś jest na rzeczy pomiędzy nią a Kimballem, jakiś romans, ale wątpiłam. Choć niemal piękna – wysoka, szczupła, z figurą modelki – detektyw James miała w sobie coś zawziętego i drapieżnego. Może chodziło po prostu o to, jak się wpatrywała we mnie w tej chwili, jakby patrzyła przeze mnie na wskroś.

Milczenie się przedłużało, przyszło mi do głowy, że pani detektyw skończyły się pytania. Nagle się odezwała:

– Detektyw Kimball mówi, że zanim go pani pchnęła nożem, powiedziała pani coś do niego. Pamięta pani, co to było?

Pamiętałam, ale pokręciłam przecząco głową.

– Prawdę mówiąc – odparłam – z tego popołudnia nie pamiętam prawie nic. Myślę, że wszystko wyparłam.

– Bardzo to wygodne. – Wstała i wyszła z pokoju.

Zostałam sama na pół godziny, w każdym razie wydawało mi się, że tyle czasu upłynęło. Nie miałam zegarka, w pokoju też nie wisiał żaden, więc nie byłam pewna. Nie ruszyłam się z miejsca, starałam się zachować kamienny wyraz twarzy. Wiedziałam, że ktoś mnie obserwuje przez lustro, analizuje, rozmawia o mnie. Zupełnie jakby przywiązano mnie tam nagą, przyszpilono do ławki dziesiątkami brudnych rąk. Wiedziałam jednak, że jeśli będę się trzymać swojej wersji wydarzeń i jeśli ciało Brada nigdy nie zostanie odnalezione, nie będą mnie tu mogli trzymać bez końca. Wreszcie odzyskam swoje życie albo chociaż jakieś życie. I nigdy już nie popełnię tych błędów. Nie dopuszczę do siebie ludzi. Z tego wynikają same kłopoty.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł detektyw Kimball. Nosił ten sam strój co zwykle, tweedową marynarkę i dzinsy, ale miał też tygodniowy zarost i bladą skórę. Ostrożnie podszedł do krzesła, ale nie usiadł na nim, położył tylko rękę na oparciu i utkwiał we mnie wzrok, w którym widziałam raczej zaciekawienie niż wściekłość.

– Detektywie Kimball – odezwałam się.

– Wiem, że pamięta pani, co do mnie powiedziała – rzekł. – Zanim mnie pani pchnęła nożem.

– Nie pamiętam. Co powiedziałam?

– „Przepraszam”.

– Okej. Skoro pan tak twierdzi.

– Dlaczego tak pani powiedziała, skoro się mnie bała? Skoro uważała pani, że ją prześladowuję?

Pokręciłam głową.

– Dowiem się tego, co chce pani przede mną ukryć – mówił dalej. – Nie wiem, gdzie to jest ani co to jest, ale znajdę to.

– Mam nadzieję – odrzekłam, wpatrując mu się w oczy. Sądziłam, że odwróci wzrok, ale tego nie zrobił. – Cieszę się, że nic panu nie jest – dodałam, i rzeczywiście się cieszyłam.

– Cóż, jeśli o to chodzi, to akurat lepiej dla pani.

Nic już nie powiedziałam, a on dalej na mnie patrzył. Szukałam w jego oczach nienawiści, ale nie znalazłam.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł człowiek w garniturze. Nigdy wcześniej nie widziałam go na oczy. W średnim wieku, zwalisty, z siwym wąsem.

– Proszę stąd wyjść, detektywie. Natychmiast.

Henry Kimball powoli odwrócił się ode mnie, po czym szybko wyszedł z pokoju, a mężczyzna przytrzymał mu drzwi. Zanim się za nimi zamknęły, znowu usłyszałam głos mężczyzny w garniturze:

– Jezus Maria! Co to kurwa...

I znowu zostałam w ciszy.

Tamtego wieczoru, gdy mnie odprowadzono do celi, odwiedziła mnie moja adwokat. Podsunęła sobie krzesło i usiadła po drugiej stronie kraty.

– Miałaś dzisiaj niespodziewaną wizytę – powiedziała. Robiła ze swoją twarzą coś dziwnego i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że ona próbuje się nie uśmiechać.

– Mówisz o detektywie Kimballu?

– Tak, podobno wdarł się do pokoju przesłuchań. Przede wszystkim nie powinnaś trafić tam sama. Zawsze możesz zażądać mojej obecności w trakcie przesłuchania.

– Wiem.

– Co mówił?

– Chciał wiedzieć, czy pamiętam, co powiedziałam, zanim pchnęłam go nożem.



Odparłam, że nie pamiętam kompletnie nic, i to prawda. A on dodał, że dowie się tego, co próbuję ukryć.

Teraz moja adwokat już się naprawdę uśmiechała. Po raz pierwszy zauważyłam niemal niewidoczne klamerki aparatu ortodontycznego na jej dolnych zębach.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiem, że to musiało być dla ciebie denerwujące, ale nie powinno się wydarzyć. Henry Kimball jest oficjalnie zawieszony. I tak by do tego doszło, wierz mi.

– Więc zdecydowanie działał na własną rękę, śledząc mnie?

– O tak! O tym wiedzieliśmy już wcześniej. Jego partnerka nie spuszczała go z oka, bo martwiła się o jego zdrowie psychiczne; poprzedniego dnia wyznał jej, że w wolnym czasie cię śledzi. Sądziła, że wpadł w obsesję. Więc nazajutrz podjechała do niego, sprawdzić, co z nim, a ostatecznie sama zaczęła go śledzić. I tak trafiła do Concord. To nie wszystko: znaleziono jakieś rzeczy, które Kimball pisał o tobie w szpitalu. Wiersze.

– Naprawdę? Jakie wiersze?

– Dość obciążające. Nie sądzę, by detektyw Kimball kiedykolwiek wrócił do pracy w policji.

– Więc co to wszystko znaczy? – spytałam.

Musiała jej zawibrować komórka, bo wyjęła ją z kieszeni żakietu, wcisnęła coś i z powrotem ją schowała.

– Nie chcę ci robić nadziei, Lily, ale wydaje mi się, że możemy osiągnąć jakąś ugodę. Muszę cię spytać, co byś powiedziała na badanie psychiatryczne i ewentualnie na jakiś pobyt w szpitalu w celu popracowania nad radzeniem sobie z gniewem.

Odparłam, że z radością bym się na to zgodziła.

– Świetnie – odpowiedziała. – A więc robimy postępy. – Spojrzała na mnie i znowu się uśmiechnęła. – Tak czy owak, nie sądzę, byś spędziła tu dużo czasu. – Wstała i sięgnęła do swojej wypchanej teczki. – Byłabym zapomniała... dostałaś list. Dali mi go na górze.

Wsunęła kopertę w okienko, przez które podawano mi posiłki. Był to kolejny list od mojego ojca. Minęły trzy dni od naszego spotkania, a on przysłał mi trzy listy.

– Dzięki – powiedziałam.

Adwokat wyszła, a ja usiadłam na posłaniu. Nie otworzyłam listu od razu. Zaczekałam chwilę. Wiadomości, które przed chwilą usłyszałam, były o wiele

lepsze, niż się spodziewałam. Odzyskam swoje życie. Może nie od razu, ale prędzej czy później odzyskam. Wreszcie otworzyłam list i zaczęłam czytać. Ojciec pisywał do mnie listy, odkąd byłam małą dziewczynką i zawsze mnie one cieszyły.

Najdroższa Lily,

Twojej matki dzisiaj nie ma – pojechała prowadzić zajęcia dla dorosłych (do diaska! To jej jedyne źródło dochodów!) – a ja podgrzewam sobie w mikrofalówce lazanie. Podobno potrwa to piętnaście minut, skreślę więc tymczasem kolejny list. Rozmawiałem dzisiaj rano z Twoją adwokat, a ona przekazała cudowne wieści, z których wynika, że wrócisz do świata wcześniej niż później. Mamy nadzieję.

Wydaje mi się, że już dwudziesta druga, a to dopiero siedemnasta! Ależ tu wcześniej zapada noc. Piję właśnie cudowny koktajl, który sam wymyśliłem. Wysoka szklanka wody, a na to na dwa palce szkockiej. Zasadniczo jest to woda o smaku whisky. Bardzo smaczna i mogę pić ją od rana do nocy, cały czas zachowując bystrość umysłu. Z drugiej jednak strony – ani przez chwilę nie jestem też całkowicie trzeźwy, a jednocześnie następnego dnia budzę się żwawy i ochoczy. Szkoda, że nie odkryłem tego drinka przed laty. Opatentowałbym go i zbiłbym na nim majątek.

Mikrofalówka mnie wzywa, mój drink wymaga zasilenia. Matka wspominała coś, że w weekend pojedziemy Cię odwiedzić. Do tego czasu – trzymaj się, jak powiedział kotek, zwisając z gałęzi.

Uściski, kochanie.

Tata

Ach, jeszcze PS. Zapomniałem ostatnio Ci napisać, że mam jednak złe wieści. Stara farma Bardwellów, ta obok, została sprzedana jakiejś zielonej szkole dla nastolatków. Wyrównują teren i budują noclegownię bodajże na pięćdziesiąt siedem pokoi. Już nadjeżdżają buldożery. Piszę Ci o tym wyłącznie dlatego, że wiem, że uwielbiasz tę łączkę obok zagrody, a obawiam się, że jutro tam wszystko przeorają. Twoja matka przemieniła się nagle w żarliwą obrończynię środowiska. Przykro, że przekazuję Ci takie złe wieści. Pewnie się zastanawiasz, o czym ja w ogóle gadam. Do zobaczenia, Lil. Tatuś Cię kocha i zawsze będzie Cię kochał, bez względu na wszystko.

## PRZYPISY

[1] Por. W. Shakespeare, *Romeo i Julia*, w: *Tragedie i kroniki*, przeł. S. Barańczak, Kraków 2013, s. 46 (Akt II, scena 2).

[2] Przeł. K. Boczkowski.

[3] E-ZPass – elektroniczny system pobierania opłat używany na większości płatnych dróg, tuneli i mostów w Stanach Zjednoczonych (przyp. red.).

[4] Public Broadcasting Service – amerykańska sieć 354 publicznych stacji telewizji (przyp. red.).